JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

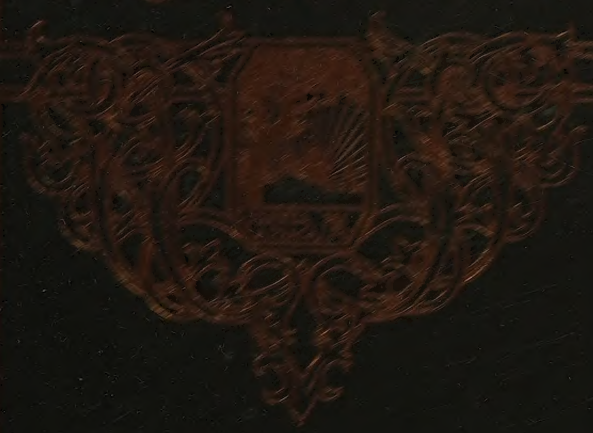

POWIEŚCI HISTORYCZNE

WYDAWNICTWO
M. ARCTA
W WARSZAWIE

J·I·KRASZEWSKI

MĘCZENNICA NA TRONIE

WYDAWNICTWO M·ARCTA W WARSZAWIE

BIBLJOTEKA WIELKICH PISARZÓW
SERJA I: J. I. KRASZEWSKIEGO POWIEŚCI HISTORYCZNE
10 TOMÓW KWARTALNIE

MĘCZENNICA NA TRONIE

I. ARCT, ZAKŁADY WYDAWNICZE SP. AKC. W WARSZAWIE

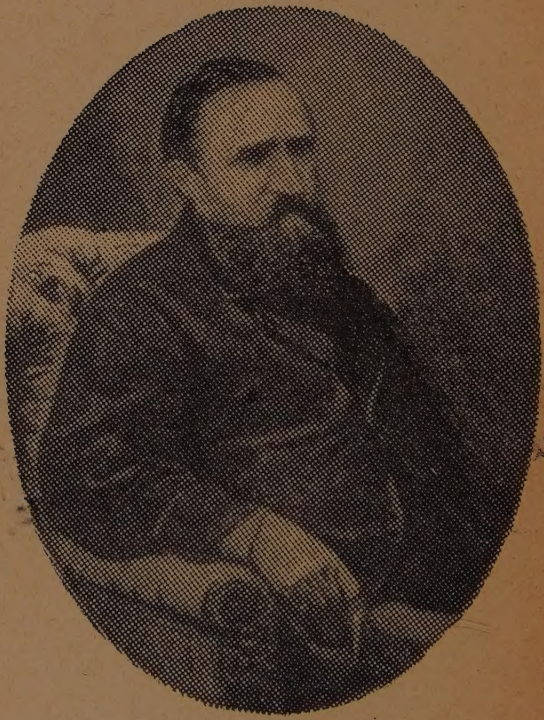

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

ur. 1812 r. um. 1887 r.

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXII

J. I. KRASZEWSKI

MĘCZENNICA NA TRONIE

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

CZĘŚĆ I

Leo Belmont Przemysław

1930

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

DRUKU NA PAPIERZE KRAJOWYM Z FABRYKI PAPIERU I TEKTUR „PILICA"

I.

Jesień była smutna i świat wyglądał posępnie. Niebiosa okrywały gęste chmury szare, chłodnym wiatrem pędzone od zachodo-północy i gromadzące się siną ścianą na wschodzie. Niebo i ziemia jedną wspólną jakąś bolały tęsknicą. Krajobraz cały okryty był tąż samą szatą żałobną. Czarne gąszcze lasów zdziczałych okalały go gdzie niegdzie wyschłemi pniami drzew, jak szkielety białe sterczących, wybiegając na pustą, pożółkłą dolinę, na której pracy ludzkiej mało śladów widać było.

Po płowych ugorach wiły się tu i owdzie ścieżki wydeptane przez bydło i ludzi, czerniały rozpadliny potokami wyorane.

U stóp najwyższego pagórka, na którym stare, sczerniałe, pleśnią porosłe i porozpadane mury małego gródka się wznosiły, leżało miasteczko ubogie. Ponad niem para wieżyczek kościelnych dźwigała się ku niebu. W mieścinie i dokoła niej życia ledwie dojrzeć było można ślady; kraj zdawał się jakby wymarły po jakiejś klęsce, która go zmieniła w pustynię milczącą.

Ludzie, jak cienie przesuwający się około domostw odartych, podobni byli do chorych, którzy zwlekli się z łoża boleści. Szli powoli z głowy pospuszczanemi, jakby nie mieli śpieszyć się do czego. Oglądali się bojaźliwie i nikli we wnętrzach tych ruin, które ich pochłaniały milczące.

Zameczek, stos murów nieforemnemi ścianami koronujący szczyt wzgórza, tak jak miasteczko, na pierw-

szy rzut oka wydawał się opuszczoną ruiną, chociaż w mroku wieczornym niektóre okna jego już ogniem wewnątrz zapalonym błyszczały. Drożyna kręta, powybijana, nawpół porosła chwastami wyschłemi, wiodła od miasteczka na górę zamkową, ale i ona stała teraz pustką.

W jednym z kościołków dzwonek jęczał wieczorną modlitwą i to był jedyny znak, głos świadczący, że tu ludzie żyli i cierpieli.

Drogą od borów czarnych ku mieścinie jechał w płaszcz ciemny otulony podróżny, za którym dwu ze służby w pewnem oddaleniu kroczyło, pocichu rozmawiając z sobą.

Z troków do siodeł przymocowanych poznać było można, iż podróżni ci jechali zdaleka. Spoglądali też dokoła tak ciekawie, jakby po raz pierwszy kraj ten oglądali, i dziwili się jego smutnemu opustoszeniu.

Podróżny jadący przodem rozpatrywał się z uwagą wielką, szczególniej na zameczek zwracając oczy, a spoglądając nań, to ramionami ruszał, to sam do siebie szeptał, niecierpliwie się zżymając.

Zbliżał się już do pierwszych domostw, które stały na skraju miasteczka, gdy z jednego z nich wyszedł podżyły mężczyzna, posłyszawszy tętent koni. Strój jego czysty, twarz, której praca ani powietrze nie opaliły, nie napiętnowały nędzą i cierpieniem, jakich się tu spodziewać było można, — zdawały się oznaczać człowieka średniego stanu, uspokojonego laty, pogodzonego z losem.

Podróżny, zobaczywszy go, naprzód konia do żywszego podbudził kroku, potem przystanął, witając go czystą francuszczyzną. Chociaż w tej części Francji mało kto innym językiem oprócz miejscowego dialektu mógł się rozmówić, a ten dla obcych był do zrozumienia trudnym, zagadnięty mieszczanin na pozdrowienie odpowiedział też po francusku.

— Miałżeby to być Wissenburg? — zapytał przybywający.

— Tak jest — spokojnie odparł zapytany, podcho-

dząc wolnym krokiem ku podróżnemu. — Jesteście w istocie w Wissenburgu.

— A ta kupka murów, tam na górze? — ciągnął dalej gość.

— Jest to stara komandorja — dodał mieszczanin z uśmiechem wpół bolesnym, napół szyderskim. Wszystko w ruinach... Kiedyś się to dźwignie może, ale dziś w całej Francji, krom kilku miast większych, nie zobaczycie nic, tylko ruiny i łachmany.

Mówiąc to, westchnął.

— Wielkość i sławę swych monarchów musi Francja opłacać drogo — dodał. — Wojny i świetny dwór nas zniszczyły.

Podróżny ubolewań tych nie zdawał się z wielką słuchać uwagą, rzucał dokoła oczyma i wracał upornie wejrzeniem do odartych murów zameczku.

— W tych więc ruinach — rzekł cicho — schronił się wygnaniec, król polski?

— Tak jest, tak — odparł, ukazując ręką na mury, mieszczanin. — Mamy tu szczęście dawać schronienie królowi, ale on wcale nie jest podobny do monarchów naszych, a nie wiem, czy znajdzie się drugi, któryby się z nim mógł porównać. Zowią go królem, widać na nim majestat wielki, ale tego mu złoto i żadna powierzchowna świetność nie daje... Król to co sam jeden, o kiju, wchodzi do chat ubogich i dzieli się chlebem, którego sam nadto nie ma.

Zamilkł mówiący, a podróżnemu się twarz rozjaśniła.

— Król więc mieszka tam, na górze, w tej pustce obszarpanej, wyglądającej tak smutnie? — zapytał.

— Tak jest — potwierdził mieszczanin. — A wy? jesteście zapewne wysłani do niego?

— Nie posłał mnie nikt — rzekł podróżny. — Dobrowolnie przybywam, abym rękę naszego króla ucałował, bo Polakiem jestem i mój ojciec był jego sługą.

— Rad wam pewnie będzie, — odparł mieszczanin po chwili — dla obcych nawet gościnnym jest. Ale jeżeli na komandorję jedziecie, nie zawadzi pośpieszyć.

Ściemnia się, kawałek drogi pod górę wprawdzie niewielki, ale starczy, aby po nocy konia skaleczyć, a sobie nadkręcić karku. Od wieków nikt nie naprawiał gościńca.

Zawahał się nieco Polak.

— Wolałbym — odparł — przenocować w miasteczku. Może mi wskażecie gospodę?

— Gospodę! u nas? — rozśmiał się mieszczanin.— Tu ich prawie niema, bo i podróżny rzadki. Na komandorji czuwają długo; jedźcie wprost, tam lepiej wam będzie. Dobrej nocy!

To mówiąc, cofnął się ku swemu domostwu, a podróżny, po krótkim namyśle, ruszył wskazaną mu na komandorję drogą.

Była ona w istocie wyboistą, rozgrzężoną, pełną dziur, kałuż i kamieni, a gdzie niegdzie tylko gałęźmi zarzuconą. Świeże ulewy jesienne poryły ją i powyżłobiały, tak że ciągle objeżdżać i kołować musiał jeździec, aby konia oszczędzić.

— Któżby się domyślił, że ona wiedzie do królewskiej rezydencji? — mówił sobie w duchu.

Im bardziej zbliżał się ku szczytowi, na którym wznosiły się mury stare, tem one smutniej i nędzniej mu się wydawały.

Wiele lat upłynąć musiało od czasu, gdy je zamieszkiwano, a gdzie niegdzie tylko bardzo świeże ślady małych poprawek, naprędce polepionych, cokolwiek starania o podtrzymanie wskazywały.

Zbliżając się ku otwartej naoścież bramie, ani straży, ani mnogiej służby, ani ruchu czeladzi dworskiej nie znalazł podróżny. Powolnie przesuwali się ludzie skromnie poodziewani, a kilku z nich, zobaczywszy podróżnego ku wrotom zdążającego, stanęło, aby mu przyjazd ułatwić i zająć się umieszczeniem jego. Cisza i spokój panowały w podwórcu, w którym parę wozów i trochę sprzętu gospodarskiego widać było.

Otyły, słusznego wzrostu, w polskim stroju ciemnej barwy, niemłody mężczyzna, wywabiony z wnętrza głównego gmachu doniesieniem czeladzi o podróżnym,

wyszedł na mały ganeczek, przez który na zamek się wchodziło, i tu czekał na przybywającego. Na twarzy pana marszałka dworu żywa malowała się ciekawość.

Podróżny zsiadł wśród podwórca powoli, lecz jakby na nim widok tych murów zbyt silne czynił wrażenie milczeniem i ruiną, potrzebował chwili długiej, nim się zbliżył do oczekującego nań starca, który z niecierpliwością podszedł ku schodkom i niemu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwał się głosem drżącym podróżny, który, głowę odkrywszy, pokazał się młodym, przystojnym mężczyzną. Twarz rycerskiego typu, z oczyma dużemi, ciemnemi, jakby stworzoną była do polskiej sukni. Zdobił ją wąs podkręcony do góry, a wyraz prostoduszny, energiczny razem i łagodny, sympatycznie ku sobie pociągał. Oblicze to było spokojne, pogodne, ale w tej chwili wielki smutek je przyoblekał.

Marszałek, polską usłyszawszy mowę, cały drgnął, obie ku przybywającemu wyciągając ręce.

— Witaj nam, gościu miły z Polski naszej! — zawołał głosem drżącym. — Cóż was tu do nas przyprowadziło?

— Cóżby, jeśli nie tęsknica, — odparł przybyły — tęsknica za panem naszym, bo on mi podwójnie nim, jako król i jako ten, któremu ojciec mój cały wiek służył. Jestem synem Ignacego Włodka. Pomyślałem więc sobie, że król też może i moją służbą nie pogardzi.

Marszałek westchnął i ręce załamał.

— Po ojcuście serce odziedziczyli — rzekł. — Kró wam pewnie wdzięczen będzie za dobre chęci. Mój miły Boże, syn pana Ignacego! Ach... widzisz, jak tu nas znajdujesz! My się bez wielkiej służby obchodzić musimy, bo to król bez królestwa, pan bez majętności, wygnaniec, *exul,* ścigany i prześladowany... Ale chodźże waszmość ze mną — dodał, biorąc go za rękę. — Chodź, konie i ludzi znajdzie się gdzie postawić. Ta pustka, choć się zdala szczupłą wydaje, ale, jak dla

nas, dziur ma aż nadto, bo przy panu wiernych mało co pozostało... garsteczka.

W obszernej dosyć sieni, do której wprowadził Włodka pan marszałek Borowski, świeciły dwie lampki do ścian przytwierdzone i dwóch pacholików zerwało się z ławy, widząc wchodzących. Borowski, niedługo się namyśliwszy, korytarzykiem skierował się na prawo, kazawszy pacholikowi świecić, i wprowadził gościa do izby czystej i schludnej, jakby dla niego przygotowanej. Sprzętu w niej właśnie tyle było, ile mógł podróżny potrzebować.

— Rozgość się tu waszmość, — rzekł — a ja pójdę o was królowi jegomości oznajmić. U nas wielkiego ceremonjału nie było nigdy i niema, a z kraju przybywających król rad przyjmuje. Goście u nas teraz rzadcy...

To mówiąc, obejrzawszy się po izbie, marszałek szepnął coś chłopakowi, który ich tu ze światłem przyprowadził, i wyszedł, podróżnego samym zostawiając. Była to właśnie godzina, gdy się szczupły bardzo dwór królewski i rodzina na skromną zgromadzały wieczerzę, na dwa podzieloną stoły.

Przy jednym staruszka wojewodzina, generałowa wielkopolska, matka królewska, w krześle poduszkami ostawionem pierwsze miejsce zajmowała. Przy niej siadała królowa, a z nią jedynaczka córka Leszczyńskiego, Marja, król sam i stary Tarło, powinowaty wojewodziny; naostatek dwaj księża, kapelan i spowiednik.

Przy drugim stole marszałek gospodarzył dworowi i młodzieży nielicznej, która straż przyboczną króla-wygnańca stanowiła. Cała ta gromadka zaledwie kilkadziesiąt głów liczyła z czeladzią.

Była to jedna z najcięższych do przebycia chwil w życiu Leszczyńskiego. Ścigał go mściwy i nieubłagany August II, mszcząc się na nim za to wszystko, co od Karola XII ucierpiał. Przytułek, który na usilne prośby królowej szwedzkiej dawała mu Francja, nie był jeszcze trwale zapewniony. Cała zgraja dyplo-

matów saskich starała się o to, aby regent odmówił Leszczyńskiemu gościny.

W pustce tej na Wissenburgu naznaczono mu tymczasem miejsce pobytu, a układy dalsze jeszcze były w toku. Spodziewać się jednak mógł nieszczęśliwy król, że wspaniałomyślna Francja nie odmówi mu opieki i schronienia. Oprócz królowej szwedzkiej, zdjętej litością nad rodziną, która z przyczyny Karola XII cierpiała, — w samej Francji ci, co poznali Leszczyńskiego, ujęci i oczarowani przymiotami człowieka, głośno się wstawiali za nim do regenta. Kardynał de Rohan, arcybiskup strassburski, szczególniej gorąco przemawiał, pokochawszy króla i jego rodzinę.

Nikt oprzeć się nie mógł temu spółczuciu, jakie obudzał ukoronowany wygnaniec, z chrześcijańskim spokojem ducha, z rezygnacją, z godnością wielką a prostotą znoszący, co się podobało zesłać nań Opatrzności.

Z poszanowaniem i zdumieniem patrzono na skromnego, z pogodnem obliczem męża, który się na los nie żalił i uśmiechnięty, bez gniewu w sercu, bronił się pełnemu zdradzieckich zasadzek, namiętnemu prześladowaniu króla Augusta i ministra jego Fleminga.

Wiadomem było powszechnie, że opłaceni mordercy próbowali trucizną zgładzić Leszczyńskiego, że nasadzano na niego po drogach najemnych zbójów, którym cudem uszedł tylko.

Rządy Francji były jeszcze naówczas w rękach regenta, a małoletni Ludwik XV zbliżał się do chwili, w której sam miał objąć władzę. Nieśmiały, milczący, zamknięty w sobie, pobożny, przywiązany do nauczyciela swojego, biskupa Frejus, księdza Fleury — dla wszystkich jeszcze był zagadką. Około przyszłego pana krzyżowały się już i zesnuwały tysiączne intrygi.

Regent, który umiał ze wszystkiego korzystać, przyjmując króla-wygnańca i dając mu opiekę, w przyszłości pewnie na wyzyskanie go dla swych ulubieńców rachował.

Stara komandorja, która nigdy wygodną nie była, ani nawet najskromniejszym wymaganiom odpowia-

dającą, przez długi ciąg lat niezamieszkiwana, zdana na dozór służby, ledwie dała się znośnie dla króla urządzić. Sklepione jej izby, z oknami małemi, kamienne posadzki połupane, drzwi spróchniałe, sprzęt odwieczny i niewystarczający — czyniły ją podobniejszą do więzienia, niż do królewskiej gospody.

Ale w królu Leszczyńskim był szlachcic polski, nawykły do niewygód podobnych, a dola jego, narażająca na nieustanne wędrówki, nazwyczaiła go do wszystkiego. I on, i jego niewiasty nie zaznały spokoju, więc Wissenburg wydał się im pożądanym przytułkiem. Dla staruszki matki, złamanej wiekiem i chorobą, dla żony i córki król byłby może życzył wygodniejszego pomieszczenia, ale one same i za to Bogu dziękowały. Byli tu przynajmniej od napaści bezpieczni.

Dwór miał się gdzie rozłożyć, bo pustych komnat było poddostatkiem; kilka obszerniejszych i suchszych oczyszczono i powyścielano, a przyboru dostarczyło, co się znalazło w podróżnym obozie.

Wesołe, naiwne, wszystkiemu rade jedyne dziecię królewskie, którem żyli wszyscy, pielęgnując ten rozwijający się kwiatek, bawiło się staremi murami i basztami Wissenburga, jakby obrazkiem z jakiejś baśni.

Leszczyński znajdował ten cichy, smutny, dziki kąt Alzacji jakby stworzonym na przytułek dla siebie. Nie miał on już wielkich nadziei, pragnął powrotu do pierwszego stanu, do rodzinnych swych posiadłości, swobody, którą mu teraz ciążące wspomnienia królewskiego dostojeństwa odejmowały.

Los rzucał nim i poczynał sobie dziwnie, czyniąc go swoją igraszką. Nigdy nie pragnął, ani marzył o królestwie i koronie, którą mu żelazna wola przyjaciela Karola XII narzuciła. Syn rycerskiego rodu, wychowaniem i usposobieniem więcej się czuł na męża stanu, na senatora, niż na wojownika stworzonym. Dobijanie się korony rozlewem krwi bratniej było dla niego wstrętliwem, ale król szwedzki despotycznie nim władał: musiał mu być posłusznym. Śmierć bohatera oswobodziła go razem i pozostawiła bez opieki. Mógł

się układać z Augustem i spodziewał porozumienia. Marzył nawet czasem o powrocie do kraju, chociaż niezmierne trudności stawały w tem na drodze.

On, matka, babka, wszyscy w tem kółku wygnańców żyli teraz tylko pozostałą jedyną córką, Marją, która była ich nadzieją, przyszłością, pociechą. Pieścili ją wszyscy i wychowywali, ale sam król, surowszy, był pierwszym nauczycielem i chlubił się tem głośno.

— Jestem zaprawdę pierwszym królem, który na starość został bakałarzem — mawiał z uśmiechem.

Stara niańka i nieodstępna towarzyszka Moszyńska narażoną była na ciągłe z nim spory, znajdując, że ją do zbytku chciał wiele nauczyć, gdy kobiecie tak mało było potrzeba.

W chwili, gdy marszałek dworu nieco zakłopotany, ale z twarzą zarazem wesołą, wszedł do salki, w której wszyscy byli zebrani, oczekując oznajmienia o wieczerzy, — król właśnie rozpoczynał opowiadanie, a stojąca przed nim córka, z rękami na piersiach założonemi, słuchać się gotowała.

Przy dużym stole okrągłym, na którym się kilka świec woskowych paliło, słabo oświecając dosyć obszerną salę, której ściany ciemne okrywało obicie, oprócz Leszczyńskiego, siedziała przygarbiona, z głową czarną koronkową chusteczką obwiązaną, blada, pomarszczona, arystokratycznych rysów staruszka. Była to matka królewska, dzieląca losy jego, bo i ją z dóbr ojczystych wyrzucono. Oczy jej z miłością spoczywały na wnuczce, do której się uśmiechała. Drżenie głowy i rąk dowodziło podeszłego wieku, ale wejrzenie życia jeszcze było pełne.

Przy niej zajmowała miejsce żona Leszczyńskiego, królowa, która dzieliła się pomiędzy dziecięciem a matką, to do córki, to do niej zwrócona.

Leszczyński nie wydawał się złamany swym losem i niepewną przyszłością. Miał to oblicze pogodne, jasne, majestatyczne, poważne, które go w istocie królem czyniło wśród ludzi, bo mu dawało wyższość nad

nimi, czyniąc wśród niebezpieczeństw i przeciwności zawsze panem siebie.

Twarz jego mówiła, że wyższym był nad wszystko, co go spotkać mogło, że go nic zdumieć, nic przerazić, nic do gniewu pobudzić nie zdołało. Nie była to zimna obojętność stoika, któremu świat, ludzie, życie są obojętnemi, ale energja chrześcijanina, połączona ze współczuciem dla każdej niedoli, a zwycięstwem nad własną.

Przebolawszy wiele, zdawał się zrezygnowanym na wszystko, co los gotował dla niego...

Odbiciem tego wyrazu jego oblicza była w części młodziuchna, świeża, rozpogodzona twarzyczka córki Marji. Królewna nie wyglądała wcale na dumne, wypieszczone dziecię królewskie, ale na wiejską, szlachecką naszą dzieweczkę. Rysy jej tak wybitnie były napiętnowane wdziękiem Polkom właściwym, że Francuzi w niej odgadywali obce pochodzenie, zdumiewając się temu, iż, niby niepiękna, była uroczą i pełną wdzięku. Pociągała ku sobie wzrok i serca.

Nie była to piękność klasyczna ani nadzwyczajnym blaskiem życia uderzająca fizjognomja, ale dobroć, łagodność i pogoda, dobroduszna otwartość, która nie lękała się mówić ani słuchać prawdy — odróżniały ją od rówieśnic. Coś więcej jeszcze nadawało jej charakter zagadkowy — pokora, połączona z powagą, nie poniżająca, ale podnosząca. Taką pokorą nacechowane są tylko oblicza błogosławionych, a żadna duma ludzka nie zrówna ich majestatowi.

Wejrzenie śmiałe, naiwne jak wzrok dziecięcia, dawało twarzy wdzięk nowy, a wyrazowi całości siłę niezwyciężoną. Oczy jej sięgały do głębi duszy... i najśmielszy wzrok musiał się zawahać przed niemi...

Poza krzesłem generałowej wielkopolskiej siedział niemłody już, surowego, chmurnego oblicza, pięknych ale znękanych rysów, z czaszką obnażoną, z wąsami spuścistemi mężczyzna. Był to kasztelan Tarło, bliski krewny matki króla, który wygnańcom pozostał wiernym. Na nim tu jednym przeciwności wypiętnowane

były nieuleczonym smutkiem i goryczą. Patrząc na Marję, wzrok jego mówić się zdawał z politowaniem:

— Jakiż ją biedną los czeka?!...

Król, który miał rozpocząć opowiadanie, spojrzał na zbliżającego się Borowskiego i łatwo odgadł, że przyszedł mu o czemś oznajmić.

— Cóż ty mi przynosisz? — spytał wesoło, zwracając się ku niemu. — Z twarzy ci czytam, żeś nie przyszedł z próżnemi rękami.

Zagadnięty skłonił głowę.

— Mała rzecz, — rzekł — ale przysłowie powiada: gdzie ryb niema i rak ryba.

— Ty zawsze ze swemi przysłowiami — uśmiechnął się Leszczyński. — Mów więc, jakiegoś nam przyniósł raka?

— Krótko a węzłowato mówiąc, n. panie, — dodał marszałek — mamy gościa. Syn starego Włodka do nas przywędrował.

— Co? syn Włodka? poczciwego mojego Włodka? — przerwał król zdumiony.

Królewna odwróciła się, klaskając w dłonie.

— Co? Gabryś? Pamiętam go chłopakiem mojego wieku. Ale skądże się on tu wziął?

— Jeszczem się nie miał czasu z nim rozmówić szerzej — odparł Borowski. — To mi tylko oświadczył, że mu się stęskniło za panem i że na służby gotów.

Król poruszył głową.

— Osobliwszy człek, który z dobrej woli ofiaruje się służyć biedzie — odezwał się.

Wszyscy milczeli. Leszczyński zadumał się nieco.

— Przyjmijże go dobrze, mój Borosiu — rzekł do wyczekującego marszałka. — Służby ja nie potrzebuję, ale serce umiem cenić. Niech sobie dziś spocznie, a jutro — jutro król mu da posłuchanie.

Śmiejąc się, wymówił te słowa.

— Jutro? dlaczegoż nie dziś? — wtrąciła królewna. — Wszak to stary sługa, choć młody człowiek. Jeżeli ma ochotę i siły po temu — bo może drogą znużony — królby mu i dziś nie bronił wejść „na pokoje".

W tem „na pokoje“ było również trochę szyderstwa, jak w królewskiem „posłuchaniu“.

Leszczyński się nie sprzeciwiał.

— Zostaw mu to do woli, Borosiu — odezwał się.— Syn poczciwego Włodka pod moim dachem, jak w rodzicielskim domu.

Spojrzał na marszałka, który skłonił się, pasa poprawił i wyszedł majestatycznie.

Wspomnienie Włodka poruszyło trochę wszystkich; Tarło, staruszka, królowa zaczęli mówić o nim, król go przypominał jako wiernego, długoletniego swego sługę. Wszyscy ciekawi byli tego przybysza, którego przywiązanie do króla tu sprowadzało, w chwili, gdy nie mógł spodziewać się niczego, nad ciężką służbę przy opuszczonym wygnańcu. Nie mógł nie wiedzieć, iż król z tronu zrzucony, pozbawiony majętności i przytułku, sam był na łasce ludzi.

Wieczerza bardzo skromna zgromadziła całą rodzinę u stołu w salce jadalnej. Dwaj milczący księża przyłączyli się do niej. Już się miało ku jej końcowi, gdy w progu z Borowskim ukazał się urodziwy chłopak, który z wielkiem uczuciem, rozrzewniony, podbiegł ściskać i całować kolana króla.

Leszczyński, poruszony także, przyjmował go jak własne dziecko. Oczy wszystkich mimowolnie zachodziły łzami; spoglądano ze spółczuciem na przybyłego, jak na odzyskanego przyjaciela lub powinowatego.

Włodek zkolei szedł całować ręce królowej, staruszki, pana Tarły i królewny, która, wesoło zbliżywszy się do niego, witała go wdzięcznie, jako dawnego znajomego, pytając, czy sobie dziecinne przypomina lata.

Na twarzy pana Gabrjela widać było wzburzone uczucia, które mu się nawet wytłumaczyć nie dawały. Jąkał się, bełkotał, śmiał się, a łzy stały mu w oczach. Nierychło potem, nieco przyszedłszy do siebie, mógł jaśniej na pytania odpowiadać. Podano mu dla pokrzepienia kieliszek wina, które wypił za królewskie zdrowie i odzyskawszy młodzieńczą odwagę, o kraju mógł już rozpowiadać szeroko i wiele.

Z opowieści jego dowiedział się król, że Włodek po śmierci ojca wzięty był na opiekę przez babkę staruszkę, która go do szkół oddała. Później chciała go namówić do palestry, ale pan Gabrjel do niej wcale powołania nie czuł. Ruchawsze mu się życie uśmiechało. Wspomnienie ojca, który wiek cały spędził na posługach króla, gwałtownie go tu ciągnęło. Po śmierci babki, odziedziczywszy trochę grosza, ruszył w drogę w imię Boże, szukając Leszczyńskiego.

Król słuchał go w zamyśleniu.

— Bóg zapłać za twe do nas przywiązanie, — odezwał się — ale mnieby sumienie z twej ofiarności młodzieńczej korzystać nie dozwoliło. Widzisz, jakeś tu mnie zastał, a to, coś zobaczył, nie daje jeszcze miary położenia mego. Jutro i z tej pustki wygnać mnie mogą.

Włodka wcale się to zrażać nie zdawało. Skłonił się do kolan króla, zamruczał coś niewyraźnie, a śmiejąca się twarz mówiła, że ustąpić nie myślał.

Tymczasem godzina wieczornych modlitw nadeszła. Staruszkę z krzesłem przeniesiono do jej pokoju, powstał król, i Włodek się pożegnał, wracając do mieszkania, które mu wyznaczył marszałek. Po drodze, gdy tam szedł, z pośrodka sług króla przyłączył się do niego niemłody już dworzanin, który mu się opowiedział jako przyjaciel ojca i towarzysz, Damazy Makomaski. Ten go na kwaterę odprowadził.

Włodkowi znane było jego nazwisko i nowa czy odnowiona znajomość była mu pożądaną. Siedli więc na rozmowę, bo Makomaski, jak wszyscy tutaj, niezmiernie wiadomości z kraju był ciekawym. Sypały się pytania, na których ledwie cząstkę mógł Włodek odpowiedzieć.

— Żeś się waść tu do nas tułaczów przywlókł, — rzekł Makomaski — jużci mu się ta wierność i poczciwość pochwalić musi; ale że młodości twej żal, aby się tu marnowała, to też pewna. Widzicie, jak oni tu króla polskiego sobie szacują, kiedy go w tem gnieździe sów i nietoperzy umieścili! Opieki nad sobą nie mamy,

oprócz królowej szwedzkiej, która niewiele pono waży. Nasz nieprzyjaciel, król August, możny, chytry, przewrotny, nie pofolguje, aż zgubi, i na życie nawet się naposiadł. Co nas tu czeka? — dodał. — W najszczęśliwszym razie królewnę, tego anioła, za jakiegoś fryzowanego i pachnącego Francuza wyswatają, a my na łasce zięcia siedzieć będziemy. Król, aby miał gdzie książki porozkładać, pomodlić się, ubogich obchodzić, pogawędzić z kim o mądrych rzeczach, więcej mu nad to nie trzeba... Rzepęby gryzł i nie poskarżył się... Dwór królewski lepiejby dziś zmniejszyć, niż powiększać, bo i tego niema czem często wyżywić, nie mówiąc o jurgielcie i barwie. Z Polski nam nie dają nic, a Francuzi czy długo karmić zechcą? nie wiem.

Wzdychał, mówiąc to, stary Damazy.

— Ach! Bóg łaskaw — zawołał Włodek. — Ja znowu przyszłości nie widzę tak czarno. Przecież i obcy się na tym panu poznają, a ocenią go. Król August obawiać się już nie ma czego... skłoni się do układów, a kto wie, co przyszła elekcja powie...

Makomaski pochwycił się za głowę.

— Sasi, mości panie, co raz im się w ręce dostało, nie puszczą! Ma król August syna, któremu zawczasu do tronu drogę torują. Z nim idzie Austrja, co syna z księżniczką ich ożenił, z nimi car Piotr, z nimi Prusak. Jakże my temu radę dać możemy?

Rozprawiali tak długo, ale upartego młokosa ani przekonać, ani mógł nastraszyć Makomaski. Pozostał on przy swojem, Leszczyńskiemu lepszą przyszłość rokując, a królewnie tron jakiś, którego ją sądził godną.

— Co do mnie, — dokończył — król mnie chyba kijem wypędzi, inaczej do nóg mu padnę, a w służbie pozostanę. Jurgieltu nie potrzebuję, a przydam się choć do posyłek. Jedna gęba go nie ogłodzi!

Tak się tedy rozeszli do jutra, a Włodek, rzuciwszy się na twarde posłanie, po znużeniu podróżą zasnął mocno i ze snów różowych nie zbudził się, aż gdy na pierwszą mszę w kapliczce zamkowej zadzwoniono.

II.

W rodzinie Leszczyńskich dwoje tylko życie na starej komandorji znośnem znajdowało i dobre strony jego usiłowało podnosić — król i jego córka Marja. Wszyscy zresztą upokorzeni się czuli tem wygnaniem w opuszczone ruiny, wcale majestatowi króla niewłaściwe; utyskiwali i boleli nad losem, który ich skazywał na odosobnienie pośród zubożałego i wynędzniałego kraju. Wprawdzie cała niemal Francja równie naówczas wycieńczoną była i spółcześni malują ją jako obraz nędzy i znękania; ale kąt ten Alzacji przechodził inne prowincje, a Wissenburg nie nadawał się nawet na skromną pańską rezydencję.

Widocznem było, że gościnność dawano z konieczności, chociaż ona regentowi stawała się ciężarem. Im świetniej zabawiano się i trwoniono w Paryżu, tem mniej pozostawało na dzieła dobroczynności.

Sam tylko Leszczyński umiał wszystko na dobre tłumaczyć, uniewinniać, i nie tracił nadziei polepszenia losu, od którego nie wymagał wiele, a wierzył w skuteczną opiekę Francji. Zameczek wydawał mu się dla jego szczupłej gromadki wystarczającem pomieszczeniem, kraj zaś sam zajmował go, bo rad był przychodzić w pomoc ubogim.

On i królewna zachowywali wesołe oblicza i spokój ducha, usiłując rozweselić staruszkę wojewodzinę, zgryzionego Tarłę i milczącą smutnie królową.

Król żwawo się rozgospodarowywał na komandorji, niewygody zbywając śmiechem i zwyciężając umysłem mężnym. Starał się tylko, aby tym, którzy dzielili los jego, mogło być jak najlepiej. Dwór zmniejszony uczył się od niego na małem przestawać. Wstyd było młodszym wymagać czegoś, gdy król się małem zaspokajał. Życie prowadził tak czynne, iż na próżne utyskiwania i boleści nie miał czasu. Powtarzał ciągle, że prawidłem życia dla niego jest w pracy szukać lekarstwa na dotkliwe losu zmiany. Godziny wszystkie zajęte, tak roz-

łożone były, iż osamotnienie jak najmniej czuć się dawało.

Z rana słuchano mszy świętej, którą odprawiał kapelan w kaplicy zamkowej, naprędce przyprowadzonej do porządku. Po śniadaniu król zajmował się córką, pomagając jej w nauce języków, dziejów, geografji i znajdując w tem wielką przyjemność.

Jeżeli czas pozwalał, następowała przechadzka po okolicy; wstępowano do ubogich chat i dworków, niosąc do nich słowa pociechy, pomoc, lekarstwo, pożywienie. Obiad zgromadzał wszystkich u wspólnego stołu, a jeżeli wysłaniec do Strassburga listy przywiózł, znalazło się zawsze mówić o czem.

Trafiało się bardzo często, iż Francuzi ciekawi, wojskowi, radzi poznać przyjaciela sławnego Karola XII, duchowieństwo, urzędnicy przybywali pozdrowić i uszanować króla-wygnańca, który wszystkich z serdeczną uprzejmością przyjmował. Sam nawet arcybiskup strassburski, kardynał de Rohan, któremu król, jako duchownemu, pierwszy przybył się pokłonić, wypłacił się wkrótce wzajemnością i ze wspaniałym orszakiem zajechał tu dzień spędzić z królewską rodziną. Przykład jego wielu pobudził do naśladowania.

Leszczyński umiał się podobać, jednał sobie łatwo serca, a królewna Marja zachwycała swą prostotą, naiwnością, wdziękiem i pogodną, zawsze rozjaśnioną twarzyczką, z którą losy przeciwne witała jako próby zesłane od Boga.

Nie uniżając się, król umiał być dla wszystkich tak przystępnym i uprzejmym, iż nikt stąd nie wyjeżdżał bez serdecznego dla rodziny współczucia, dla niego zaś bez uwielbienia. Przyjęcia na zamku wykwintne nie były, czuć się w nich dawał niedostatek; ale król umiał go znośnym uczynić, a często tłumaczył obyczajów prostotę tradycjami narodu rycerskiego, który nie był do pieszczot nawykły.

Zamożne francuskie paniątka nierównie wykwintniej i wspanialej występowały od niego; ale król przypominał, że był żołnierzem i że w towarzystwie Ka-

rola XII nawykł do skromnego życia. Nie przeszkadzało mu to w obejściu się, rozmowie, tonie okazywać pańskie i europejskie wychowanie, które go z najwyszukańszem towarzystwem narówni stawiło.

Wiedziano dobrze, iż filozofja, nauki, polityka, kwestje społeczne, wszystko, co wówczas umysły we Francji poruszało tak żywo — królowi obcem nie było; że czytał, pisał wiele, korespondował i przez najznakomitszych ludzi epoki wysoko był cenionym. Niedola jego, losy, jakich doznał, blask królewskiej godności, sława filozofa — pociągały ku niemu, a osobiste przymioty jednały serca.

Miano sobie za zaszczyt być mu przedstawionym i na tym ubogim dworze przyjętym.

W kardynale de Rohan, po bliższem poznaniu się, Leszczyński znalazł gorącego orędownika, starającego się przez swe stosunki w Paryżu los jego łagodzić.

Biedna ta pustka w Wissenburgu, o której wszyscy byli zapomnieli, teraz ożyła i oczy na siebie ściągała.

Nazajutrz po przybyciu Włodka dzień rozpoczął się swym porządkiem mszą w kapliczce starej i ciemnej komandorji, już staraniem królowej i królewny zaopatrzonej we wszystko, co do służby Bożej było potrzebnem. Cały dwór obowiązany był codzień na jednej z dwu mszy odprawianych się znajdować. Młodzież pokolei służyła do nich, a po nabożeństwie śpiewano polskie pieśni pobożne, w których wdzięczny głos królewny słyszeć się dawał.

Włodek, który nazajutrz czuł się tu już jak w domu, pozawiązywał znajomości i przyswoił się wprędce. Nie pytał nawet, czy mógł pozostać — uważał to za rzecz rozstrzygniętą, a szukał tylko jaką objąć służbę. Ale tymczasem nie wiązano go niczem, przyjmowano jak gościa.

Przy królewnie Marji od jej dzieciństwa zostająca stara piastunka i ochmistrzyni Moszyńska była jakby członkiem rodziny, tak ją cenili i kochali wszyscy. Królewna, choć już wyszła z pod jej nadzoru, została dla niej jakby posłusznem dziecięciem, dzieląc się myślami

i uczuciami z kochaną staruszką. Moszyńska rzadko pokazywała się na pokojach, przesiadując w swojej izdebce, pomagając w kobiecem gospodarstwie i modląc się, gdyż była bardzo pobożną. Królewna codzień u niej po parę godzin spędzała na rozmowie, na czytaniu dla niej, lub słuchaniu opowiadań i utyskiwań staruszki. Bez jej porady i wiadomości Marja nic nie poczynała.

Nikt nad Moszyńską nie znał lepiej historji rodziny Leszczyńskich, której jej pradziad, dziad i ojciec służyli. Bezdzietna, sierota, całe swe serce oddała im, a szczególniej wychowance, która była pociechą jej i chlubą. Czuwała nad tym swoim aniołem.

W czasach tych, gdy stary Włodek był na dworze króla razem z Moszyńską, wdowiec przywiązał się do niej, powziął przyjaźń gorącą, miał nawet zamiar się żenić, ale Moszyńska odkładała, ociągała się, znajdowała, że czasy były nie po temu, aby sobie sprawiać wesela, i tak skończyło się między nimi na dobrej przyjaźni. Niemniej pamięć poczciwego Włodka była jej drogą, a dowiedziawszy się o przybyciu syna jego, staruszka żywo się nim zajęła.

Musiał więc Gabryś nazajutrz rano iść, ręce jej ucałować i na mnogie odpowiadać pytania. Moszyńska ciekawa nierychło go od siebie puściła. On też w wielu rzeczach rad był jej posłuchać i pójść za wskazówką, którą mu ona tylko dać mogła. Przyjaźń staruszki bardzo mu była na rękę. Polegał na niej, iż mu wyjedna u króla pozwolenie pozostania przy dworze, co Moszyńska przyobiecała.

Serce jej szczególniej sobie tem pozyskał, iż od pierwszej chwili okazał się zachwyconym królewną, a uwielbienie dla niej z ust mu nie schodziło. Znalazła w nim chętnego słuchacza, a starość czyniła ją gadatliwą, szczególniej, gdy o Marynce swej mówić zaczęła.

Tu wszyscy już napamięć umieli, co dla Gabrysia było rzeczą nową, mianowicie przewidywania i nadzieje świetnych losów, których Marja była godną i które jej przeznaczone być musiały. Moszyńska raz o tem począwszy, była niewyczerpaną.

Ani Włodka, ani powszechne uwielbienie dla tej wychowanki staruszce nie wydawało się dostatecznem.

— Ty jej jeszcze nie znasz, — przerwała Włodkowi — nie wiesz nic... Przyjdź do mnie którego wieczora, a ja ci historję tego anioła, zesłanego nam na pociechę, opowiem. Zrozumiesz wtedy, iż ona nie może być skazaną na lada jaki byt skromny, bo ją Bóg do wielkich chowa przeznaczeń. Pójdzie wysoko i świat cały z uwielbieniem patrzeć na nią będzie!

Włodek ciekawy następnego dnia stawił się do pokoiku Moszyńskiej wieczorem, a ona mu natychmiast historję wychowanki swej opowiadać zaczęła.

— Ja przy niej jestem od małego dziecka — mówiła. — Słyszałam pierwsze jej bełkotanie, patrzyłam na rosnącą, najlepiej też wiem o tem, że dziecko to było cudowne, tak jak dziś jest cudowną, anielską dzieweczką. W tym wieku, gdy inne dzieci nic jeszcze nie rozumieją, ona pojmowała wszystko, odgadywała; duszyczka jej podnosiła się już ku niebu i z niego czerpała światło.

Nie ujmuję ja starszej, nieboszczce Annie, którą Bóg zabrał do Swej chwały, ale nie można ich porównać z sobą. Na Marji widocznem było szczególne Boże błogosławieństwo, i Bóg łaską Swą ją osłaniał, ratował, na co oczy moje patrzyły.

Trzy lata niespełna miała, gdy naszego pana wojewodę w Warszawie królem okrzyknięto, a my z panią wojewodziną i dziećmi musieliśmy jechać do Warszawy, gdzie, jak się zdawało, nic nam grozić nie mogło. Bezpieczeństwo było wszelkie, o Sasach ani słychu. Król miał wyruszyć Lwów oblegać — gdy nagle popłoch się wszczął wielki. Wpada do mnie i dzieci kasztelanowa, wołając: „Sasi tuż nadciągają! Musicie stąd uchodzić..."

Król miał wojsk koronnych wszystkiego sześć tysięcy przy sobie, Szwedów w pomoc nie więcej nad tysięcy półtora. Sasów augustowych liczono na dwadzieścia tysięcy zgórą, a w Warszawie nie na wszystkich wierności polegać było można. Obronić się tu i utrzymać

pewności król nie miał, odradzano mu walkę z przemagającym nieprzyjacielem.

Sasi już się w okolicy pokazywali; nie było innej rady, jak co najprędzej ustępować stąd, aby się z królem szwedzkim pode Lwowem połączyć.

Tegoż wieczora postanowiono, żeby król natychmiast wyruszył, a że na losy wojny narażać nie chciał pani naszej i dzieci, nas nazajutrz, pod strażą kilkuset jazdy, wysłać musiano napowrót do Poznania.

Całą noc wśród niepokoju i strachu pakowaliśmy się i wybierali, aby skoro dzień puścić się w drogę. Mnie się serce krajało, bo dzieci wesołe bawiły się tym ruchem, a myśmy zalewały się łzami. Niebezpieczeństwo wisiało nad głowami naszemi. Królowa i o męża, i o dzieci troskliwa, modląc się i płacząc, jechała. Trwoga w drodze się jeszcze zwiększyła, bo na gościńcach wszędzie o Sasach rozpowiadano.

Jechaliśmy, potraciwszy głowy, z pośpiechem wielkim.

Około południa trzeba było stanąć na popas w leśnej karczemce. Urwij, podaj, naprędce wszystko się robiło i nikt nic w gębę nie wziął; konie chyba nieco wytchnęły, gdy zawołano: siadać i jechać!

Mnie królowa z sobą posadziła do kolebki, a Marynię w drugiej z kołyską wieźć miała niańka, byłam więc o nią spokojną. Powozy ruszyły, odjechaliśmy dobre pół mili od karczmy, aż mnie coś tknęło... Nie widziałam kołyski ani dziecka, gdy niańka do powozu siadała, ale jużciż o niem zapomnieć nie mogła. Śmiesznie było pytać o to. Jednak niepokój mnie ogarnął — wychyliłam się i poczęłam wołać na niańkę, która z kołyską jechała.

— A co, Marynka śpi?

Ta, ramionami ruszywszy, odpowiada mi:

— Adyć to wy lepiej wiecie, bo u nas jej niema.

— Gdzie? jak? stój! Narobiłam wrzawy.

Królowa o mało nie zemdlała z trwogi. Jam wyskoczyła z powozu.

— Gdzie panienka?

— Mówili mnie, żeście wy ją zabrali, — odparła przestraszona niańka... u mnie jej nie było.

I nigdzie w powozach jej nie było! Pozostało opuszczone dziecię gdzieś w karczemce, a Sasi nadciągali za nami. Królowa zmysły traciła z rozpaczy. Rotmistrz, który oddział prowadził, — Pruski się zwał — niewiele myśląc, połowę ludzi odłączywszy, napowrót puścił się w czwał do karczemki, a my w strasznej trwodze, na gościńcu poklęknąwszy, do św. Antoniego modlić się z płaczem zaczęliśmy.

Co koń wyskoczy pobiegłszy do gospody, żołnierze zrazu całą karczmę splondrowali napróżno, dziecka znaleźć nie mogąc. Dopiero nierychło pocztowy jeden zajrzał do szopy, gdzie służba odpoczywała i pod ścianą zobaczył kołyskę, a dziecię w niej nasze drogie, rączki do góry wyciągając, przebiera niemi i przebudzone słonecznym promieniem śmieje się.

Można sobie wyobrazić radość, z jakąśmy przywiezioną kolebkę pochwycili, której ja już odtąd na krok nie odstępowałam. Cud się stał prawdziwy! W godzinę może potem Szwedzi na karczmę napadłszy, ogień pod nią podłożyli i cała do szczętu spłonęła.

Włodek, słuchając, ręce załamał. Moszyńska mówiła dalej:

— Nie koniec na tem; nad nią w całem życiu widoma była opieka Boża. Słuchaj waszmość, ja to opowiadam, na com sama patrzyła.

Po koronacji obojga królestwa wojna się rozpoczęła znowu. Rosjanie kraj zaleli, a najpierw naszą Wielkopolskę. My wówczas na zamku w Poznaniu byliśmy, skąd naprzód królowa ze starszą córką odjechała, chroniąc się na wsi, a Marynkę ze mną zostawiono niedomagającą; miałyśmy zdążyć za niemi. Mówiono, że czasu było dosyć, bo Rosjan się tak rychło tu nie spodziewano.

Tymczasem drugiego dnia po odjeździe królowej rano słyszę wołania i zamieszanie na zamku. Wpada któryś z czeladzi. Jejmościuniu, na rany Boże, uchodź-

cie co prędzej, Moskwa już wrota wyłamuje... dostaniecie się w jej ręce.

Ledwiem miała czas dziecię, chustką okrywszy, na rękę porwać, biegnąc bezprzytomna naoślep. Anim wiedziała dokąd...

Nie będę się chwaliła, żem ją ocaliła rozumem moim, bo ani wiem kto nas i którędy prowadził i jakeśmy się dostały do ogrodu... Tu mnie chłopka, stróżka zamkowa, ująwszy za rękę, naprzód w gęste wprowadziła zarośla, a niemi przez cały ogród w pole i do własnej chaty na przedmieściu. Ale i tu też nie było bezpiecznie, bo nieprzyjaciel plondrował i zbiegów szukał, sądząc, że rodzinę króla pochwyci. Musieliśmy ukryć Marynkę, aby jej nie znaleziono.

Uśmiechnęła się smutnie staruszka.

— Cóż myślicie? — dodała —jaką my najbezpieczniejszą dla królewny znaleźliśmy kryjówkę? Baba ją musiała w piecu ukryć, gdzie niebożątko spokojnie cały dzień dopóźna przesiedziało... Jam się za chłopkę przebrała i tak dopiero nocą, dostawszy furmankę, pojechaliśmy do królowej.

Cud to był niemniejszy od pierwszego, bo Rosjanie zamek dokoła osaczali, a zaślepiło ich, że nas nikt nie zobaczył. Chaty wszystkie przetrząsali, a tej, w której my byliśmy, nikt nie tknął, choć stała na skraju.

My potem z królową i dziećmi naprzód uchodziliśmy na Pomorze, a potem do Szczecina.

Kto naówczas naszej Marynki nie widział rosnącej wśród tych niebezpieczeństw, czerpiącej w nich siły, pocieszającej ojca i matkę swem szczebiotaniem, swym rozumem, obejściem się z ludźmi — ten nie uwierzy jak w niej zawczasu rozkwitło wszystko, jak cudownem była dziecięciem. Niejeden raz zdumiewała nas wszystkich, przewidując to, co się stać miało, dając najtrafniejszą radę, gdy nikt inny radzić już nie umiał. Zdawało się, że miłość dla rodziców dawała jej nadzwyczajną siłę, że Bóg zsyłał jej natchnienie. Nieraz, gdy nie wiedziano, co poczynać, dokąd się obrócić, jedno jej słówko, wyrzeczone cicho i skromnie, rozstrzygało.

Los wysilać się zdawał przeciwko panu naszemu, aby cnotę jego postawić w całym blasku. Bitwa nieszczęśliwa pod Połtawą rozstrzygnęła o losie Karola i naszym. Nie było po niej już dla nas nigdzie w Polsce niebezpieczeństwa. Rodzinę swą król musiał do Szwecji wyprawić. — Wśród tego tułactwa, utrapień, znużenia ona rosła jakby w swoim żywiole, coraz piękniejsza i nie zachmurzona niczem.

W największym ucisku, gdy królowa zalewała się łzami, ona, całując ją po rękach, pocieszała prostem słowem:

— Bóg nad nami!

Mieliśmy naówczas ich dwie, starszą Annę i ją. Nic ująć nie można było tamtej, bo i na piękności, i na rozumie, i pobożności jej nie zbywało; ale tego uroku, tego spokoju i siły w sobie, co Marynka, nie miała.

W Szwecji siostra Karolowa przyjęła nas z polecenia jego uprzejmie i gościnnie; wszystkim nam tam było dobrze, lecz od samego początku wyróżniła zaraz królewnę Marję i polubiła ją szczególniej, chociaż, nie będąc katoliczką, jej pobożności i obyczajów z niej wypływających ocenić nie mogła. Szwedzki też dwór, wszystek luterańskiego wyznania, szanował w niej odwagę, z jaką się otwarcie katoliczką okazywała.

W czasie pobytu w Sztokholmie dowiedzieliśmy się, iż relikwje świętej Brygidy, o której powiadano, że była szwedzką księżniczką, a mianowicie głowa jej miała się bez należytego poszanowania znajdować w posiadaniu prywatnego człowieka, który ją jako ciekawą okazywał pamiątkę. Nie miała Marynka spokoju póty, aż u matki wyjednała pozwolenie, aby ze mną razem udać się mogła do posiadacza kości świętej, którą, jak mówiła, choćby kosztem swoich wszystkich klejnotów nabyć pragnęła.

A że nie czyniono jej nadziei, aby luteranin chciał nawet pozwolić widzenia relikwij, uprosiła biskupa ich wyznania, aby towarzyszyć jej był łaskaw. Taka była jej moc nad ludźmi, że biskup odmówić nie śmiał, czemu się wszyscy wydziwić nie mogli. Jechaliśmy tedy:

królewna, ja i ów biskup, z małym pocztem dworzan do wskazanego nam Szweda, który zrazu ani nas przyjąć, ani chciał cokolwiek okazać.

Biskup dopiero wyjednał, że drzwi otworzono, a z nim wchodząca królewna tak ujęła samym widokiem swym tego człowieka, iż wyraził tylko szydersko podziwienie swoje, że ktoś mógł dla zobaczenia ludzkich kości tyle podejmować trudu.

— Taka to trupia głowa jako inne, — dodał — nic w niej niema osobliwego.

— Jeżeli tak sądzicie, — odparła Marja — a nie ma ona dla was żadnej wartości, to, proszę was najpokorniej, uczyńcie z niej dla mnie ofiarę. Będę wam najwdzięczniejszą. Gotowam nawet cenę za nią, jaką zechcecie, zapłacić...

Luter się oparł, mrucząc, że bałwochwalstwa i zabobonów szerzyć i z nich korzystać nie godziło mu się.

Naówczas Marja zwróciła się do biskupa, prosząc, aby on wstawił się za nią.

— Nie mogę tego uczynić, — odparł — nie godzi się, aby ta pamiątka od nas wychodziła — rzekł biskup.

— Ale ona była katoliczką — dodała Marja.

— A razem bardzo poszanowania godną niewiastą — dołożył biskup.

— Macie zapewne słuszność, — przerwała królewna — kości te, pozostając w Szwecji, poświadczać będą, że za jej czasów całe to królestwo katolickiem było.

Zamilkł biskup, lecz widzieliśmy, że to na nim uczyniło wrażenie. Właściciel tymczasem zmiękczony otworzył prostą schówkę w ścianie, w której głowa i inne szczątki złożone były. Sam biskup maleńki złomek relikwij oddzieliwszy, ofiarował go królewnie, ale na tem się nie skończyło, gdyż potajemnie potem nabyła głowę, która jej nigdy nie opuszcza i którą ona nazywa swą „ukochaną pieszczotką".

W Szwecji zaledwieśmy odpoczęli, już nas i stąd wygnano. Król Stanisław otrzymał księstwo Dwu Mostów, i my tam z nim razem przenieść się musieliśmy.

Tyleśmy na pobycie zyskali, iż Ulryka Eleonora pokochała wielce całą rodzinę, a szczególniej Marynkę naszą, i później nam u Francuzów wielką była pomocą.

W tych Mostach, Panie Boże zmiłuj się, wcale nas niegościnnie przyjęto, bo Niemcy o nie zazdrośni byli i o to, co z nich mostowego do kieszeni chowali. Na każdym tu kroku kwasy nas i przeszkody spotykały. Oprócz tego spiski na króla, niebezpieczeństwa otaczały nas zewsząd, a naostatek i śmierć starszej Anusi dopełniła miary utrapień.

Co chwila przyjaciele przychodzili z przestrogami, którym król wierzyć nie chciał. Cyrulik był przekupiony, aby mu gardło poderznął, przywieziono tytoń zatruty, a naostatku w dzień Wniebowzięcia, gdyśmy na nabożeństwo do Graventhal jechać mieli, zasadziło się kilkunastu saskich zbójców na życie króla.

Szczęściem tym razem, jak zwykle, zawczasu o tem dano znać królowi. Wiary dawać nie chciał, ale dowody były tak przekonywające, że wkońcu zgodził się na to, aby środki bezpieczeństwa przedsiębrać.

Sasi mieli się zasadzić w lasku nad drogą. W projekcie jazdy nic nie zmieniono, tylko do kolebki jednej siadłam ja z królową i dwiema pannami, a do drugiej, w której miał się król znajdować, posadzono oficerów kilku z bronią nabitą. Król sam, z Poniatowskim i garstką swojej straży, zajął takie stanowisko, aby na gorącym uczynku pochwycić łotrów.

Myśmy nie wiedziały o niczem i w najweselszych humorach, żartując, śmiejąc się, pośpieszałyśmy do Graventhal, gdy tętent dał się słyszeć, powóz ujrzałyśmy otoczony przez zbrojnych ludzi, ale ci, zobaczywszy, że w nim kobiety same siedziały, odskoczyli, rozkazując jechać dalej.

Zaledwieśmy kilka kroków się oddaliły, gdy wystrzały słyszeć się dały. Królewna stanąć kazała i powyskakiwałyśmy z powozu.

Wtem, gdyśmy, przerażone, przypatrywały się, jak napastnicy z pistoletów kilkanaście razy ognia dali do karety królewskiej, a królewna biec chciała, sądząc,

że ojciec mógł być w niebezpieczeństwie — z zarośli wypadł Poniatowski z kilkunastu naszymi gwardjakami, którzy, dokoła objąwszy zbójów, chwytali ich już i wiązali.

Głośna to była w świecie całym, a dla króla Augusta sromotna przygoda, z której nasz pan wielką sobie sławę wspaniałomyślności pozyskał. Na gorącym uczynku pochwyciwszy złoczyńców, którzy się przyznali, iż na życie jego godzili, miał prawo wymierzyć sobie sprawiedliwość. Zdumieli się wszyscy, gdy, uniósłszy się wspaniałomyślnością, pomimo namów Poniatowskiego i nalegań Tarły, nie tylko że pochwyconych uwolnił, ale im jeszcze pieniądze dał na drogę.

— A! pani moja — przerwał, unosząc się, Włodek — cóż za dziw, że królewna jest tak świętą dzieweczką, gdy ją taki wychował ojciec!

— Słowa niemasz — potwierdziła Moszyńska.

Zaczęła się tedy rozmowa o Francuzach i o ich kraju.

— Ja z mojem państwem dzieląc losy, — odezwała się staruszka — oddawna ciągle z miejsca na miejsce się przenosząc, napatrzyłam się niemało świata i ludzi, a Francuzów mi zrozumieć trudno. Wiele w nich dobrego, a razem z tem dziecinnego wiele, lekkomyślni są nad miarę i próżni, a wszystko u nich na słowach.

Przyjęli nas tu takiemi komplementami, żeśmy się złotych gór spodziewać mogli. Cóż, kiedy teraz król doprosić się nawet najmniejszego posiłku nie może, a w Paryżu zabawiają się i hojnie sypią wszystkiem, choć kraj zubożały i nędzny.

Król dzieciak jeszcze trzynastoletni, więc regent stryj rządzi, a z nim cała gromada pań i panów, dołki pod sobą kopiących nieustannie.

Gdyśmy się do Francji schronili, a król August nalegał, aby nie przyjmowano pana naszego, regent na list nasz odpisał: „Cnoty waszej królewskiej mości, więcej jeszcze niż nieszczęśliwy los, pozyskały dla niego serce mego synowca. Polecił mi on uwiadomić was, że nie protekcję, ale przyjaźń swa mu ofiaruje. A że wasza

królewska mość znajduje się w sąsiedztwie Alzacji, możesz więc w niej sobie obrać rezydencję, gdzie mu się będzie podobało".

Bardzo to ładnie brzmiało, ale w tej Alzacji nie było gdzie się schronić, oprócz w Wissenburgu. Strassburga król nie życzył sobie, boby tam do występowania świetniejszego był zmuszony, a nie starczyło na nie. Podszeptywano też cichy kątek tutaj, a król, ze zwykłą skromnością, chętnie się nim ograniczył.

Mieszkańcy przyjęli nas bardzo serdecznie; wiedziano z rozgłosu o dobroczynności Leszczyńskiego. Chciano, dla okazania czci, przysłać gwardję, której nie przyjął, bez niej się czując bezpiecznym.

Przybyliśmy tu w styczniu (1720) — ciągnęła dalej Moszyńska — i oto już rok prawie przesiedzieliśmy; ale z tych pięknych słów, któremi nas z początku karmiono, owoców nie doczekaliśmy się. Zapomniano o nas, tak że często król, z największą przykrością, przypominać się musi nadaremnie.

Pomimo to widzisz wmość, że u nas swobodnie, wesoło, jakgdyby nie zbywało na niczem. Król i królewna tem, co mają, dzielą się chętnie z ubogimi. Najmilsza to dla nich zabawa po chatach zaglądać, chorych szukać, nędzę wspierać, w smutku pocieszać. Samam to na uszy moje słyszała, — śmiejąc się, dodała Moszyńska — jak parę tygodni temu stara żebraczka, którą Marynka ciepłą odzieżą opatrzyła, ręce podniósłszy do góry, zawołała:

— Niech Bóg miłosierny z królewny uczyni cię królową naszą, boś godna tego!

Raz rozgadawszy się, Moszyńska, z niewyczerpanego zasobu wspomnień swych czerpiąc, nie mogła skończyć, a Włodek nienasycony słuchał chciwie.

Chociaż król na ówczesne swe położenie służbę miał dostateczną i nowymi się przybyszami obarczać nie mógł, na usilne prośby Włodka, za którym wstawiła się przez Moszyńską nakłoniona królewna, zgodził się przy sobie go zatrzymać. Nie naznaczono mu żadnej funkcji stałej, próbując do usług różnych, a mianowicie do kan-

celarji, gdyż pisał wcale ładnie, a król właśnie nad swą biblją wierszem polskim pracował.

Raz w to życie tutejsze wcieliwszy się i stawszy potrzebnym, Włodek, skromny, akomodujący się, pojętny, wszystkim się umiał podobać. Posługiwał się nim Borowski, używano go jako posła do Strassburga, gdy stamtąd wiadomości potrzebowano, królewna kazała mu towarzyszyć sobie z Moszyńską, gdy chodziła do chorych i ubogich. Przejeżdżał konie, dozorował nad czeladzią, a gdy przybywali goście, zabawiał ich czasami, zanim król wyszedł...

Na gościach bowiem nie zbywało, chociaż król nie zapraszał nikogo. Sprowadzała tu ich ciekawość, pociągała uprzejmość. Jedni widzieli króla filozofa, drudzy rycerza i towarzysza Karola XII, inni nieszczęściami wsławionego człowieka, który korony nie pragnął i po niej nie bolał.

Naostatek duchowieństwo czciło w nim gorliwego katolika, który nie tylko modlił się, rodzinę w wierze ojców wychowywał, gdy ona wszędzie słabła — ale dawał rzadki przykład zastosowania życia do wiary.

Lecz tak samo jak przeciwności nie zdołały ugiąć Leszczyńskiego, tak pochlebstwa i kadzidła nie upajały go wcale. Z zimną grzecznością przyjmował dworowanie Voltaire'a. Pobłażający dla drugich, surowy dla siebie, szedł drogą, z której go nic sprowadzić nie mogło. Skromne naówczas widoki jego i rodziny nie sięgały wyżej, nad odzyskanie majętności i spokojny gdzieś kątek, w którymby korona i przeszłość mu nie ciążyły.

III.

Przybycie Włodka nie dało się w początkach uczuć wcale na wissenburskim dworze, gdyż chłopak zręczny, aby go nie wypędzono z tego raju, czynił się jak najmniej widocznym, maleńkim, nieznacznym, chował się w mysią dziurkę, a wszystkim rad się wysługiwał.

Mając własny swój grosza zapasik i miasteczko pod bokiem, gotów był nawet nie dojeść, aby nikogo nie objadać, a pokryjomu potem posilić się gdzie w garkuchni.

W istocie wszystko się dla niego składało szczęśliwie. Królewna Marja zajęła się nim, jako synem starego sługi Włodka, którego pamiętała, że ją na rękach nosił; potem król Stanisław, nie spodziewający się w nim niczego więcej znaleźć nad dobrego a nieokrzesanego chłopaka, niewiele albo nic nie umiejącego — zdumiał się temu, co w nim znalazł przyswojonego pracą własną. Praktyczność jego w życiu powszedniem, umysł pojętny, takt w obchodzeniu się z ludźmi wielce mu się podobały.

Starzy słudzy, Borowski i inni, wprawdzie wiernie i troskliwie około niego chodzili, ale ludzie to byli powolni, znużeni, a sami niczego nie umiejący się domyśleć. Włodek, który, nim się puścił na wedrówkę za królem, sam wprzódy wychował się z pomocą Bożą i jadał chleb nie z jednego pieca, był na dworze Sapiehów, potem przy młodym Jabłonowskim i kilku innych możnych; napatrzył się więc, nasłuchał i umiał z tego korzystać. Pracowity, pojętny, wyuczył się po francusku, szwargotał nieźle po niemiecku, łaciny umiał poddostatkiem na codzienny użytek; ocierając się o ludzi, nabrał doświadczenia, a Bóg mu dał do tego szczególny dar przenikania łatwego natury tych ludzi, do których się zbliżał. Słowem, był to człowiek wcale niepospolity. Leszczyński naprzód zdziwił się mocno, poznając go lepiej, potem ocenił wysoko. Spróbował zużytkować go, posyłając z ustnemi poleceniami do kardynała de Rohan, potem do jednego z książąt niemieckich, z którym potrzebował się porozumieć. Włodek ze wszystkich tych prób wyszedł zwycięsko i co więcej, sprawiwszy się dobrze, nie chwalił się, a potem nie narzucał i siedział w kącie.

Król, po niejakim czasie, w kółku rodzinnem musiał przyznać, iż rad był bardzo z tego nabytku. Ucieszyła się tem królewna, która go protegowała.

— Osobliwsza rzecz, — dodał Leszczyński, mówiąc o nim — ma ten spryt polski, nasz, który się często w prostych nawet ludziach spotyka — odgaduje więcej, niż umie.

Na dworze króla mógł fawor, okazywany młodemu przybyszowi, obudzić zazdrość, ale Włodek rozbrajał pokorą, a nie nabijał się do niczego — robił tylko to, co mu zlecono. Tymczasowo zaś nie miał żadnych stałych zajęć na dworze, nikogo więc nie pozbawił miejsca, a chętnie wyręczał to jednego, to drugiego.

Do tego oględnego postępowania pobudki miał rozmaite: naprzód przywiązanie do króla, odziedziczone po ojcu; potem trochę ambicji, aby na świecie być czemś użytecznem, a nie prostym służką; naostatek temperament taki, który go popychał do pracy, do krzątania się i kształcenia zarazem. Sama powierzchowność już go od innych dworzan wyróżniała; miał w sobie coś szlachetniejszego, pewną powagę młodzieńczą, nieco sztywną, ale niemal arystokratyczną; nakoniec w obejściu się z ludźmi, choć dumą nie raził, poufałości zbytniej nie dopuszczał. Czuć w nim było starą krew szlachecką.

Oprócz króla i królewny, która się nim posługiwała chętnie, stara łowczyna Moszyńska polubiła go jak syna, a on ją jak matkę pokochał. Nie było dnia, żeby u niej nie przesiedział godzin parę.

Prawie w tym samym czasie, gdy on na komandorję przywędrował, król znalazł się w bardzo trudnem położeniu z powodu, że mu na pewno przyrzeczonych subsydjów nie przysłano. Nalegać o nie było nadzwyczaj upokarzającem, dostojeństwu króla uwłaczającem; używać pośrednictwa obcych, jak kardynała Rohan lub marszałka de Villars, nie mógł król, chyba w ostateczności. Brakło mu tych stosunków poufalszych w sferach niższych na dworze regenta, potem u kardynała Fleury i ks. Bourbon, przez które robiło się wszystko najłatwiej.

Gdy książę Bourbon otrzymał ministerjum a pani de Prie i Parisowie rządzić się zaczęli, przez nich przy

młodym królu wszystko można było wyjednać, ale kogoś tam mieć było potrzeba. Król to czuł i wiedział, a poradzić na-to nie umiał.

Moszyńska wzdychała i bolała.

— Ba! — odezwał się młody chłopak, słuchając jej użalań — gdybym się nie obawiał wydać zarozumiałym, prosiłbym, aby mnie wysłano choć spróbować, czy ja się tam nie zaznajomię, nie zaprzyjaźnię i nie zawiążę jakich stosunków. Prawda, że Paryża nie znam, ale codzień tu o nim słuchając opowiadających, mam jakie takie wyobrażenie o tej jaskini łotrów. Należałoby choć tentować coś zrobić, tym samym sposobem co inni. Małemi podarkami zyskuje się przyjaciół. Król napisze piękny list do kardynała, kardynał mu równie pięknie odpowie i... na tem koniec, a pieniędzy jak nie było, tak niema. Gdyby się zbliska poznało tych, co sznurki worka trzymają, gdyby się im pokłoniło, a ujęło sobie małych...

— Ale jak król ma do nich trafić? — zapytała Moszyńska.

— Nie król, ale mógłby się o to postarać sługa królewski — rzekł, kręcąc wąsa, Włodek. — W wielkiem mieście mnóstwo jest sposobności trafienia do kogo potrzeba. Wiele tam w Paryżu tej młodzieży, która u nas bywała i bywa. Przez jednego takiego panicza można trafić do innych.

Potarł głowę niecierpliwie Włodek.

— Gdyby mnie król puścił tylko na zwiady — odezwał się ciszej. — Pieniędzy ja nie potrzebuję. Pojechałbym do Paryża, bo mam tam i własne interesa (kłamał), posiedziałbym parę tygodni, a chyba Bóg niełaskaw, żebym się gdzieś nie wcisnął. Tam wszystko na intrygach, a my nawet o nich nie wiemy i omackiem chcemy na szczęście natrafić.

Włodek, myśl rzuciwszy, tak chodził około tej sprawy, którą sobie głowę nabił, że w tydzień dano mu pozwolenie jechania do Paryża, ale król nic mu nie polecił. Odprawując go, odezwał się tylko:

— Gdybyś tam miał jaki sposób, to przypomnij, że mi wypłata przyrzeczona od pół roku zalega...

Włodek wyruszył nazajutrz; nie było go blisko miesiąc i znać o sobie nie dawał, ale tymczasem pieniądze dla króla nadeszły z Paryża, a Leszczyński z sumy, jaką otrzymał, mógł się łatwo dorozumieć, komu był winien staranie o to, przed jednym bowiem Włodkiem tylko się wygadał. Włodek wkrótce potem powrócił, nie chwaląc się niczem, wyświeżony, wyelegantowany paryżanin. Ubrany był wedle ostatniej mody, na czem się w Wissenburgu nie poznano. Przed Moszyńską się tylko przyznał, że potrafił zabrać dobrą znajomość z ulubionym sługą biskupa Fleury, Barjac'em, który mu wyprawę subsydjów dla króla przyśpieszył. Było to pierwsze wystąpienie Włodka w Paryżu, gdzie umiał zawiązać stosunki, nie przyznał się tylko do tego, że po babce i ojcu odziedziczone klejnociki padły ofiarą...

— Ten chłopak — mówił król później — ma osobliwe szczęście do ludzi, chociaż mu i na zręczności nie zbywa.

Badany o to, co w Paryżu porabiał, odpowiadał skromnie, że o takich fraszkach mówić nie warto.

Wszystkiemi temi przysługami a skromną powierzchownością Włodek sobie coraz więcej serc jednał i wkrótce o pozbyciu się go ani mowy już nie było.

Liczba osób, które przybywały do Wissenburga dla okazania królowi Stanisławowi należnej czci i poszanowania, w początkach nie tak wielka, z każdym dniem potem wzrastała. Kardynał de Rohan dał przykład z siebie duchowieństwu; marszałek de Villars wojskowym i magistraturze; hrabia d'Argenson, kawaler Vanichon pociągnęli za sobą możnych panów i szlachtę.

Czasem zabawiano się muzyką, którą stary król lubił bardzo, niekiedy malarstwem, literaturą, bieżącemi sprawami wieku, czytaniem ukazujących się nowości, a potrosze polityką europejską, chociaż król

zarzekał się, że czynnego w niej udziału mieć sobie nie życzy.

Młodzież francuska biegła, zwabiona tu urokiem królewny Marji, słynącej nie tyle z wdzięków, chociaż i temi mogła serca podbijać, ile zaletami umysłu i serca. Król głośno się z tem wielekroć odzywał, że dla córki świetnego losu szukać nie myśli, byle jej szczęście zapewnić. Połączenie się z domem, którego członkowie nosili tytuł królewski, chodzące wieści o dawnej zamożności Leszczyńskich domu, która mogła im być przywróconą — ciągnęły wyżej położonych do Wissenburga. Najstarszych rodzin potomkowie zbiegali się tu, zwabieni sławą pięknej, młodej królewny, i dworowali jej ojcu. Król wszystkich mile przyjmował, a rad im był, aby Marja miała w czem wybierać.

Wśród tej młodzieży szczególniej się odznaczał królowi i królewnie miły, ujmującej powierzchowności, najświetniejszego wychowania, dziecię znakomitego domu, hrabia d'Estrées, który w wojsku rozpoczął karjerę.

Miał za sobą wszystko, co ująć mogło, a zarzucić mu nic nie było można. Młody, piękny, bogaty, spokrewniony z najpierwszemi domami, utalentowany wedle wymagań wieku, charakteru rycerskiego, zajmował już w wojsku stopień dosyć wysoki, a miał daleko świetniejsze przed sobą nadzieje. Nic więc dziwnego, iż mu się głowa zawróciła, gdy poznał królewnę Marję.

Nie chciał jednak, występując jawnie jako starający się o nią, narazić się na bolesną odprawę. Nie oświadczając się z sentymentami swemi, dawał je poznać tylko nadskakiwaniem i bardzo częstemi odwiedzinami.

Król przyjmował go bardzo dobrze, nie zrażał wcale; królewna była dla niego uprzejmą, zabawiała się i rozmawiała z nim chętnie, chociaż widocznem było, że w niej czulszego nie obudził uczucia. Była mu przyjazną, szanowała go, ale nic nad to...

D'Estrées, który był rozkochany, pragnął pozyskać serce, lecz zalotność jego francuska z polską prostotą, otwartością, wesołością naiwną zrozumieć się jakoś nie mogła. Stosunki więc jego z Leszczyńskimi pozostały w tem zawieszeniu, z którego nie umiał d'Estrées ich wyprowadzić. Cofać się nie chciał, stanowczego kroku uczynić nie mógł... i tak się to ciągnęło. Włodek wkrótce po przybyciu do komandorji dostrzegł, że kawaler zabiegał około królewny, a że, zdaniem jego, Marja godna była tronu i najświetniejszego losu— oburzyła go zuchwałość młodego oficera. Nie mógł wkońcu wytrzymać i zwierzył się Moszyńskiej.

— Pani łowczyno dobrodziejko, — odezwał się — czyście państwo ślepi? A toż to ten młokos Francuzik, hrabiątko to jakieś, tak mi się kreci około naszej królewny, jakby sobie ukartował do ręki jej sięgnąć! Król jegomość na to zimno patrzy, drudzy też jakby nie widzieli, czy nie zważali, królewna aż nadto grzeczna; gotowo mu się w głowie zawrócić. A cóż to z tego ma być?

Stara ochmistrzyni ruszyła ramionami.

— Wszystko to nie jest sekretem dla nas. Ja widzę oddawna, że się coś święci, ale w Bogu nadzieja, że się rozchwieje. Cóż my mamy mówić na to, kiedy nasza Maruchna, choć go nie kocha, dosyć go lubi i powiada, że nawet gotowaby mu oddać rękę, gdyby to rodzicom i nam wszystkim zapewnić mogło byt lepszy. Król zaś oświadcza, że, jeśli ona sobie kawalera d'Estrées życzyć będzie, on gotów zezwolić. Młodzik widać to rozumie, więc dosiaduje i może sobie roić, że poślubi królewnę.

Włodek oburzony ani chciał słuchać.

— Naprzód, — odezwał się gorąco — pani łowczyno dobrodziejko, co polski szlachcic, potomek wojewodów, to nie taki hrabicz francuski. U nas przecie każdy królem zostać może. Powtóre ona jest królewną, a on...

Moszyńska w skrytości podzielała to zdanie, ale się nie wygadywała.

— Nasz najjaśniejszy pan wcale sobie tej korony

męczeńskiej nie ceni — to bieda. Sama słyszałam, jak z królową o tym d'Estrées rozmawiał, i że przyjąłby go za zięcia, gdyby mu choć tytuł duka i para Francji nadano.

Poruszyła ramionami.

— On może o tem wie i pewnie o tytuły starać się będzie; ale — dodała ciszej z rezygnacją pobożną stara piastunka — zobaczysz, Pan Bóg inaczej zarządzi i nie może to być, aby ona takiemu młodzikowi przeznaczoną być miała.

W istocie, choć hrabia d'Estrées rozkochany był do szaleństwa i mocno pragnął wyjść z niepewności, w jakiej dotąd zostawał, choć powziął nadzieję i wiedział, czego mu brakło, aby mógł się posunąć otwarcie i królowi oświadczyć — nie sprzyjały mu okoliczności na dworze regenta. Potrzeba było czekać.

Stosunki jednak się nie zrywały i miłość nie stygła. D'Estrées zawsze jeszcze dojeżdżał do Wissenburga, a królewna okazywała mu przyjaźń tak serdeczną, że on szczególniej w ocenieniu jej mógł się mylić.

Królewna miała naturę i obyczaj polskiej dzieweczki. Uprzejma dla wszystkich, pełna współczucia i ufności w każdym okazującym jej sympatję, nie miała zalotności Francuzek, ani ich fantazji; ale dłuższe obcowanie nadawało stosunkom z nią takie piętno, iż Francuz tę przyjaźń siostry mógł wziąć za przywiązanie wyjątkowe, za miłość. To, co jej po polsku uchodziło, jako niewinna poufałość duszy czystej, we Francji miało wcale inne znaczenie. D'Estrées więc kochał się z nadzieją wzajemności, a gdy go królewna nie rozumiała otwarciej się oświadczającego, przypisywał to rachubie.

Pobyt Leszczyńskich w Alzacji zmienił o tyle ich stosunki z otaczającym światem, że, gdy inni zwykle tracą na bliższem poznaniu, oni z każdym dniem zaskarbiali sobie większą miłość w coraz szerszych kołach.

Kardynał Rohan głosił się ich przyjacielem, obojga cnoty pod niebiosy wynosząc; wtórowali mu ludzie takiego znaczenia i powagi, jak marszałek Villars, d'Argenson i wielu innych. Złośliwość, która zawsze i wszę-

dzie znajduje coś do podchwycenia, tu milkła, uznając się bezsilną.

Gdy d'Estrées, o którym wiedziano, że się kochał w królewnie i dla posunięcia się do niej potrzebował tytułu duka i para Francji, przybył starać się o nie u regenta, znalazł go już dosyć dobrze uwiadomionym o rodzinie Leszczyńskich i o jedynej córce króla. Zdaje się, że wydanie za kogoś Marji wchodziło w jakieś kombinacje jego. Pomimo znaczenia i wpływu rodziny d'Estrées, zbyto go jednak niczem, kazano czekać. Regent tylko skorzystał z bytności jego, rozpytując się o królewnę. O tych staraniach p. d'Estrées nie wiedziano wcale w Wissenburgu, co najwięcej domyślać się mógł król, że d'Estrées, dla zbliżenia się do jego rodziny, stara się o jakieś tytuły albo umieszczenie. Nie dopytywano o to powracającego, ale Marja wesoło dowiadywała się o ten Paryż, którego zarówno była ciekawa, jak wieściami o nim przestraszoną.

D'Estrées dowiedział się, co tu nikomu tajnem nie było, że dwu książąt niemieckich ubiegało się o rękę królewny.

Oba te widoki małżeństw, w teraźniejszem położeniu Leszczyńskiego, nazwać się mogły świetnemi, ale Marja je odrzuciła. Ojciec nie namawiał wcale, matka tylko chciała ją skłonić do zabezpieczenia temi związkami przyszłości.

— Nacóż ty czekasz, dziecię moje? — mówiła do niej z niepokojem. — Śpiesz korzystać z tej sposobności, bo wątpię bardzo, aby się ona mogła ponowić.

— Kochana matko, — odpowiedziała królewna — jak możesz sądzić, że szczęście dla mnie zapewni oddalenie się od was? Nie lękaj się, proszę, bym później nie żałowała tego, com straciła; zawsze mi będzie milej podzielać waszą dolę, niż zdala gdzieś używać szczęścia, któregobyście wy nie podzielali.

Stary król, do którego się odwoływała królowa, wziął stronę córki.

— Szczęście narzucone nie może być szczęściem— odezwał się. — Mamy ją jedną, nie miejmy sobie do

wyrzucenia, żeśmy ją poświęcili rachubom jakimś, których ona nie rozumie.

Uległa naturalnie królowa, ale miała żal w sercu do córki, widząc, na co rodzina wystawioną była na łasce obcych. Ile razy potem z westchnieniem przypominała jej to matka, rzucała się jej na szyję i zamykała usta, dowodząc, że Bóg ich opuścić nie może.

Zarzucono więc wszelkie plany i układy, wszystko pozostało w zawieszeniu.

Włodek tymczasem coraz częściej wymykał się do Paryża, coraz się więcej wtajemniczając w tamtejsze intrygi i zabiegi, jakie młodego króla otaczały.

W chwili prawie, gdy d'Estrées poczynał na nowo dobijać się tytułu duka, nagła śmierć regenta wszystkich tych pozasnuwanych sieci pozrywała wątki.

Pozostawał u steru król, właśnie dochodzący do pełnoletności, pod wpływem wszechmocnym napozór bardzo skromnego, cichego, nie mieszającego się jeszcze do polityki czynnie, nauczyciela swego dawnego, zagadkowego biskupa Frejus, Fleury'ego.

Fleury, który dla swojego wychowańca był najczulszym, najpowolnieiszym człowiekiem, uchodził za prostodusznego i ambicji dotąd nie zdradzał. Złudziło to wszystkich, gdy w pierwszej chwili całkiem się obojętnie zachował przy mianowaniu ks. Bourbon pierwszym ministrem.

Ten z obawy, aby go ks. Orleanu nie uprzedził, narzucił się nagle królowi, a Ludwik XV, milcząco spojrzawszy tylko na biskupa, który wcale się do tego nie mieszał, ani dał poznać, aby go to obchodziło — ruchem głowy dał znak, że przyzwala.

Młodziuchny ów król, równie jak nauczyciel, był zagadką dla ludzi, nawet tych, co go zbliska widywali. Idealnie piękny, zręczny, pobożny, bojaźliwy, łagodny, w najwyższym stopniu nieśmiały był z ludźmi i zamknięty sam w sobie. Oszczędny w słowa, kryjący się z wrażeniami, naówczas już, zaledwie wychodząc z dzieciństwa, nosił na sobie to piętno znużenia i znudzenia, które później stanowiło główny rys jego cha-

rakteru. Nieśmiałość jego można było czasem wziąć za dumę — milczenie za chęć ukrycia się z temperamentem namiętnym, z którym zdradzić się obawiał. Wiele w nim było krwi i tradycji Ludwika XIV. w zamiłowaniu przepychu, elegancji, etykiety; ale zarazem znużenie protestowało przeciwko więzom, które wkładały nań obrzędowe formy dworu.

Fleury wychowywał go z powolnością i łagodnością niestrudzoną, starając się mu jak najmniej ciężyć, aby, doszedłszy do lat, nie zapragnął od niego się wyzwolić. Bawił go, ślepym był, gdy wymagały okoliczności, nie dając mu nigdy uczuć swej władzy. Wyręczał go tylko i rozrywał.

Potęga Richelieu'go i Mazarini'ego prawdopodobnie już mu się uśmiechała, ale szedł do niej drogami charakterowi swemu właściwemi. Utrzymywano, że Fleury, sam wychowaniec kobiet, zręczność ich i giętkość przejął w postępowaniu. Zyskał też sobie serce wychowańca i zaufanie.

Przez cały czas regencji biskup ograniczał się na skromnej roli ochmistrza, dozorcy, nieodstępnego towarzysza. Po zgonie Orleana nie zmienił się nagle, a choć może przewidywał, że Bourbon pozbyć się go zechce, nie wystąpił nieprzyjaźnie przeciw niemu.

Książę de Bourbon, który, korzystając z chwili wahania się innych książąt krwi, narzucił się zuchwale królowi z porady swoich przyjaciół, był człowiekiem młodym, chciwym władzy, spragnionym życia. Namiętny a pozbawiony wyższych zdolności, któreby mu na wyznaczonem stanowisku dozwalały się utrzymać, pozbawiony i jasnego pojęcia położenia, i woli energicznej, narzędziem był w rękach markizy de Prie.

Śliczna ta pani, córka finansisty Berthelota de Pleneuf, dwudziestokilkoletnia mężateczka, dowcipna, pełna wdzięku, roztrzepana, zuchwała, namiętna, wychowanka regencji, miała powierzchowność i obejście się najlepszego towarzystwa, ale razem jego zepsucie. Płocha zalotnicę otaczał liczny orszak wesołej młodzieży, spekulantów, intrygantów, z pomocą których ks. Bour-

bon, wzięty w opiekę, kroku bez jej wiedzy uczynić nie mógł.

Ale sądził się zupełnie swobodnym, chociaż w jej ręku był igraszką umiejętnie wyzyskiwaną.

Naprzeciwko tego obozu, którego naczelnym wodzem był ks. Bourbon, stał znienawidzony przez niego współzawodnik, najbliższy króla powinowaty, a, w razie jego bezdzietności, domniemany spadkobierca, ks. Orleanu, pobożny aż do fanatyzmu, zdolności niewielkich, słabej woli.

Bourbon i on wzajemnie się nienawidzili i znali jako nieprzyjaciele. Po śmierci regenta Orlean miał prawo żądać i otrzymać to stanowisko u boku króla, o które zgłosiwszy się w porę Bourbon, zdobył je szczęśliwie.

Zwycięstwo to, łatwo odniesione, wbiło go w pychę, a obojętność Fleury'ego przywodziła do wniosku, że biskup był słabym i obawiać się jego przewagi nad umysłem wychowańca nie potrzebowano.

Ludwik XV zaręczony był z córką króla hiszpańskiego Filipa, a małżeństwo to tak, zdawało się pewnem, jakgdyby już się spełniło. Pięcioletnia infantka wychowywała się w Paryżu; wszyscy Francuzi widzieli w niej już przyszłą królową, przywiązali się do niej, cieszyli jej wdziękiem. Piękna dziecina była paryżan ulubienicą.

Zerwanie tak już zabezpieczonego związku zdawało się niepodobieństwem; ale na ślub, dla wieku infantki, lat jeszcze około dziesięciu czekać było potrzeba.

Nagle zachorował Ludwik XV, a któryś z Parisów odezwał się na wieczorze u pani de Pric z tem, że na wypadek śmierci króla Orlean miałby do tronu największe prawo, a Bourbon straciłby wszystko. Sama ta myśl przerażała. Nikt wprzódy przypuszczenia nawet nie czynił, aby król bezdzietnym mógł umrzeć; choroba, obawa utraty, wszystkich umysły poruszyła. Lat dziesięć oczekiwania w tej trwodze przestraszało Bourbona. Potrzeba było przyśpieszyć ożenienie, aby

potomka zapewnić. Popłoch, rzucony między intrygantami, łatwo się innym udzielił.

Potrzeba było króla ożenić niezwłocznie, a naprzód zerwać z Hiszpanją układy i uroczyste zobowiązanie się, zwrócić infantkę i narazić kraj na wojnę za obrazę, której żadne zadośćuczynienie zatrzeć nie mogło.

Trudności były wielkie, ale płocha polityka Bourbona, pani de Prie i Parisów uznała to za możebne; zuchwale przedsięwzięto przygotować umysły i rzecz przedstawić jako nieodzownie konieczną dla zabezpieczenia przyszłości Francji.

Nie powątpiewano, że młody król nie będzie przyśpieszeniu rozwiązania przeciwnym, a Fleury w początkach nie wchodził w rachubę.

Postanowiwszy ożenić Ludwika XV, musiano dla niego wyszukać narzeczoną pełnoletnią, na której dorośnięcie czekaćby nie było potrzeba, i zdawało się w początkach, że nic łatwiejszego być nie mogło nad znalezienie księżniczki godnej francuskiego tronu.

Pani de Prie, na której dworze poddostatkiem było ludzi do wszystkiego zdolnych, poleciła hrabiemu de Morville sporządzenie statystyki będących na wydaniu w Europie księżniczek. Ten stworzył całe biuro dla ściągnięcia potrzebnych wiadomości. On i hrabia de la Marck wynaleźli naprzód dziewięćdziesiąt i dziewięć do wyboru, ale z tych, wydzielając najcelniejsze, pozostawało osiemnaście, liczba zawsze znaczna. Okazało się jednak, że i w nich przebierając, większą część odrzucić było potrzeba.

W liczbie wybranych, na szarym końcu, hr. Morville, dla dokładności zapewne, położył i Marję, córkę Stanisława króla polskiego. Przy nazwisku zapisano uwagę: „Wprawdzie ma wielu krewnych i powinowatych niemajętnych, ale rodzinie nic zarzucić nie można".

W tajemnicy, pocichu, z francuską zabiegliwością, która z drobnostek umie tworzyć sprawy niezmiernej doniosłości, zaczęto się schodzić, zjeżdżać, wysyłać, naradzać, zbierać po całej Europie wszystkie plotki,

które potem usłużni przynosili, a pani de Prie doskonale się niemi bawiła...

Nie było jednej z księżniczek, którejby nie miano nic do zarzucenia. Córkę króla portugalskiego, czternastoletnią, posądzano o jakąś chorobę dziedziczną, obawiano się niechętnego usposobienia Hiszpanji, zarzucano jej powierzchowność nieujmującą; dwie córki ks. Walji, których sobie życzono, wyznawały wiarę protestancką, a do zmiany jej ciężko je było nakłonić. Toż samo odstręczało od córek króla Danji, a religja też nie dozwalała myśleć o carównie Elżbiecie, o królewnie pruskiej, o córce margrafa Albrechta. Katoliczka księżniczka lotaryńska miała przeciwko sobie ścisły stosunek domu tego z austrjackim. Za niskiego pochodzenia wydawała się księżniczka Modeny. Podobnego rodzaju zarzuty czyniono księżniczkom Sachsen-Eisenach, Meklemburg-Strelitz, Hessen-Darmstadt i t. d.

Księżniczkom krwi francuskim, pannom de Vermandois i de Sens, nic nie można było zarzucić, oprócz że pani de Prie ich nie lubiła, lub się ich obawiała. W szeregu tym na końcu samym stało i imię Marji Leszczyńskiej, więcej dla liku i aby nie pominąć nikogo, niżeli w myśli wyniesienia jej tak wysoko. Jeżeli księżniczkę Modeny uznawano za zbyt nisko urodzoną, cóż mogli powiedzieć niechętni o córce szlachcica polskiego, króla elekcyjnego, pozbawionego korony, któremu nawet tytułu „majestatu“ odmawiał Ludwik XIV?...

Hrabia de la Marck popierał lotaryńskie księżniczki, jedną z nich przeznaczając królowi, drugą księciu de Bourbon, aby ich tem zbliżyć do siebie. Pani de Prie jednak i na to zgodzić się nie chciała, bo się wpływu ich lękała.

Córki ks. Walji trudne były do pozyskania, ale intrygi, zabiegi, potajemne wyprawy posłów i stręczycieli nie ustawały. Ks. de Broglie miał sobie poleconem rozpoczęcie wstępnych układów, które zagaił portret młodego króla, przyjęty w Anglji z zachwytem.

Piękniejszego młodzieńca nie znał nikt; ale o zmianie wiary, nawet dla tego ideału, słuchać nie chciano.

Tymczasem, aby się zabezpieczyć od infantki i ożenienie uczynić koniecznem, pośpieszono potargać ostatnie węzły z rodziną i królem Filipem, do najwyższego stopnia rozdrażniono ich miłość własną. Dwór madrycki natychmiast zażądał powrotu infantki, po której cały Paryż płakał, rozkochany w miłej dziecinie, nawykły witać przechadzającą się co rano po ogrodzie Luwru.

Wszystkie lekkomyślnie poczynione kroki, dla zastąpienia narzeczonej inną księżniczką, do niczego nie doprowadziły.

Rozchwiały się one w Anglji i Rosji. Pozostały tylko mniej znane i pożądane księżniczki, o których tak mało miano wiadomości pewnych, że pani de Prie z akolitami swymi, Parisami, musiała cały pułk agentów, szpiegów, tajemnych wysłańców, pod różnemi ukrywających się maskami, rozesłać po dworach Europy. Wszystko to odbywało się niby skrycie, ale w kołach, do których ci ichmość należeli, co się podjęli małe zwiedzić stolice i rezydencje, wiele o tem rozprawiano, choć pocichu, a młodzież, czepiająca się dworu i Parisów, krzątała się, cieszyła, wyprzedzała i korzystała ze sposobności odbywania przyjemnej podróży kosztem królewskim.

Posłannictwa poufne zmieniały się w smaczne gratki, o które się dobijano.

IV.

Gabrjel Włodek, który teraz bardzo często przebywał drogę z Wissenburga do Paryża, a poznał już doskonale to życie w mętnej wodzie i ludzi, co w niem złote rybki łapali, miał już tu liczne znajomości. Niebardzo on lubił zbyt huczne wieczorki rozwiązłych dworaków, ale dla interesów króla nie mógł się od

nich uwolnić, zmuszony być dobrze ze wszystkimi, nawet z tymi, którymi pogardzał.

Towarzystwo, w którem się obracał, składało się z różnorodnych żywiołów; wszystkie wybitne prądy żywotne wieku w nich się wyrażały. Jak zawsze w przededniu wielkich walk i kataklizmów ściągały się i szeregowały elementa, które do boju występować miały.

Począwszy od jansenistów i jezuitów, przeciwko którym objawiały się już nieprzyjazne knowania, od ekonomistów, których upadek Lawa nie zniechęcił ani rozproszył, od encyklopedystów, poczynających się ściągać w jedną potężną falangę, od zagorzałych pietystów i zakonne życie najostrzejsze wiodących ludzi głębokiej wiary do ateuszów, jawnie wyznających bezbożność swoją — wszystko się ścierało, domagając się swobody lub panowania, w imię wolności sumienia, do której wszyscy chcieli mieć prawo.

Regencja, która rozkiełznała obyczaje, zarazem i dla przekonań najskrajniejszych musiała być pobłażającą. Obok więc najsurowszych, wyłaniały się na świat najcyniczniejsze. Z dawnych obyczajów pozostawały jedynie formy, z których się naśmiewano, szanując je tylko z musu. Małżeństwa były jedynie związkami interesów, imion, majątków, nie pociągając za sobą żadnych obowiązków i władza rodzicielska siłę swą w prawie czerpać musiała; rodziny rozpadały się w walce z zimną rachubą.

Na samym dworze, naprzeciwko ks. Bourbon, który jawnie dawał się rządzić pani de Prie, pozbywając się jej męża, stał książę de Chartres, modlący się codzień na klęczkach, i cały zastęp bogobojnych jego zwolenników. Wśród dworu rozpusta ogładzona, dowcipna, lekceważąca wszystko, ocierała się o najsurowszą religijność i fanatyzm. Tu zwycięstwo zapowiadało się już ludziom domagającym się swobód, a walczącym bronią dowcipu, najdzielniejszą we Francji. W imieniu światła szerzyli oni niewiarę, godzili na wywrót wszystkiego, co im zawadzało, wypowiadali za-

gładę całemu światu staremu. Młodzież upojona szalała, kobiety rozgrzewały te rzesze i niosły chorągwie.

Bawiono się bez miary i życie całe zmieniano w zabawkę, innego nie mając nad nią celu. Wszyscy dobijali się władzy, pieniędzy, znaczenia, tylko aby ich używać i nadużywać.

Włodek, zbliżając się z potrzeby do dworu, jako człowiek przebiegły i zręczny, wiedział, że najważniejsze sprawy robią się często najskuteczniej przez małych ludzi; pozawiązywał więc znajomości, które mu niebardzo smakowały, ale były niezbędne.

Nie mogąc dostać się do Parisów, do których przystęp był trudny, ani do Fleury'ego, — usiłował wcisnąć się do kółka, które wirowało około pani de Prie i ministrów. Wiedział, że biskup miał zaufanego sługę, nie ukazującego się nigdzie, a mogącego bardzo wiele, że taki drugi znajdował się przy ks. Bourbon, a przy pani de Prie cały pułk jej pochlebców i niewolników.

Piękna faworyta, po kobiecemu, nie mogła się obejść bez mnogich pomocników, towarzyszek, sług, agentów, szpiegów. Dwór jej roił się nimi. Nie było miłem obracać się w tem zbiorowisku ludzi najróżniejszego kalibru, lecz dla miłości pana Włodek musiał się przezwyciężać.

Z kilku dworakami, na kolacyjkach, które wówczas dzień każdy zamykały i były jego najrozkoszniejszą chwilą — pobratał się serdecznie. Bawił ich ten oryginalny „paysan du Danube" — jak go zwano, swemi rubasznemi konceptami, a zdumiewał rycerskiemi talentami, szermowaniem na szable, na szpady, strzelaniem z pistoletów, dosiadaniem najdzikszych koni i t. p.

W samych początkach parę kłótni i pojedynków dały go poznać z męstwa i szlachcic polski wszędzie był widzianym mile. Przynosił im coś nowego z sobą, nie był podobnym do innych. Dla siebie samego wiele z tego korzystać nie myślał, ale pragnął to na korzyść Leszczyńskich obrócić.

Nikomu jeszcze w Wissenburgu nie przyszło na

myśl nawet królewnę zamąż wydawać, gdy Włodek w Paryżu zasłyszał, że z infantką zrywano i szukano dla młodego króla księżniczki.

Pomysł swatania Marji przyjść mógł tylko tak zuchwałemu słudze jak Włodek; ale możeby i on nawet z nim wystąpić się nie ważył nigdzie, aniby odezwał się z tem, co za niemożliwe uważał, gdyby nie następny zbieg okoliczności.

Dobrze wprzódy na męskich wieczorach u pana d'Estrées, znajomego mu z Wissenburga, Włodek otarł się o niejakiego pana Lozilières. Określić, co to za jeden był ten pan de Lozilières, niezmiernie trudno. Mówiono o nim, że dawniej służył w wojsku, był potem w usługach nieokreślonego charakteru przy regencie, a naostatek komenderował go do różnych posług ks. Bourbon. Parisowie przytem używali go do jakichś tajemnych swych finansowych robót niejasnych, ale krzywili się na niego, co on im oddawał, szydząc z nich pocichu niemiłosiernie. Od nich Lozilières przeszedł na pokoje pani de Prie, zapisał się do jej dworaków i wielbicieli i umiał się stać tak potrzebnym, że mu różne powierzano misje.

Czem się właściwie zajmował, z czego żył, mówiono bardzo rozmaicie; on sam opowiadał czasem o ojcu, mieszkającym w starym zamku naddziadów, gdzieś aż pod Pirenejami położonym; na pieniądzach mu nigdy nie zbywało, do wszystkich wesołych burd należał, a pani de Prie mówiła bliższym, że ją odzierał okrutnie.

Nie lubiono go, a raczej niebardzo mu ufano. Dowcipny był, zabawny, niewyczerpany w konceptach, ale nikt mu nie wierzył, a niektórzy się go obawiali. Omijano go, nie zaczepiano chętnie, bo do szpady miał szczęście osobliwe.

Przystojny bardzo mężczyzna, Lozilières miał jednak twarz wstręt obudzającą. Krzywiły ją sarkazm i złośliwość, jakby mimowoli nazewnątrz się dobywające. Niezapraszany nigdzie, umiał się wszędzie narzucać, wcisnąć, znaleźć w porę i uczynić potrzebnym.

Gdy inni przy owych wieczorkach, do których piękne artystki z teatrów zwabiano, tracili łatwo przytomność i dwojako się upajali, on nigdy ani winu, ani żadnemu szałowi nie dał się opętać — zawsze był panem siebie.

Włodek, przybywszy raz do Paryża, powracał od Parisa-Duverney z kolacji nad ranem do domu. Lozilières'a na niej nie było. W ciasnej uliczce, obok której przechodził do swej gospody, usłyszał nagle krzyk i szczęk szpad dobrze sobie znany... Zakopcona mała latareńka, paląca się przy drzwiach starej kamienicy, dozwoliła mu dostrzec dwóch ichmościów z maskami na twarzy, którzy do muru przypartego przechodnia, dzielnie im się broniącego, gwałtownie napastowali.

Włodek nie mógł nigdy patrzeć obojętnie na taką walkę nierówną. Zakipiała w nim polska krew i rzucił się na pomoc zaskoczonemu, w chwili, gdy ten już w pierś raniony upaść miał na ziemię. Na widok tego posiłku niespodziewanego dwaj zamaskowani napastnicy uciekli, a Włodek, pochyliwszy się nad ranionym, poznał w nim Lozilières'a. Natychmiast dopomógł mu, co najpilniejszem było, krew z rany płynącą zatamować, i osłabłego potem, napół prowadząc, pół wlokąc, doprowadził do niezbyt oddalonego mieszkania.

Lozilières, przytomność odzyskawszy, którą na chwilę postradał, rzucił mu się na szyję i poprzysiągł dozgonną wdzięczność. Zwał go swym zbawcą.

Napaść, wedle jego powieści, miała być skutkiem jakiejś miłosnej intryżki, uwiedzenia dziewczęcia. Mało do tego wypadku wagi przywiązywał Włodek, a i sam Lozilières zdał mu się człowiekiem niewielkiego znaczenia i wartości. Ranny, po tym wypadku, o którym nie mówiono wiele, wyzdrowiał bardzo rychło, i Włodek znowu go potem spotykał w domu Parisów, w towarzystwie pani de Prie, a potem u ks. Bourbon.

Obok stosunków, które go w tych kołach dla króla protektorów szukać zmuszały, Włodek nie zaniedbywał i pobożnego dworu ks. de Chartres, który, choć te-

raz żadnego znaczenia nie miał, więcej mu był sympatycznym, a na przyszłość też mógł się stać pomocnym.

Tu wiedziano dobrze, co się działo w obozie przeciwnym i pocichu się naśmiewano lub oburzano. Przyjaciele Orleanów spodziewali się, że Bourbon, zbyt zuchwale sobie poczynający, wkrótce upaść musi, a Orlean zająć miejsce jego. Sprawa małżeństwa z infantką zdawała się nawet nadzieje te poczęści usprawiedliwiać. Wzięto się do niej tak niezręcznie, iż ją krokiem fałszywym nazwać było można.

Przez spowiednika Leszczyńskich, jezuitę, polecony ojcu Andrzejowi, który był przy dworze ks. Chartres, Włodek czerpał od niego wiadomości. Tu się naprzód dowiedział, że postanowiono zerwać z Hiszpanją, a infantkę odesłać, dla młodego króla zaś poszukiwać dojrzałej do małżeństwa księżniczki.

Ojciec Andrzej wiedział już nawet imiona przyszłych kandydatek, nadzieje, jakie miano z pozyskania ręki jednej z córek ks. Walji, albo księżniczki lotaryńskiej, nakoniec w najgorszym razie swatania Ludwikowi panny de Vermandois lub de Sens.

— Wszystko to nadaremne, — kończył o. André — żadna z księżniczek Walji nie zmieni wiary, rodzinaby na to nie pozwoliła, nie katoliczka zaś, choćby najpiękniejszego rodu, na tronie Francji zasiąść nie może. Książęta lotaryńscy zanadto są oddani Austrji, a w całej Europie niema ani jednej, godnej zasiąść na tronie obok Ludwika.

Włodkowi mocno się to w pamięć wbiło.

— Jakto! — mówił sobie, powracając do domu — dla Ludwika XV niema księżniczki w całej Europie? A naszaż królewna Marja? alboż dlatego, że jest ubogą, niema być tronu godną? Gdzież znajdą taką, coby się z nią porównać mogła?!

Sprawy królewskie zatrzymały go dłużej w Paryżu i ten miały skutek wiadomości od o. André otrzymane, że zwróciły baczniejszą uwagę jego na sieć tajemniczych intryg, tyczących się królewskiego ożenienia.

Powróciwszy do Wissenburga, nic o tem nie mówił

królowi. Pocóż miał próżne w nim budzić i karmić nadzieje?

Czasu niewiele upłynęło potem, gdy Włodka znowu wyprawiono po spodziewane pieniądze do Paryża.

Jednym z pierwszych, których tu spotkał, był Lozilières, ale z przybitego dosyć i pokornego niedawno dziwnie zadzierający głowę i przybierający jakieś miny zwycięskie.

Przywitał swego zbawcę, jak zwykle, bardzo serdecznie, a nazajutrz zaprosił na obiad z sobą. Już z samego przyjęcia, humoru, rozmowy widać było, że Lozilières na jakąś złotą trafił żyłę i że mu się szczęście śmiało.

Przy obiedzie pochwalił się tem, iż potrafił sobie pozyskać względy i zaufanie boskiej pani margrabiny de Prie i miał nadzieję wkrótce być użytym do sprawy bardzo ważnej, na której rachował, iż wiele zarobi.

Zarobek ten szczególniej go radował... Zachował tajemnicę sprawy przy sobie, a Włodek nie był też wcale ciekawym.

Z wieści po Paryżu obiegających dowiedział się potem, że nadzieje pokładane na księżniczkach Walji okazały się płonnemi, że lotaryńskich nie chciał Bourbon, a sióstr Bourbona pani de Prie nie dopuszczała. Ze znalezieniem księżniczki trudności były wielkie, godnej pierwszgo tronu w Europie nie umiano wynaleźć. Mowa teraz była o tem, aby po dworach pomniejszych książąt w Niemczech szukać choćby najskromniejszej, ale urodzeniem i wiekiem wymaganiom odpowiadającej panny.

Lozilières o tem mówił często i rzecz ta zdawała się go żywo obchodzić; znał wszystkie księżniczki będące na spisie. Włodek, który długo w sobie myśl swą nosił, nareszcie jednego wieczora, znalazłszy się z nim sam na sam, rzekł:

— Szukacie dla waszego króla narzeczonej i sięgacie nie wiem jak daleko, nie chcąc widzieć, co pod ręką macie. Alboż to króla polskiego córka, ten anioł dobroci, łagodności, ta święta panienka nasza, tak cu-

downie wychowana przez ojca, piękna, młodziuchna. nie więcej warta, niż wszystkie wasze niemieckie? Ojciec jej był przecież królem...

Lozilières się uśmiechnął.

— Mylisz się — odparł, papieru dobywając z kieszeni. — Wasza królewna Marja była już na pierwszym regestrze hrabiego i pozostała niewykreślona w drugim, chociaż na samym końcu. Król wasz prawda królem się nazywał i zowie, ale powiadają, że ledwie się na liście panujących może mieścić, bo jest monarchą nie z łaski Bożej, tylko z wywołania szlacheckiego.

— Jakgdyby to — odparł urażony Włodek — głos ludu nie był Bożym głosem. *Vox populi, vox Dei.* Jaki on jest, to jest, ale wart więcej niż wiele innych. A królewna... żadna z tych, które swojemu panu stręczycie, rzemyka jej rozwiązać niewarta — jak mi Bóg miły!

— O! o! toś się zapalił! — począł się śmiać Lozilières.

— Słyszałem, — ciągnął dalej Włodek — że mają na oględziny wysyłać. Jeżeli sumiennego do tego użyją człowieka, będzie musiał naszemu panu i jego córce przyznać to, czego im cały świat nie odmawia. Nasza królewna stworzoną jest do tronu, tylko że ani ona, ani ojciec jej wcale go nie żądają!

Francuz, posłuchawszy, ramionami ruszył, lecz potem rozpytywać się zaczął, a że chłopak rad mówił o królu i o królewnie, przeciągnęła się długo gawęda.

Pożegnali się, bo Gabrjel nazajutrz miał do Wissenburga powracać, niespodzianie pieniędzy dostawszy.

Z dziesięć dni już potem odpoczywał Włodek na starej komandorji, gdy mu z rana przyniesiono na zamek kartę bez podpisu, nieznanem pismem dość nieumiejętnie nabazgraną. Wzywał go ktoś na rozmowę w ważnym interesie do miasteczka, Pod złotego konia.

Włodek, zdziwiony mocno, namyślał się niedługo i pobiegł do wymienionej gospody. Jakież było zdumie-

nie jego, gdy tu w progu spotkał go śmiejący się Lozilières.

— Mam honor wam się przedstawić — rzekł z ukłonem ceremonjalnym: — kawaler de Méré, malarz portretów, artysta. Słyszałem wiele o j. k. mości Stanisławie, iż lubi i proteguje sztukę; chcę mieć zaszczyt być mu przedstawionym.

— Cóż to za żarty stroicie ze mnie? — począł Włodek, wchodząc z nim do mieszkania. — Co znaczy bytność wasza w Wissenburgu?

— Mówiłem wam już, jestem tu jako artysta. Zowię się kawalerem de Méré i proszę was, abyście mnie przedstawili królowi waszemu. Powiedz, żeśmy się poznali w Paryżu. Spodziewam się, że mi tego nie odmówisz.

Włodek głową potrząsnął, wydawało mu się to podejrzanem.

— Króla, pana mojego, oszukiwać nie mogę — rzekł. — Przedstawię was chętnie, ale jako pana de Lozilières. Skądże się wziął ów de Méré?

Przybyły się skrzywił i dał znak, że nieprzyjemnem mu było tłumaczyć się.

— Lozilières de Méré, jeżeli chcesz, artysta, malarz portretów...

— Cóż to za maskarada? — odparł Włodek — nie rozumiem tego, a gdy rzecz tyczy się mojego pana... muszę wszystko wiedzieć jasno, inaczej nie zrobię kroku.

Lozilières nalegał, nie tłumacząc się, i spierali się dosyć długo, gdy nareszcie dodał stanowczo:

— Powiadam ci, że w interesie nawet twojego króla, na ten raz musisz ustąpić ze swej surowej zasady. Wyznam ci otwarcie, bo wiem, że mnie nie zdradzisz— chociaż przysiągłem na zachowanie tajemnicy — że wysłańcem jestem pani de Prie. Wyprawiła mnie po niektórych dworach, abym księżniczki dla króla przeznaczone oglądał i zdał sprawę z tego, jak mi się one wydadzą, co o nich mówią, jak wyglądają i t. p. Przybywam więc dla poznania i widzenia waszej królewny

Marji, która jest na spisie, a przybywam jako kawaler de Méré. Spodziewam się, że nie chcesz, ażebym jej pominął... Wprawdzie mało mam nadziei, aby ją wybrać miano, ale zawsze próbować się godzi. Nie zechcesz przecie, abym, pominąwszy Wissenburg, wprost jechał do Niemiec.

Włodek, słuchając go, osłupiał — niedowierzał mu. Lozilières musiał dobyć listu pani de Prie, który o jego posłannictwie świadczył, i pokazał mu go... Gabrjel zmiękł i zachwiał się.

— Stawisz mnie — rzekł — w przykrem położeniu: muszę być albo kłamcą, albo sługą niewiernym. Pojmujesz, jakbym był szczęśliwym a tobie wdzięcznym, gdybyś tego anioła dopomógł uwieńczyć koroną! Jest jej z pewnością godną. Zobaczysz ją sam... Postąp wedle sumienia, nie będę się starał ciebie pozyskać, — przedstawię cię, zgoda. Bądź tylko nieuprzedzonym, sprawiedliwym, patrz na królewnę okiem bezstronnem, zapomnij, że jest córką ubogiego wygnańca.

Lozilières ręką zamachnął.

— Powiem ci na pociechę, — odezwał się — że jestem od wczoraj w Wissenburgu i nie mogę wyjść ze zdumienia nad tem, co tu o królu waszym i królewnie słyszę. Głosy uwielbienia dla nich, entuzjazm, jaki potrafili obudzić w całej ludności dla siebie, mnie nawet, ostygłego i obojętnego, zdumiały i poruszyły. Nie słyszę tu nic od wczora, nad uniesienia i pochwały. Wszyscy pod niebiosa wynoszą króla, królewnę Marję zowią aniołem... Opowiadano mi mnóstwo szczegółów z ich życia. Przyznam ci się, że ja do takich admiracyj wcale skłonnym nie jestem, a jednak nie mogłem się oprzeć wrażeniu, jakie to uczyniło na mnie.

Włodek milczał i Francuz po chwili zwrócił się znów do niego.

— Kiedy mnie zechcesz przedstawić?

— Króla naprzód o zezwolenie prosić muszę — zawołał Gabrjel. — Kłamstwo mi Pan Bóg przebaczy. Zatrzymaj się w gospodzie, ja natychmiast na komandorję powracam. Uprzedzę jego kr. mość o tobie, ale

uprzedzić muszę i ciebie, że król, chociaż sztukę lubi, artystów niekoniecznie wysoko ceni, dowodząc, że są po większej części zarozumiali i próżniacy.

Lozilières się rozśmiał.

— Ma może słuszność potrosze — przerwał.

— Pamiętaj i o tem, że król sam i królewna malują, więc oszukać ich będzie trudno.

— Ale ja też maluję, — dodał gość — gotów nawet jestem dać próbkę mojego talentu, a rolę malarza w potrzebie odegram niezgorzej.

Włodek, dawszy kilka rad Francuzowi, uradowany się oddalił. Jemu, który Marję uwielbiał, zdawało się, że gdy ona jest na spisie, musi zostać wybraną.

Król z córką, jak zwykle w tej godzinie, zajęty był tak zwaną lekcją. Tak się teraz nazywały rozmowy jego z nią o wielkich życia zadaniach, w których rozwiązaniu umysł ludzki spotyka mnogie trudności. Król zadawał jej zwykle pytania, wywoływał odpowiedzi, a w razie, gdy się zapatrywania nie zgadzały z jego przekonaniami, dowodził, dlaczego różni się z nią w zdaniu. Często bardzo własnego życia jego przygody za temat do roztrząsań służyły. Nieraz nie zgadzali się w ocenianiu Karola XII, którego Stanisław bronił i na wspomnienie jego zalewał się łzami; przy całej bowiem wdzięczności, jaką miała dla niego królewna, nie zawsze wytłumaczyć sobie mogła jego postępowanie.

Częściej jednak zdania Marji zgadzały się z ojca myślami, a król w dłuższej rozmowie uzasadniał, co powiedział i obszerniej wykładał opinje swoje. Niekiedy godziny te poświęcone były czytywaniu aforyzmów króla, do których komentarza żądał od swej Maruchny. Rozprawiano długo i szeroko.

Niekiedy i królowa brała udział w tych wykładach praktycznej nauki życia i moralności.

Włodek nigdy nie śmiał ani wchodzić w tych godzinach, ani ich przerywać; ale dnia tego, przewidując, iż się wkrótce skończą rozmowy, wszedł do salki. Ma-

ruchna stała przed ojcem uśmiechnięta, z oczyma łzawemi.

— Dobry ojcze mój, — mówiła rzewnie — nie obawiaj się, nauki twej nie zapomnę nigdy, a gdybym kiedy niepewną jej była, wiem, skąd ją czerpałeś, pójdę do źródła i tam znajdę światło...

Król odwrócił się do Włodka.

— Z czem ty przyszedłeś? wiem, że pewnie niedarmo — zapytał go. — Co tam przynosisz?

— Gościa zwiastuję — odezwał się Włodek — i to z Paryża.

— No, proszę, aż z Paryża? — rzekł król niezbyt wesoło. — Jest to źródło, z którego i najlepsze, i najgorsze płynie. Cóż to za gość?

— Artysta malarz — odparł cicho i nieśmiało Włodek, do kłamstwa zmuszony, dławiąc się niem.

— Artysta! artysta! — począł powtarzać król dosyć zimno.—Wiesz, że ja ich mam w niezbyt wielkiej estymie. Próżniacy są po największej części, a wyobrażenie o sobie mają wielkie. Cóżto, wędrowny artysta? Jeżeli talent ma, to z prowincji do stolicy, nie ze stolicy na prowincję powinien wędrować, więc nie świadczy to wiele o nim, iż Paryż opuścił, a tu zawitał.

— Ja o talencie jego wcale sądzić nie mogę, — rzekł Włodek — bo malarstwo nie moja rzecz; ale wiem, że tam go w Paryżu widziałem dobrze przyjmowanego u ludzi znacznych i że człowiek gładki...

— To bieda, że ja, królem się zowiąc, — rozśmiał się Leszczyński — po królewsku płacić nie mogę, a u artystów grosz przedewszystkiem.

— Nie wiem, czy on potrzebuje koniecznie malować u nas, — przerwał Włodek — o tem mi nie wspominał; ale chce się n. panu pokłonić, a mieć szczęście go oglądać.

Król lekko ramionami poruszył.

— No, to niechże go poproszą do stołu, — odezwał się do Włodka, wstając — a ze względu na gościa, szepnij Borowskiemu, aby wino dał lepsze i wstydu

mi nie zrobił. Mój kompetytor August słynie z doskonałego.

W godzinę potem Włodek miał zaszczyt kawalera de Méré przedstawić królowi Leszczyńskiemu, który go o Paryż rozpytywać począł. Lozilières, choć ostrzelany z różnemi majestatami, widocznie był króla Stanisława powagą poruszony, a prostota, z jaką występowała królewna, czyniła na nim wrażenie onieśmielające. Stał się skromnym i pokornym.

Przy stole rozmowa, otwartość starego pana, spokój i pogoda rozlane na twarzy, poufałość jego z otaczającymi, czułość dla córki, obejście się z gościem niewymuszone i dobroci pełne wprawiały Lozilières'a w zachwycenie. Wcale czego innego spodziewał się po tym królu północy, wydziedziczonym, wygnanym, wystawiano go sobie rycerzem nieco rubasznym, a znajdując nawpół paryżanina, pełnego swobody, dowcipu i wcale nie narzekającego na losy.

Co krok go tu spotykała niespodzianka i zdumienie. Królewna Maruchna weselszą jakoś i rozmowniejszą była niż zwykle, ale do tych dam, które paryżanin widywał, wcale niepodobną. Dowcip jej miał cechę inną. Naiwność tej córki króla, występującej w prostej sukience *„sans paniers"*, nieuróżowanej, nieubielonej, nieokrytej klejnotami — zdawała mu się nieprawdopodobną. Widział w niej żywą sielankę Boucher'a. Właśnie do takiej dzieweczki podobnym był ideał XVIII wieku, a miała tytuł królewski i była prawdziwą królewną. Lozilières patrzył i słuchał.

Król trochę surowo się wyrażał o sztuce i artystach, ale kawaler de Méré zgadzał się z nim zupełnie, nie bronił ich i nie miał wcale zarozumiałości, czem sobie go pozyskał. Usposobiony szydersko, gotów był żartować z samego siebie. Przyznawał się do tego, iż malował, że w niedostatku talentu miał wielkie zamiłowanie sztuki, ale wcale się nie chwalił, a o malarzach znanych odzywał się z przekąsem.

Wrażenie, jakie na zepsutem dziecięciu dworu regenta i XVIII wieku czynił ten król bez królestwa,

w prostej sukni i niewykwintnej peruce, królewna w chusteczce zawiązanej na główce odniechcenia, powracająca od swych ubogich z wiązanką kwiatów, śmiejąca się swobodnie, nie zważająca na żadną etykietę — cała prostota tego królewskiego dworu, nie na pokaz obrachowana — było potężne. Podobnych ludzi znał Lozilières tylko w romansach i nie wierzył, aby żywi możliwymi byli. Tytuł królewski nad temi postaciami niemal prostaczej naiwności podobał się Francuzowi jak coś niespodzianego, oryginalnego.

Leszczyński, który zawsze był sobą i nie zmieniał się dla przypodobania komu, począwszy o sztuce i artystach, gdy mówił o Paryżu, zapytał gościa, czy dawno żył w stolicy, czy znał ją dobrze i jak mu w niej było.

Lozilières, od dzieciństwa trzymający się Paryża, nie pojmujący, aby gdzie indziej szczęśliwym być można, niemal zdumiony był tem pytaniem.

— N. panie, — zawołał z uniesieniem — ja Paryż jeden znam tylko... nie wiem, jak gdzie indziej żyć można!

Stary poruszył ramionami.

— Podziwiam — rzekł — poświęcenie się tych, co w nim żyć mogą. Nie znajdujesz więc w. pan, że na wsi, w spokoju i ciszy daleko człowiek jest szczęśliwszym, bliżej będąc natury i Boga.

Pseudo-artysta odpowiedzieć na to nie umiał. Poczęła się rozmowa o dworze, o młodym królu, o biskupie Fleurym, a że Leszczyński rzadko miewał wiadomości świeże i szczegółowe, badać począł powoli przybysza, który rad był, że z dokładnemi i obfitemi informacjami mógł wystąpić. Znał tam i ludzi, i stosunki jak najlepiej.

Przedewszystkiem młodego pana wychwalał bardzo i po jego panowaniu wiele obiecywał dla Francji; ale zarazem zapowiadał, że i zalotny dwór niewieści Ludwika XIV powróci, i gdy Leszczyński o pobożności biskupa Fleury, o religijnem usposobieniu napomknął, odezwał się, że i wszelkie inne tradycje, co

dwór Ludwika tak świetnym czyniły, nie zaginą pewnie.

Leszczyński poważnie o pani de Maintenon wspomniawszy, mówić mu dalej nie dał. Jako portrecista, kawaler de Méré miał prawo mówić o nadzwyczajnej piękności młodego Ludwika XV, jego pańskiej powierzchowności, o majestacie, z jakim umiał występować, pomimo wieku młodocianego.

— Nic mu zarzucić nie można, — dodał, kończąc — ma nawet nad lata swe wiele powściągliwości i nadzwyczajną umiejętność milczenia, panowanie nad sobą zdumiewające. Życzyć mu teraz tylko należy, aby Bóg mu dał z godną jego tronu połączyć się małżonką.

— Sądzę, — odparł Leszczyński, który pogłoskom nie chciał dawać wiary — iż rzecz to jest spełniona, bo o infantce wszyscy powiadają jako o pączku, który obiecuje wydać kwiat wspaniały.

— Ale dziś to właśnie więcej niż wątpliwe, czy infantkę poślubi — począł śmiało Francuz. — Na to małżeństwo lat dziesięćby nam oczekiwać potrzeba, a Francja byłaby wystawioną na niebezpieczeństwo osierocenia. Powszechnie wiadomo, iż w radzie króla myślą o zaradzeniu temu.

— Doszły mnie te pogłoski, — przerwał król — ale im trudno dać wiary. Względem infantki są zobowiązania, od których już się oswobodzić niepodobna.

— Ale książę de Bourbon nie jest niemi związany— począł paryżanin. — W Paryżu rzecz to powszechnie znana, że układy z Hiszpanją albo już zerwane, lub będą wkrótce unieważnione.

Król, mówić nie chcąc w tak drażliwym przedmiocie, wtrącił wkońcu:

— Z trudnościąby nawet znaleźli kim ją zastąpić.

Nie zdradzając się całkiem, Lozilières, który regestr miał w kieszeni i w głowie, począł wyliczać z wielką łatwością kandydatki do tronu, czego król z wielkiem zdumieniem słuchał. Nie wymienił jednak siedzącej naprzeciwko siebie królewny, na którą ciągle patrzył.

— Jak na malarza — odezwał się król, — dziwnie

w. pan jesteś o księżniczkach dobrze informowanym; prawda, że się one na płótno kwalifikują. Pamięć osobliwa!...

Lozilières się rozśmiał.

— Kręcę się ciągle około dworu, — rzekł — a tam teraz o tem wiele mówią; sposobność się też dla malarza nastręcza, by zebrać piękną kolekcję twarzyczek. Coby to za wianuszek dał się uwić z tych dostojnych panienek!

Król, popatrzywszy mu w oczy badawczym wzrokiem, zmienił przedmiot rozmowy. Zręczny Lozilières podobał mu się dosyć. Do wieczora nie zbywało na treści do pytań i odpowiedzi, których słuchali wszyscy z ciekawością natężoną.

Zatrzymano go na dzień jutrzejszy, a malarz, który się zdawał dorozumiewać, że mu nie dowierzano, zamiast portretu księżniczki, prosił o pozwolenie naszkicowania choćby wizerunku króla, czego mu Leszczyński nie odmówił.

— Vanloo mnie już malował — rzekł obojętnie. — Wcale mu się portret ten, zdaniem wielu, powiódł dobrze. Inny osobliwy robiono w Szwecji, gdzie mnie w stroju Karola XII, przyjaciela mojego, konterfektowano. No! a waćpan chyba z fajką i w szlafroku.

Lozilières się skłonił.

— Chociażby i tak, — odezwał się — zawszebym sobie miał za wielkie szczęście rysy w. kr. mości, dla pamiątki, żem je oglądał, narysować! Powszedni strój cale majestatu w. kr. mości nie ujmuje.

— Pochlebcą waćpan jesteś — odparł Leszczyński, siadając.

Kawaler de Méré miał więc honor zrobić portrecik króla, który później Cochin sztychował. Wyobrażał go on w istocie w sukni codziennej i z fajką na cybuchu długim; Leszczyński bowiem w zamiłowaniu tytuniu Augustowi II nie ustępował.

Królewna, która też rysowała i malowała, a sztuką się dosyć zajmowała, stała w czasie rysowania, przypatrując się bacznie. Nie mówiła nic, ale paryski artysta

wielkim jej się mistrzem nie wydał. Szkic królewskiej postaci, choć dosyć podobny, więcej zdradzał karykaturzystę, niż malarza portretów. Ukończywszy go, Lozilières ośmielił się zwrócić do króla z pokorną prośbą, czyby mu nie dozwolił pochwycić rysów królewny.

Ta, usłyszawszy żądanie, odskoczyła przestraszona i zarumieniona.

— Przepraszam pana,—wtrąciła energicznie — nie lubię się dawać malować. Mnie się zdaje, że twarz, jak dola ludzka, zmienia się co chwila i pochwycić jej niepodobna. Każda z nich o żywym oryginale fałszywe daje wyobrażenie.

Lozilières, któremu o ten rysunek szło więcej, niż o pierwszy, napróżno błagał, piękna Marychna uciekła.

Dzień zresztą zszedł przyjemnie, bo Francuz miał zapas anegdot niewyczerpany, któremi słuchaczów swych karmił, z wielkim talentem je opowiadając.

Pobyt gościa tego, który martwotę życia tutejszego przerwał na chwilę, dla króla i jego rodziny był przyjemną rozrywką, zostawując po sobie obfity materjał do pogadanek na długo. Nikt zresztą się nie mógł ani domyślać, że ów artysta był posłem dworu i że pielgrzymował, szukając dla króla żony...

Przypadkiem tylko Leszczyński, któremu w swej teczce Lozilières pokazywał rysunek przedstawiający młodego monarchę w zbroi rycerskiej, w całym blasku rozkwitającego następcy Ludwika XIV — unosząc się nad pięknością jego, zamówił sobie kopję tego wizerunku.

— Jest moim dobroczyńcą — rzekł z przejęciem.— W najszlachetniejszy sposób dał mi schronienie i opiekę u siebie. Pragnę mieć codzień na oczach piękne jego, królewskie oblicze, aby się za pomyślność jego i królestwa tego modlić.

Wieczorem późnym mającego już odjeżdżać Francuza Włodek odprowadził do miasteczka, a choć wrażenie, jakiego doznał, było na nim widoczne, zapytał, jak mu się w smutnym i ubogim Wissenburgu podobało.

— Rezydencja nasza niewesoło wam po Paryżu wydać się musiała — rzekł do niego.

— Wierź mi, lub nie, — odparł Francuz z wielkim zapałem — ale wrażenie, jakie na mnie uczynił dwór wasz i pan, nigdy się nie zatrze. Pozostanie ono, jak jakiś piękny sen lub widzenie, we wdzięcznej pamięci. Żadna w świecie królewska świetność i pompa równie poruszyć i takiego poszanowania jak to majestatyczne ubóstwo obudzić nie może. Nic nigdy w życiu podobnego nie widziałem i nie zobaczę. Gdy mi wychwalano waszego króla-filozofa, uśmiechając się, wcale inaczej wyobrażałem go sobie. Sądziłem, że znajdę napuszonego pedanta, retora, kaznodzieję... a to jest dziecię natury, mąż istotnie wielki. Córka jego to najpiękniejszy kwiat, jaki ziemia wydała...

Włodek z początku w tych pochwałach gorących obawiał się ukrytego szyderstwa, ale się przekonał, że Francuz był w istocie przejęty, zachwycony i szczerze spowiadał się z tego, co czuł.

Posądzenie o sarkazm oburzyło go do najwyższego stopnia.

— Ja szydzić! z nich! — zawołał z zapałem — ależ ja padłbym na kolana przed nimi! Nie mam słów na wyrażenie tego, co czuję. To też najżywszemi barwami uwielbienia odmaluję rodzinę króla waszego. Wprawdzie na nic się to nie przyda i na wybór wpływać nie będzie, ale nie mogę zadać kłamu temu, czego tu doznaję. Śmiać się będą z mojego entuzjazmu dla królewny... mniejsza o to!

Włodek go uścisnął.

— Mówcież tylko prawdę, Bóg robi cuda—rzekł.— Nie spodziewa się tu nikt i nie marzy, aby królewna wybraną być mogła. Honor to wam czyni, żeście się na tych perłach poznali. Zresztą — *à la grace de Dieu!*

Francuz, powróciwszy do gospody, pod świeżem wrażeniem ze dworu Leszczyńskiego, rzucił na papier raport swój i list do pani de Prie. Wizerunek, jaki kreślił, cały jaśniał barwami najświetniejszemi.

„Księżniczka — mówił wkońcu — prostotą obycza-

ju jest córką Alcynousa; nie zna ona innego barwienia twarzy, nad śnieg i wodę. Siedząc pomiędzy babką i matką, po całych dniach wyszywa ozdoby do kościołów, tak że dziś stara komandorja w Wissenburgu przedstawia nam obraz jakby z heroicznych czasów".

Wizerunek jej w szeregu bardzo powszednich innych, jakie agent przysłał lub przywiózł ze swej podróży, odbijał od nich barwą swą i świeżością.

Nadspodziewanie na romansowej pani de Prie raport uczynił wrażenie wielkie oryginalnością swoją.

Ta wieśniaczej prostoty królewna, dziecię natury, jak się wyraził poseł, obiecywała im, że ją łatwo opanować będą mogli; urok i wdzięk jej, który tak się dał czuć Francuzowi, musiał też młodego króla uczynić jej poddanym. Z jej pomocą bardzo łatwem i prostem mogło być rządzenie Ludwikiem XV.

Tegoż wieczora, gdy wysłaniec powrócił, w kółku poufałem Parisów, ks. Bourbon, pani de Prie mówiono wiele o nieznanej a tyle obiecującej królewnie Marji. Jakkolwiek pochodzenie jej nie odpowiadało wymaganiom, było jednak królewskiem, nic mu zarzucić nikt nie mógł. Król Stanisław był w Europie powszechnie czczonym, jako mąż wielkiego charakteru i zacności. Połączenie z nim niczem nie wiązało. Dobrodziejstwem tak niespodziewanem i wielkiem Bourbon był pewien pozyskać sobie ojca, córkę, całą rodzinę, na której najzupełniejsze poświęcenie i uległość rachowano.

Z księżniczek na ostatnim spisie wyszczególnionych żadna prawie nie była do wzięcia bez wymagań, bez ustępstw, bez niedogodności; jedna królewna Marja mogła być natychmiast zaswataną i bez trudności oddaną w małżeństwo królowi. Uśmiechało się to wszystko ks. Bourbonowi, który z panią de Prie głośno przemawiał za nią. Nikt się tak bardzo nie sprzeciwiał, oprócz nieśmiałych głosów, które się za księżniczkami lotaryńskiemi odzywały. Pani de Prie jednakże, nie dowierzając męskiemu oku, żądała, aby kobiece jeszcze

rozpatrzyło się tam w stosunkach familijnych. Ks. de Bourbon godził się na wszystko, czego żądała.

Dwór i służba faworyty wogóle nie odznaczały się doborem osobistości. Pani de Prie używała do swoich intryg takich narzędzi, jakich one wymagały. Do nich należał chevalier de Varchon, przytomny właśnie ostatniej z księciem rozmowie.

— Jeżeli pani idzie o zręczną kobiecinę, którąby się tam, nie obudzając podejrzeń, wcisnąć mogła, — odezwał się, zwracając do gospodyni domu — łatwo znaleźć taką, która przynajmniej Lozilières'a będzie warta. Wprawdzie — dodał z uśmiechem — nie kwalifikuje się ona ani do *karet królewskich*, ani do *taburetu*, ale do tajemniczego poselstwa na dwór wissenburski jest jakby stworzoną.

Wymówione nazwisko tej pani, którą de Varchon zalecał, nic nie powiadało, ale on ręczył za nią, a pani de Prie chodziło o pośpiech. Godziła się więc na nieznajomą, za którą stawał Varchon, wynosząc jej przebiegłość i zręczność w badaniu ludzi. Nikt nie znał tej kobiety, oprócz tego, który jej poselstwo powierzał...

Nazajutrz rano, osłonięty płaszczem, aby łatwo poznanym być nie mógł, Varchon pukał do drzwi bardzo biednego mieszkania na przedmieściu Św. Antoniego. Dom, w którym się ono mieściło, schody, które do niego wiodły, ludzie, którzy się tu snuli, nic bardzo wytwornego nie zapowiadały.

Przed tualetą, której zwierciadło było spękane, właśnie starannie się malować poczynała nie pierwszej już młodości przekwitła piękność, niegdyś znana dobrze na wieczornych orgjach regenta — pani Oliwja Texier — gdy kawaler nasz, zapukawszy, przez sługę przestraszoną kazał oznajmić jej, że ni mniej ni więcej, tylko przynosi jej szczęście, a choćby była w koszuli, żąda natychmiast posłuchania.

Po takiej zapowiedzi pani Texier, której, jak się zdaje, szczęście bardzo przychodziło w porę, wybiegła sama, zaledwie się osłoniwszy płaszczykiem od pudru

i różnych kosmetyków poplamionym, a poznawszy kawalera de Varchon, krzyknęła.

— Piękna Oliwjo! — zawołał przybyły, rzucając się na kanapkę—nie zakrywaj twarzy, bo ci poprzysięgam, że nie przychodzę ci się zalecać. Zobacz, czy kto nie podsłuchuje, pozamykaj drzwi i przygotuj się do podróży.

Z pośpiechem gorączkowym pobiegła, krzycząc, Oliwja i wkrótce powróciła zadyszana.

— Opatrzność cię tu sprowadziła — odezwała się, pokaszlując i poprawiając ubranie. — Wystaw sobie, markiz... opuścił mnie, nie zostawiwszy po sobie nic, oprócz długów.

— Mogłaś to przewidywać wcześniej, — przerwał Varchon — ale ja twoich kondolencyj słuchać nie mam czasu. Powinnaś sobie to była oddawna stanowczo powiedzieć, że pracować na własną rękę już czas poprzestać, ale drugim doświadczeniem swem możesz być bardzo pomocną... i byt sobie zapewnić bez troski. Tymczasem, na próbę chcę ci powierzyć sprawę ważną, bardzo ważną, a jeśli ci się powiedzie, zapewnisz sobie protekcję u góry, za którą wdzięczność będziesz mi winną.

Varchon zdradzić się nie chciał całkiem.

— Jeden z moich przyjaciół — ciągnął dalej — zakochał się w królewnie. Brzmi to jak bajka; ale jest to królewna bez królestwa, a w posagu ma tylko cnotę. Rodzina zakochanego chciałaby więcej coś wiedzieć o rodzinie królewny — rozumiesz? Potrzeba więc, abyś pojechała na zwiady i przywiozła nam dokonane badanie, jakbyś była prokuratorem.

Texier ruszyła ramionami.

— Znasz Alzację? — zapytał gość.

— Ja? — roześmiała się Oliwja — ależ ja jestem z niej rodem... Niedawno byłam tak głupią, że, rachując na osadzonego tam owego króla polskiego, który Wissenburg odnawia, zrobiłam wycieczkę w nadziei złapania kogoś znudzonego na tem wygnaniu. Moja

piękność zdawała mi się doskonale dobrana do ich wypłowiałej królewskości, ale źle rachowałam...

Poruszyła ramionami pogardliwie.

— Jakto, — podchwycił żywo Varchon — ty byłaś niedawno w Wissenburgu? To się dziwnie składa! Widziałaś więc dwór króla polskiego!

Texier nastroiła minę dumną.

— Przepraszam, — rzekła — nie tylkom go widziała, ale byłam na nim przyjmowana i miałam honor zasiadać u królewskiego stołu... Ale kucharza ma nieszczególnego. Aby tam siedzieć na krześle przy królowej, wcale pergaminów nie potrzeba.

Kawaler chciał przerwać, lecz Oliwja ręką dramatycznie wyciągniętą nakazała mu milczenie.

— Jeżeliś ciekawy dworu tego i ludzi, miejże cierpliwość słuchać — rzekła. — W istocie jest to coś tak osobliwego, ten król, ta rodzina, ich życie i sprawy, że się o tem mówi jak o świecie zaczarowanym w bajce. Król to, który ubogich żebraków pod rękę prowadzi, gdy ich osłabłych spotka, królewna to, która po chatach karmi i poi chorych i odzież dla nich szyje, dwór to, do którego tytułem przystępu jest niedola.

Varchon się zadumał i skrzywił.

— Znasz tego króla? — zapytał — tem lepiej; możesz, nie jadąc, nauczyć nas o nim...

— Chodzi więc o króla polskiego? — spytała pani Oliwja.

— Coś podobnego! — zamruczał przybyły gość.

Spojrzeli sobie w oczy bystro, ale ani on z jej wzroku, ani ona z jego twarzy nie dowiedziała się o niczem...

Texier, której szło wielce o wyzyskanie przyniesionego jej szczęścia, pomyślała, że gotowemi wiadomościami niewiele zarobić będzie mogła.

— Obeszłoby się bez podróży — badał Varchon.

— Zapewne, bo ja się niewiele umiem domyślać — odparła Texier — ale znam króla tego i jego córkę tylko w stosunku do mnie. Między nami mówiąc, przyznam się, żem ich prawie z ostatniego grosza ogoło-

ciła... Dobroduszni są, nad wyraz wszelki.... ale wiele tam u nich rzeczy, któreby bliżej poznać trzeba, aby o nich sądzić... Mnie to łatwiej przyjdzie, niż komu innemu, mam wstęp i pewne przygotowania. Gotowam się oderwać od moich interesów...

Zamilkła, podnosząc oczy. Kawaler śmiechem parsknął, posłyszawszy o interesach.

— Mów dalej, — odezwał się do zmieszanej tą jego wesołością — jesteś bardzo zabawną, gdy ze mną chcesz grać komedję. Nie zapominaj, żeśmy oboje za kulisami.

Texier rozgniewała się trochę, a Varchon udał, że chce odejść. Zaskoczyła mu ode drzwi drogę; kawaler usiadł znowu, a pani Oliwja nieco łagodniej na pytania jego odpowiadać zaczęła.

Koniec końcem otrzymała zlecenie udania się do Wissenburga, aby o nim, o dworze, królu i córce jego przywieźć szczegóły jak najdrobniejsze... o życiu, temperamencie, zdrowiu, obyczajach. Podejmowała się tego, utrzymując, iż tam tajemnic żadnych nie miano, bo nie było z czem się ukrywać. Podróż ta i badanie nad dni kilka potrwać nie miały. Oliwja tegoż dnia na drogę otrzymała pieniądze i wyruszyła, nadzwyczaj dumna i rada poselstwu swemu.

Do Wissenburga tym razem przybywała, nie żądając niczego, odświeżona, aby wynurzyć wdzięczność swą za doznane dobrodziejstwo, z historyjką jakąś bardzo zręcznie ułożoną.

Królewna Marja, na której wprzód uczyniła wrażenie dobrze dosyć wymyśloną bajką, która litość obudziła, przyjęła ją teraz, uszczęśliwiona tem, że się na niej nie zawiodła, bo ją wdzięczność sprowadzała... Król, królowa powitali ją serdecznie, radzi także, iż się na niej nie omylili. Włodek tylko, który nie lubił Francuzki, musiał się przyznać do winy, że ją miał za oszustkę.

Płocha kobieta tą dobrocią dla siebie nie dałaby się pewnie poruszyć i zjednać, gdyby interes także nie

przemawiał. Mogła, nie szkodząc sobie, wydać jak najlepsze świadectwo o całej rodzinie.

Nie domyślała się ona jeszcze, komu ono służyć miało i dla kogo przeznaczone było, zawsze jednak stosunki p. Varchon, zbliżenie jego do ks. Bourbon, do pani de Prie dozwalało się wysoko położonych osób domyślać.

Cały tydzień pani Texier, przyjmowana przez Moszyńską, bawiąc ją, modląc się z pobożnemi gorąco bardzo, mówiąc wiele o cnocie, — wywiadywała się dość zgrabnie o szczegóły życia króla i jego córki. Moszyńska rozpowiadać o nich lubiła. Wyjechała więc Francuzka z zapasem drobnostek, z których dawał się ułożyć obrazek bardzo wdzięczny i prawdziwy.

Leszczyńscy nie domyślali się bynajmniej tego, co ich otaczało; ale też nie potrzebowali żadnej odgrywać roli, do niczego się nie zmuszać, aby wystąpić w świetle swej oryginalności sympatycznej.

W samem miasteczku mogła Texier uzbierać także sporą wiązankę uczynków miłosierdzia, poświęcenia, pokory i pobożności.

Szło o to, aby po powrocie do Paryża pani de Prie mogła wybadać ją sama i z jej ust relację posłyszeć. Oliwja nie znała tej niedawno w świat wprowadzonej piękności, panu Varchon więc łatwo przyszło ułożyć tak dla nich spotkanie, aby Oliwja przed kilku osobami popisała się z całem bogactwem uzbieranych szczegółów i swą przenikliwością. Pomiędzy niemi pani de Prie podrzędne napozór zajmowała miejsce.

Texier niosła tylko to, co w zupełności raport zachwyconego Lozilières'a potwierdzało.

Pani de Prie poczęści była rada, lecz trochę czuła się razem zazdrosną.

— Król ten i królewna — odezwała się wkońcu — są istotami wyjątkowemi; wszystko mówi za nimi, nic przeciwko nim. Słońca bez plamy — dodała z przekąsem.

— W istocie są to wyjątkowe postacie — odezwała się Texier. — Podobnych im nie spotyka się na na-

szym świecie; ale nie idzie za tem, żeby one były do niego stworzone i żeby im z nami, a nam z nimi dobrze być miało. Po uwielbieniu dla nich prawda każe wyznać, że się oni wszyscy więcej może do klasztorów, niż do życia kwalifikują.

Texier tem jednem tylko usprawiedliwiała swoje niezmierne uwielbienie, bo w owych czasach bez ziarnka szyderstwa żadna się potrawa obejść nie mogła.

Nakoniec pani de Prie z zacienionego kątka, w którym siedziała, zapytała o piękność królewny, a przekwitła Oliwja, chcąc się nieznajomej przypochlebić, odparła z uśmiechem:

— Pięknością się z panią mierzyć nie może, ale nie będąc właściwie piękną, nie starając się podobać, umie być zachwycającą.

Na tem skończyło się badanie i rozmowa.

V.

Dzień był wiosenny, ale w kraju, lasami okrytym, którego klimat nigdy się wielką nie odznaczał łagodnością, w tym roku właśnie spóźniało się ocieplenie, powolne więcej niż zwykle. Pączki na drzewach nabrzmiałe czekać się zdawały na słońce, aby się w liście zmieniły. Trawy zaczynały zielenieć zaledwie u brzegu źródlisk zakrytych i ptactwo tylko, za wcześnie przybyłe zpowrotem, pomimo szarych niebios, wierząc w rychłą wiosnę, krzątało się, szczebiotało i śpieszyło ją witać.

Król Stanisław, który tę porę roku lubił zawsze, mówiąc, że go ona odmładza widokiem nieśmiertelności natury, — zaczynał wychodzić poza mury komandorji, na pola i łąki, a królewna, wprawdzie w futrem podbitej jubce i chusteczką obwiązana, zbiegała do ubogich chatek, w których dobrze była znajomą.

Królowa sama rzadziej wychodziła, nie chcąc opuszczać matki staruszki; Tarło też cierpiał na nogi i chętnie się trzymał komina; a generałowa wielkopol-

ska jeszcze ani mogła myśleć o użyciu świeżego powietrza.

Gdy chłodne dnie powracały, stary Borowski pocieszał prognostykami, których, równie jak przysłów, miał zapas znakomity, wywieziony jeszcze z domu.

W tej porze dni naprzemiany jasnych i szarych, przeplatanych kwietniowemi gradami, śnieżkiem i błyskami słońca, kardynał de Rohan dał znać, jak zwykle, gdy miał w odwiedziny przybyć do króla, aby mu jak najmniej przyczynić kłopotu — że będzie miał przyjemność do Wissenburga nazajutrz przyjechać. Gość to nie był zbyt rzadki, ale w tym czasie nie spodziewany, bo ani pogody, ani drogi gorszej nad tę, na którą się narażał, wybrać nie mógł...

Król, któremu o tem doniesiono, zdumiał się i rozrzewnił.

— Co to za złote serce tego Rohana, — odezwał się do żony — żeby w taki czas szkaradny, nawykłemu do wygódek, puszczać się dla miłości naszej do Wissenburga! Tem bardziej wdzięczen mu być muszę, bo widocznie rachował na to, że mnie tu teraz nikt nie odwiedzi, że żywa dusza nie zajrzy...

— W istocie — potwierdził Tarło — trudno suponować, aby miał do nas potrzebę jaką...

Król się rozśmiał.

— A! — zawołał — jużci Bourbon mnie ani waszeci do rady młodego króla nie powoła; i Orleans nawet, gdyby nie był u steru, tegoby nie uczynił.

Porobiono zwykłe na przyjęcia księcia kościoła przygotowania. Włodek z dobranemi kilkunastu końmi wyjechał w moderunku paradnym na spotkanie. Wychwalano powszechnie malownicze stroje polskie, które się i Ludwikowi XIV podobały; dwór więc nawet skromny Leszczyńskiego starał się występować wytwornie; kładł kto co miał najlepszego.

Około południa nazajutrz król z córką stali w ganku, witając dostojnego gościa, który z wesołą wysiadł twarzą. Uderzyło to Leszczyńskiego, że kardynał, zwyczajnie przybywający bez purpury, w sukniach po-

wszednich, poufale, ukazał się tym razem w purpurze książąt kościoła, w stroju urzędowym, w komży, płaszczyku, a oznakę godności, kapelusz, niósł za nim paź...

Król sobie tego inaczej wytłumaczyć nie mógł, jak chyba odwiedzinami kościoła jakiegoś i uroczystością po drodze.

Twarz Rohana, typ arystokratyczny francuski, piękna, dumna, jasna, wypogodzona, doskonale się z suknią godziła. Poufały z królem zazwyczaj, tym razem zachowywał się z pewnem ceremonjalnem poszanowaniem majestatu.

We wszystkiem tem było coś zagadkowego...

Chcąc dać wygodniej spocząć kardynałowi, król go wprost poprowadził nie do sali, w której rodzina zgromadzona czekała, ale do gabinetu, gdzie mogli pozostać sami.

Tu dwa krzesła z poręczami przygotowane były dla Rohana i dla króla, ale gość wskazanego nie zajął miejsca. Na obliczu jego widać było niezwykłe wzruszenie.

— Najjaśniejszy panie, — przerwał milczenie po krótkim namyśle, głosem podniesionym — jestem tu dziś nie tylko gościem, ale posłem do w. król. mości. Przychodzę w imieniu króla pana naszego prosić was, abyś dozwolił córce swej Marji zaślubić króla i zostać Francji królową...

Mówiliśmy już, że do Wissenburga najmniejsza wieść o czem podobnem nigdy nie doszła, a Leszczyński zbyt był skromny i od losu mało wymagający, ażeby przypuścić, że go to szczęście spotkać może.

Usłyszawszy przemówienie kardynała, Leszczyński pobladł i zamilkł; na obliczu jego odmalowało się zdumienie, niedowierzanie, prawie jakaś trwoga, tak że kardynał, przeczekawszy chwilę, musiał z małą odmianą powtórnie zagaić to samo.

Leszczyński, widząc go wesołym, nawykły do poufałego z nim obchodzenia się, wkońcu uśmiechnął się i rzekł żartobliwie:

— Czasy są ciężkie, niewątpliwie ks. Bourbon rachuje na nasze sumy neapolitańskie, o których coś zasłyszeć musiał: ale, niestety, ja ich mojej Maruchnie w posagu dać nie mogę...

Kardynałowi uśmiech przebiegł po ustach.

— N. panie, — dodał, prostując się poważnie — bierzecie to za żarcik niewłaściwy, co jest istotną prawdą, rzeczywistością, życzeniem króla i jego rady. Przychodzę w imieniu jego prosić was o rękę królewny Marji.

Nie można już było dłużej powątpiewać. Leszczyński stał jakiś czas oniemiały, złożył ręce jak do modlitwy i podniósł oczy ku niebu.

— Miałożby to być dziełem i cudem Opatrzności— zawołał wkońcu. — O takiem szczęściu nigdyśmy nawet marzyć nie mogli. Lecz pozwól, eminencja wasza, powiedzieć sobie, że brzydzę się wszelkiemi zabiegami i intrygami, że tron ten, okupiony upokorzeniem Hiszpanji, zerwaniem z nią, mogący sprowadzić wojnę na Francję — tron taki nie dla mnie i nie dla córki mojej!

Rohan wysłuchał cierpliwie, choć brew mu się nieco ściągnęła.

— N. panie, — rzekł po chwili — chciejcie mi zawierzyć i być pewnym, że z Hiszpanją wszelkie trudności są załatwione. Królewna powraca już do ojca, wojny o nią wieść nie będziemy. W radzie króla postanowiony został wybór królewny Marji, który ona winna waszym i własnym przymiotom, cnocie, co was blaskiem otacza. Kardynał Fleury, ks. Bourbon, Villars, wszyscy są zgodni, a na dowód oto list ks. de Bourbon, który mi w. kr. mości wręczyć polecono.

To mówiąc, Rohan dobył z pod płaszczyka list z wielką królewską pieczęcią i podał go Leszczyńskiemu. Nie ulegało więc wątpliwości, że wszystko było obmyślane, postanowione.

Król, dosyć długo list trzymając w ręku, spoglądał nań milczący, zdając się modlić w głębi duszy.

Dla formy tylko roztworzywszy pismo i rzuciwszy

na nie okiem, drżący ze wzruszenia, w uniesieniu jakiemś religijnem, odezwał się z namaszczeniem:

— Błogosławionym niech będzie Bóg, który o nas pamiętał, dziełem to jest Jego i On sam co począł, dokona... Co mnie zaś przystało czynić, — dodał, zniżając głos — zaprawdę, nie wiem. W. eminencji powierzam o to staranie... rozporządzajcie nami!

Kardynał namyślał się krótko.

— Prowadźcie mnie do córki waszej — rzekł, wskazując królowi drogę.

W przyległej salce oczekiwała królowa z córką, siedząc za stołem, na ukazanie się dostojnego gościa. Wedle zwyczaju miała w ręku robotę... były to hafty do kościołów przeznaczone, któremi wszystkie sąsiednie obdarzano.

Na widok wchodzącego Rohana obie panie powstały śpiesznie, idąc przeciwko niemu. Uderzyło to zarówno matkę, jak córkę, że kardynał, uroczyście ustrojony, oblicze miał wielce poważne i że towarzyszący mu król blady był i widocznie mocno wzruszony.

Żona i córka, znając go dobrze, łatwo się domyśliły, iż coś niezwykłego podziałać musiało na niego; ale przyzwyczajone do prób ciężkich, jakiemi los ich prześladował, raczej obawę powzięły, niż nadzieję, aby coś pomyślnego mogło ich spotkać.

Rohan, ledwie się im z sobą dawszy przywitać, zwrócił się do królewny.

— Jestem posłem do was — odezwał się. — W imieniu króla pana naszego Ludwika XV przychodzę was prosić, abyście chcieli przyjąć ofiarę jego ręki i tron Francji z nim podzielić.

W wyrazach tych było coś tak niesłychanie dziwnego, niespodzianego, nie do wiary cudownego, że królewna Marja, przestraszona, poczęła drżeć, pochyliła się na rękę matki i długo nic odpowiedzieć nie mogła.

Naostatek z ust jej dobył się głos słaby, lecz jakby z góry religijnie natchniony:

— Jestem najżywszą wdzięcznością przejęta za

tę cześć, jaką mi król Francji uczynić raczył, oto są rodzice moi, będę posłuszna ich woli, niech oni stanowią.

— Ja — dołożył król z powagą — zezwolenie moje wraz z wdzięcznością wyraziłem, odpowiadając jego eminencji.

Królowa rozpłakała się rozczulona.

— I ja też — rzekła z za łez — błogosławię związkowi temu. Tak wielkie szczęście córki naszej Opatrzności Bożej tylko winni jesteśmy... Cud się stał nad nami!

Rohan począł błogosławić i winszować, usiadł przy królowej i rozmowa, dotąd tonem urzędowym prowadzona, zeszła na poufalszy.

Królewna Marja pod wrażeniem tego, co ją jak błyskawica olśniło, drżąca, osłabła, więcej strwożona niż szczęśliwa, oczyma poprosiwszy o pozwolenie matki, powolnym krokiem wysunęła się z sali i, nie zatrzymując się, wprost poszła do klęcznika, który stał przy jej łóżku. Dobiegłszy tu, padła na kolana przed Ukrzyżowanym i łzy z oczu jej polały się strumieniem.

Nie wiedziała nawet, że stara Moszyńska, która w pokoju coś układała, stała właśnie w progu, a zobaczywszy swą ukochaną ze łzami klęczącą przed krzyżem, zerwała się i przybiegła do niej przestraszona.

— Marysieńko moja! dziecko najdroższe! Co tobie? co tobie?

Modlitwa, przerywana łkaniem, odpowiedzieć jej nie dawała. Głowę ukryła na łonie piastunki i nierychło załzawione podniosła oczy.

— Druga matko moja! — odezwała się cicho — wedle ludzkiego pojęcia spotyka mnie to, co się szczęściem nazywa tak wielkiem, tak niespodziewanem, że wiary mu dać trudno! Ale dusza moja strwożona jest mocno.

— Cóż się stało? Co przywiózł kardynał? — przerwała Moszyńska.

— Przywiózł listy, któremi mnie nieznaną i bied-

ną wzywają na tron Francji, na małżonkę króla — szepnęła królewna.

Moszyńska krzyknęła, klaskając w dłonie.

— Wielkim jest Bóg! — zawołała. — W mojej duszy snuło się to ciągle, miałam przeczucie, że ci to było przeznaczonem...

Łzy i uściski zakończyły krótką rozmowę. Tymczasem po zamku rozchodziła się już nie tajona wiadomość, która wszystkich Leszczyńskiego towarzyszów do szału poruszyła. Radość, upojenie nią było niewypowiedziane.

Gdy wieczorem staruszka matka króla, zwykła powiernica Marji, całując ją, zapytała:

— Cóż ty, dziecię moje kochane, myślisz o tem zrządzeniu Bożem?

— Matko moja — odpowiedziała królewna. — Jedna tylko myśl jest mi przytomną od tego momentu, gdy kardynał wyrok nade mna ogłosił... Myśl ta nie opuszcza mnie ani na chwilę. Myślę, że byłabym bardzo nieszczęśliwą, gdyby ta korona, którą mi ofiaruje król Francji, miała mnie przyprawić o stratę tej, jakiej się spodziewałam w niebie.

Pierwszy dzień, wieczór, noc na zameczku w Wissenburgu upłynęła na rozprawach, uniesieniach, planach na przyszłość i pobożnych podziękowaniach Bogu. Rzecz była nadto uroczyście zagajona, aby o dojściu jej do skutku najmniejszą powziąć było można wątpliwość. Leszczyński jednak poufnie przyznał się przed żoną, że zbytniej nie chce się oddawać radości, bo, według niego, zerwanie jeszcze możliwem było.

Na komandorji życie całe, zajęcia, rozmowy, myśli zmieniły się nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; dla skłonnych do marzeń można sobie wystawić, jakim wątkiem do snucia ich stała się nowina o podniesieniu na tron ubogiej królewny, czego się spodziewano dla króla, dla rodziny całej, dla towarzyszów jego wygnania i niedoli.

Jedni już z triumfem powracali do Polski, drudzy, znając swojego pana, budowali mu wspaniałe

gniazdo we Francji i dawali go za mentora zięciowi. Leszczyński, którego Polska nie chciała, przez Francję miał rządzić światem. Naturalna rzecz, że wszyscy jego słudzy mieli nadzieję podnieść się wysoko.

Tarło, który, pomimo swych cierpień, uczuł się odmłodzonym, odżył, wyprostował się, zdumniał; nie mógł się on wydziwić obojętności i chłodowi króla, który chodził zadumany i prawie smutny.

— Admiruję w. król. mość w szczęściu — mówił i powtarzał ciągle — tak, jak ją w złej doli uwielbiałem! Tak zimnej krwi w położeniu podobnem ani w nim, ani w nikim nie przypuszczałem.

Król się uśmiechał.

— Kochany kasztelanie — odparł. — Nie masz mnie z czego chwalić. Niedowiarkiem jestem i szczęściu, choćby mi się prezentowało najbardziej ponętnie, lękam się zbytnio zaufać. Trzymam się trzeźwo i nie szaleję, przez egoizm może, aby mniej cierpieć, gdy szczęście spodziewane zawiedzie. A przytem — dodał — dziękuję Bogu za wyniesienie mojego dziecka, błogosławię Go, a mimowoli pytam się: nie jest-li to próba tylko? Któż wie, co nas czeka? Wszakże infantka hiszpańska nietylko zaswataną była, ale przywiezioną do Paryża; trzymano ją lat kilka, a naostatku odesłano. Dlaczegóżby nie mogli mojego biednego dziecięcia grzecznie się tak pozbyć jutro, jak dziś je powołali? Wszystko możliwe... Muszę więc, aby nie doznać zawodu, być do niego przygotowanym.

Rozumie się, że rozgłos królewskiego wyboru, który padł na królewnę polską, przyjaciół i nieprzyjaciół Leszczyńskich poruszył i do Wissenburga goście ze wszech stron płynąć zaczęli.

Miasteczko, wszystkie gospody, gościniec, podwórza, przedpokoje cały dzień były pełne. Szlachta, duchowieństwo, wojskowi śpieszyli z powinszowaniami, wcześnie starając się sobie łaskę królewską zaskarbić. Niechętni dworowi i Bourbonowi, bo i na tych nie zbywało, przyjeżdżali z ostrzeżeniami, z plotkami, z tem, co z Paryża wiatr codzień roznosił po kraju.

Jedni kazali się Leszczyńskiemu obawiać Fleury'ego, drudzy Bourbona; inni ubolewali nad tem, że tak młodego króla trudno będzie utrzymać, zająć, przywiązać, zabawić, gdyż młodzież nawet, co go otaczała, narzekała na to, iż łatwo się wszystkiem przesycał i nieustannie pragnął zmiany.

W tym chórze najsprzeczniejszych wieści w istocie więcej było rzeczy mogących przestraszyć, aniżeli dających na przyszłość otuchę. Sam król czuł to najlepiej, ale na całą tę sprawę zapatrywał się ze swego stanowiska filozoficzno-chrześcijańskiego.

— Jest to widocznie dzieło Boże, — mówił do utyskującej żony — palec w tem Opatrzności. Myśmy się nie starali o to... nikt nie myślał o takim losie dla Maruchny. Że nie różami usłanym gościńcem iść będzie anioł nasz, to pewna; ale też sobie zasługę zaskarbi wielką. Utrzymać wiarę, na którą zewsząd bezbożne gotują się napaści, zaświadczyć ją cierpieniem i głośnem wyznawaniem — to los Maruchny. Słabą się ona wydać może komu... ja wiem, że się nie ugnie.

Zupełnie tak samo pojmowała to, co ją czekało królewna. Myśl, że ona była przeznaczoną od Boga na tron Francji i miała posłannictwo, tkwiła też w umyśle starej piastunki Moszyńskiej.

Teraz dopiero przypomniano sobie, że gdy Leszczyńscy jeszcze w księstwie Dwu-Mostów przemieszkiwali i stamtąd odbywali częstokroć pielgrzymki pobożne do wsławionych we Francji kościołów, raz, znajdując się na nieszporach w opactwie na granicy położonem, królewna przy odśpiewaniu modlitwy *„Salvum fac regem Domino"* uczuła się nagle tak poruszoną, iż łzy się jej z oczu rzuciły. Przestraszonej naówczas Moszyńskiej przyznała się do przyczyny tego niezrozumiałego dla siebie uczucia...

Było to więc przewidywanie duszy, zgadującej swe przeznaczenie.

Przez jakiś czas nie nazywano potem Marji inaczej, jak królową, za co ona gniewała się i protestowała. Chodziła smutna i jakby zgięta pod wielkim

ciężarem. Raz się nawet przed Moszyńską przyznała poufnie, iż, teraz modląc się, codzień w końcu dodawała:

— Panie, jest-li w tem wola Twoja, to odwróć ten kielich ode mnie.

Ochmistrzyni płakała i gniewała się razem.

— Dziecko moje, — mówiła — grzeszne to są myśli. Nie godzi się być względem Boga niewdzięczną! Jeszcze wam mało dał dowodów łaski? Król, najpiękniejszy mężczyzna w całem królestwie, pomiędzy władcami Europy stojący najwyżej, narówni z cesarzem... państwo ogromne, bogactwa niepoliczone, następca Ludwika Świętego, wiary Chrystusowej obrońca... Czegóż więcej pragnąć można nad to szczęście, aby stać u jego boku?

— Moja kochana Moszyńsiu, — mówiła królewna, rumieniąc się — nie rozumiesz mnie. Ja właśnie tak wysokiego powołania godną się nie czuję. Skromniejszej pragnęłabym doli. Gdybyś ty, jak ja, oczyma duszy przewidzieć mogła, co mnie na tronie czeka... wtórowałabyś mi w modlitwie do Boga: Panie, odwróć ten kielich ode mnie! Sądziszże, iż obcej sierocie, wszyscy co tam czyhają na władzę i panowanie, nie będą zazdrościć, starać się ją poniżyć, upokorzyć, osłabić? Gdzież ja tam znajdę przyjaciół i poradę... skąd zaczerpnę siłę?

Moszyńska pocieszała tem, że pobożna królowa w duchowieństwie łatwo znajdzie poparcie, że koło niej ugrupować się musi co najszlachetniejszego, najzacniejszego ma w sobie Francja; ale i ona, i król, i wszyscy — choć milczeli — widzieli zarówno walkę i niebezpieczeństwa, na jakie wystawioną być miała Francji królowa...

Dość było pomyśleć, że panowanie jej przychodziło wprost po rozpasanej moralnie i fizycznie regencji, że żyli jeszcze towarzysze wesołych kolacyj regenta, że wspomnienie czasu tego było żywe, młodzież nawykła do płochego zabawiania się, do intryg i swywoli, do nieposzanowania niczego, oprócz namiętności,

która wszystko usprawiedliwiała. Sam pozór przymusu do zachowania jakiegoś decorum, form przyzwoitych, etykiety starego kroju wywoływał już opozycyjne okrzyki.

Królewna Marja nie była wtajemniczoną w szczegóły, ale i jej ucha doszły odgłosy regencji. Ze zgrozą mówiono tu pocichu o skażeniu obyczajów, które rozmaitym przyczynom przypisywano...

O młodym Ludwiku XV najrozmaitsze chodziły wieści. Wychowanie Fleury'ego uczyniło go prawdziwym sfinksem. Zawczasu nauczył się milczeć dumnie, nie odkrywać przed nikim, a gdy czuł potrzebę jakiegoś swobodniejszego wyrażenia się w bardzo powszednich sprawach, wybierał sobie za słuchaczów małe kółko młodzieży, z którą nie potrzebował na nic się oglądać. Ale i z tymi poufałość była zwykle krótkim wybuchem tylko.

Dla opiekuna swego, biskupa Frejus, Fleury'ego, Ludwik XV był powolności niesłychanej. Nie sprzeciwiał mu się nigdy, ale dodać należy, że Fleury nie wymagał niczego, coby królowi przykrość uczynić mogło i znając wychowańca, zgadywał myśli jego. Fleury, widząc zawczasu wychowańca znudzonym, żądającym zawsze jakichś nowych a dziwacznych rozrywek, szukał ich dla niego w najmniej przewidzianych wymysłach. Zkolei zabawiał go tokarnią, ogrodem, a nawet szyciem na krosienkach. Do myślistwa nie zachęcano młodego pana, ale ono było w odwiecznych tradycjach dworu i należało do zabaw, które atrybutami królewskiemi nazwać się mogły.

W Wissenburgu cieszono się tem, iż był pobożnym, że najmniejszej nigdy nie okazywał sympatji tym dowcipnisiom, co się naówczas wsławiali zuchwałemi porywy na rzeczy długo uświęcone, szanowane, nietykalne. Uważano, że takie bunty wcale mu się nie podobały; nie widział w nich odwagi przekonań, ale warcholstwo, dla pozyskania sławy i oklasków ulicznych.

W oczach swej narzeczonej, która dotąd znała tyl-

ko przyszłego małżonka z portretu, jaki jej z Paryża przysłano, Ludwik przedstawiał się jako idealnie piękny młodzieniec, z królewskim majestatem, wrażającym jej niemal obawę. Czuła w nim pana swego, a dotąd jedynym dla niej był... Ukrzyżowany.

Żadnej wówczas jeszcze płochości zarzucić nie było można młodemu królowi, a jeżeli w cieniach Wersalu i Tuilerjów już się coś ukrywało, o tem tylko wiedział jeden Bachelier, kamerdyner-ulubieniec, jedna z tych postaci niewidocznych, które za kulisami historji wielką grają rolę, kryjąc się w mroku.

Serce Marji skłaniało się ku oblubieńcowi, tak świetną otoczonemu aureolą, lecz strach ją ogarniał zarazem. Niedowierzała jeszcze przeznaczeniu swojemu, modliła się, aby Bóg od niej kielich ten szczęścia i goryczy pełny oddalił.

W porównaniu do tego, co się działo, co zajmowało wszystkich w Wissenburgu — modlących się, cieszących, niepokojących razem — Paryż przedstawiał obraz nieporównanie jaskrawszy. Tam wybór biednej, nieznanej królewny, niezrozumiały, niepojęty, nieprawdopodobny, zdumiał w początku i niemal osłupił. Po pierwszej chwili podziwu zerwała się burza opozycji.

Oblubienica wybrana stała poza wszystkiemi znanemi tu kołami, bez związku ze społeczeństwem, bez stosunków z niem — i wydała się wszystkim niebezpiecznym wrogiem.

Zrozumiano to łatwo, iż ks. Bourbon i jego faworyta, pani de Prie, wybierając ją, rachowali na to, że sami nią owładną i przez wdzięczność serce jej zjednają. Był to zamach zuchwały na wpływ wszelki, było to wzięcie króla w niewolę.

Opowiadano, że gdy wybór Marji na radzie postanowiony został, a nikt przeciwko niemu nic do zarzucenia nie miał, szło tylko o przyzwolenie samego króla... Młody pan powołany, wszedłszy do pokoju, po odczytaniu wniosku, którego słuchał obojętnie, milcząco tylko dał znak przyzwolenia.

Przeciwnicy tego małżeństwa, które w całej Europie zdumienie wywołało, a w Paryżu samym niesłychaną wrzawę i niepokój, spróbowali naprzód podziałać na Ludwika XV, przez młodzież do niego zbliżoną, książąt de Gèvres i de la Trémouille; ale na pierwsze słowa rzucone przez nich, tyczące się królewny, młody król ze stanowczością groźną odepchnął wszelkie złośliwe insynuacje. Słuchać ich nie chciał. Dał poznać, że zuchwalstwem nieprzebaczonem byłoby chcieć się mieszać do spraw państwa.

Kardynał, do którego przybiegano, usiłując go dla opozycji pozyskać, znalazł się ostrożnie i bacznie. Dał mówić, ale wkońcu wskazał na księcia Bourbon, jako na głównego sprawcę, do którego się zwrócić należało. On... umywał ręce.

Naówczas wszyscy, co rachowali na małżeństwo inne, rzucili się ku pani de Prie i Bourbonowi. W charakterze księcia było, że właśnie opozycja mogła go tylko umocnić w postanowieniu, a pani de Prie w oporze, niechęci, wrzawie widziała najlepszy dowód, że Bourbon uczynił wybór doskonały, którego się lękano. On miał zawładnąć królową, ona powinna była młodszego od siebie podbić króla.

Im większy przestrach ogarniał przeciwników, tem pani de Prie stała mocniej przy doskonałym wyborze.

Rozpuszczane wieści jednakże zmuszały pierwszego ministra do odpierania zarzutów, któremi wybór chciano uczynić groźnym. Głosy się naprzód podniosły przeciwko królowi Stanisławowi, pochodzeniu jego, ubóstwu, pretensjom do tronu polskiego, które Francję w wojnę mogły uwikłać i w Niemczech jej nieprzyjaciół rozbudzić.

August saski z całą zręcznością swej przewrotnej polityki działał tu czynnie, usiłując zapobiec, aby jego współzawodnik nie został teściem króla Francji. Jeżeli to dziś jemu samemu nie groziło, to zapierało drogę do tronu synowi, dla którego August marzył o Polsce podzielonej i dziedzicznej.

Stronnictwo saskie znalazło naturalnie w Paryżu

cały obóz sprzymierzeńców, gotowych do połączenia się i pomocy. Bourbon został zmuszony do szukania środków, aby krzykaczom zamknąć usta.

W czasie kilkoletniego pobytu w Wissenburgu król Stanisław, pomiędzy innymi gośćmi, którzy go częściej odwiedzali, polubił szczególniej podpułkownika regimentu króla, kawalera de Vauchon, z którym w szachy i warcaby grywał.

Vauchon był charakteru łagodnego, humoru miłego i kochał starego króla, dla którego był z poszanowaniem dziecięcem. Znany poufalej Leszczyńskiemu, mógł z nim mówić otwarcie i wymóc łatwo pewne zobowiązania, dla zabezpieczenia przyszłości potrzebne.

Otrzymawszy te króla przyrzeczenia i ogłosiwszy je, książę de Bourbon mógł zamknąć usta przeciwnikom.

Jednego więc letniego poranku król z wielką swą pociechą zobaczył dawno już niewidzianego swojego ulubionego Vauchona i przywitał go radośnie.

— Winieneś mi rewanż! — zawołał, witając go. — Ale skądże przybywasz? Czy regiment wasz na rekolekcje dostał się do tej ubogiej Alzacji? Jakiemu wypadkowi zawdzięczam, że was tu powitać mogę?

— Moja podróż — odparł Vauchon — nie jest wcale dziełem przypadku, n. panie; poprostu wysłano mnie tu do w. królewskiej mości, abym z nią w pewnych sprawach się rozmówił.

— Wybór nader dla mnie miły — wtrącił Leszczyński.

— Ja przyznam się, że wolałbym, — odrzekł Vauchon — aby mi co innego zlecono, gdyż poselstwo może mieć i pewne nieprzyjemne strony.

— Mój pułkowniku, — rozśmiał się król — ja, jak wiesz, jestem ostrzelany. Któż, czy cię ks. Bourbon przysyła?

— Tak jest.

— Nie rozumiem, — odezwał się Leszczyński — czego jeszcze może wymagać po mnie... Dla szczęścia

jedynego mojego dziecięcia wie, że wszystko gotów jestem poświęcić. Mów więc, proszę, otwarcie.

— Zacznę więc od najnieprzyjemniejszej części mojej misji — zagaił Vauchon, któremu król przy sobie miejsce wskazał. — Ks. Bourbon oświadcza, w imieniu n. pana, że połączenie jego z córką w. król. mości nie powinno żadnych obudzać nadziei odzyskania tronu polskiego. Zapowiadają zgóry, abyście się nie łudzili, bo Francja nie może i nie uczyni dla was nic w tej sprawie. Powinniście się więc wyrzec wszelkich pod tym względem nadziei.

Król Stanisław, słuchając, poruszył naprzód lekko ramionami, usta mu się uśmiechać zaczęły łagodnie, zawahał głową, złożył ręce, a na jasnem czole tak niezamąconą niczem widać było pogodę i spokój, że Vauchon nie wiedział co myśleć i powątpiewał, czy go zrozumiano.

— Kochany pułkowniku, — odezwał się król wkońcu — abyście raz na zawsze pewni byli tego, że ja dla siebie żadnych rachub nie mam, wydając za króla moją Maruchnę, dam wam na piśmie zaręczenie, iż Augustowi jego panowania w Polsce zakłócać nie myślę, ani Francji wciągać w wojnę, dla niej ciężką i szkodliwą. Pozwolicie mi tylko dodać, iż gdyby kiedy Francja mnie w jakikolwiek sposób użyć potrzebowała, służyć jej i królowi jestem gotów osobą, krwią i wszystkiem, co mam... Czy wam to starczy?

— Byłem pewnym, — odparł, skłaniając się, Vauchon — że w. król. mość nie inną dasz mi odpowiedź. Rzecz więc skończona.

— Ja zaś, mój pułkowniku, — dodał Leszczyński — nie spodziewałem się, aby raz jeszcze żądano ode mnie tego zapewnienia, którego charakter mój i całe życie przeszłe są poręką. Nie dobijałem się korony, anim się starał o wywyższenie to dla córki. Za królestwo moje krótkotrwałe odpokutowałem ciężko, daj Boże, aby Maruchna była szczęśliwszą, zyskując koronę.

— Wątpicież o tem? — zapytał Vauchon.

Król głowę spuścił i zamilkł.

— Nie mówmy o przyszłości — dodał smutnie. — Jam już stary; przekona was życie, że nikt nigdy nie odgadł losu swojego. Jutrzenka różowa nie zawsze zapowiada dzień jasny... Macie co więcej jeszcze? — zapytał po chwili.

Vauchon, który króla szanował, zostawał z nim w najlepszych stosunkach i rad był najmniejszej oszczędzić mu przykrości, chociaż mógł pomniejszemi go nudzić drobnostkami, oświadczył, że dana tak otwarcie odpowiedź nic już do życzenia nie zostawia.

— Chciej tylko w. kr. mość, — dodał — zamiast mnie, odpowiedzieć pismem wprost ks. Bourbon, który listem tym wszystkim zamknie usta i koniec położy nowym projektom i pytaniom.

— Właśnie chciałem to uczynić — przerwał Leszczyński. — Znacie lepiej wymagania ludzi; pomóżcie mi do zredagowania tego dokumentu tak, aby był jasnym, pełnym i nie pozostawiał już najmniejszej wątpliwości.

— N. panie, — odparł Vauchon, kłaniając się — dworak, wojak, próżniak, nigdy do pióra nie czułem powołania; nie zdałem się też na dyplomatę i wątpię, abym się naco przydał w. król. mości. Mogę w tem usłużyć tylko, iż znam całą przebiegłość i podejrzliwość tych ludzi, którzy dokument czytać będą i komentować.

— Mój pułkowniku, — rzekł król rubasznie — na tych ichmościów, których wasz Rabelais abstraktorami kwintesencji zowie, jest jeden najlepszy sposób — szczera, szlachetna otwartość.

W parę godzin potem wszystko było skończonem. Król wezwał Włodka do kancelarji, podyktował mu list, odczytał go pułkownikowi i kazał przepisać.

Vauchonowi polecono trochę tym razem dłużej pozostać z Leszczyńskimi i życiu się ich przypatrzyć, aby ze szczegółów zdać sprawę i wymysłom śmiesznym żywem prawdy opowiadaniem kłam zadać.

Dwór i rodzina przyjmowała go z tą polską go-

ścinnością serdeczną, którąby wrogów nawet przejednać potrafiła. Pułkownik mógł się przekonać, iż żadnych tajemnic do ukrywania nie mieli; wszystko było odkryte, jawne, gdyż nic osłaniać nie potrzebowano. Wszyscy oni okazywali się takimi, jakimi ich Bóg stworzył.

W Paryżu posła tego zpowrotem oczekiwano z niecierpliwością. Ks. Bourbon szczególniej niepokoił się wrażeniem, jakie mógł raport uczynić, a przeciwnicy wyzyskaćby go nie omieszkali. Stało się jednak inaczej, niż ułożonem było; Vauchon, zmuszony zwrócić się z drogi do swojego regimentu i powrót opóźnić, przysłał na piśmie sprawozdanie, które brzmiało:

„Dobrze się rozpatrzywszy we wrażeniu, jakie wielki wypadek obecny uczynił na umyśle króla Stanisława, zdaje mi się, że usposobienie jego i uczucia w taki sposób będę mógł określić. Powiada on, że tak jest przejęty tem dziełem Opatrzności, iż lękałby się zachwiać wolę Bożą, gdyby w sercu pożądał czegoś więcej, nad to wywyższenie, jakie go spotkało obecnie, czy to nowe jakieś osnuwając plany, czy wznawiając te, które mu się nie powiodły, lub żądając pomsty nad nieprzyjacioły i jednania sobie przyjaciół nowych. Pan ten nie po raz pierwszy cierpi od złej doli. Czuje on, jak przystało, wielkie swe szczęście, ale niem nie jest olśniony. Stał się dobrym Francuzem, nie mając na teraz ani pragnienia, ani woli innej nad to, co zgodnem jest z interesami państwa. Najzupełniej gotów być posłusznym woli króla i życzeniom j. wysokości księcia Bourbon. Nie należy się obawiać o to, aby mógł mieć kiedy jaki cel inny, nad wskazane. Wszelkie jego starania i zachody skończone, nie pozostaje mu nic więcej nad to, by ręce wznosić do nieba, prosząc Boga o błogosławieństwo dla księżniczki Marji, której los stanowi w życiu jego najświetniejszą epokę.

„Co się tyczy zwrotu dóbr jego, znajduje, że byłoby z ujmą godności króla zajmować się tą sprawą

i mieszać się do niej bezpośrednio. Sprawa to, do której Szwecja jest zobowiązana traktatem z nim zawartym. Rzecz ta była dotąd bardzo dobrze prowadzona, a król August już na główne zgodził się artykuły.

„Co się tyczy przywrócenia na tron króla Stanisława, tak drogi mu jest spokój, że nie chce o tem myśleć wcale i można króla Augusta zapewnić, iż panowania jego w niczem nie zawichrzy. Gdyby jednak Francja znajdowała się kiedy w takiem położeniu, iż dla niej potrzebnemby się stało, ażeby król Stanisław wyszedł z nieczynności — znajdzie się zawsze gotowym do postąpienia wedle życzeń. Król wielekroć mi powtórzył, iż wcale tronu Augustowi nie zazdrości i sto razy jest szczęśliwszym, mogąc życie pędzić we Francji.

„Król Stanisław nie ma przy sobie sekretarza z urzędu, sam go zastępuje. Stary sługa jeden pisze, co przepisywać potrzeba. Czasami, gdy go nieszczęścia spotykały, odprawiał zkolei będących przy sobie panów polskich, którzy mu towarzyszyli, jużto, aby ich od prześladowania ochronić, już by własnemu ulżyć położeniu. Jeden tylko hrabia Tarło, cioteczny brat królowej, nie chciał się dotąd od osoby króla oddalić.

„Matka króla Stanisława nigdzie publicznie występować nie ma zamiaru, z powodu złego stanu zdrowia i podeszłego wieku. Modli się tylko i nabożeństwo jest jej jedynem zajęciem.

„Dwór obecnie składa się z marszałka i sześciu czy siedmiu szlachty polskiej, wszyscy starzy, z wyjątkiem marszałka. Oprócz tego jest dwóch księży polskich, z których jeden, jezuita, spowiednik księżniczki Marji od jej dzieciństwa. Królowe mają przy sobie służące, szlachcianki polskie. Słyszałem króla oświadczającego, iż nie życzy sobie, aby kto ze dworu jechał z królową, oprócz o. jezuity. Ten mógłby jaki tydzień pozostać, aby zdać staranie o królowę w ręce swojego następcy, który wyznaczonym zostanie do czuwa-

nia nad nią. Dobry ten kapłan wychował ją w pobożności prawdziwej, bez bigoterji, a król Stanisław życzy sobie, aby mógł dać wskazówki temu, który go ma zastąpić i czuwać nad nią w przyszłości".

Doniesienia Vauchona jasne, dobitne, wszystkich wreszcie uspokoiły. Podobały się one powszechnie i nie dozwalały już wątpić, że małżeństwo mimo zabiegów niechętnych przyjdzie do skutku.

Na żądanie potajemne pani de Prie pułkownik Vauchon postarał się o miarę wzrostu królewny Marji, potrzebną dla przygotowania ubiorów, sukien i obuwia.

Upominać się o to etykieta nie dopuszczała, ale zręczny Francuz, przez jeszcze zręczniejszą służbę swą, potrafił nawet wykraść jeden pantofelek.

Był on niebardzo wykwintny, dobrze już przenoszony, trochę zabłocony, bo odbywał po ubogich chatkach podróże, ale rozmiarami swojemi obudził podziwienie i okrzyknięto go... pantofelkiem kopciuszka. Nim go powierzono jako miarę haftującym złotem przyszłe obuwie koronacyjne królowej, pantofelek obiegał z ręki do ręki połowę Paryża. Elegantki na wzór jego kazały sobie szyć buciki „à la Reine".

Miara wzrostu poszła do krawców i pań, co się wyprawą trudniły.

Ci, co na łowach mieli sposobność zbliżać się w tym czasie do młodego króla, na twarzy jego napróżno śledzili oznak tego, czego się może spodziewali lub oczekiwali, jakiegoś znudzenia lub zniecierpliwienia symptomów. Ludwik XV polował i uganiał się za jeleniami, jakby o małżeństwie nie myślał wcale.

Poselstwo Vauchona, głośne oświadczenie ks. Bourbon, iż małżeństwo nieodwołalnie jest postanowionem, widocznie już do niego rozpoczęte przygotowania, wszystko to musiało utwierdzić w przekonaniu, iż knowania przeciwko niemu nic nie zdołają.

Pomimo to starano się choćby potwarzami zatruć

Leszczyńskiemu ich niespodziane szczęście i księciu Bourbon nie dać spokoju.

Książę, pani de Prie, Parisowie zarzucani byli codziennie mnóstwem listów, objaśnień, zeznań, ostrzeżeń bez najmniejszej podstawy, które natychmiast obalało najpowierzchowniejsze wywiadywanie się, bo w nich nie było ani prawdy, ani prawdopodobieństwa.

Na chwilę jednak sprowadzało to niepokój, dopóki fałsz nie okazał się bezczelnym wymysłem.

Śmiano się, triumfując nad bezsilnemi porywami... i winszowano sobie szczęśliwego wyboru.

VI.

Walka ta, trwając już czas niemały, zdawała się tracić na sile i ustawać, gdy spiskujący przeciwko Bourbonowi i ożenieniu z Leszczyńską strzałę oddawna przygotowywaną, która, ich zdaniem, miała być ciosem Parta, nakoniec wypuścić postanowili.

Dwór lotaryński, którego dwie księżniczki były na spisie kandydatek i zdawały się mieć nadzieję, że jedna z nich wybrana zostanie, obrażony odrzuceniem, zgodził się na poparcie baśni zręcznie skleconej i jakby od niego wychodzącej.

Wiadomem było, że księżna matka lotaryńska, która na wydaniu córki za Ludwika XV olbrzymie budowała plany, nie taiła swej niechęci dla Leszczyńskich i lekceważąco publicznie o nich mówiła, mszcząc się za wydarte sobie nadzieje. Sam książę, lepiej umiejący panować nad sobą, podzielał te uczucia i na dworze lotaryńskim wrzało i kipiało nienawiścią dla króla Stanisława.

Tu się zrodziła plotka nowa, którą ktoś niemal półurzędownie nadesłał jako przestrogę do Paryża, iż tajemnicę czyniono z tego, że księżniczka Marja od dzieciństwa na nieuleczalną epilepsję cierpiała, której napady ukrywano. List, donoszący o tem, ułożony był

z taką obfitością szczegółów, dokładnością pozorną, świadomością najmniejszych okoliczności objawom choroby towarzyszących, że nawet chcąc go sobie złośliwością i intrygą tłumaczyć, pozostawała wątpliwość, azali w nim jakiejś podstawy nie było. Zmyślenie miało wszystkie cechy prawdy i mogło zastraszyć.

Książę Bourbon, acz nie dał wiary spóźnionemu ostrzeżeniu, znając jego pochodzenie, przeraził się następstwami, odpowiedzialnością, jeżeliby cokolwiek rzeczywistego kryło się w tej baśni.

Jako dowód przytaczano w liście, że królowa Leszczyńska, zastraszona chorobą córki, na którą lekarze nic poradzić nie mogli, dowiedziawszy się, że zakonnica jedna w Trewirze na tę słabość leczyła cudownie, udawała się do niej o radę.

Znano dobrze genezę tego listu i ludzi, którzy pierwsi się z nim nosić zaczęli. Ks. Bourbon czuł w nim rękę nieprzyjaciół swoich, lecz nawet wymysł i bajkę trzeba było odeprzeć i wykazać, że był fałszem i potwarzą.

Włodek, który teraz niemal ciągle znajdował się na gościńcu pomiędzy Wissenburgiem a Paryżem, był właśnie w stolicy, gdy jak piorun z jasnego nieba list ten spadł na już uspokojonego i triumfującego Bourbona. Zawrzało znowu, że książę przyszłość Francji i dynastji rachubom swoim poświęca.

Pani de Prie, w której usługach Lozilières zawsze się jeszcze znajdował, natychmiast po niego posłała. Lozilières, po którego Duverney posłał powóz własny, schwycony u obiadu, przestraszony, zaledwie się zjawił w progu buduaru, w którym pani de Prie komitetowi Parisów prezydowała, gdy drzwi za nim zamknięto, postawiono straże i ową lotaryńską przestrogę zdumionemu czytać zaczęto, czyniąc mu wyrzuty, że gdy zdawał sprawę ze wszystkiego, co się Leszczyńskich tyczyło, tak ważną mógł zataić wiadomość.

List zredagowany poważnie, namaszczony politowaniem, natchniony czcią dla dynastji Capetów, pe-

łen gróźb i boleści, pomimo tonu swego zdradzał pochodzenie — był nadto mądrze i umiejętnie pisany.

Obwiniony wcale się tem nie dał zastraszyć, rozpatrzywszy się w jego treści. Spokojnie słuchał wyrzutów z półuśmiechem, a gdy pani de Prie wymawiała mu, że choćby fałsz takiej wagi powinien był powtórzyć, a nie ignorować go, Francuz odparł śmiało:

— Niepodobieństwem było dowiedzieć się o tem kłamstwie wierutnem, które dopiero się świeżo narodziło. Któż mógł przewidzieć, że tak cyniczny fałsz w obieg puszczą? W Wissenburgu żadnych niema tajemnic, nic się nie kryło i nie kryje. Gdyby królewna raz w życiu na coś podobnego chorowała, mówionoby o tem, bo ja miałem szczęście słuchać opowiadania, jak się jej pierwsze ząbki wyrzynały. Jest w naturze tych ludzi, że gdyby popełnili najokropniejsze przestępstwo, dla ocalenia życia utaićby go nie potrafili. Zresztą mam pod ręką sposób najprostszy przekonania, że w Wissenburgu nikt nigdy o niczem podobnem nie słyszał. W Paryżu znajduje się właśnie dworzanin króla, który mu czasem sekretarza zastępuje, a którego ojciec służył też Leszczyńskim. Znam go; można powołać tego Polaka i jak najsurowiej go badać.

Pani de Prie, aby nie spuszczać się na nikogo, natychmiast zażądała go widzieć sama. Nie chciała się zdradzić, ale gotowa była nawet dwuznaczną odegrać rolę w jakiemkolwiek męskiem towarzystwie, byle mogła zbliżyć się i poddać Włodka umiejętnemu niewieściemu badaniu.

Obmyślono sposób bardzo prosty i łatwy, urządzając po teatrze wieczerzę u jednego z Parisów, który miał się pod obcem jakiemś pokazać nazwiskiem. Pani de Prie przyjmowała na siebie rolę skromnej do usług przyszłej królowej wyznaczonej panienki, a że Włodek żył i obracał się poza kołami temi i nie mógł sprawdzić tożsamości osób, nie wątpiono, że tajemnica nazwisk zachowana zostanie.

Wieczerza zapowiadała się świetną i wesołą, bo

Parisowie nie żałowali pieniędzy, gdy szło o popisanie się z niemi w interesie księcia. Sprawa ta zresztą była ich własną.

Włodek, którego Francuz jako przyjaciela swego, dworzanina króla polskiego, przedstawiał, pomimo ogłady i pewnego obycia się z Paryżem, wydał się tym panom trochę sztywnym i oryginalnym. Nie mógł on nigdy i nigdzie powagi swej polskiego szlachcica zostawić w kącie. Młody, przystojny, pojętny, nie we wszystkiem potrafił Francuzów zrozumieć i być przez nich zrozumianym. Czuć było, że był w innych zupełnie warunkach obyczajowych powszedniego życia.

Pani de Prie postanowiła go oczarować i nie powątpiewała o skutku; tymczasem okazało się, że wejrzenia jej, uśmiechy, półsłówka, cała zalotność wypróbowanej siły na Włodku najmniejszego nie czyniły wrażenia. Cofał się tylko nieco przestraszony, gdy gwałtowniej nacierała.

Zaledwie Lozilières umyślnie przy prezentacji tytuł dworzanina królewskiego wymówił, gdy piękna pani, jakby niespodzianie nim uderzona, zbliżyła się natarczywie do niego.

— A! cóż to za szczęście! — zawołała — pan jesteś zbliżonym do rodziny przyszłej królowej naszej, pan znasz ją dobrze pewno i oddawna. My tu mrzemy z ciekawości, dowiedzieć się czegoś pragniemy o przyszłej pani naszej. Biorę pana w rekwizycję, musisz nam mówić o niej...

Włodek, napadnięty w ten sposób, chociaż się oświadczył z gotowością udzielenia wszelkich możliwych objaśnień, stał się wielce ostrożnym, obawiał się nieoględnego słowa, któreby, fałszywie tłumaczone, w obieg pójść mogło.

— Z największą chęcią — rzekł—opowiem wszystko, cokolwiek obchodzić kogo może...

— Ale nas wszystko obchodzi, co się jej tyczy — podchwyciła de Prie. — Ma być naszą królową, o najskromniejsze miejsce przy jej osobie dobijają się już dziś najświetniejszych imion kobiety, a nikt nie wie

nawet, jak wygląda ta wielka nieznajoma, co lubi, czem się bawi, jak się jej przypodobać można. Najmniejszy szczegół dla nas drogi, a tu w Paryżu prawią takie baśnie i plotki...

— Mogę panią zaspokoić i zapewnić — rzekł Włodek, — że to jest prawdziwy anioł dobroci, istota wprawdzie do życia w Paryżu i u dworu niebardzo przygotowana i stworzona, ale Paryż byłby z kamienia, gdyby przed nią nie pokląkł...

— Tak piękna jest? — podchwyciła de Prie, dla której piękność stanowiła najwyższy przymiot niewieści.

— Pani! — odparł Włodek gorąco. — Piękną ona właściwie nie jest, ale więcej niż piękną, bo świętą.

Pani de Prie dziwnie się uśmiechnęła.

— A tak, słyszeliśmy, iż jest bardzo pobożną — ciągnęła dalej, — ale przecież całego życia na modlitwach spędzać nie będzie mogła.

— Resztę poświęca dobrym uczynkom i nauce — dodał dworzanin.

— Coś przecież będzie musiała poświęcić światu i ludziom — mówiła de Prie, nie dając się zbyć Włodkowi.

— O tem ja wcale sądzić nie mogę — odezwał się badany.

— Ale jest, jak słyszeliśmy, bardzo słabego zdrowia — wtrąciła de Prie, nie mogąc się już powstrzymać. — Czyż ta choroba, na którą cierpiała w dzieciństwie, śladów po sobie nie zostawiła? Powszechnie utrzymują, że ona jest nieuleczalną.

Podstępnie wtrącone pytanie znalazło Włodka tak nieprzygotowanym do jakiejkolwiek odpowiedzi, iż stanął osłupiały, wlepił oczy w mówiącą, usta mu się nieco zdumieniem otworzyły, ale nie śmiał rzec słowa. Nie rozumiał...

Pani de Prie czekała na odpowiedź.

— Choroba? choroba? — począł nareszcie Włodek. — Ja jak żyję, o żadnej jej chorobie, a tem mniej o takiej, któraby nieuleczalną była, nie słyszałem.

Królewna nigdy, dzięki Bogu, nie chorowała. Znam staruszkę, która ją piastowała od dzieciństwa i wyhodowała; słyszałem od niej sto razy, jak ją wychowywano, najmniejsze szczegóły są mi doskonale pamiętne, — ale o żadnej chorobie nigdy nikt w Wissenburgu nie słyszał.

Włodek wkońcu począł się śmiać.

— Nasza królewna — dodał — zdrowsza jest od niejednej chłopki; nawykła z rana, po przeżegnaniu się, dzień poczynać od zimnej wody; bosemi nogami uczono ją biegać po trawie; zahartowana jest, jak my wszyscy w Polsce, bośmy do tutejszych pieszczot i wygód nie nawykli. Pewien jestem, że tam teraz najcięższą troską, co pocznie, gdy na dworze przyjdzie z konieczności barwiczek, różu i bielidła używać, gdy jej twarzyczki świeżej dotąd żadne malowanie nie tknęło, tak jak dusza nie skaziła się nigdy żadnym fałszem i udaniem.

Pani de Prie zakąsiła usteczek i głową zaczęła potrząsać.

— To rzecz dziwna, — rzekła cicho — bo tu u nas chodzą wieści z bardzo poważnego źródła, że królewna jest... ma... że może w dzieciństwie ulegała.

Jąkała się, onieśmielona wejrzeniem Włodka, i nieśmiała dokończyć.

— Ale to żarty chyba! — przerwał oburzony dworzanin. — Jeżeli o chorobie mowa, to o jakiejże, proszę pani, na Boga?

Stanowczość, z jaką Włodek zaprzeczał, położenie jego na dworze, wyraz twarzy zdumionej i oburzonej razem nakazywały dać mu wiarę — i piękna pani usiłowała badanie swe w żartobliwy ton obrócić.

— Czego-bo też złośliwi ludzie nie wymyślą — dodała. — Musi to być bajka, kiedy waćpan o tem nigdy nie słyszałeś.

— U nas — odezwał się Włodek — wszyscy wiedzą o wszystkiem, tajemnic żadnych nie było nigdy i niema. Skąd się ta choroba wziąć mogła, nie pojmuję nawet.

— Pan to przecie łatwo rozumiesz, — przerwała de Prie — że królewnie wszyscy zazdroszczą, wymyślają więc to, coby jej zaszkodzić mogło i zrazić do niej. O zaszczyt zasiadania na tronie Francji nie wahają się dobijać podstępem, potwarzą i kłamstwami.

Zżymnął się Włodek rubasznie.

— Naprawdę — rzekł — ciekawym o jakiej chorobie mówić mogą?

Pani de Prie pocichu wymieniła ją i spojrzała mu w oczy.

— To tak do prawdy podobne, — ozwał się pogardliwie — jakby kto mnie o suchoty posądził. Sensu w tem niema. Ależ plotkę nawet czemś muszą popierać.

Pani de Prie, której teraz szło o to, ażeby wieść, rozsiana zawczasu, doszła Leszczyńskich i żeby się z niej zwycięsko wytłumaczyć mogli, wyspowiadała potrosze dworzaninowi, co mu powierzyć mogła.

— W Tuilleries i Wersalu chodzi — mówiła — plotka, widocznie z Lotaryngji przywieziona, w formie przestrogi, że królowa Leszczyńska nawet na tę słabość córki miała się radzić sławnej mniszki w Trewirze, która na nią leczyć umiała.

Włodek słuchał, na twarzy jego widać było oburzenie i pogardę. Nie odpowiedział potem długo i dopiero zagadnięty wprost począł mówić już ostygły.

— Admiruję, jak to wszystko zręcznie osnute. W Trewirze mniszki odszukać niełatwo, w potrzebie okaże się, że nie żyje, a gdy kłamstwo będzie jawne, można jeszcze powiedzieć, że zmarła siostra Anna chorobie tej podlegała i że jedną wzięto za drugą.

— Tymczasem — poczęła, trochę zapominając o swem incognito, de Prie — słyszałam, że książę Bourbon zmuszonym będzie tej niedorzecznej baśni dochodzić źródła i jawnie kłam jej zadać, bo się z nią po Paryżu noszą...

— Jest ona tak widoczną, — przerwał Włodek — że ktokolwiek króla i jego rodzinę zna bliżej, śmiać się z niej musi. Na nieszczęście zdaleka wszystko

brzmi inaczej i nabiera znaczenia, którego niema w istocie.

— Książę zapewne wyśle doktora do Wissenburga — szepnął Paris.

— I to będzie najwłaściwszem — rzekł Włodek;— potrzeba tylko, by wiedział, jak się obejść z państwem naszem, aby królewny nie zrazić. Jeżeli księciu idzie o to, ażeby małżeństwo przyszło do skutku, nie powinien o tem zapominać, że król widzi w niem tylko tajemniczy palec Opatrzności, a królewna Marja modli się, aby Bóg od niej ten kielich odwrócił... Mogą pochwycić pozór...

Z niedowierzaniem wszyscy krzyknęli, że Włodek przesadza, że nie może być, aby nie pożądano takiego wywyższenia i losu. Jeden tylko Lozilières potwierdził to i utrzymywał, że o Leszczyńskich sądzić z innych ludzi wcale się nie godziło.

Uczyniło to pewne wrażenie na pani de Prie, poczem komitet powrócił do narad nad środkami, jakich użyć należało dla wyśledzenia prawdy, a wykrycia fałszu. Doktora chciano wyprawić zaraz do Wissenburga, a do Trewiru zręcznego agenta, któryby o starej mniszce, leczącej na epilepsję, się dowiedział.

Pani de Prie, uspokojona, odzyskała zaraz wesoły humor, śmiałość i roztrzpiotanie.

Włodek, który już wypił kilka kieliszków wina, czuł się jakoś ośmielony, piękna pani wcale mu nie imponowała.

— Nie znam praw tutejszych i zwyczajów — rzekł, zwracając się do niej, — ale szczęściem uczyć się ich nie widzę potrzeby, bo i żyć tu nie myślę... Boleję tylko nad losem naszego anioła, który życie swe pełne prostoty godzić będzie musiał z wymaganiami tutejszemi.

— A jakże żyje teraz? — pytała de Prie. — Myśmy ciekawi bardzo, bo każdy powiada inaczej.

— A! — zawołał Włodek — życie jej nie różni się w niczem od wszystkich pań naszych... Naprzód dzień poczynają modlitwy, nabożeństwo, msza święta...

Obyczaj to polski dzień od Boga poczynać. Potem, jeżeli pora piękna, królewna obchodzi swoich chorych i ubogich, przechadza się, maluje, gra, czyta. Około południa ojciec przybywa zwykle na rozmowę i przegląda jej roboty. Oprócz tego otoczenie jej składali matka, babka, piastunka i my wszyscy. Znaczną część dnia poświęca ręcznym robotom do kaplic i kościołów.

Prie słuchała, zlekka poruszając ramionami.

— A własne jej ubranie? czy lubi się stroić?

— Stroić? ona? — rozśmiał się Włodek — a nacóżby jej się to przydało? Dla przypodobania się ludziom nie potrzebuje tego wcale. W prostej sukieneczce najlepiej chodzić lubi, z chusteczką czarną na głowie. Przepychu w stroju nie zna i nie rozumie.

— Cóż więc lubi? — wtrąciła pytająca.

— Modlić się, uczyć się i z ubogimi obcować. Modlitwa przy klęczniku, na którym leży trupia głowa św. Brygidy ze Szwecji przywieziona, to jej najmilsza zabawa.

Pani de Prie przestraszone rzuciła na mówiącego wejrzenie. Posądzała go pewnie o przesadę.

— Smutne życie! — szepnęła.

— Nam się ono takiem nie wydaje — odpowiedział Włodek. — Króla nigdy nie widywałem smutnym, a królewna chyba cudzem się nieszczęściem zmartwi, inaczej wesołą jest jak dziecię...

Przeciągnęła się rozmowa, ale z badania swojego piękna pani niewiele wyciągnąć potrafiła, uspokoiła się jednak wnioskiem, że Marja łagodna, powolna, dobra, choć w towarzystwie osób podeszłych, pobożnych, nabrała obyczajów klasztornych, łatwo się ich pozbędzie, w innej żyjąc atmosferze.

Rozpowiadano potem otwarcie o pogoni i wyścigach za urzędami i miejscami u dworu młodej królowej, o które ubiegano się z taką zajadłością, że się najstarsze przyjaciółki i przyjaciele waśnili o nie...

Włodek mógł się nauczyć wiele, gdyby był do zrozumienia aluzyj i półsłówek przygotowany; przekony-

wał się jednak z ogólnego toku rozmowy, że, chociaż ostrzeżenie to lotaryńskich intrygantów nie pozostało bez pewnego wrażenia i do Wissenburga gotowano się posłać śledzić, skąd mogła pogłoska urosnąć, niemniej w Paryżu uważano już małżeństwo za wpół dokonane i myślano o tem tylko, jak przyszłą przyjmować królową.

Nie dając tego znać po sobie, spędził wieczór wesoło z panią de Pric i Parisami, postanowiwszy już wyprzedzić poselstwo, które z Paryża wyprawić miano, i w Wissenburgu na przyjęcie go przygotować.

Lat parę, spędzonych na dworze króla, a nawpół w Paryżu i Strassburgu, pomiędzy Francuzami, do których Leszczyński chętnie go posyłał, wpłynęło wielce na wykształcenie Włodka; ale była to natura, której twarde jądro nie dawało się niczem przekształcić. Zewnętrzna powłoka zmieniła się na nim, głąb' pozostawała stara. Umiał się doskonale znaleźć wśród Francuzów, zastosować się do ich płochości, śmiać się z nimi, ale nie przestawał poważnie się zapatrywać i sądzić te sprawy, które oni lekceważyli.

Spokojny, zdawało mu się, że był w zgodzie z samym sobą, że spełniał, co sumienie dyktowało, a mimo to, łapał się potem na wątpliwościach, które go czasem niepokoiły.

Tak naprzykład życzył, pragnął, pomagał do tego, aby królewna Marja została królową Francji, a widział, przeczuwał, że na tych wysokościach nie będzie szczęśliwą. Pragnął tego tronu dla króla Leszczyńskiego, bo on mu miał zapewnić dostatnie i odpowiadające godności wyposażenie, spokój do pracy, pociechę oglądania dziecka w największym blasku, jaki mógł otaczać kobietę. Było to triumfem dla niego, ale wiedział, jak drogo to córka przypłacić miała.

Wieczór spędzony z Parisami, obawa, aby króla nie nastraszono niespodzianym najazdem z powodu lotaryńskiej plotki, nazajutrz zmusiły go opuścić nagle Paryż i na pocztowym koniu, mienianym co stacja, prawie bez odpoczynku gonić do Wissenburga. Zale-

żało mu na tem, aby król zawczasu był zawiadomiony, a nie przestraszony niezręcznością, chciał przygotować królewnę.

Powrót jego przyśpieszony tak był mało spodziewanym, iż król, któremu rano znać dano o jego przybyciu, zrozumieć nie mogąc, co go napędziło tak rychło, niespokojny, natychmiast go polecił przywołać do siebie.

— Jeżeli się tak pośpieszył, to nie bez kozery — szeptał król, — a że dobrego mi nic przywieźć nie mógł, to też pewna, ale... wola Boża!

W progu już czekał król na Włodka.

— Panie, — modlił się w duchu — jeżeli ręka Twa ma nas dotknąć, spuść rózgę Swą na mnie, a oszczędź niewinne dziecię moje!

Za wchodzącym dworzaninem drzwi się natychmiast zamknęły i pozostali tak dobrą godzinę sam na sam... Leszczyński spokojnie odczytał owe denuncjacje i wysłuchał opowiadań.

— Zawsze mi się to nadzwyczajne szczęście wydawało niemożliwem — rzekł sam do siebie. — Była to próba, na którą mój anioł Maruchna wystawionym być musiał... Trzeba jej dopomóc, aby to brzemię dźwignęła, nie upadając pod niem. Intryganci się tem posłużą. To, co my mieliśmy za szczęście, stanie się w oczach ludzi sromotą. Powołano ją i odepchnięto... Będziemy musieli znieść, milcząc, afront doznany. Ale czyż i infantka hiszpańska nie była w podobnem położeniu? Obowiązkiem jest moim przygotować Maruchnę.

Ranek upłynął na zwykłych zajęciach; król kilkakrotnie zbierał się do siebie powołać córkę, a brakło mu odwagi. Układał w myśli, jak jej to powie.

Siedział jeszcze za stołem w swoim pokoju i trzymał w ręku ową kopję listu z Nancy, gdy królewna wbiegła, małego pieska trzymając na ręku i pokazując go ojcu, bo pieski lubiła bardzo.

Król Stanisław zwrócił się do niej nagle, bez żadnego przygotowania.

— A co? — zawołał — czytam właśnie listy z Paryża, dziecko moje. Twoje cudowne małżeństwo, na któreśmy tak rachowali na pewno, mając je za rzecz postanowioną, bardzo może rozchwiać się jeszcze. Troskliwi jacyś opiekunowie ostrzegli króla o stanie zdrowia twojego. Zapowiadają mi przybycie doktora, który ma badać stan twój... Rzecz to niezbyt przyjemna. Tłumaczą się niepokojem o ciebie, ale mi się zdaje, że szukają pozorów do odroczenia naprzód małżeństwa, a potem do zerwania z nami.

Na twarzyczce królewny, z wielkiem podziwieniem ojca, odmalowała się niekłamana radość. Puściła pieska i złożyła ręce.

— Ach! ojcze mój drogi! — zawołała głosem brzmiącym radością — nie miałamże ja słuszności, niedowierzając temu, coście wy wszyscy nazywali nadzwyczajnem szczęściem?... Właśnie mi czegoś okrutnie było smutno... ale, że ja w tem widzę tylko spełnienie woli Bożej, zupełnie spokojnie przyjmuję, co ma nastąpić. Wierz mi, że opłakiwać szczęścia tego nie będę, a proszę cię, abyś i ty przyjął tę zmianę obojętnie, nawet wdzięcznie.

Król uścisnął ją czule...

— I nie żal ci, że nie uzyskasz tej siły, któraby ci tyle dobrego czynić dozwoliła? — zapytał.

— A w mojem kółku nie mogęż ja się przydać na co? — zapytała cicho królewna.

— Ty, moja święta, jedyna! — począł rozrzewniony Leszczyński. — Nie wiem, czyby się znalazła druga, któraby z taką rezygnacją najświetniejszego się losu wyrzekła i zepchnięta z pierwszego tronu w świecie uśmiechała się uradowana! Bóg cię ubłogosławił!

— Tyś mnie sam nauczył, — odparła córka — że żadna wielkość szczęścia nie daje. Wierz mi, czuję tylko jedno, że swobodniej oddycham, jakby wielki ciężar spadł z bark moich. Czekajmy tego doktora, może mi przynieść wyzwolenie.

Król, podzielający uczucie córki, uścisnął ją raz jeszcze i dodał:

— Nie lubię nic ukrywać, ale przed babką i matką twoją potrzeba do czasu sprawę tę utaić, bo się napróżno będą może gryzły... Nic jeszcze pewnego niema, intryga przeciwko tobie rozchwiać się może. Oszczędzimy im próżnych wzruszeń. One sobie tak życzą widzieć cię królową!

Uśmiechając się, Maruchna położyła palec na ustach, raz jeszcze ucałowała rękę ojca, porwała psinę swą i wybiegła z nią do Moszyńskiej.

Ze staruszką teraz, chociaż kochały się może więcej, niż kiedykolwiek, nie były w zgodzie. Moszyńska, bolejąc, że ją utracić może, cieszyła się jednak z wywyższenia wychowanki... gdy ona sama przyjmowała je jako krzyż Pański. Biednej, przyszłej królowej Francji nikt w świecie tej ochmistrzyni nie mógł zastąpić, której od dziecka wszystkie swe myśli i uczucia zwierzać była zwykła. Tej powiernicy myśli najskrytszych miało jej zabraknąć. Moszyńska nie wahała się jej nigdy mówić prawdy. Niewielkiego wykształcenia, miała serce wielkie i tę mądrość katechizmową, która filozofom starczy i prostaczkom.

Chociaż się czasem sprzeczały z sobą, godziły się wkońcu zawsze, a dla królewny te drobne spory i rozprawy z Moszyńską były duszną potrzebą. Zwierzyć się jej mogła nawet z takich drobnostek, o którychby babce i matce mówić nie śmiała. Od przywiązania do ulubionego pieska i kwiatków aż do najpoważniejszych życia zagadnień, — wszystko przechodziło przez ich sąd i roztrząsanie. Maruchna dla Moszyńskiej dotąd była dzieckiem naiwnem. I teraz, gdy staruszka widziała ją już przyszłą królową, nie straciła odwagi; obchodziła się z nią, jak z wypiastowaną swoją Maruchną.

Wiadomość o powołaniu na tron niezmiernie w pychę wbiła Moszyńską i uradowała. Dowodziła, że ona jedna przeczuwała zawsze to przeznaczenie, które nie mogło jej minąć, że Maruchna stworzoną była na kró-

lową i losy jej umyślnie ją tu przyprowadziły dla tego celu. Wyrzucała więc mocno wychowance swej, że się nie cieszyła szczęściem swem i modliła, aby Bóg od niej ten kielich odwrócił, gniewała się na nią za tę niewdzięczność względem Opatrzności. Starała się ją nawrócić, ale królewna, milcząc, nie sprzeciwiając się, przekonań swych nie zmieniła.

Rozmowy te ciągle się powtarzały.

— Przypomnij sobie, Moszyńsiu, — mówiła Marja — cośmy się tu nasłuchały o dworze, intrygach, zepsuciu tych ludzi, którzy teraz otoczyć mnie mają, przypomnij, jak ten dwór surowo sądziliśmy, jakeśmy powtarzali, co mówił ojciec Adam, że tam jednego sprawiedliwego znaleźć nie można. Jakże chcesz, abym ja szła w ten zepsuty świat bez trwogi i wstydu?

— Aleś iść tam powinna z pewnością zwycięstwa nad nim, — odpowiedziała Moszyńska — bo Bóg wyznaczył cię, ażebyś przykładem swym ich nawróciła. Nie maszże za co Panu Bogu dziękować, że takie apostolstwo cnoty wkłada na ciebie i uznaje cię godną jego? Zamiast tego ty płaczesz, trwożysz się i chciałabyś się cofnąć!

— Bo nie czuję się godną tego posłannictwa — odpowiedziała królewna. — Słaba jestem i biedna, nie mam ani ich dowcipu, ani śmiałości, ani bezczelności, któremi walczą. A ty, moja matusiu, suchem okiem na to patrzysz, gdy mnie wloką, jak ofiarę.

— Bo wiem i czuję, że ty ich zwyciężysz! — wołała Moszyńska.

Maruchna popłakiwała.

— A tak mi dobrze, cicho, spokojnie było tu z wami, — ciągnęła dalej — z ojcem, matką, babusią i z tobą. Nigdy nie pragnęłam niczego więcej. Wielkości nie pożądałam, blaskiem się brzydzę... Tam mnie fałsz i niewola czekają.

— A ja się o ciebie wcale nie lękam, — kończyła uparta stara ochmistrzyni — chlubię się tobą... wszystko to Opatrzności dzieło... tyś wybrana, wywyższona!

— Nigdym słabości i nicości mojej nie czuła mocniej.

Rozmowy w tym tonie i tej treści powtarzały się między niemi codzień.

Teraz, gdy ojciec jej oznajmił przybycie lekarza spodziewanego, Maruchna z triumfem pobiegła do piastunki. Spodziewała się, że wszystko zostanie zerwane.

— A co! a co! — krzyknęła, wbiegając — Moszyńsiu, na mojem się stanie! Zrywają! zrywają! Mówią, że jestem chora, że niepodobna mnie uleczyć... przyjeżdża doktór... Pan Bóg mnie wysłuchał.

Moszyńska załamała ręce rozpaczliwie.

Marja opowiedziała jej to, o czem się dowiedziała od ojca; ale staruszka bynajmniej tego do serca nie wzięła.

— Intryganci bezsilni próbują, — odparła — ale nie uda się im, ty zwyciężysz... Niech robią, co chcą, — dodała — nie przemogą Bożej woli, bo ta się ludzkich zabiegów nie boi... Wszystko, co oni przeciwko tobie gotują, na nich się samych obróci.

Maruchna musiała zamilknąć.

W małej gromadce służby żeńskiej królowej i matki Leszczyńskiego było teraz przyjętych cudzoziemek kilka. Niektóre z nich miały stosunki w Paryżu, w miasteczku i po kraju. Odbierały one listy, gazetki dworskie, drukowane świstki i piosenki szyderskie, w które stolica obfitowała. Niektóre z tych służących przez czułość, inne przez płochość przynosiły królowej i staruszce plotki brukowe, których cząstka zaledwie do uszu Marji dochodziła. Wszystkie one były tego rodzaju, iż pociągnąć ani zachęcić nie mogły, lecz musiały zatrwożyć. Zdala wyglądające świetnie imiona i osoby, o których można mieć było wielkie wyobrażenie, — w tych poufałych gazetkach występowały odarte z całego uroku zacności, poniżone i zwalane. Nie było prawie ani jednej z tych osobistości dworu, którejby życiu prywatnemu nie zarzucano grzesznych słabostek, potajemnego zepsucia.

Król Stanisław znał to dobrze, ale on miał filozofję Moszyńskiej — wierzył w potęgę cnoty. Wiedział, że jego Maruchna nie ulegnie zepsuciu, a zatem — rozumował — zepsucie jej ulec będzie musiało.

Tego zwycięstwa nie obiecywał sobie świetnem, łatwem, owszem, zapowiadał je cichem i skromnem, ale zupełnem.

— Trudno, — mawiał — aby tam kobiecie, włosiennicą okrytej, dobrze być mogło wśród powalanych a perfumowanych lalek, ale się ich obawiać nie potrzebuje. Ona nie zlęknie się śmieszności, a choćby jedną tę cnotę miała, że jej śmiech nie ustraszy, to już jej da siłę wielką! Tam do złego idzie się najczęściej tem, że się więcej lęka śmiechu ludzkiego, niż gniewu Bożego.

W milczeniu, spokoju, z rezygnacją zupełną oczekiwano na przybycie zapowiedzianego lekarza, mającego polecenie zbadania stanu zdrowia królewny od dzieciństwa. Bourbon wahał się długo z jego wyborem. Potrzeba było wyprawić człowieka uczciwego, sumiennego, poważnego, nie dającego się ani ująć, ani zastraszyć.

Znanym był osobiście księciu jako lekarz doskonały, jako człowiek prawy, Moigne, który w pewnych kołach Paryża posiadał naówczas wielką wziętość. Średnich lat, milczący, szorstki nieco, miał to głównie za sobą, że nie ulegał nikomu, ani niczemu. Była to natura niezawisła, dumna, a nauką wyniesiona do wysokości, nie wszystkim dostępnej.

Moigne niechętnie podejmował się posłannictwa, ale nie z powodu, iż ono mu mogło nieprzyjaciół przyczynić.

— Wrogów żadnych się nie obawiam, — mawiał — bo mi pierwsza lepsza febra ich zjedna i ugnie przede mną.

Według Moigne'a, nie potrzeba było go tak daleko słać dla rozpoznania choroby, która w całym organizmie ludzkim pozostawia po sobie pewne widome ślady. Znał on z rozgłosu, a trochę z widzenia kró-

la-filozofa i jego miłość prawdy; dowodził więc, że, zamiast śledzić, dosyć go było zapytać.

Książę Bourbon obstawał, pomimo to, ażeby Moigne jechał koniecznie i był jak najsurowszym w badaniu, nie zaspokajając się powierzchownemi oznakami zdrowia.

Gdy go oznajmiono w Wissenburgu, a królewna, zagadnięta co odpowie, przyznała się ojcu, że wielkiem zdrowiem chwalić się nie myśli, Leszczyński rzekł surowo:

— Moja Maruchno, rzecz to bardzo prosta. Nie oglądając się na to, dlaczego i o co się pytają, należy mówić prawdę. Prawdę bowiem zeznawać jest zawsze obowiązkiem. Przypomnij sobie słowa św. Augustyna.

Lekarza pierwszy król sam przyjął poważnie, z krwią zimną. Obojętność ta, pewna ceremonjalność w przyjęciu zwiastowały doktorowi, że wcale nie myślano zabiegać i starać się o pomyślny skutek tego badania.

Przywołana królewna weszła nieco blada, zmieszana, ale nie okazując najmniejszej trwogi. Doktór potwarzą, która najmniejszego nie miała prawdopodobieństwa i podstawy, oburzony był razem i rozśmieszony.

Godzinę może trwała rozmowa dziwna, bo mało co w niej o zdrowie się rozpytywał. Wkońcu Moigne, całując podaną mu rączkę królewny, którą sobie pozyskał otwartością swoją, odezwał się:

— Życzyłbym tym, co chorób tu szukali, mieć choć część zdrowia, jakie Bóg dał królewnie. Winna je życiu, zbliżonemu do natury.

— Tak — przerwał Leszczyński — i uznanej też przez nas zasadzie, że żywot cielesny nie jest celem naszym na ziemi. Wierzcie mi, doktorze, iż pobożność jest najlepszą higjeną i lekiem.

Moigne skłonił głowę, ale nic nie odpowiedział.

Skutek badań Maruchny, jawny już na twarzy doktora, wkrótce był wszystkim wiadomym. Urado-

wał on tych, którzy dla królewny pragnęli korony, ale ją samą zasmucił.

Rozbudzić w niej uczucia jakiejś ambicji, pragnienia władzy, choćby dla najświętszych celów przeznaczonej, nie było podobna. Łzy stały jej na oczach ciągle, wywołane żalem po przeszłości.

— Moja Moszyńsiu, — użalała się — co mi ty mówisz o jakichś tam triumfach, kiedy ja dla nich stracę ciebie, ojca, matkę, babcię i to moje życie tak swobodne, które tu mi upływało szczęśliwie. Za mną nie pójdzie nikt, nawet stara Kasia, co pięknie śpiewa nasze pieśni pobożne polskie — nikt! nikt! otoczą mnie obcy, ty wiesz z jakiem w sercu uczuciem.

Odosobnienie to królowej, rozdzielenie się nawet z ojcem, zgóry zapowiedzianem zostało. Nie tajono przed Leszczyńskim, że gościem na dworze wersalskim częstym być nie może, ani królowa u niego... Sama etykieta czyniła to często trudnem lub niemożliwem.

Król Stanisław z rezygnacją gotów był pozostać nawet w Wissenburgu; ale z Paryża dano znać, że nawet uroczystego poselstwa z Wersalu nie mógł przyjmować w tej pustce. Stara komandorja wyglądała nazbyt biednie.

Domyślano się, że jeden z mnogich pałaców królewskich w okolicach stolicy wyznaczony zostanie i oddany Leszczyńskiemu, który dom swój i dwór, jako teść króla, powiększyć i świetniejszym uczynić będzie musiał.

Leszczyński powolny zgadzał się na wszystko, byle go nazbyt daleko od córki nie oddalano, byle ją mógł widywać czasem u siebie, a niekiedy nawiedzić. Zabronić im tego nikt nie mógł, chociaż przewidzieć było łatwo, że położenie królowej nawet na stosunki z rodziną i ojcem wpłynąć musi. Mowa naprzód była o zamku Chambord lub Meudon, których Leszczyński nie znał, w obu niewielki dwór, chociażby się

miał powiększyć, zawsze aż nadto mógł znaleźć miejsca na pomieszczenie króla bez ziemi i gości jego.

Przez cały ten czas, jaki dzielił stanowcze ogłoszenie małżeństwa królewskiego od terminu, w którym się ono spełnić miało, nie było chwili spoczynku dla mieszkańców Wissenburga.

Włodek szczególniej latał jak oparzony. Codzień coś nowego przywożono z Paryża. Królewnę samą zajmowały najżywiej damy, które do boku jej wyznaczone być miały. O dostojeństwa te dobijano się zażarcie. Występowały tu wielkie imiona i najprzebieglejsze intrygi... Życie, charakter, przeszłość każdej z tych pań poddawano często złośliwej analizie, i ani jedna się nie znalazła, którejby współzawodniczki nie miały czegoś do zarzucenia.

Pomiędzy damami dworu naturalnie miejsce sobie zapewnić musiała i pani de Prie, która władała Bourbonem i, o ile mogła, wpływała też na wybór swych towarzyszek, przygotowując się do opanowania królowej, do kierowania nią... Obok niej, jako *dame d'honneur,* stała hrabina de Mailly, chociaż kroniki skandaliczne miały jej niejedno do zarzucenia... ale czas pokrył wiele.

Dwie marszałkowe Francji, pani de Gramont i de Boufflers, stały długo jako jedyne kandydatki do pierwszego miejsca na czele *dames d'honneur.* Pani de Gramont wytłumaczyła się wiekiem podeszłym i miejsce zrobiła swej współzawodniczce.

Villars, przyjaciel Leszczyńskich, na wybór ten miał wpływ pewien.

Etykieta surowa, nieubłagany ceremonjał dworu, który coś ze sztywności żelaznej hiszpańskiego przejął — nabawiały w Wissenburgu trwogą. Hrabia Tarło, który się o to w Paryżu dowiadywał i zawczasu z nim obeznał, między innemi doniósł, że, według przepisów ceremonjału, królowa Francji z rodzicami do jednego stołu usiąść nie będzie mogła.

Było to oburzające i śmieszne, ale król i królowa

z rezygnacją przyjmowali ten wyrok, chociaż on córce łzy z oczów wyciskał... Protestowała.

— Publicznie z sobą do stołu zasiadać nie potrzebujemy, — mówiła cicho — ale prywatnie ja żadną etykietą związać się nie dam i żadna siła ludzka, żaden markiz de Dreux nie zmusi mnie, abym się rodziców moich zaparła. Prawo niemoralne, przez to samo prawem być przestaje.

Zaniedbanego dotąd eks-króla Polski potrzeba było na rozmaity sposób tytułami i oznakami czci podnosić, co on bardzo obojętnie przyjmował.

Francuzi zdumiewali się tej jego krwi zimnej na każdym kroku. Trafiło się raz, że Leszczyński pismo Ludwika XV, dla córki miłe, odebrawszy, z uniesieniem podpis na niem ręki króla pocałował. Francuzi widzieli w tem coś tak ekscentrycznego, tak śmiesznego, iż długo potem uspokoić się nie mogli. Pomimo takich dowodów wdzięczności dla zięcia przyszłego, Stanisław wcale swem szczęściem upojonym nie był.

Codzień prawie między nim a córką toczyły się rozmowy, jak im wzajem siebie braknąć będzie, jak myślami gonić się będą musieli. Maruchna ukochana szczególniej bolała nad tem, że rady ojca we wszystkich życia zadaniach zasięgać nie będzie mogła. Leszczyński powtarzał:

— Kazano ci się wyrzec nas i naszej Polski dla tej Francji, która cię za córkę swą przyjmuje, aleś nie powinna całkiem o twej ojczyźnie zapominać; ona była twą pierwszą matką, a tej, jako rodzonej, żadna przybrana w sercu zastąpić nie może. Smutno mi pomyśleć, że dzieci twoje, moje wnuki, nawet mowy tej znać nie będą, którą ty w pierwszej modlitwie podniosłaś się ku Bogu!

Naówczas pocichu, zasmucona, szeptała przyszła królowa:

— Całe to moje wielkie szczęście, którego mi tak

ludzie zazdroszczą, musi być pasmem niewoli. Tyle tylko, że kajdany będą złocone.

— Dziecko moje, — pocieszał ojciec — a któż na ziemi i w życiu tem niewolnikiem nie jest? Najgorsza jednak, kto własnych namiętności jest poddanym. Tej niewoli królowie, tak dobrze, jak chłopki, są podlegli. Życie monarchów, jeżeli sumienie im przewodniczy, jak żołnierza na straży, jest nieustającem czuwaniem i nieustanną podległością. Rozpasanej swobody nikomu nie trzeba zazdrościć.

Takiemi rozmowami codzień się do życia przyszłego sposobiono.

Z Paryża nadsyłane nie urzędownie, ale poufnie osoby przygotowywały do wymagań różnych, które wszystkie prawie zmierzały do oddalenia rodziny od królowej. Tej familji nie wstydzono się wprawdzie, ale obawiano, chociaż Leszczyński najsurowiej się zobowiązał ani dla siebie, ani dla swoich nie korzystać z tego wywyższenia córki.

Lecz gdy on tak zamierzał usunąć się od świata, odosobnić, zamknąć, mnodzy pisarkowie, literaci, poeci, artyści, znając jego zajęcia i gusta, wróżyli sobie, że dom króla uczynią gniazdem, pośredniczem jakiemś ogniskiem pomiędzy światem literackim a młodym Ludwikiem XV, chociaż dotąd nie okazywał on najmniejszej sympatji, żadnego zajęcia piśmiennictwem i poezją, a sztuka posługiwała mu tylko do ornamentacji życia.

Z wymuszoną zawsze kroczący powagą, wychowanek Fleury'ego parskał czasem i wybuchał śmiechem na dowcipne słowo, ale najczęściej było ono jednym z tych konceptów dosadnych, którym barwa ulicy nadawała siłę.

Z poetów u króla nikt nie miał uznania, ani łaski. Im ostrzej dowcip rzucał się na uświęcone powagą wieków prawdy i obyczaje, tem król surowszym karcił go chłodem.

Długo tak jeszcze małżeństwo króla, chociaż najuroczyściej zapowiedziane, wydawało się jeszcze intrygantom intrygą tylko, która niespodzianym obrotem jakimś do niespodzianych miała doprowadzić rezultatów. Dla dworaków była to jedna ze scen dramatu, w którym występowali dwaj współzawodniczący, Bourbon i Orleans, pani de Prie i gromadka z Chantilly.

Nakoniec ogłoszenie urzędowe mianowanych pań i panów, lista osób dworu królowej, naznaczenie terminu, w którym on z poselstwem króla miał się udać po królewską narzeczoną do Strassburga — niedowiarków i powątpiewających przekonały, że małżeństwo przyjdzie do skutku.

Nikt teraz nie rozumiał, jak na niedogasłe zgliszcza rozpustnej regencji nagle miała wstąpić królowa, poprzedzona sławą pobożności, świątobliwości, surowości obyczajów niemal zakonnej. Wiedziano, że do ślubu przygotowywała się postami i modlitwą, że najmilszem towarzystwem byli dla niej podeszli duchowni, sądziwi kapłani i zakonnice.

Paryżanom wydawało się to śmiesznem, równie jak wszystko, co o niej i ojcu opowiadano; śmiesznem też znaleźli żądanie, aby ślub odbył się w wigilję lub w dzień imienin Marji, jako patronki królowej. Francja, katolicka i pobożna na prowincjach, w klasach niższych społeczeństwa, modnym sceptycyzmem zarażoną była u góry.

Król młody, powiadano, słyszał bardzo często od kardynała de Rohan i innych osób pochwały ojca i córki, pochwały cnoty rodziny, znoszącej heroicznie dolę nieszczęśliwą. Obudziło to ciekawość jego. Zrodziło się potem współczucie dla Leszczyńskich, chociaż niewidzianych i nieznanych, a w chwili stanowczej sam król miał ten wybór podszepnąć. Ks. Bourbon, rad tej powieści, potakiwał, dodając, że papież, Klemens XIII, spytany o radę i zdanie, jakby mu

się małżeństwo to zdało, kazał odpowiedzieć, że je dobrem znajduje i pochwala.

Siostra księcia Bourbon, piękna, rozmarzona Luiza de Clermont, nad-intendentka dworu, marszałkowa de Boufflers, dama honorowa, hrabina de Mailly, dama *d'atours,* stanowiące starszyznę, dla przypodobania się przyszłej pani uczyły się zapomnianych religijnych praktyk po klasztorach.

Świetny wieniec piękności, mający otaczać królową, choć wesół, pragnący zabaw, lubiący stroje, przybrał postawę nieco surowszą, poważniejszą, więcej dawał na siebie baczności, aby się zawczasu dostroić do tego tonu, który miał na dworze panować.

Wśród tych pań, które go składać miały, błyszczały najpierwsze imiona starych, zasłużonych rodzin; panie de Gontaut, de Chalais, de Nesles, d'Epernon, de Villars, de Bethune, de Tellard, d'Egmont, de Merode i — de Prie.

Z mężczyzn wszyscy prawie na służbę wyznaczeni byli niepierwszej młodości. Pan de Nangis, mianowany *chevalier d'honneur,* obejmował te obowiązki, które już pełnił przed laty czternastu, przy żonie delfina. Pierwszy koniuszy, hrabia de Tessé, słynący z surowej cnoty, był zarazem *simplex servus Dei* i nie grzeszył ani dowcipem, ani świetnemi przymiotami umysłu.

Pierwszym jałmużnikiem naznaczony był sławny ze świątobliwości i surowości biskup Châlons, wielkim jałmużnikiem kardynał biskup Frejus, kanclerzem pan de Breteuil, sekretarzem *des commandements* jeden z Parisów, Duverney, a pierwszym marszałkiem *(maître d'hôtel)* Villecerf.

Po królową jechać miał książę d'Antin. W maju musiała cała rodzina Leszczyńskich opuścić smutny, ale miły jej Wissenburg, schronienie to ciche, w którem dokonał się cud Opatrzności. Przenosiła się do Strassburga, gdzie na nią cały nowy dwór oczekiwał. Z przemianą miejsca i życie zmienić się musiało zupełnie.

Nim to nastąpiło, królewna Marja zaopatrzyła kapliczkę, w której się modlili lat kilka, kościół w miasteczku, klasztory sąsiednie, obeszła z jałmużną wszystkich swoich biednych, pożegnała ich i tych przyjaciół bezimiennych, których nawykła była spotykać w swoich przechadzkach.

Były to chwile uroczyste, łzawe, a choć poza niemi wschodziło słońce, wszystkim żal było tutejszego mroku, ciszy tych lasów i pustki. Król, który tyle razy w życiu zmieniał już miejsce pobytu, nawykły witać je i żegnać, powtarzający ciągle, że żywot ludzki cały jest pielgrzymką, z rezygnacją opuszczał Wissenburg.

Nie było jeszcze postanowionem, gdzie dla niego rezydencję wyznaczą, ale przez wzgląd na miłość, która łączyła rodzinę, obiecywano, że Leszczyński w okolicach Paryża będzie mógł zamieszkać.

Marja zapewniała rodziców, że ich często odwiedzać będzie.

W Strassburgu już rozpoczęła się, jeżeli nie ścisła etykiety niewola, to jakby przygotowanie do przyszłych jej form i wymagań. Królewna musiała się nauczyć znaczenia krzesła, taburetu, miejsca zasiadania, przywileju używania królewskich powozów, wchodzenia do niej bez oznajmienia, służenia jej w różnych dnia dobach, w sposób różny i t. p. Wszystko to jak najściślej określonem było.

W Wissenburgu nie marzył nikt, aby siedzenie na pewnem miejscu, w pewnego rodzaju krześle, towarzyszenie królowej do pewnych pokojów, w danych chwilach mogło być celem starań i współubiegania.

Marja musiała słuchać całego spisu praw i prawideł, których nikomu przekraczać nie było wolno. Ani stan zdrowia, ani żadne uczucie nie uniewinniało przekroczeń tej etykiety niezłomnej.

Uśmiechnąć się z tego nie godziło, bo rzeczy, wydające się dziecinnemi, nabierały w tej atmosferze niezmiernej wagi i znaczenia.

Niewiele jednak czasu mogła królewna poświęcić tej nauce ceremonjału, bo jej i ojca postanowieniem

było cały czas, pozostający do sierpnia, do przybycia po królową księcia d'Antin, poświęcić religijnemu przygotowaniu się do życia ofiary i zaparcia. Pod kierunkiem więc spowiednika, ks. Adama, rozpoczęły się nowenny, posty, nabożeństwa różne, modły uroczyste, którym król pilno towarzyszył.

Najpobożniejsze z dam paryskich nawet po niejakim czasie poczęły szeptać o bigoterji i napróżno na ton lżejszy usiłowały nastroić rozmowy powszednie. Wkońcu i one, i mężczyźni, widząc swe usiłowania daremnemi, poczęli się pocieszać tem, że tę pobożność, według nich przesadzoną, życie późniejsze doprowadzić musi do znośniejszych rozmiarów i uczyni ją, czem była na dworze zawsze — pewną formą wystygłą, bez istotnego znaczenia.

Ludwik XV, który chciał dla króla-teścia okazać się wdzięcznym, uznał za właściwe w tej chwili go zaszczycić nadaniem wielkiej wstęgi orderu Św. Ducha.

Zwykle obrzęd oddawania łańcucha i insygnjów orderu odbywał się uroczyście w kościele lub kaplicy, z pewną ceremonją, przypominającą stare pasowanie na rycerza. Czytając statut, Leszczyński wziął to ściśle tak, jak w dawnych wiekach się spełniało i z podziwieniem księcia d'Antin, który przywiózł oznaki orderowe, oświadczył mu, iż czuje się obowiązanym, w wigilję przywdziania orderu, odbyć w kościele przed ołtarzem *la veillée d'armes,* spędzając noc na modlitwie.

Gdyby nie powaga królewska i stanowczość, z jaką król wyraził wolę swoją, wziętoby to za żart może; ale Leszczyński z największą ścisłością postanowił czuwać, pościć i spowiadać się, jak rycerz średniowieczny.

Książę d'Antin szeptał potem cicho, uśmiechając się, że pewnie od lat stu przeszło nikt we Francji z takiem uczuciem, na kolanach, u ołtarza nie sposobił się do przyjmowania orderu.

Śmiano się z tego na stronie i donoszono do Pa-

ryża jako o śmieszności, którą zatrzeć i zataić wypadało.

Z tej jednej próbki można sobie wystawić, jak trudnem było zbliżenie dwóch, tak różnych światów, jakiemi były wissenburski i paryski...

Przy najpierwszych rozmowach z kawalerem de Vauchon, który bardzo zręcznie umiał to królowi wytłumaczyć — wzmianka już była o tem, iż nie życzono sobie, aby coś z dawnej służby pozostać miało przy królowej w Paryżu. Mieściło się to w owych prawidłach, dla obcych księżniczek ustanowionych, bo się przekonano, że obcy, niechętni, zazdrośni, sieli na dworze ziarna nieporozumienia. Od nich płynęły doniesienia obcym dworom i potwarze.

Król zobowiązał się, że oprócz spowiednika, ojca Adama, który miał przeprowadzić królową i zdać ją nowemu dyrektorowi sumienia, nikt więcej ze starych sług przy niej nie pozostanie.

Moszyńska płakała rzewnie, Włodek się na tyranję i niewolę oburzał, ale gdy próbował o tem zagadnąć króla, został zbity natychmiast krótkiem słowem: tak prawo chce.

— Jest to *dura lex, sed lex* i nie godzi się go potępiać — dodał król. — Dwór wielki, języki długie, obce żywioły nieprzyjazne i niebezpieczne. Na to niema rady.

— Ależ, proszę w. król. mości, — zawołał dworzanin — toć gorzej, niż klasztor, na który narzekają, że od rodziny odrywa. To sroga niewola. Przecież na takie nieludzkie prawo jakieś lekarstwo znaleźć można.

Król głową potrząsnął i zmilczał.

— Jabym nie wahał się złamać takiego prawa — dodał Włodek.

— Ale my z Maruchną zgodziliśmy się na nie — począł Leszczyński spokojnie. — Wmość, gorączka, nie rozumiesz wcale tej sprawy. Myślisz, że toby było z wielkim honorem dla królowej Francji, gdyby jej nasze kubraczki i żupaniki, snujące się po podwórzu

codzień, *originem* przypominały... o czem ona musi zapomnieć.

— Ale my nie powinniśmy i nie możemy — odparł Włodek. — Jakże to może być, n. panie, żeby królowa nie miała się nawet przed kim poskarżyć, przez kogo zaufanego list wysłać? żeby pozostała na łasce, otoczona szpiegami?

Ktoś wchodzący przerwał poczętą rozmowę, i dnia tego p. Gabrjel dalej nie poszedł; ale nazajutrz, znalazłszy się z królem sam na sam, rzekł mu:

— N. panie, jeżeli otrzymam pozwolenie, ja gotów jestem o moim koszcie mieszkać w Paryżu lub Wersalu, ażeby zdala czuwać i w razie potrzeby być na posługi królowej. Ona przecie kogoś swojego pod ręką mieć musi.

— Mój Gabryk, — ofuknął go trochę Leszczyński — dajże ty mi święty pokój. Ona przecież stami sługi swoje liczyć będzie i między niemi znajdzie takiego, któremu zaufać będzie mogła.

— Takiego jak ja nie znajdzie — zawołał Włodek, w piersi się uderzając.

Król, który go często zbywał żartami, odwrócił się ku niemu.

— Zachciało ci się Paryża, — rozśmiał się — radbyś mieć powód słuszny, aby w tem Kafarnaum pozostać. Przyznaj się, upatrzyłeś już tam sobie jaką Francuzicę.

Włodek spłonął rumieńcem.

— N. panie, — odezwał się, głos podnosząc — nie chcę się podawać za lepszego, niż jestem, ale dalibóg, gdybym głupstwa miał robić, kłamstwembym się nie osłaniał.

— Przepraszam cię — rzekł król, rękę mu kładąc na ramieniu. — Wierz mi, znam cię dobrze, ale i ty, i stara Moszyńska uwzięliście się mi dokuczać o to, na co ja poradzić nie mogę... Stara łowczyna powiada, że gotowaby pomywaczką zostać, byle mogła być przy królowej, a ty gotówbyś...

— Gotówem stajnię czyścić — dodał Włodek.

— Nie dopuszczą cię do usług,—zakończył król— a jej tylko one kłopotu przyczynią.

Nie poprzestali na tem ani stara Moszyńska, ani on.

Stanął w tajemnicy przed królem projekt, aby Włodek szukał sobie środków umieszczenia się w Paryżu.

Podejrzewał go Leszczyński i zgóry mu zapowiedział:

— Pamiętaj, że ja ciebie bronić nie będę, gdy popadniesz, bom przestrzegał.

W uroczystem poselstwie po królewnę wysłani zostali książę d'Antin i markiz de Bennau.

Uprzedzeni oni byli, że znajdą rodzinę królewską, ale jakby z prastarych wieków cudem przeniesioną w te czasy — obyczaj patrjarchalny, mowę prostą, obejście się otwarte i szczere; ale obaj posłowie, mimo zapowiedzi i przestrogi, znaleźli więcej, niż się spodziewali i do czego byli przygotowanymi. D'Antin był zachwycony i powtarzał, że mu się zdaje, jakby czytał poemat jakiś, gdy z tą rodziną obcuje.

Po Paryżu chodziła pogłoska, iż Marja nie jest piękną... W istocie piękność jej tak była różną od wypieszczonych twarzyczek bogiń paryskich, że z niemi porównywaną być nie mogła; ale była w niej prawda, życie, coś ujmującego i chwytającego za serce, czego paryskie zalotnice nie miały. Wdzięk młodości łączył się tu z powagą wielką, a powaga nie odejmowała naiwności dziecięcej prawie.

D'Antin, którego zasypywano pytaniami i listami, odpisał raz hrabiemu de Morville: „Przyznaję, że królewna piękną nie jest, pozwalam nawet na to, że brzydka, ale mi się podobała nad wyraz wszelki". Inni, jak Conflans, utrzymywali, że nie była ani brzydką, ani piękną, ale niesłychanie miłą.

Przybycie Leszczyńskich do Strassburga, spodziewane poselstwo uroczyste od króla tysiące Alzatczyków, a nawet ciekawych paryżan sprowadziły do tego miasta.

Dom, w którym mieściła się rodzina Leszczyńskich, był w ciągłem oblężeniu; często dopominano się okrzykami widzenia przyszłej pani. Król Stanisław, którego nieraz już w życiu oklaskami witano i ścigano, uśmiechał się, ukazując córce te tłumy.

— Patrz, dziecię moje, — mówił z półuśmiechem — kult wschodzącego słońca nie wygasł na świecie. Oto i te gromady zbiegły się, aby witać wschodzącą gwiazdę nową.

Marja spoglądała na to okiem obojętnem. Życzyła sobie naprzód cały czas ten spędzić zamknięta w klasztorze, ale to było niepodobieństwem; pozostawała więc codzień po kościołach i klasztorach, jak mogła, najdłużej.

Wszystko, co przybywało z Paryża, wyraźniej lub mniej dobitnie wtórowało piosence dworskiej, dowcipom i sarkazmom. Co należało do Marji, broniło się krzyżem świętym i milczeniem. Z paryskiemi *beaux esprits* walczyć nie było podobna; oni sami nie przywiązywali wagi do tego, co ich zajmowało gorąco, i nazajutrz gotowi byli wczorajsze bóstwa zrzucać z ołtarzów.

Dworacy zaś z religijnością rodziny Leszczyńskich otwarcie ani mogli, ani chcieli występować do walki. Uśmiechali się skrycie, szeptali pocichu, szydzili bezimiennie. Religja dla nich, tak jak etykieta, należała do wielkiego kodeksu obyczajów dworu. Wszak-ci królewskie ulubienice miały klęczniki po kościołach za Ludwika XIV, król codzień chodził na mszę i święta obchodzono okazale. Lecz na tem też tu kończyło się wszystko, do czego religja obowiązywała; życia reszta układała się wedle innych prawideł. Wydawano zamąż piękne panie na to, aby, od ołtarza odszedłszy, mężów swoich nie znały. Rozwodzono i targano węzły, które kościół uznawał jako wiekuiste; matki wyrzekały się dzieci, dzieci nie znały rodziców.

A wszystko to z takim wdziękiem, elegancją, w tak dobrym odbywało się tonie, z taką paradą, tak weso-

ło, jakby było najprostszem, najczystszem, najświętszem.

Dla tych wychowańców rozpasanej regencji widok rodziny, która prawo ewangelji w życiu szanowała i wcielała je, nie znając żadnych ustępstw dla namiętności, żadnych targów z sumieniem — był widowiskiem niezmiernie nowem i dziwnem.

Pan de Nangis, kawaler honorowy królowej, który się tu jej prezentował, i hrabia de Tessé, obaj poważni i niemłodzi, wytrawniejsi, doświadczeni, spoglądali na tę grę z obojętnością ludzi nawykłych do ścierania się przekonań i interesów u stopni tronu.

— Nasza miła młoda pani — mówił Nangis — potrafi się zastosować do wymagań życia, bo niesposób, aby młodziuchny król, potrzebujący rozrywek, przejął jej surowy, klasztorny tryb i obyczaje. Nie będzie ją to, spodziewam się, wiele kosztowało.

— Jak sądzisz, — pytał, zniżając głos, towarzysza, hrabiego de Tessé — czy Ludwik XV utrzyma tradycję Ludwika XIV co do metres i kochanek?

— Zadajesz mi naiwne pytanie — odparł hrabia zimno. — Metresy należą niemal do instytucyj, do tradycyj, są złem nieuniknionem. Królom dozwala się wiele, bo za wielu cierpią i troszczą się. Jakże chcesz, aby ten piękny, młody pan, wystawiony na pokusy, nie uległ im i nie dał się poprowadzić tym, którzy na pośrednictwo i posiłkowanie spekulować będą. Richelieu już stoi na straży... Królowa ta, tak pobożna, łatwiej to zniesie, niż inne, — nie będzie zazdrosną.

W innych kołach nie powątpiewano, że w bardzo krótkim przeciągu czasu metresy Ludwika XIV i faworyty regencji na scenę powrócą. Inaczej, życie stałoby się nieznośnem.

Z każdym dniem zbliżający się ów czternasty sierpnia — gdyż zgodnie z życzeniem królewny wybrano dzień święta patronki dla ślubu — coraz mocniej niepokoił starych rodziców i biedną Maruchnę. Widywali ją teraz nawet mało, gdyż po całych dniach

przesiadywała w kościele, ale gdy z niego powracała, obejmując babcię, matkę, ojca, płakała rzewnemi łzami.

— Maluczko, a nie ujrzymy już ciebie! — wzdychał ojciec — ale myślą i sercem żyć będziemy z tobą.

— A ja... ja, — łkając, przerywała królewna — myślicież, że szczęścia zapomnę?

Jako zastępca Ludwika XV do ślubu wyznaczony był znany z pobożności swej, aż do egzaltacji posuniętej, książę Orleanu. Jemu cały ten religijny nastrój staropolskiej rodziny wydawał się zachwycającym. Padał na kolana przed Marją, wielbiąc jej świątobliwość, o każdej dnia godzinie gotów towarzyszyć jej i królowej do kościoła na modlitwę, lub nawet w domu wśród obcych uklęknąć i modlić się głośno, mimo śmiechów. Szydzono z niego w Paryżu, ale tu godził się doskonale z tą narzeczoną, którą miał dla brata poślubić.

Leszczyński, przyjmując go, powitał:

— Szczęśliwy jestem, że król wybrać was raczył, abyście z nami razem obchodzili uroczyście ten cud Opatrzności, bo małżeństwo córki mojej niczem innem nie jest, tylko cudem.

Orleans wszystko w życiu cudem widział, godzili się więc z sobą wybornie. Nikt nad niego lepiej Marji ocenić nie mógł; wynosił ją pod niebiosa. Wyrywało mu się tylko nieustannie westchnienie do Boga, aby i on mógł dla siebie znaleźć podobną towarzyszkę żywota.

Nadszedł nareszcie straszliwy ów dzień rozstania, do którego się wszyscy przygotowywali oddawna.

Znudzony pobytem w Strassburgu dwór nowy Marji, stęskniwszy za Paryżem i Wersalem, wybierał się z nietajoną radością i pośpiechem, gdy królewska rodzina z uroczystością, z powagą, z namaszczeniem rozłączała się ze skarbem swoim. Ze dworu starego pana nie było jednego, któryby nie płakał; Moszyńska ze związaną głową chodziła jak nieprzytomna, powtarzając machinalnie jedno słowo: — dziecię moje!

Królewna, aby ojca, matki i babki nie rozrzewniać, występowała ze zbytnią może siłą ducha, udając wesołość jakąś, która się dziwnie ze łzami sprzeczała, a łzy spadały ciągle na uśmiechające się usta.

W gabinecie króla czekali wszyscy na odjeżdżającą... matka, ojciec i babka. Zkolei Marja upadła im do nóg, płacząc i prosząc o błogosławieństwo, wedle starego polskiego zwyczaju. Król z powagą patrjarchy-kapłana podniósł ręce i głośno, powoli przygotowaną wypowiedział modlitwę:

— Niech Jezus, Marja, Józef czuwają zawsze nad zachowaniem córki mojej, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Niechaj ma udział w błogosławieństwie, które święty patrjarcha Jakób dał Józefowi synowi swojemu, gdy się dowiedział, że żyw jest i rządzi Egiptem; niech ma udział w błogosławieństwie, które święty mąż Tobjasz dał synowi swemu, śląc go do obcych krajów; niech ma udział w błogosławieństwie, które Jezus Chrystus dał świętej Matce Swej i uczniom Swoim, gdy im rzekł: Pokój niech będzie z wami. Amen.

Pożegnaniom potem nie było końca; ludzie, szlochając, obejmowali kolana odjeżdżającej, odchodzili od niej i powracali; babka wołała od progu już pożegnaną, aby ją uścisnąć raz jeszcze i łkając, szeptała:

— Nie ujrzą cię już oczy moje!

Ojciec, który chciał dać przykład męstwa, sam wkońcu rozłzawiony, ocierał oczy i zakrywał je rękami. Naprożno ks. Orleans, pani de Boufflers nastręczali się, zbliżali, chcąc uprowadzić Marję, musieli ulec temu rozrzewnieniu powszechnemu i nie zadawać gwałtu sercom...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXIII

J. I. KRASZEWSKI

MĘCZENNICA NA TRONIE

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

CZĘŚĆ II

1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225

I.

Daleko później ruszono ze Strassburga, niż postanowionem było, królewna z modlitwą na ustach polską, dwór z uśmiechem wyswobodzenia.

Pierwszym objawem własnej woli Marji było, ażeby po miastach, po wsiach i zamkach, gdzie zapowiedziano uroczyste jej przyjęcie, owacje, powitania, jak najskromniej się to odbywało, bez występowania kosztownego. Marja pamiętała nędzę ludu, którą zbliska poznała w Alzacji, a która też w całej Francji równie była widoczną.

We dwa dni po rozstaniu król, który miał list przyobiecany i niecierpliwie go wyglądał, odebrał pismo następujące:

„A! tatku kochany, — pisała przyszła królowa — jakże to dawno było pozawczoraj! a ja ani słowa od pozawczoraj nie mówiłam z tobą! Ci dobrzy Francuzi wysilają się na to, aby mnie rozrywać i nie dać mi się nudzić. Mówią mi najśliczniejsze w świecie rzeczy, ale nikt nie powiada, że ty jesteś przy mnie!

Może i to mi wkrótce powiedzą, bo podróżuję po krainie czarów i jestem w istocie pod czarodziejską jakąś władzą. Co chwila zmieniam się, przeistaczam na coraz świetniejsze zjawiska. To piękniejszą jestem od Gracyj, to należę do rodziny sióstr dziewięciu (muzy). Tu mam cnoty aniołów, gdzie indziej widok mój ubłogosławia. Wczoraj byłam cudem świata, dziś jestem gwiazdą, której promienie ślą i wróżą szczęście.

Każdy mnie, jak umie, ubóstwia, a jutro pewnie stanę ponad nieśmiertelnymi. Aby urok ten rozproszyć, kładę rękę na głowie i natychmiast powraca wtedy, kochany mój tatku — ta, którą ty kochasz i która ciebie najczulej kocha...

Twoja

Maruchna."

Widoku nędzy powszechnej, w tym roku jeszcze powiększonej wielkiemi rzek wylewami, które straszliwe wyrządziły szkody — niepodobna było oszczędzić młodej królowej, chociaż pilno się starano o to... Po drodze miasteczka występowały z przyjęciami, ale Marja uwiadomiona o stanie kraju, szczególniej przez starego Villarsa, który w Strassburgu o tem Stanisławowi rozpowiadał szeroko, nalegając na obowiązek oszczędności w wydatkach — Marja prosiła i błagała, aby gminy koszta przyjęć obracały na potrzeby miejscowe. Nie chciała niczego, prosiła tylko, aby ją kochano.

Już w pierwszych zaraz dniach podróży nastręczała się sposobność przekonania, że młoda królowa a dwór jej zupełnie odmiennie pojmowali obowiązki swoje i samo życie. Z dworaków nikogo nie obchodziło zubożenie ludu, widok pustek, ludzi odartych i ogłodzonych, gdy Marja o wszystkiem zapominała, jedno nieszczęście tych biednych, których nazywała bliźnimi, mając na myśli.

Z kilkakroć pochwyconych bliźnich królowej naśmiewano się pocichu i robiono kalembury dowcipne.

Dokoła niej panowały tylko wesołe śmiechy, a rozmowy toczyły się o przyjęciu zgotowanem w Fontainebleau i Paryżu, o balach, ogniach sztucznych, pochodach, o pięknych pułkach, które miały występować — gdy ona tymczasem napróżno badała przyczyny nędzy, sposoby, jakiemiby można klęskom zapobiec i dotkniętych niemi ratować.

Ludzie poważni, jak marszałek Villars, przede-

wszystkiem oszczędność zalecali. Marja też od pierwszego kroku przejęta była obowiązkami, jakie wkładało na nią nowe położenie, i siliła się na jak najskromniejsze potrzeb zaspokojenie. Wszystkie te jej oszczędności wyśmiewano w sposób bardzo zabawny i nikt jej w tem naśladować nie myślał. Uwielbiano tę czułość młodej królowej, ale znajdowano ją nie w miejscu.

Podróż wesoła szła dosyć powolnie, a, mimo zubożenia powszechnego, zapał ludności ją odznaczał. Miłość, jaką mieli Francuzi dla swych monarchów, entuzjazm, jaki obudzał młodziuchny spadkobierca starożytnej dynastji, spływała i na Marję. Ona miała być matką odrodzonego domu.

Szlachta, duchowieństwo, urzędnicy zbiegali się po drodze, aby ją widzieć, słać kwiaty pod jej stopy, obsypywać życzeniami i błogosławieństwami. Entuzjazm zdawał się rosnąć w miarę zbliżania się do Paryża.

Posłańcy ze stolicy, od księcia, od króla codzień nadbiegali do pani de Boufflers, do księcia d'Antin; codzień też słano królowi szczegółowe wiadomości o podróży.

Trzeciego września cały ten obóz powozów, gwardji, jezdnych, dworzan wjeżdżał przy dźwięku rozkołysanych dzwonów i okrzykach nieskończonych do Sezanne.

Czekał tu na jego przybycie wysłaniec króla, jeden paź tylko, z bukietem od niego, a paziem tym był książę de Conti.

Radość była powszechna, lecz ktoby zajrzał do serca Maruchny, byłby już teraz w brzasku nowego życia mógł dojrzeć w jasnych obłoczkach jutrzenki zarodu chmur, które później widnokrąg cały zaciągnąć miały. Wokoło biednej ofiary nagle zmieniło się wszystko...

Z rana nie witał ojciec ukochanej swej Maruchny, nie ściskała jej staruszka babcia, nie ucałowała matka. Dama honorowa z całą uroczystością sługi i wiel-

kiej pani zaczynała dzień powitaniem czcią przejętem i zimnym ocukrowanym uśmiechem. Z sukniami potrzeba było wkładać kajdany.

Samo nabożeństwo poddane było tylu formom, że sercu w nich ciasno być musiało.

Chociaż wszystko to zawczasu przewidzianem i zapowiedzianem było, nieubłaganej etykiecie nie bez jakiegoś upokorzenia poddawać się musiała królewna— a mimo największego starania, aby się zastosować do niej, nieustannie przestrzegano Marję, że chybiała przeciwko przepisom.

Nawet sam na sam z pannami dworu nie mogła żadnej z nich skłonić, ażeby na chwilę przy niej bliżej, niż dozwalała etykieta, lub na krześle z poręczami usiadła. Wchodząc, żadna nie śmiała od ukłonów wyznaczonych się uwolnić.

Maruchna przekonywała się codzień mocniej, jak inny świat ją otaczał, gdzie ani żywszemu uczuciu objawić się swobodniej, ani słowu wyrwać się z ust nie było wolno. Jałmużna, msza, praktyki religijne podlegały także tym formom żelaznym.

Ale to wszystko niczem było w porównaniu do trwogi, jaka ją ogarniała na myśl, że będzie musiała wkrótce cała z sercem i duszą oddać się człowiekowi, którego nie znała, który dla niej i dla całego świata jeszcze był zagadką. Każda chwila zbliżała tę godzinę ostatecznej ofiary. Znała go... z samych tylko pochwał przesadzonych, jakiemi go obsypywano, z portretów, na których heroicznie wyglądał, z powieści marszałka Villars, pań i dworzan.

Wszyscy zgodnie głosili go ideałem i takim on naówczas mógł się wydawać w istocie. Piękność jego przechodziła wszystkich rówieśników, wrodzona powaga, elegancja, ukazywanie się zawsze w blasku uroczystym — robiły z niego rodzaj bożyszcza.

Podnosiła się zasłona, król występował, wszyscy padali na twarze.

Zamknięty w sobie, bojaźliwy, czasem tylko strzelający słowy krótkiemi, brzmiącemi jak wyroczni roz-

kazy, Ludwik XV był dla Francji rodzajem istoty nadludzkiej, której tajemniczą potęgę wielbiono, nie śmiejąc zbliska jej rozpoznawać. Blask jej oślepiał.

Dotąd nie znano w nim żadnej słabostki, a jedyną namiętnością, zapowiadającą w nim rycerza, była pasja do myślistwa, po przodkach odziedziczona. Ale i te młodzieńcze popisy zręczności i siły ujęte były w pewne reguły, które każdy krok ujmowały w przepisane prawa.

Zbiegano się, aby oglądać triumfującego zawsze na tych wyścigach wcześnie przygotowanych, zachwycając się pięknością bohatera, którego krew i ród malowały się w wejrzeniu, tajemniczo osłoniętem długiemi rzęsami, w uśmiechu dumnym a spokojnym, w pewności siebie i majestacie, jaki go cechował.

Z Sezanne pośpieszniej, zapewne z rozkazu króla, zaczęto zdążać ku Fontainebleau, gdzie król miał oczekiwać z dworem swoim. Ale o dwie mile od Moret niespodzianie dla królowej, która modliła się zadumana, — nagle wstrzymały się powozy, powstał ruch i d'Antin nadbiegł, oznajmując, że sam król na powitanie narzeczonej przybywał.

Widziano w tem dobrą wróżbę miłości Ludwika XV dla przyszłej małżonki.

Królowa wysiadła, aby uklęknąć przed swym panem.

Zaledwie panie towarzyszące miały czas pochwycić poduszkę z powozu i rzucić ją pod kolana Marji, która przed bladym, zmieszanym, uśmiechającym się przymusowo Ludwikiem poklękła.

Stał przed nią, może wdzięczniejszy jeszcze młodością i życiem, niż wizerunki go przedstawiały, ale zimny, majestatyczny, straszny... Upadającą podniósł i uścisnął, składając lodowaty na czole jej pocałunek...

Zamienionych wyrazów, kilku zaledwie, nikt nie dosłyszał.

Twarz królowej blada świadczyła o przejęciu uczuciem, w którem bojaźń brała górę. Poszanowanie, miłość pokorna służebnicy, nakoniec przeczucie ofiary, która życie swoje przynosi panu swemu, wiązały się z sobą... W pierwszem zamienionem wejrzeniu i on, i ona mieli objawienie przyszłości. Trwało to jeden błysk tylko, ale dwie te dusze, które święty węzeł miał połączyć, poczuły się wzajemnie. Król wyczytał na jej twarzyczce dziewiczej pokorę poświęcenia, miłość żony, rezygnację męczennicy, a posłuszeństwo rozkochanej istoty, której on miał być całym światem, — ona w nim czuła pana, którego miłość być miała despotyczną, samolubną, dziwaczną, ale namiętną i wytrwałą.

Gdy dwór, poczynając od księcia Bourbon, w tej pani, starszej wiekiem od małżonka, córce filozofa, wykarmionej mądrością rodzica, spodziewał się niewiasty mężnej, mającej panować mężowi i prowadzić go — Marja od dnia tego wiedziała już, że nigdy mu rozkazywać nie będzie, a zawsze ulegać.

Młodzieniaszek ten, wydający się tak łatwym do zawojowania tym, co go powierzchownie znali, dla niej był już takim, jakim miało wyrobić go życie.

Po krótkiem przywitaniu, które także etykieta ścieśniała do bardzo małych rozmiarów — powozy szły dalej do Moret... Stąd już o świcie nazajutrz królowa, przybrana raz ostatni w najprostsze swe codzienne sukienki — wyruszyła do Fontainebleau.

Tu panowanie ceremonjału i mistrza ceremonji rozpoczynało się z całą surowością reguł, tradycjami uświęconych. Świetne, krocie kosztować mające uroczystości, następujące jedne pod drugich bez przerwy, zapowiadały się na dni następne.

Królową otoczył tłum, chciwy widzenia jej, odgadnięcia, sądzenia, tysiące oczów skierowały się ku tej wybranej, w której wyniesieniu Leszczyński widział pobożnie cud Opatrzności, a ludzie tylko losu dziwactwo, lub intryg a rachub wypadek.

— Jest to wprost *un conte de fées,* — mówili do-

wcipnisie — coś nakształt *Cendrillon*... i baśni starych piastunek... Cnota ukryta, niepoznana i nagrodzona.

Wiedziano już w Paryżu, iż królowa nie jest piękną, ale nie spodziewano się jej znaleźć tak spokojnie, dobrodusznie, niewymuszenie z wieśniaczą występującej prostotą, która się o żaden sztuczny urok nie starała.

Jeden z najzłośliwszych ludzi wieku, ten, który później stać się miał przyjacielem pani de Pompadour, Voltaire, pisał naówczas o królewskiem weselu:

„...Królowa nasza bardzo się dobrze prezentuje, chociaż twarzyczkę ma wcale niełądną. Wszyscy zachwyceni są jej cnotą *(sic)* i uprzejmością. Pierwszem dziełem jej było, że księżniczkom i damom pałacowym rozdała te wspaniałe podarki, które się składały na jej „koszyk weselny". Były to klejnoty wszelkiego rodzaju, oprócz diamentów. Gdy zobaczyła szkatułeczkę, w której to było złożone.

— Ach! — zawołała — pierwszy raz w życiu przecie będę w możności obdarzenia kogoś!

W dzień wesela miała odrobinkę różu na twarzy, tyle, ile było potrzeba, aby się nie wydać bladą.

W kaplicy na małą chwilę omdlała, ale tylko dla formy. (Jak w tem znać Voltaire'a). Tegoż dnia wieczorem komedję grano. Ja przygotowałem był małe *divertissement,* ale pan de Mortemart nie chciał go pozwolić przedstawić. Zamiast niego, dano „Amfjona" i „Lekarza mimo woli", co się niebardzo przyzwoitem wydało. Po wieczerzy był fajerwerk z mnóstwem rac, ale bardzo ubogo obmyślany i urozmaicony. Zresztą mamy tu hałas, wrzawę, ścisk i tumult przerażający..."

Począwszy od tego różu, którego królowa używać była zmuszoną, pomimo iż go jej sumienie wzbraniało, bo zwyczaje dworskie tego wymagały, wszystek przepych, jakim ją okryto w ciągu uroczystości dni następnych, przykrym jej był strasznie, stał się ciężarem i rodził niepokój. Ze skarbca najsłynniejsze na-

ówczas diamenty „Sancy“ i „Regent“ połyskiwały na jej białem czole i szyi.

Na chwilę nie dawano jej spoczynku. Program zawczasu przyjęty i potwierdzony, całe dnie zajmował szeregiem najrozmaitszych zabaw i popisów, umiejętnie z sobą połączonych. Od nabożeństwa rannego aż do balu wszystko było świetne i na wywarcie wrażenia obrachowane, a wszędzie królowa stanowiła główną postać i główną grać musiała rolę.

Wśród tych zabaw nie pozostawiono jej swobody napawania się temi nowemi dla niej widokami. D'Argenson, Villars, sam ks. Bourbon poczęli zawczasu wtajemniczać ją w to posłannictwo, którego spełnienia po niej oczekiwano...

W pierwszych tych początkach pożycie młodego małżeństwa osłaniała tajemnica. Zgadzają się na to wszyscy spółcześni świadkowie, iż łączyła je najgorętsza, namiętna miłość ze strony króla, najczulsza ze strony królowej.

Zdawało się, że żadna najlżejsza chmurka nie powinna zaćmić tak szczęśliwie rozjaśnionych horyzontów. Miłość ta idealnie pięknego Apolina ku dzieweczce, starszej nieco od siebie, niepięknej, a zamiast obyczaju dworu i jego elegancji, odznaczającej się prostotą, która miała w sobie coś „cudzoziemskiego“, oryginalnego, — była dla wszystkich zagadką.

Ale dla księcia Bourbon i trzymających z nim przywiązanie króla było najszczęśliwszym wypadkiem. Rachowali oni na nie, na wychowanie królowej, jej rozum, powagę, spodziewając się przez nią zawładnąć królem i kierować.

Wkrótce jednak poczęli się przekonywać, że nieśmiałość i pokora Leszczyńskiej stawały temu na przeszkodzie. Spodziewano się podbudzić ją, ośmielić i wymóc, aby szła za wskazówkami, jakie jej dawać mieli książę sam, marszałek Villars, przyjaciel ojca, i poważny d'Argenson.

Ale, jakkolwiek miłość króla dla żony nie ulegała wątpliwości, była jawną, charakter jej pozostawał

niezrozumiałym. Ludwik XV kochał żonę, dawał dowody czasem namiętnego przywiązania, okazywał się niekiedy niecierpliwym i pożądliwym, a pomimo to nigdy jej głębi swoich myśli nie odkrywał, nigdy się z niczem nie zwierzał.

Wesół czy smutny, z nią czy ze swoim dworem, odegrywał rolę bóstwa, otoczonego kołem, którego nikt przestąpić nie mógł. Co się w nim kryło, tego domyślać się było wolno, ale nikt z pewnością nie wiedział.

Marja, choć dla niej król okazywał miłość wielką, tak samo była niewtajemniczoną, jak inni, jak nawet kardynał Fleury, który go wychował i uczynił takim, jakim był... Gdy jakieś gwałtowniejsze poruszenie wydobyło z niego na moment jakgdyby mimowolny okrzyk i uśmiech, sam zaraz za to karał się milczeniem i czołem zachmurzonem.

Królowa drżała, ilekroć zbliżał się do niej; modliła się, śledziła niespokojnie każde jego poruszenie. Prawda, że nawzajem Ludwik XV nigdy nie zapragnął ani poznać jej bliżej, ani zdobyć jej zaufania, ani poufalszemi uczynić stosunki, zawsze nieco etykietalne. Serce Marji czekało na to, aby się dla niego całkiem mogło otworzyć, a musiało pozostać zamkniętem.

Dwór, który z natężoną ciekawością patrzył na te stosunki, różnie wróżył o przyszłości i — czekał. Większość była tego przekonania, że namiętność króla — gdyż miłość przybierała ten charakter — wprędce wyczerpać się musi.

W samych nawet początkach upatrywano już chwilowe symptomata znużenia...

Królowej miłość, która nigdy namiętną nie była, a stała się tylko, jako uświęcona i sakramentalna, potężną, nie wymagała więcej nad to, co jej król dawał, nie przewidywała żadnych zmian w przyszości. Marja, wiedząc, że małżeństwo jest węzłem nierozerwanym, liczyła na jej stałość.

Ci, co na wpływ królowej rachowali, zawczasu, jakeśmy mówili, wzięli się do dzieła. Zaraz w pierwszych

dniach marszałek Villars i d'Argenson, towarzyszący królowej w przechadzkach po ogrodzie Diany, po wspaniałych alejach nowych, któremi ona zachwycała się, pierwszy raz w życiu oglądając tę zieloną architekturę — zagajali sprawę, opowiadając jej o stanie Francji, o potrzebach kraju, i przedstawiali jej, jak wiele dobrego uczynić mogła, starając się króla pozyskać i wpływać na niego.

Villars, przyjaciel Leszczyńskiego, mąż wielkiej powagi i niepospolitej znajomości ludzi, pierwszy począł zwracać jej uwagę na rządy kraju.

Bourbon niecierpliwy, nieostrożny, lękając się, aby ktoś nie uprzedził go, naglił z opanowaniem królowej. Chociaż najmniejsza dotąd nuta dysharmonijna nie zakłóciła dni wesela, a Marja mogła się cieszyć tą jutrzenką, obiecującą dni jasne, Villars znajdował, że należało już królowej być czynniejszą, a nadewszystko począć się obeznawać z położeniem i odciągnąć króla od przebywania w kółku płochej młodzieży. Wszystkiego miała dokonać królowa, sama nie czując się zdolną do roli, jaką jej narzucano.

— Spodziewam się, — mówiła z uśmiechem łagodnym do poważnego towarzysza swego, Villarsa — iż ta dobroć, z jaką mnie tu przyjmujecie i kierujecie mojemi nieśmiałemi krokami, które stawiam po nieznanej drodze — nie wyczerpie się i towarzyszyć mi nie przestanie. Czuję się słabą, nieświadomą, potrzebującą rady, a do kogożbym po nią z większem zaufaniem, niż do was udać się mogła?

— N. pani — odparł Villars — może rachować na służby moje nietylko z obowiązku, ale dla czci, którą wyznaję dla niej... Nie ja jeden tem uczuciem jestem przejęty; wszyscy wogóle są z małżeństwa króla uszczęśliwieni i wszyscy też, poznając bliżej w. kr. mość, pragną i spodziewają się, że potrafisz niezwłocznie nad umysłem króla uzyskać przewagę, zdobyć wpływ na niego. Naród cały wiele się po w. kr. mości spodziewa. Zwiększy się jego miłość i uwielbienie, jeżeli zechcecie to wrażać w umysł króla, że szczodrość

jego, wspaniałość, chętne szafowanie skarbami podsycać musi ofiarność Francji. To, czem król dla Francuzów rozporządza, od nich też pochodzi; naród bogatym nie jest, w rozdawnictwie więc, w rozchodach trzeba ciągłej pamięci na pochodzenie grosza. Potrzebujemy nadewszystko oszczędności.

Królowa z żywością wielką pośpieszyła oświadczyć marszałkowi, że zupełnie się zgadza z jego sposobem widzenia.

— Wierzcie mi, — rzekła — że nikt pewnie gorliwiej nie będzie nawracał króla na poskromienie szczodrobliwości, która u niego z najszlachetniejszych pobudek pochodzi. Co do mnie, ja do najskromniejszego nawykłam życia; ale król reprezentuje wielkość Francji, i nie dla siebie, ale dla niej musi częstokroć występować wspaniale. Ojciec mój także ciągle mi te same przypomina w listach swoich obowiązki.

I Marja, która miała zwyczaj zawsze ostatni list ojca nosić przy sobie, nie rozstając się z nim aż do odebrania następnego, dobyła z pośpiechem pismo Leszczyńskiego, dając je panu Villars.

— Czytajcie je, — odezwała się — niema w niem tajemnic; przekonacie się, że też same daje mi rady. Godzicie się z tym, który was zowie przyjacielem swoim.

Marszałek, posłuszny, list przebiegł oczyma, a że w nim znalazł wzmiankę przyjazną o sobie, skłonił się przed królową, oddając go i dziękując.

— N. pani, — ciągnął dalej — łaska ta, którą mnie ojciec w. kr. mości zaszczyca, daje mi odwagę mówić z nią otwarcie, bo w charakterze moim niema zbytniej śmiałości. Jako dworak jestem lękliwy i niezręczny. Udzielenie mi tego listu wkłada na mnie obowiązek, abym raz jeszcze jeden nalegał na w. kr. mość o wpajanie w umysł n. pana potrzeby i obowiązku ekonomiki, rachunku, skrzętności. Pieniądze się rozsypują nad miarę. W. kr. mość dasz z siebie przykład pierwsza, odezwiesz się głośno, a wszystko to wpływ wielki wywrzeć może.

— Panie marszałku, — przerwała żywo Marja — pójdę za radą waszą tem chętniej, że ona prowadzi mnie drogą obowiązku. Nic mnie to nie będzie kosztowało. Ale sądzicież, że istotnie mój wpływ coś znaczyć może?

Spojrzała na towarzysza, który chwilkę, zdumiony, zawahawszy się z odpowiedzią, tem goręcej potem dodać pośpieszył:

— Nie godzi się wątpić o tem...

Rumieniec okrył twarz królowej, jakgdyby ona wątpiła, ale wątpliwości tej wypowiedzieć nie śmiała. Spuściła główkę smutnie.

— Panie marszałku, — dodała — znajdziecie mnie zawsze chętnie wam posłuszną, we wszystkiem ucieknę się do waszego światła, bo sobie nie dowierzam; — ale co się tyczy tego wpływu, na który zdajecie się rachować tak wiele — ja o nim wątpię i nie wiem, zaprawdę, czy go pozyskać potrafię.

Stary Villars, słuchając, zdawał się w początku to wyznanie królowej brać za wyraz jej skromności; uderzył go jednak ton szczerości, z jaką Marja bez żalu, chłodno mówiła o sobie, jakby o kimś obcym.

— Dlaczegóżbyś w. kr. mość — odparł — nie miała uzyskać zbawiennego wpływu na męża? Jest on jej należnym, potrzeba się tylko o niego starać, a zdobywszy, użyć go lepiej, niż ci, co dotąd naszych królów serca sobie jednali, aby sami tylko z nich korzystali... Francja tego się po w. kr. mości spodziewa.

— Kochany przyjacielu, — zawołała królowa, zawsze z tym spokojem i powagą, które jej nigdy nie opuszczały — ja dotąd nie znam kraju, ani potrzeb jego, wiele, a raczej wszystkiego uczyć się muszę. Nieśmiało też stawię kroki.

— Czuwać i pomagać w. kr. mości jest naszym obowiązkiem — rzekł Villars. — Ks. Bourbon, d'Argenson, ja jesteśmy w każdej chwili na jej usługi. Dotąd nasz młody pan zna tylko bliżej jednego, swojego nauczyciela i kierownika młodości, kardynała Fleury, którego radom ślepo powodować się daje. Nie ma-

my nic przeciwko ks. biskupowi Frejus — dodał — ale rządy Richelieu i Mazarina są nam pamiętne, nie życzymy sobie, aby się one powtórzyć miały. Kardynał zdala napozór trzyma się dotąd od polityki, milczący, zimny, gra rolę obojętnego, ale to właśnie trwożyć nas zaczyna. Król jest pod jego wpływem wyłącznym; chcielibyśmy, aby ta władza, którą w. król. mość łatwo nad umysłem męża uzyskać potrafisz, uchroniła go od ślepego poddania się człowiekowi, którego skryta dotąd ambicja jest dla nas postrachem.

Królowa słuchała z natężoną uwagą i powolnością, a wkońcu, uśmiechając się, rzekła:

— Będę posłuszną, to jedno przyrzec wam mogę, ale... powtarzam wam, że ja w swój wpływ nie wierzę, dlatego może, iż sztuki starania się i zabiegania o niego nie znam i nie czuję w sobie do niej zdolności. Król dotąd o sprawach publicznych nigdy ze mną nie mówił słowa.

— Inicjatywa więc ze strony w. kr. mości wyjść powinna — dodał nieporuszony Villars.

Królowa nieco się zamyśliła nad odpowiedzią.

— Szczerą z wami być muszę, — poczęła — jakbym z ojcem mówiła. Co się tyczy spraw publicznych, zdaje mi się, że król niezbyt lubi zajmować się niemi. — Często daje uczuć, że mu one ciężą, lub go nudzą, a wogóle milczący, zamknięty w sobie, nierad spowiadać się przed nikim.

— Wyjątek w. kr. mość powinnaś stanowić — rzekł Villars. — Wychowanie Fleury'ego uczyniło króla bojaźliwym; obcowanie z w. król. mością zrobi go otwartym i śmiałym.

W tej chwili wzrok królowej, zwrócony na mówiącego, nie dał mu dokończyć.

— A! panie marszałku, — odezwała się — zaprawdę wielkich rzeczy wymagacie ode mnie, do których ja, nieśmiała też, maleńkie stworzenie, powołaną i zdolną się nie czuję. Na chęciach nigdy mi zbywać nie będzie, ale zawsze na siłach, ufam tylko pomocy Bożej.

Marszałek, nie dając rozszerzać się dłużej, miał dodać jej otuchy, gdy nadchodzące panie, a między niemi żywa i roztrzepana de Prie, przerwały dalsze zwierzenia i ocaliły królową od nalegań Villarsa.

Całe postępowanie królowej dalekie było od zaspokojenia tych, którzy w niej pokładali nadzieję. Ks. Bourbon, który tylko dla zawładnięcia przez nią królem dał mu ją za żonę, niecierpliwił się już i nie dawał jej prawie odetchnąć, przynaglając do czynu. Otaczano ją, usiłowano pobudzić, wskazywano drogi i środki, uczono, jak dziecko. Królowa słuchała cierpliwie, ale nie uczyniła kroku przeciwko przekonaniom, któremi kierowały wpojone przez ojca zasady.

To, o czem Villars mówił z królową, było tylko przygotowaniem do nowych wymagań. Między damami dworu znajdująca się pani de Prie miała też posłannictwo nawracania i spełniała je gorliwie; ale po niejakim czasie, upokorzona, musiała się uznać za bezsilną.

— Próbuj wasza książęca mość sam — ja nie mam do niej szczęścia — mówiła zniechęcona.

Villars nakłaniał też księcia, aby on sam zbliżył się do królowej.

Nikogo ona nie odpychała, dla wszystkich była uprzejmą, ale ostatecznie trudno było wpłynąć na nią...

W nadskakiwaniu szczebiotliwem pani de Prie Marja nie smakowała, chociaż chwilowo bawiła ją złośliwym dowcipem i umiejętnem przybieraniem roli, jakiej położenie wymagało. Paris-Duverney, mianowany sekretarzem, nieustannie razem z nią kręcił się i narzucał królowej, częstokroć umiejąc stać się użytecznym. Pochlebiali sobie oboje, że się staną niezbędnymi królowej, ale po niejakim czasie musieli się przyznać, że żaden ściślejszy węzeł nie zbliżył ich do niej, i wielka tylko jej dobroć łudzić się im dozwalała pozyskanemi względami.

Królowa nie tęskniła do pani de Prie, nie używała jej do rady, a Paris, który się do jakichś tajemnic

przypuszczonym być spodziewał, przekonał się tylko, iż Marja żadnych nie miała.

Zasnute więc dokoła sieci na nic się nie przydały. Wszyscy, którzy rachowali na tę biedną sierotę, przez wdzięczność mającą się im poddać, przekonali się poniewczasie, iż ona ani z wywyższenia korzystać, ani się cieszyć niem nie umiała, a znała tylko jedno: obowiązek.

Nie odkryli w niej żadnej słabostki, na którąby działać mogli. Nie lubiła nic, oprócz kościoła, nabożeństwa i szpitalów, wszelka ambicja zdawała się jej być obcą. Cóż z taką prostaczką począć mogli?

Paris-Duverney w chęci przypodobania się zszedł tak nisko, iż nawet ulubioną królowej psinę nosił na ręku, aby tem ją sobie pozyskać. Pani de Prie używała swoich przyjaciół do wyszukiwania biednych, którzyby niezbyt odrażająco wyglądali i wonieli... Wszystko to jednak wielkiego wpływu im nie wyjednało.

Ks. Bourbon, pragnący też zjednać sobie królową, chlubiący się swoim wyborem, zowiący Marję swoją monarchinią — wyrobił naprzód dla jej ojca potrzebne fundusze na utrzymanie pokaźniejszego i liczniejszego domu, któryby tytułowi przyznanemu lepiej odpowiadał; potem uzyskał przeniesienie do zamku Chambord, skąd naostatek przejechał król do Meudonu, aby bliżej być córki.

Tu Marja miała nadzieję częściej napotykać sposobność oglądania ojca, i Ludwik XV obiecywał jej towarzyszyć niekiedy. Tymczasem nader uszczuplony orszak, otaczający Leszczyńskiego, starano się na pokaźniejszej postawić stopie. Ale dla Leszczyńskiego wszystko to się zdawało dość obojętnem; głosił swoją wdzięczność i miłość dla zięcia, obchodził się małem i nie wymagał niczego... Zajmowała go nadewszystko córka i los jej... Cała rodzina żyła teraz listami z Wersalu.

Chociaż przed Villarsem i księciem de Bourbon

królowa ciągle zarzekała się, aby na małżonka wpływ jaki wywierać mogła, dworacy znajdowali, iż poszanowanie i przywiązanie, jakie jej okazywał Ludwik XV, rosło i wróżyło bardzo wiele. Zwrócono się więc ze wszech stron do królowej, usiłując przypodobać się i pozyskać jej łaski.

W istocie, pożycie małżonków, powierzchownie przynajmniej, było budujące. Młody król, podczas uroczystości w Fontainebleau i Wersalu, ciągle był razem z żoną, tak że nawet na ulubione łowy często mu towarzyszyć musiała. Później, chociaż myślistwo na dłużej go od żony odrywało, dawał ciągle dowody troskliwości o jej zdrowie, zbiegał niespodziewanie, aby z nią wieczór przepędzić, okazywał jej publicznie, ostentacyjnie wielkie poszanowanie i miłość.

Pomimo tej miłości, spoufalenie się, zbliżenie serdeczne, wpływ spodziewany nie przychodził. Od pierwszego spotkania się i uścisku do końca miodowych miesięcy nie zaszła najmniejsza zmiana. Król nie mówił z żoną ani więcej, ani dłużej, niż z początku, nie zwierzał się z niczem, nie zapragnął być częściej. Witał ją z tąż samą czułością pańską, żegnał z tym samym uśmiechem protekcjonalnym, jak od pierwszego prawie spotkania...

Ks. de Bourbon niecierpliwił się i zżymał. Villars ubolewał. Obyczaje ożenionego młodzieńca nie uległy też żadnej znacznej zmianie. Ciż sami młodzi towarzysze zabaw, d'Epernon, de Chalais, de Nesle otaczali go na łowach, a polował z taką namiętnością, jak dawniej. Położenie kardynała de Fleury, który w radzie króla zasiadał, nie mając w niej żadnego oznaczonego wyższego stanowiska, zachowywało dawny charakter opieki nad młodym panem. Król okazywał mu toż samo uszanowanie, co dawniej, powodował się chętnie jego radami, wywoływał często jego zdanie, chociaż kardynał z pewnym uporem trzymał się biernie roli. Nie był zawadą nikomu, a jednak Bourbon czuł w nim współzawodnika, obawiał się i rad był z koła ministrów go wyłączyć. Raziło go to szcze-

gólniej, że król nigdy sam na sam się nie naradzał, nie mając nieodstępnego Fleury'ego przy boku.

Pierwsze miesiące upłynęły tak w potajemnych przygotowaniach, naradach spiskowych, a oczy wszystkich zwracały się na królową, jako na posłuszne narzędzie, które powinno było za daną wskazówką nowy świat stworzyć z podstawionych żywiołów.

Naglona, popychana, królowa zdawała się nic nie widzieć i niczego się nie domyślać. Ks. Bourbon ze swoimi przyjaciółmi był u niej nieustannym gościem, a jeżeli nie on, to Paris-Duverney siedział na straży z jednej, gdy pani de Prie czuwała z drugiej strony.

Zresztą z książąt krwi mało kto zaglądał do Wersalu... Najsympatyczniejszy Marji, wielkiej egzaltowanej pobożności syn regenta okupował winy ojca niesłychaną bogobojnością, która się publicznie ciągle objawiała naprzekór tym, co się z niej naśmiewali; zajęty zaś pobożnemi sprawami, bardzo rzadko pokazywał się na dworze. Hrabiowie de Charolais, zajęci myślistwem, więcej się do króla z powodu tego zbliżali, gdy książę i księżna du Maine trzymali się od niego zdala. Od hrabiny Tuluzy, którą król lubił, oddalały wspomnienia przeszłości, o czem usłużne damy zawczasu ostrzegły królową.

Wszystko, co było żywszego, młodszego, weselszego, zwolna się oddalać zaczęło, a dokoła Marji tworzyło się kółko smętnych, sztywnych, surowych i kwaśnych postaci. Towarzystwo wesołe, zmuszone trzymać się na wodzy, nie miało ochoty garnąć się pod surowe prawa; poważniejsze nie skupiło się jeszcze — król ze swoją młodzieżą ukazywał się tylko czasami. Królowa więc była osamotnioną; ale nawykła w Wissenburgu do tej ciszy, nie znajdowała jej ciężką dla siebie. Modliła się, zajmowała robotami dla kościołów, trochę malarstwem i muzyką.

Ciszę tych dni, upływających spokojnie, przerywało czasem nagle przybycie Ludwika XV z młodzieżą, którą prowadził za sobą, a za królem szły bale, przyjęcia i wieczory z grą obowiązkową, w której

i Marja uczestniczyć musiała. Ten ruch, jaki się rozbudzał naówczas, innym bardzo pożądany, dla niej był nieznośnym, ale należało do obowiązków królowej nim się zabawiać.

O wszystkiem tem król Stanisław był przez listy córki zawiadamiany. Usiłowała ona to życie malować z powabnej strony, a ojciec w duchu dopowiadał resztę. Ten, który wierzył, że wyniesienie córki było cudem Opatrzności, musiał też patrzeć na owoc tego cudu, w najjaśniejszych je barwach sobie wystawując. Nawet co było ciężkiem dla Maruchny, służyło przyszłości...

Stary Villars przybywał czasem do Meudonu, ale i ten nie miał daru głębokiego wnikania w stosunki; wynosił tylko królową i jej cnoty. Spodziewano się, że rychło wystąpi ona czynnie, gdyż Bourbon naglił, prosił i był przekonany, że nareszcie dramat władzy grać się rozpocznie. Miano tylko żal do Marji, iż się ociągała, wahała i opierała mieszaniu się do spraw publicznych.

Villars nareszcie postanowił o tem mówić królowi, sądząc, że go do współdziałania nakłoni.

— Nie mamy wyrazów na uwielbienie naszej młodej pani — rzekł, przybywszy raz do Meudonu, i siedząc w królewskim gabinecie, z którego okien wesoły widok na ogrody się otwierał. — Kochamy ją wszyscy, lecz mamy do niej trochę żalu.

Leszczyński, słuchając, uśmiechał się z błogiem uczuciem.

— Żalu? do mojej Maruchny? — szepnął — a toż za co?

— Nazbyt jest skromną i nieśmiałą; — mówił Villars — za mało królową. Król w niej potrzebował anioła stróża i poradnika, jest łagodny i powolny, łatwoby go wiodła, a tyle jest do zrobienia! Książę de Bourbon prosi ją i zachęca, aby była czynniejszą, a ona się trzyma na uboczu i daje się wszystkim, kto chce, wyprzedzać.

— Komu? — zapytał Leszczyński.

— Nawet pustej młodzieży, która z nim jeździ na łowy; nawet zimnemu i apatycznemu Fleury'emu.

Król zdawał się nie rozumieć.

— A o cóż to wam idzie? — zapytał dobrodusznie.

— Czas jest, aby się więcej zaczęła zajmować sprawami kraju wogóle — rzekł Villars. — Księciu de Bourbon częstokroć bywa ciężko wystąpić samemu, onaby mu łatwo drogi jego mogła przygotować, umysł króla skłonić. Książę wiele rachował na królową.

Leszczyński się zadumał i westchnął.

— Ja jej tego za złe brać nie mogę, — rzekł — że się trzyma zdala od spraw publicznych. Nie jest to dla kobiet zajęcie. Największe to nieszczęście kraju, gdy się sprawy publiczne w ręce niewieście dostaną. Słuchaj mnie, Villars, jej zadanie inne jest i być powinno... Ona je tak samo, jak ja, rozumie. Wzięliście ją, aby wam dała potomków ze krwi Ludwika Świętego, aby była matką dynastji nowej. To macierzyństwo jest jej powołaniem; sądzę, że o tej wielkiej powinności myśli i cała w niej zawczasu żyje. Ona wam przyszłość wykołysze, da dzielnych rycerzy, mądrych prawodawców, królewny piękne, rodzinę błogosławioną. Maruchna moja żyje w dzieciach, których się spodziewa; a z postępowania Ludwika XV wnoszę, że i on w niej nie widzi kogo innego, nad matkę swoich dzieci.

Villars się zmarszczył nieco.

— Ale macierzyństwo nie przeszkadza, aby nad krajem czuwała, — odezwał się po chwili — może współdziałać i pomagać mężowi. Winna mu pomoc i radę.

Król potrząsnął głową.

— Wierzaj mi, Villars, — wyrzekł — wyście jej do tego skłaniać nie powinni, a wogóle nie potrzeba nią kierować. Zostawmy jej wolę własną; natchnie ją Opatrzność, gdy wystąpić będzie potrzeba. Wszakże Bourbon nie zachwiał się w łaskach króla?

— On! w łaskach! — odparł marszałek. — Mówiąc otwarcie, Bourbon ich nie miał nigdy. Wziął go Lu-

dwik, bo się nie mógł posłużyć Orleanem, który mszy słucha na klęczkach, ale na finansach nie zna się wcale. Bourbon, przyjmując obowiązki pierwszego ministra, rachował na pomoc królowej.

— Ona go też pewno nie zawiedzie — przerwał Leszczyński, — ale w tej chwili nic mu nie zagraża.

— Król unika księcia de Bourbon, — ciągnął Villars po przestanku — trzeba, aby królowa go posiłkowała, aby ich zbliżyła z sobą.

— Nie obawiajcie się o niego,—odezwał się król— niema go kim zastąpić.

— Tak, niema nikogo, oprócz jednego człowieka, który na oddaleniu Bourbona skorzystać i czyhać na nie może, a szkodzić mu starać się będzie — mówił Villars.—Człowiek ten, jak się zdaje, zdawna się przygotowywał do tego... Jest nim kardynał de Fleury. Dla widoków swoich całe wychowanie Ludwika skierował tak, aby go od wszelkich myśli poważniejszych oddalić, do pracy zniechęcić. Dlatego bawił go zawsze, nigdy nic nie zabraniając takiego, co mogło być rozrywką. Dlatego Ludwik XV szył w krosnach jak panienka, toczył, sadził kwiatki, nawet gotować się uczył, gdy powinien był uczyć się rządzić.

— Mówicie o kardynale — wtrącił król.

— Fleury, jeżeli się nie mylimy, a wątpię, byśmy się mylili, dlatego tylko księcia przypuścił do władzy, aby z niej raz wyzutego niemożliwym na przyszłość uczynić. Będziemy mieli nowego Mazaryna...

Milczenie panowało chwilę.

— Mało znam biskupa de Frejus, — odezwał się Leszczyński — ale z tego, co wiem, posądzałbym go raczej o chciwość niż ambicję.

— Oboje razem iść może — począł Villars. — Fleury wyrósł z bardzo małego człowieczka. Ojciec jego był poborcą dziesięcin w diecezji Glandève. Kardynał de Bonzy dał mu pierwszą kanonję, z którą on potem wśliznął się do dworu. Tu długo z początku wycierał przedpokoje, a posługiwały się nim kobiety i ich protekcji winien wzrost, ale i giętkość przejął od nich,

z jaką się zawsze umiał stosować do wymagań towarzystwa. Był zawsze i jest bardzo w obcowaniu przyjemnym, słodkim, i nigdy w życiu nie potrącił nikogo... co nie przesądza, że się nie jednemu da we znakie, kiedy dojdzie do mety... Pomimo zręczności, Fleury nie wszystkich serca umiał sobie pozyskać. Ludwik XIV nie mógł go znieść, wstręt czuł do niego, przeczuwał w nim intryganta, i zmuszony tylko, mimowoli dał mu biskupstwo Frejus. Fénelon, choć mu się starał podobać i dworował, nie lubił go także. Wszechmocna protekcja pani de Maintenon, potem list pasterski w sprawie bulli *Unigenitus,* ale najbardziej pono umiejętność przypodobania się, słodycz, miękkość doprowadziły go do pozyskania miejsca ochmistrza, nauczyciela przy delfinie. Tu skorzystał z tego, że marszałek de Villeroy był nieznośnie szorstkim, aby niewyczerpaną powolnością zaskarbić sobie łaski młodego ucznia. Był to pierwszy i jedyny może człowiek, którego Ludwik XV ukochał, w którego uwierzył i poddał mu się zupełnie...

Leszczyński skorzystał z krótkiej chwili spoczynku Villarsa, aby głos zabrać.

— Sądzicie, że króla tak do siebie przywiązać potrafił? że ma nad nim taką władzę? — Nie wiem! Starałże się z tego na złe korzystać?

Pytaniem tem, bardzo zręcznie wtrąconem, Leszczyński nieco zmieszał marszałka.

— Tego mu nie zarzucamy, — odparł — ale może gorszego coś nad to... Z miłości ucznia korzystał, aby go uczynić dzieckiem zawczasu znudzonem i rozpieszczonem. Odjął mu powagę i siłę.

— O, nie wyrokujcie tak stanowczo zawczasu! — przerwał król z pewnym wyrzutem.

— Radbym być powolniejszym, — bronił się Villars — ale prawdy zamilczeć mi nie wolno, zwłaszcza przed wami. Dziśby jeszcze z tej apatji czas wyprowadzić króla, a tego może tylko dokonać królowa, córka wasza.

— Kto? ta biedna Maruchna moja? — podchwycił

Leszczyński. — Nie wymagajcie od niej za wiele. Z natury jest nieśmiałą. Ciągle mi w listach pisze, że męża poznać jeszcze nie mogła, że dla niej jest zamknięty. Dajcież jej czas, aby go dobrocią i łagodnością pozyskała...

— Ach! — zawołał Villars — czas ten właśnie jest dla nas, dla księcia niezmiernej ceny, bo inni go na to spożytkowują, aby króla uwikłać i przeciwko Bourbonowi zniechęcić... W. król. mość, — dodał marszałek — starajcie się skłonić królową, aby zbyt nie zwlekała, bo Fleury i przeciwko niej, i przeciwko księciu potrafi wychowańca zniechęcić...

— Wszystko to być może! — westchnął Leszczyński — cóż kiedy i ja, i Maruchna jesteśmy fataliści!

— Królowa — podchwycił Villars — tylko z pomocą księcia de Bourbon może swoją powagę utrzymać; on jeden jest jej prawdziwie oddany; cały zresztą dwór płochy, obawia się jej surowości i zawsze będzie się starał szkodzić królowej w umyśle króla... Przeciwko niej i jej wpływom spiskują wszyscy... Powinna znać swoich przyjaciół i nawzajem ich trzymać stronę u króla. Edykt przeciwko protestantom, proces Blanca, spory z parlamentem, nędza w kraju... wszystko to ma być winą Bourbona... jego za to odpowiedzialnym czynią. Fleury potajemnie szkodzić mu się stara.

— Lękam się, kochany przyjacielu, — zimno odpowiedział Leszczyński — ażebyś nie był uprzedzonym. Maruchna mi pisze, że Fleury dotąd najmniejszego udziału czynnego w rządach nie ma.

— Komedja! — przerwał Villars.

— Przecież — ciągnął dalej Leszczyński — człowiek ten dotąd mi wogóle na komedjanta i intryganta nie wyglądał, nie ma z nikim stosunków, nie bywa prawie u nikogo, chyba parę razy na tydzień w Vaugirard pod Issy, gdzie mieszka staruszka, pani de Levis, wierna jego przyjaciółka, i dobroduszna Dangeau. Te dwie babusie stanowią całe kółko jego, a tych my się obawiać nie potrzebujemy. Pani Levis

wyrzekła się oddawna wszelkich z dworem stosunków... Ja nie posądzam Fleury'ego...

— A ja utrzymuję, że się obawia wpływu królowej, że będzie się przeciwko niej starał króla usposobić, grożąc mu opanowaniem... Pamiętajcie tę moją przestrogę, niebezpieczeństwu należy zapobiec zawczasu — dodał Villars.

W ten sposób Villars i d'Argenson, sprzyjający królowej, napróżno przez Leszczyńskiego i wprost ją samą przestrzegali przeciwko Fleury'emu; ani jej charakter, ani zasady, w jakich była wychowana, nie dopuszczały jej wystąpić zbyt śmiało. Ostygnięcie i postępowanie nieco dziwaczne Ludwika XV z żoną tem więcej ją onieśmielało. Widzieli w tem wszyscy, oprócz niej, wpływ Fleury'ego.

Gdy przeszły pierwsze zabawy, uroczystości, pobudzone niemi życie weszło w karby codzienne. W tym czasie nawet Voltaire miał sposobność docisnąć się do Marji, a tytułem do tego było uwielbienie dla króla-filozofa. Napisał nawet tragedję, którą złożył u stóp młodej pani, jeszcze względem niego nie rozczarowanej, przyjmującej objawy sympatji sercem wdzięcznem.

W pięknym wierszu dedykacyjnym Voltaire wyrażał się o Leszczyńskim jako o bohaterze wyższym nad swoją dolą i nad wszelkie wywyższenia. Tragedję tę, „Marjannę", cudownie odegrała sławna Adrjanna Lecouvreur; ale, mimo to, słaby utwór nie utrzymał się na scenie. Przypisywano to mało znaczącemu trafunkowi, który w chwili wypicia trucizny przez bohaterkę widzów pobudził do śmiechu.

Poeta należał wówczas do gorących wielbicieli wschodzącego słońca i pisał o Marji: „Królowa jest zachwycająca; płakała na mojej „Marjannie", śmiała się na „Indiscret", nazywa mnie swoim biednym Voltaire'm".

Cały ten ruch i wrzawa powoli przebrzmiewały w Paryżu; życie wracało z warunkami powszedniemi; młody król, pomimo czułości dla żony, tęsknił do po-

lowania w Rambouillet i biegł z młodzieżą na długie wyprawy w lasy, zostawiając żonę samą. Parę tylko razy w ciągu kilku miesięcy, przez wzgląd może na ludzi i na królowę, razem z nią wybrał się do Meudonu. Leszczyński z wielką duszy pociechą widział go wtedy bardziej ożywionym niż zwykle, rozmowniejszym, weselszym, poufalszym, co jak najlepsze w przyszłości rokowało nadzieje. Nie postrzegano tego, że u Ludwika XV wszystko przychodziło obmyślane, wyrachowane, w swoich godzinach, wybuchami bez czucia... Zrozumieć go trudno było...

Leszczyński, we wszystkiem optymista, córkę i siebie uspokajał i pocieszał.

Te dwukrotne odwiedziny Meudonu, które kardynałowi dawać musiały do myślenia, Bourbonowi wlały odwagę do przynaglenia królowej, aby zbliżyła się do męża i starała wpłynąć na niego.

Nie było dnia, ażeby książę i pani de Prie nie wpajali tego Marji, iż powinna męża z opieki Fleury'ego oswobodzić. Ale nieśmiała, skromna pani z trudnością dawała się do czynu jakiegoś pobudzić. Najczęściej Ludwik XV przybywał nagle do Paryża, do żony, a pozostawszy z nią sam na sam, obchodził się z nią tak dziwnie, tak kapryśnie, iż odwagę jej wszelką odejmował do zwierzenia się sobie.

Ile razy była między nimi mowa o sprawach publicznych, król ostygał, odzywał się krótko, szorstko, — jakgdyby ją chciał odstraszyć. — Przestraszona ustępowała... ale Bourbon nalegał... nie ustawał, przekonywał, że należało koniecznie coś począć dla usunięcia Fleury'ego. Wśród tej niepewności królowa naostatek raz wśród niemych pieszczot wieczornych starała się z męża coś wydobyć.

— Proszę cię, — rzekła naiwnie — czy bardzo kochasz kardynała Fleury'ego?

Ludwik, posłyszawszy to pytanie, zwrócił się żywo ku niej, zmarszczył i odparł sucho:

— Bardzo!

Po chwili królowa dodała:

— A księcia de Bourbon?

Piękna twarzyczka króla przybrała wyraz jakiś surowy.

— Tak... dosyć — odparł po namyśle.

W tejże chwili król tak najzupełniej zmienił przedmiot rozmowy, iż Marja więcej się już nic dowiedzieć nie mogła, a humor męża zdawał się jej dawać do zrozumienia, że mu badanie to było przykrem i natrętnem.

Tymczasem położenie księcia de Bourbon z każdym dniem widocznie się pogorszało, Ludwik XV był dla niego grzecznym, ale w sprawach ważniejszych nigdy mu z sobą poufnie mówić nie dawał.

Gdy książę rozpoczynał o podatkach, król przerywał opisem ostatniego polowania na jelenia. Rozmowy z nim tak się zawsze składały, że ktoś obcy był ich świadkiem, a najczęściej asystował Fleury, który dawnego wychowańca nie opuszczał na chwilę; król, okazując mu ciągle poszanowanie najniższe, zarazem Bourbona rażącą zbywał obojętnością.

Dwór cały, chwytając te symptomaty, wróżył mu już upadek. Niepokojono się... Pani de Prie, sekretarz królowej Paris-Duverney coraz natrętniej przynaglali, aby królowa była czynniejszą... ta opierała się — wahała... katastrofa jakaś zdawała się zapowiadać; czuli ją wszyscy. Bourbona odbiegali przyjaciele.

Tak zaledwie upłynęły miodowe miesiące tak szczęśliwą zapowiadające przyszłość, gdy życie dwojga małżonków poczęło przybierać charakter walki.

Ludwik XV powracał do kawalerskiej swojej swobody i z monotonnego towarzystwa żony, bawiącej go nabożeństwem i poważnemi rozmowami, uciekał ze swoim Epernon i młodzieżą na łowy i kończące je ożywione kolacyjki, w których oprócz większej swobody nie było nic zdrożnego, ale dowodziły, że królowa Marja całkiem męża zająć sobą nie mogła.

Królowa, pozostawiona samą, wyszukiwała kapła-

nów, objeżdżała klasztory, odbywała odpusty i potrosze bawiła siebie malarstwem i muzyką, ale muzyka w apartamentach jej częściej brzmiała modlitwą niż wesołością, rozmowy zamiast się żywić zabawnemi plotkami miejskiemi schodziły na opowiadaniu o cudach, o żywotach świętych i t. p.

Złośliwość, dowcip odzywać się tu nie śmiały.

Niezbyt zrazu wyraźnie, powoli, w początkach już dwa obozy króla i królowej oddzieliły się od siebie i nabrały nieprzyjaznego charakteru.

Ci, co tak gorliwie prowadzili Marję na tron, postrzegli, że popełnili błąd i zawiedli się na niej.

Pani de Prie z płochością godną czasów regencji, które ją wychowały, odzywała się z gniewem:

— Jeżeli królowa nie potrafi być taką, jakiej nam potrzeba, ha! wszakże w Rzymie równie rozwód jak dyspensa wyjednać się daje...

Książę Bourbon głową potrząsał.

— Król słuchać jej nie chce, — mówił — to prawda, nie daje się mieszać do spraw publicznych, ale niemniej szanuje i wymaga, aby świat ją szanował; — gdyby silniejszą wolę okazała, byłby uległ...

Naostatek kończyło się to na obwinianiu kardynała, który królowej szkodził, zniechęcał do niej, ostrzegał... Trzeba się więc było pozbyć koniecznie kardynała.

Codzień na to nowy środek obmyślano, ale nazajutrz okazywał się nieprzydatnym lub śmiesznym.

W obozie Bourbona, który coraz fałszywszemi krokami czynił się niepopularnym i zniechęcał wszystkich, rosła niecierpliwość.

— Bądź co bądź, — mówił Bourbon — potrzeba grę uczynić jasną. Daliśmy królowej dosyć czasu do przygotowania się, musimy żądać, aby wystąpiła stanowczo.

II.

Dni królowej Marji, z wyjątkiem tych, które przybycie króla i wyraźna wola jego zmieniły, upływały bardzo jednostajnie.

Etykieta dworska, nawyknienia dawne, tradycje, charakter Marji, naostatek i stan zdrowia jej, wymagający troskliwości, czyniły to dla młodej pani łatwem do zniesienia, prawie przyjemnem.

Z godzin tych im więcej mogła odkraść dla siebie i małego kółka swojego, pobożnych praktyk, pisania listów do ojca, tem była szczęśliwszą.

Przed ojcem nie uskarżała się nigdy, owszem malowała szczęście swoje, czułość i dobroć męża, starania o zaspokojenie wszelkich fantazyj.

Cieszyła się drobnostkami nawet, jak naprzykład, że jej dozwolono ulubionego, brzydkiego, ale przywiązanego pieska zatrzymać przy sobie... o nim to mówiła:

— Biedne stworzenie! któżby je kochał, gdyby mnie nie miał?

Dzień się rozpoczynał od nabożeństwa, a niekiedy oprócz mszy świętej w pałacowej kaplicy uroczystości po innych kościołach zabierały godzin parę. Po śniadaniu uniknąć nie było można przyjęcia dam, posłuchań, zwierzeń sekretarza, odwiedzin księcia, poufałych a często nieprzyjemnych doniesień pani de Prie. Szły dalej potem czytanie, muzyka, przejażdżki lub przechadzki, które czas zabierały do wieczora, a po obiedzie każdy dzień się kończył prawie przyjęciem mnóstwa gości i weszłą w obyczaj stały, uciążliwą grą w karty.

Gra należała tak dalece do koniecznych zabaw dworu, że królową się nawet od niej uwolnić nie mogła. Grywano drogo, i później nieraz biedna pani, której zbywało na gotowych pieniądzach, była w największym kłopocie, pożyczonem grając złotem i zmuszona je przegrywać... Wśród wieczora król się zjawiał, ceremonjalnie witał żonę, bawił najczęściej krót-

ko i wymykał się potem z młodzieżą. Innych dni oznajmywał zawczasu, iż noc spędzi w pałacu, o czem służbę królowej uwiadamiał.

Oprócz tych chwil, które z konieczności zbliżały małżeństwo, zmuszając Ludwika być razem z żoną, drogi życia dwojga małżonków coraz bardziej się rozchodziły, coraz ich bardziej odosobniały.

Dawne towarzystwo młodzieży, do którego Ludwik nawykł był od dzieciństwa, zwiększało się teraz nowymi, poważniejszymi przybyszami, którzy, jakby przewidując upadek Bourbona, a wzmożenie się kardynała, przygotowywali się do stworzenia obozu, do popierania królewskiego ulubieńca, do walki bodaj z panią de Prie i jej Parisami.

Odzywano się coraz głośniej i śmielej przeciwko nieudolności księcia, omyłkom finansowym, spekulacjom osobistym...

Do tych nieprzyjaciół Bourbona, a zatem i królowej, bo ona jawnie go dotąd broniła i popierała, wierną mu pozostając, należeli teraz książęta de Chavost i de Mortemart, którzy bardzo umiejętnie podkopywali Bourbona.

Król, chociaż dotąd nie dawał najmniejszego znaku ani pozwolenia, ani oporu, słuchał cierpliwie stron obu, pozwalał mówić, niekiedy się uśmiechał... Miało to już wielkie znaczenie.

Mortemart śmielszy, tak już po kilkakroć umiejętnie zabiegał i naciskał Ludwika XV, usiłując dobyć z niego jakieś słowo, któreby dozwoliło iść dalej, że król odprawić go musiał dobitnym wyrazem nieukontentowania. Słuchał zwykle milczący dumnie, mierzył potem wejrzeniem i odwróciwszy się plecami, odchodził, nie rzekłszy słowa. Ale Mortemart wiedział, że się nie gniewa.

Bourbon coraz bardziej się czując zagrożonym, gdy począł obliczać tych, co z nim pozostali, znajdował tylko królową i kardynała Polignaca. Ostatni nawet stanowczo doradzał wystąpić przeciwko Fleury'emu i nakłaniał Bourbona, aby królową zmusił do tego.

Naglona po kilkakroć Marja wymawiała się: prosiła o zwłokę; a im dłużej badała męża, tem się więcej obawiała, że jej weźmie za złe czynne mieszanie się w sprawy publiczne. Nie chciała jednak okazać się niewdzięczną; gotowa była do ofiary z siebie, a odraczała tylko ostatnią godzinę.

Wkońcu nieustanne nalegania księcia, Parisów, pani de Prie wystąpienie uczyniły nieuniknionem. Z dnia na dzień przeciągało się to nadaremnie.

Pani de Prie z całą niewieścią przebiegłością oblegała królową, nie dawała jej spoczynku, a znając słabą jej stronę, ciągle niewdzięcznością zawstydzała:

— W. król. mość masz wielce dobre serce, masz wysoce szlachetne uczucia, więc nie możesz prześladowanemu ze wszech stron odmawiać pomocy.

— Wiecie, żem chora, że lekarz mi zakazał wszelkich wzruszeń silniejszych... a nie o moje idzie zdrowie... — tłumaczyła się Marja.

— Właśnie ten stan w. król. mości — podchwytywała intrygantka — nie dozwoli najjaśniejszemu panu nic jej odmówić...

Niezręczny, gwałtowny, popchnięty przez kobietę zniecierpliwioną, Bourbon, korzystając z wahania się, postanowił wziąć wstępnym bojem znękaną królową.

W niewłaściwej godzinie zażądał przez Duverney'a rozmowy sam na sam... Pośpiech i sposób, w jaki przysłał to żądanie, odmówić nie dozwalały.

Zaledwie drzwi się za wprowadzającym go Parisem zamknęły, a królowa blada wstała go witać, Bourbon przypadł gwałtownie, poczynając od wymówek i wyrzutów.

— W. król. mość widzisz dziś przed sobą człowieka, którego przywiodłaś do rozpaczy. Czekałem długo na dowód jej litości nade mną. Widzę, żem się chyba na sercu jej omylił. Nie chciałbym przypominać w. król. mości, że król Stanisław i w. król. mość wszystko winniście mnie jednemu, że, przebojem idąc, wprowadziłem ją na tron, spodziewając się choćby tyle, że w. król. mość nie dasz mnie na pastwę zażartych nie-

przyjaciół. Jedno jej słowo do króla może zmienić położenie moje. Czekam na nie, dziś go wymagam, jako zapłaty za moje zasługi. Chwili niema do stracenia...

Królowa drżała, słuchając.

— Mości książę, — rzekła cicho i nieśmiało — proszę wierzyć, że ja ze wszystkich okoliczności korzystałam, aby mu służyć u króla; ale nie mam nad nim żadnej władzy, nie mam najmniejszego wpływu...

— Bo w. król. mość mieć ich nie chcesz — krzyknął, unosząc się, Bourbon. — Król słucha innych, jej nie słysząc nigdy. Tymczasem kardynał wszystko czyni, aby mnie obalić, aby w. król. mości w umyśle męża szkodzić. Upadek mój odejmie w. król. mości znaczenie jej, podda tyranji kardynała.

Królowa załamała ręce.

— Mówcież, co ja mam począć?

— W. król. mość — zawołał Bourbon — powinnaś mieć czynny udział w sprawach państwa, jak go miały wszystkie nasze królowe. Mogłabyś się domagać, abyś była przytomną na posiedzeniach rady, a nawet żądać od króla, aby się one czasem w jej apartamentach odbywały.

— Jam sobie tego nie życzyła nigdy, — odparła królowa — ani ja, ani król, mój ojciec... Jeżeli się to ma stać, to chyba z dobrej woli króla, gdy on uzna tego potrzebę. Nie może to przyjść nagle, nie mam ani ochoty, ani zdolności.

— Ja proszę o to dla mnie, — przerwał Bourbon — ja tego potrzebuję, ja się tego domagam, jako dowodu wdzięczności i łaski...

Marja przestraszona tem gwałtownem naleganiem, poruszona, dnia tego czując się właśnie słabszą, nagle wybuchnęła wielkim płaczem i łkaniem. W oczach się jej zaćmiło tak, że musiała zeprzeć się na poręczy krzesła i osłabłym głosem zawołała:

— Wody!

Jedna z pań, które czuwały w progu, posłyszawszy to, wbiegła. Książę de Bourbon uląkł się i wybiegł zmieszany.

Wypadek ten na dni kilka ochronił królową od nowych nalegań i napaści, ale bynajmniej nie zmienił położenia Bourbona i nie zachwiał postanowieniem, aby królową zmusić do wystąpienia w jego obronie.

Szło naprzód napozór tylko o to, ażeby książę u króla otrzymał posłuchanie sekretne, dotąd bowiem kardynał Fleury tak stał na straży, iż nigdy Bourbon sam na sam nie mógł się zejść dla narady z królem. On był zawsze niedostępnym. Król, oprócz przywiązania i poszanowania dla kardynała, miał tę naturę, że czego się u niego najmocniej dobijano, tego uparcie odmawiał... Udawał, że nie rozumie, głuchł, ślepnął.

Posłuchanie sekretne było całkowicie niemożliwe.

Książę Bourbon, pomimo uporu i wstrętu królowej, pomimo wszelkich wymówek, zmusił ją posłać pana de Nangis do króla, z prośbą, aby sam do niej przybyć raczył.

Użyty za pośrednika de Nangis z pewnością nie wiedział, dlaczego królowa wzywała do siebie męża; czy Ludwik XV czego się domyślał, pozostało wielce wątpliwem. Królową ten rodzaj podstępu kosztował niezmiernie wiele. Zmuszona do niego, wiedziała, że za to odpokutować musi, jeżeli Ludwik XV weźmie to za podejście z jej strony.

Bourbon czekał w apartamencie królowej, gotów natychmiast z bytności króla korzystać.

Gdy de Nangis prośbę królowej zaniósł Ludwikowi XV, ten, nienawykły do takiego objawu woli ze strony żony, popatrzył mu w oczy dumnie, zamyślił się, prośba widocznie wydała mu się zuchwałą, po krótkim jednak namyśle oświadczył zimno i krótko, że — przyjdzie.

Stan królowej Marji po spełnieniu tego kroku w każdym najobojętniejszym nawet człowieku litościby musiał obudzić... Drżała, słabła, łzy się jej w oczach kręciły, modliła się pocichu; a gdy król ukazał się na progu, gdy, zobaczywszy księcia Bourbona, stanął, brwi nieco ściągnąwszy, natychmiast wybiec chciała, aby

ich samych zostawić. Odwaga i przytomność ją opuściły.

Ks. Bourbon, rachując na to, iż przytomność królowej będzie mu pomocą, lękając się już pozostać sam na sam z kuzynem, odezwał się, zwracając ku niej:

— Zdaje mi się, że jego król. mość wolałby widzieć n. panią świadkiem rozmowy.

Królowa stała w progu, niepewna, oczekująca.

— Proszę zostać — zawołał król krótko i nakazująco.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia. Król podszedł kilka kroków, a Marja ustąpiła ku oknom, jak mogła najdalej, aby rozmowie pozostać zupełnie obcą.

Bourbon rozpoczął ją naprzód od tłumaczenia się...

— W. król. mość przebaczysz mi, — odezwał się — iż środka tego użyć musiałem, abym powierzone mi pismo do rąk w. król. mości oddał bez świadków. Nie miałem nigdy szczęścia być dopuszczonym do w. król. mości, w czasie, gdy byłeś sam...

Nic nie mówiąc, sztywny, dumny Ludwik XV, widząc, że książę list dobywa z kieszeni, wyciągnął rękę.

Było to pismo dosyć rozwlekłe kardynała de Polignac, zawierające oskarżenie przeciwko kardynałowi de Fleury, wszystko to, co Bourbon miał przeciwko niemu, znalazło w Polignacu wymownego tłumacza.

Pomimo młodości króla i jego niedoświadczenia, na twarzy czytającego nie można było rozpoznać, jakie to na nim czyniło wrażenie. Żadnego poruszenia, zdumienia nawet nie znalazła w nim królowa.

Nadzwyczaj obojętnie i powoli przeszedł oczyma tę misywę i nazad ją, nic nie mówiąc, wręczył Bourbonowi, który czekał rozgorączkowany na odpowiedź, napróżno.

Ludwik XV zaczął poprawiać i pociągać koronkowe mankiety, spojrzał w zwierciadło, zwrócił wejrzenie na żonę, patrzącą za okno — milczał.

— Co w. król. mość sądzi po tym liście Polignaca? — zapytał Bourbon.

— Nic — odezwał się król sucho.

Odpowiedź była tego rodzaju, że z niej nic wyciągnąć nie mógł pytający.

— Pragnąłbym wiedzieć, — dodał żywo — jakie są rozkazy w. król. mości na przyszłość.

Coraz posępniej marszczyła się piękna, ale surowa twarzyczka królewska.

— Wszystko pozostać ma jak było! — rzekł król cicho.

Bourbon, nie wiedząc, jaki ma nadać obrót rozmowie, a widząc, że Ludwik gniew w sobie tłumi, załamał ręce, padł na kolana przed królem i począł go błagać o przebaczenie.

— N. panie! — zawołał — jeżeli zawiniłem, to tylko przez zbytek mojej gorliwości w służbie w. król. mości. Raczcie mi to przebaczyć...

Ludwik chciał się cofnąć, nie dając tego przebaczenia, gdy książę za rękę go pochwycił.

— N. panie! — powtórzył — proszę o przebaczenie!

Było to uznanie się winnym. Żywo, ale niechętnie, widocznie tylko dlatego, aby się pozbyć natręta, Ludwik XV rzekł tonem bardzo obojętnym:

— Przebaczam wam...

W tej chwili Marja zamierzała zbliżyć się ku niemu, poruszyła się z miejsca, ale król, zobaczywszy ten ruch, pośpiesznie wybiegł z pokoju.

Nie można było się łudzić: sprawa Bourbona została bezpowrotnie przegraną. Marja czuła, że i ona za niego musi zostać ukaraną, bo Ludwik XV nie uznał nawet za właściwe ani sobie jej przypomnieć, ani uspokoić.

Wina księcia de Bourbon była tem większą i pociągała za sobą tem groźniejsze dla niego następstwa, że cały spisek, osnuty niedorzecznie, obracał się na tej audjencji, jak na osi, rachowano, że król da się przekonać i dla spokoju wprost Fleury'ego oddali, pozbędzie się go raz na zawsze z rady państwa.

Samowolnie więc zarazem dany był rozkaz odźwier-

nemu rady królewskiej, aby do sali nie dopuszczał kardynała, jeżeli nadejdzie.

Stało się, że Fleury przybył i nie był wpuszczonym. Można sobie wyobrazić, jaką go to zemstą natchnęło.

— On lub ja, jeden z nas musi ustąpić — rzekł w duchu.

Obraza była jawna, publiczna, miała świadków, kardynał przebaczyć jej nie mógł; ale z zupełnem panowaniem nad sobą, usłyszawszy wyrok przez odźwiernego ogłoszony, rzekł, spoglądając na niego: „A! to dobrze!“ (C'est bon) — i krokiem mierzonym udał się zwolna do powozu.

Król, powróciwszy na swoje pokoje, dowiedział się, że kardynała nie było; a w chwilę potem czatujący na niego pierwszy kamerdyner Bachelier przyszedł oznajmić, że kardynał wyjechał do Issy.

W parę godzin potem wręczono Ludwikowi XV list Fleury'ego, w którym oświadczał, że obrażony osobiście, pozostając zawsze wiernym sługą jego król. mości, dłużej jednak w Wersalu mieszkać nie może.

Dzień ten był dla królowej, dla księcia de Bourbon, dla całego dworu straszliwy. Oczekiwano końca i jakiejś katastrofy z gorączkowym niepokojem. Otaczający króla dworzanie, ulubieńcy wchodzili, wychodzili, wyjeżdżali, wracali, narady i szepty nie ustawały... Przebaczenia nawet sam Bourbon, choć je otrzymał, nie śmiał się spodziewać rzeczywiście.

Królowa tymczasem omdlewała ze strachu i znaczniejszą część dnia spędziła na modlitwie. Nie było dla nikogo tajmnicą, że Ludwik XV, czytając list kardynała, wpadł w gniew, w jakim go nigdy nie widywano. Szczególniej wyrzekał na królową, ją obwiniał, jakgdyby ona wszystkiego była sprężyną. Usłużne panie zaraz jej o tem doniosły. O Bourbonie król wyrażał się z lekceważeniem pogardliwem, jakgdyby on był tylko narzędziem i sługą ambicji Marji, której najbardziej zdawał się lękać.

Bourbona, który zbiegł, rozkazano przywołać nazad. Ludwik XV, zapomniawszy o przebaczeniu, z na-

miętnym gniewem wystąpił przecikwo niemu, tak że, zobaczywszy go zdala w progu, zawołał podniesionym głosem:

— Siadaj książę i pisz mi natychmiast list do kardynała, prosząc go o powrót i... przebaczenie.

Napróżno książę starał się wyjednać złagodzenie jakieś, aby sobie upokorzenia oszczędzić: król obszedł się z nim z tak nieubłaganą surowością i okazał się tak rozdrażnionym, że wszystko przed nim drżało.

Czy był to gniew rzeczywisty, czy obrachowany na zimno dla obudzenia postrachu, aby się nic podobnego nie powtórzyło w przyszłości, zdania były podzielone. Bourbon rozpaczał.

Ale sposób obejścia się z księciem, wobec sceny, jaka się potem odegrała u królowej, mógł się jeszcze nazwać łagodnym. Pierwszy to raz młody król występował tak samoistnie, z własnej woli; tajemniczy jego, zagadkowy charakter objawiał się czynem jako usposobienie despotyczne. Pięknem było, że stawał w obronie nauczyciela, opiekuna, który go wychował; ale gwałtowność, z jaką nielitościwie się zwrócił przeciwko biednej, słabej królowej, zastraszać mogła.

W początkach wnoszono z obejścia się z Bourbonem, iż zganiwszy wmieszanie się królowej w sprawy do niej nie należące, łagodnie z nią skończy i za złe tego mieć jej nie będzie. Tymczasem sprawa się miała prawie tragicznie rozstrzygnąć...

Chora, strwożona, znękana, osamotniona królowa Marja oczekiwała widzenia się z mężem, aby się mogła usprawiedliwić. Towarzyszki jej nie umiały ani radzić, ani pocieszyć; popłoch rozpędzał wszystkie oprócz poważnej księżny de Luynes, która w przywiązaniu swem do królowej czerpała siłę dla dodawania jej męstwa.

W kilka minut po odprawieniu Bourbona wiedziano już u królowej, co go spotkało. Z największemi szczegółami rozpowiadano, jak nielitościwie Ludwik XV zmusił kuzyna do pisania upokarzającego listu,

który powoływał kardynała na nowo, a księcia skazywał na poddanie się jego rozkazom.

Zdawało się księżnie de Luynes, że właśnie to ręczyć mogło, iż do królowej mąż nie będzie miał żalu.

Co chwila królowa, zamknięta w swoich pokojach, spodziewała się przybycia męża. Tymczasem oznajmiono, że miał wyjechać na polowanie, i przypuszczano, że wyjedzie bez pożegnania, widzieć się z nią nie chcąc nawet. Byłoby to dosyć surową karą dla przestraszonej Marji, ale gorsza daleko ją czekała.

W apartamentach panowała złowroga cisza, gdy ulubiony psina Marji zerwał się z poduszki, pobiegł niespokojny ku drzwiom i z ogonkiem spuszczonym poszedł śpiesznie schronić się do kątka. Wiadomo było, że król miał jakąś fantazję drażnić faworyta i nieprzyjemne płatać mu figle, od których nawet prośby Marji ochronić go nie mogły.

Piesek ledwie miał czas zaszyć się pod kanapkę, gdy król, z głową podniesioną do góry, przez drzwi nagle przed nim rozwarte szeroko, wpadł krokiem szybkim do pokoju.

Twarz miał zmienioną; widać było na niej namiętnie podniecony gniew... Królowa, która go nigdy nie widziała tak podnieconym — struchlała.

Obejrzał się dumnie naokoło, czekając, aby służba się oddaliła. Nie potrzeba na to było rozkazu, nawet księżna de Luynes z milczenia i wzroku jego domyśliła się, że powinna ich była zostawić sam na sam i pokój opuściła.

W tych dwojgu stojących naprzeciw siebie... mężczyźnie i kobiecie, niktby się nie domyślił młodego małżeństwa. Ona wyglądała, jak skruszony winowajca; on, jak sędzia nieubłagany...

Król rozpoczął tonem urągliwym, szyderskim:

— W. król. mość uczyniliście mi wielką przykrość. Gdyby nie wy, nigdyby przyjść nie mogło do nieprzyzwoitych scen dzisiejszych.

— N. panie... — przerwała, jakby o litość chcąc go prosić, Marja.

— Proszę mię słuchać i nie przerywać — rzekł król, tupiąc nogą o posadzkę. — Wyniosłem was na tron dla pokory, bo chciałem być panem mojej woli. Nie znoszę, aby mi kto fantazje swoje narzucał. W. pani winnaś mi wszystko aż do koszuli; ojciec jej także. Nie jest to dobry sposób wywdzięczenia się, gdy kto podstępem władzę sobie usiłuje przywłaszczyć, knuje intrygi, służy tym, którzy są nieprzyjaciółmi moimi.

— Na rany Pańskie! na krzyż Chrystusa! — przerwała, ręce składając, Marja — posłuchaj mnie! Błagam....

— Żadne słowa, żadne pobożne sofizmata nie oczyszczą was z postępków, które przeciwko wam świadczą — zawołał surowo Ludwik XV. — Zaprosiliście mnie do siebie, aby zmusić do widzenia się sam na sam z Bourbonem, który nosił w kieszeni obrzydliwą potwarz na człowieka przeze mnie ukochanego. Nie jestże to zbrodnia?...

Płacz nie dał już odezwać się królowej; ale łzy te, któreby poruszyły każdego innego, najmniejszego wrażenia nie zrobiły na młodym okrutniku, który w męczeniu znajdować się zdawał jakąś wyrafinowaną przyjemność.

— Proszę w. król. mości — ciągnął dalej — raz na zawsze wyrzec się wszelkiego wpływu na mnie i moją politykę. W. pani będziesz królową Francji, matką moich dzieci; to są jej obowiązki. Możesz się zabawiać, modlić, stworzyć sobie kółko przyjaciół, które mnie będzie nienawidziło, ale ani do rady, ani do rządów nie będziesz dopuszczona. Proszę to sobie powiedzieć. Żądam potomstwa i nic więcej... nic więcej. Jako matka moich dzieci w. król. mość możesz mieć poszanowanie i względy...

— N. panie, — odważyła się wreszcie nieśmiało głos podnieść królowa — wszystko, co obchodzi w. król. mość, nie może mi być obojętnem. Nie mogę pozostać obojętną na to, co w. król. mości zagraża...

— Zagraża! zagraża! — podchwycił Ludwik szy-

dersko. — W. pani nie potrafisz osądzić, co dla mnie jest pomyślnem, a co groźnem. Proszę mnie samemu pozostawić wyrokowanie o tem, co mnie spotyka, i jak mam postąpić, a do spraw moich nie mieszać się wcale. Postępek dzisiejszy w. pani oburza mnie i gniewa. Jeżeli chcesz mieć przebaczenie, powinnaś się starać, aby kardynał jej przebaczył.

— W. król. mość darujesz mi, że się uniewinniać muszę — odezwała się nieśmiało, próbując obrony, królowa. — Bardzo wiele razy prosiłam was, abyście mi wskazali, co mam czynić, jak sobie postępować: nigdyście mi odpowiedzieć nie raczyli.

— Rzecz bardzo prosta — szydersko odparł król.— Powinnaś była w. pani zrozumieć, żem żadnych rozkazów nie dawał, bom nie chciał, abyś mi się do polityki i spraw publicznych w jakikolwiek sposób mieszała. Umysł bardzo tępy mógł się tylko na znaczeniu milczenia tego omylić. Ojciec w. król. mości mógł dla zabawy rozprawiać z nią o polityce, ja się zabawiam czem innem, a do polityki mam ludzi...

Na wspomnienie ojca lekceważące królowa spłonęła.

— N. panie, — przerwała śmielej — zniosę najcięższe obwinianie mnie i najcięższą karę za winy, ale proszę nie wciągać w to ojca mojego. Ojciec mój jest niewinny...

Król pogardliwie rzucił ramionami.

— Nauk nie potrzebuję — odparł hardo. — Chciałem widzieć się z wami, abym przestrzegł... Możecie stracić wszelkie uczucie, jakie mam dla was, chcąc mieć ode mnie więcej, niż się należy. Żądałem i żądam bezwarunkowego poddania się i posłuszeństwa.

— Nigdym się w. król. mości w niczem nie sprzeciwiała — odparła Marja.

— Chciałaś pani wtargnąć w sferę, która pozostanie dla niej zamkniętą — mówił król niecierpliwie.— Tron Francji jest zdaje mi się dla pani tak drogocenną zdobyczą, że coś dla niego można poświęcić...

Marja, która ciągle, słuchając, popłakiwała, złożyła ręce i błagająca chciała się zbliżyć do niego, ale król żywo odskoczył i stanął w dumnej postawie zdaleka.

— Proszę sobie dobrze zakreślić granice, — zawołał ostro — których nie życzę, abyś pani przekraczała. Miałoby to dla niej najsmutniejsze następstwa. Jesteś pani królową, będziesz matką delfina i infantki, naostatek małżonką moją... zdaje mi się, że to jej ambicję zaspokoić powinno. Nic więcej! ani ministrem, ani doradcą mieć jej nie życzę. Filozofja jej ojca z moją polityką nie mogą iść w parze. Lubię piękne kobiety, ale w brzydkich nawet rozum nie wierzę.

To mówiąc, Ludwik popatrzył na omdlewającą prawie swoją ofiarę, nie dodał już ani słowa, nie złagodził wyroku, skierował się ku drzwiom, skłoniwszy zlekka, otworzył je i — zniknął. Wchodzące natychmiast damy przyboczne królowej znalazły ją w kąciku kanapki, z chustką mokrą na oczach, nie mogącą przemówić ani słowa i zachodzącą się jeszcze od płaczu.

Surowość męża, którego dotąd wszyscy sobie wyobrażali rozkochanym w niej namiętnie, skłonnym do ulegania jej — przeraziła i zdumiała.

Ludwik XV ukazywał się im w zupełnie nowem świetle, takim, jakim go nigdy nie znali. Miano go za zimnego, znudzonego, zamkniętego w sobie, niezdolnego do objawienia własnej woli. Tymczasem odrazu występował król młody despotycznego charakteru, nie oszczędzający nikogo, a broniący tylko jednego kardynała, który mógł mu trosk panowania oszczędzić.

Cała budowa domysłów o przyszłych rządach runęła. Był to wnuk Ludwika XIV, cały jego despotyzm mający w charakterze.

Kradzione słówka, podsłuchane pode drzwiami, to co się podpatrzyć udało — wprawiły dwór w niepokój do nieopisania. Legenda o rozmowie króla z żoną tworzyć się zaczynała; rozpowiadano ją sobie z dodatkami. Na jednych padła trwoga; drudzy nabrali otuchy.

Bourbona uważano za ostatecznie zgubionego, chociaż uzyskał przebaczenie.

Gorzej, czy lepiej było z królową? — na to się nie zgadzano. Jedni spodziewali się zgody i odnowionych miodowych miesięcy; drudzy szli tak daleko, że zupełne rozstanie się przepowiadali.

Dwór, wyczekujący tak chciwie czegoś nowego, jakiegoś pokarmu i materjału do plotek i intrygi, podchwycił naturalnie odgłos w tej katastrofie z pożądliwością wielką. Złośliwość, głupstwo, przewrotność ciągnęły już z tego wnioski, sięgające daleko.

Rozgłaszano, że rozwód musi wkrótce nastąpić. Wszyscy ci, których związek ten raził, utrzymywali, że Ludwik, rozgniewany, skorzysta ze sposobności i natychmiast żonę odeśle ojcu, a w Rzymie o rozwiązanie ślubu starać się każe.

Mortemart i kilku innych chodzili już z tą nowiną, że Marja nie pozostanie długo, bo inne małżeństwo jest przygotowane, a kardynał Fleury w Rzymie odebrał już instrukcje w sprawie rozwodowej.

Ta Marja, której cnoty niedawno wynoszono pod niebiosa, wydawała się tak niegodną tronu, który zajmowała, iż wyniesienie jej przypisywano niegodziwemu jakiemuś podstępowi. Chociaż wczoraj jeszcze wiedziano o przywiązaniu namiętnem, dziś się ono zmieniło w obrzydzenie, w niechęć, odrazę.

Tymczasem nieubłagany ceremonjał dworu właśnie dnia tego miał teatr w programie. Król zapytany, czy go nie każe zmienić, prawie gniewnie ofuknął przychodzącego z pytaniem i odparł z naciskiem, — że wszystko iść powinno raz oznaczonym porządkiem.

A zatem małżonkowie, którzy się przed kilku godzinami łzami rozdzieleni rozstali, mieli w loży królewskiej spotkać się znowu i ukazać oczom ciekawych, złośliwych widzów, tak jakby nic spokoju nie zamąciło.

Można sobie wyobrazić, jak wielki tego wieczora ścisk przepełniał salę, jak się ustawiano, aby króla i królową widzieć, i zakładano się, kogo zabraknie,

króla czy królowej, czy razem czy osobno wejdą do loży?? i t. p.

Graną była tego dnia tragedja „Britannicus".

Tłum ścisnięty wypełniał nietylko teatr cały, wszystkie do niego wnijścia, korytarze, zakątki...

Ciche poszepty przebiegały od czasu do czasu, podawane sobie z ust na usta.

— Niema króla! król nie przyjdzie...

— Niema królowej! Nie pokaże się królowa... Leży chora...

Oglądano się na wszystkie strony, najlżejsze poruszenie kołysało ciekawym tłumem, jak falą.

W istocie króla i królowej nie było długo, o całą godzinę opóźniła się z przybyciem Marja, a chociaż z największem staraniem usiłowano z oczu jej zetrzeć ślady łez, których długo powstrzymać nie mogła, w blasku świateł powieki ukazały się zaczerwienione.

Król bledszy może, niż zwykle, niczem zresztą nie okazywał zwycięzcy i widocznie usiłował być obojętnym.

Słowa Narcyza: *„Que tardez vous, Seigneur, à la répudier?"* przychodzące z aluzją, jakby naumyślnie, podchwycił parter, i nagle wzrok wszystkich zwrócił się na nieszczęśliwą ofiarę zadumaną, i z pewnością ani słów tych nie mogącą pochwycić, ani zrozumieć nadanego im znaczenia.

Król, jakby był przygotowany do tego, że publiczność szmerem nada słowom komentarz, ściągnął brwi groźnie i dał poznać, że takie wtargnięcie w tajemnice jego życia nie było mu miłem.

Najbliżej stojący ulękli się piorunującego jego wzroku.

Nazajutrz dodnia Ludwik XV wyruszył w lasy pod Rambouillet, a zamkniętej na modlitwie Marji stary przyjaciel wierny, marszałek Villars, rozkazał dać znać, że widzieć się z nią pragnie.

Dla rozranionej jej duszy był to balsam, który miał część boleści unieść z sobą...

— Nie wszyscy mnie więc opuścili! — zawołała, składając ręce.

Villars przychodził jako pocieszyciel. Wiedział już o wszystkiem od księcia Bourbona, ale o rozmowie i obejściu się króla z żoną nie miał żadnych szczegółów — domyślał się, zgadywał, nie przypuszczał takiego okrucieństwa.

Królowa nie chciała nic taić przed nim, nie łagodziła w opowiadaniu surowości męża, i choć się nie skarżyła na niego, dała uczuć przyjacielowi, jak nielitościwie rozczarowaną została... Przychodziło jej nawet wątpić o tem przywiązaniu, które sądziła zapewnionem.

Villars słuchał milczący, zawstydzony prawie, zagniewany na młodego pana... Galanterja francuska nie pozwalała mu przypuszczać takiego bezwzględnego okrucieństwa.

Począł, usiłując go tłumaczyć.

— Porywczość tę — rzekł — na wiek jego złożyć potrzeba. Gwałtowność ta jest w temperamencie, lecz w sercu, wierzcie mi, przywiązanym jest do was szczerze; lęka się on, aby nie mówiono, iż się dał spętać i popadł w niewolę. Żal, który ma do ks. Bourbona, spadł na was niesłusznie, ale ja wierzę, iż się to da naprawić i zatrzeć... Jestem pewny, że wczoraj jeszcze żałował swojej namiętnej surowości.

— Nie idzie mi o mnie — odpowiedziała królowa. — Ja wszystko od niego znieść powinnam i mogę, ale mnie boli, że księciu Bourbonowi nie okazałam wdzięczności, że mi może przypisywać obojętność na los jego i zdradę. Chociażby jeszcze gorzej miał się na mnie pogniewać, będę usiłowała go skłonić, ażeby księciu przebaczył...

— Ach! — przerwał stary przyjaciel — jest to szlachetnem i pięknem, nie przeczę, ale ażeby to spełnić, nie od tego zaczynać potrzeba. W. król mość naprzód się powinnaś o to starać, aby sobie go pozyskać...

— Sobie? — powtórzyła cicho Marja, oczy spuszczając, z wyrazem rezygnacji, — ale ja, ja tu nic

znaczyć nie mogę, będę mu sługą i powodującą się wolą jego istotą...

— Ks. Bourbon tylko przez w. król. mość może odzyskać łaskę króla, ale naprzód wy ją musicie mieć zapewnioną. Nie wątpimy, że nie straciliście serca Ludwika XV, jest to chwilowe nieporozumienie, starać się potrzeba wyjść z niego... W. król. mość zbliżcie się śmiało, naostatek choćby przyszło użyć pośredników, środków, szukać dróg...

Villars chwilę zdawał się wahać z jasnem wyrażeniem swojej myśli, jąkał się, mruczał, królowa słuchała z uwagą, nie umiejąc mu przyjść w pomoc, bo go nie odgadywała.

Naostatek zebrał się na odwagę... i mówić począł.

— W. król. mość nie możecie się od tego uwolnić, abyście się nie zbliżyli więcej do kardynała Fleury'ego, który teraz chwilowo będzie grał ważną rolę. Potrzeba mu wytłumaczyć, że nie macie winy żadnej, bo nie mieliście żadnego udziału w tym dziecinnym spisku Polignaca.

Królowa podniosła oczy na mówiącego, nie zdając się go rozumieć.

— Mam największe poszanowanie dla kardynała, — odezwała się nieśmiało — ale się lękam, że on przeciw mnie jest uprzedzony; nie okazał mi nigdy najmniejszej względności, lękam się, abym go nie była zmuszoną zaliczyć do nieubłaganych nieprzyjaciół moich.

— To być nie może, — odezwał się Villars — niewątpliwą jest rzeczą, że ma wielką przewagę nad umysłem ucznia swojego, a gdyby przeciwko w. król. mości był uprzedzonym, nie dopuściłby do małżeństwa. To samo dowodzi, że rozdrażnienie jest chwilowe i że przyczyną jego jest ks. Bourbon.

Królowa przysłuchiwała się z uwagą.

— Przejednać się z nim, zjednać go sobie, sądzę, że będzie łatwem w. król. mości, — dodał Villars — zyskać nawet jego zaufanie. Tymczasem więc zdaje się, że to być musi celem najbliższym. Kardynał po-

wraca, przyjm go w. król. mość wdzięcznie, razem i króla sobie w ten sposób zyskasz...

Marja skłoniła głowę.

— Chętnie — rzekła — pójdę za radą waszą, będę posłuszną, uczynię z siebie wszystko, co jest w mocy mojej, nie idzie mi o siebie, ale, powtarzam, o księcia Bourbona.

— Miejmy nadzieję, że starania te daremnemi nie będą — dokończył Villars.

Tak skończyły się pierwsze sceny tego, długo mającego się ciągnąć dramatu, za którego prolog można uważać wszystko, co go poprzedziło.

Król Stanisław mieszkał już naówczas w Meudon. Pomiędzy jego rezydencją a Wersalem lub Paryżem zamiana listów była nieustająca. Nie mogąc tak często odwiedzać ojca, jakby sobie życzyła, Marja donosiła mu o najmniejszych szczegółach jej się tyczących. Król odpowiadał listami rad i pociech pełnemi.

Pomimo miłości prawdy, królowa nie zawsze mogła wszystko z ojcem podzielić i zasmucać go szczegółami bolesnemi, za które dzień następny ulgę lub zmianę w nich przynosił.

Listy jej, umyślnie trzymane w tonie wesołym, lekkim, mówiły o szczęściu tylko, wynosiły króla Ludwika, malowały pożycie ich, jako raj na ziemi...

Czy stary ojciec im wierzył? rzeczą jest wątpliwą. Miał on swoje wiadomości, swoje wierne sługi, przynoszące mu z najlepszego źródła czerpane szczegóły. Włodek naprzemiany siedział to w Meudon, skąd przynosił listy i wieści królowej, to w Wersalu lub w Paryżu, zbierając je dla króla.

Dnia tego, gdy Bourbon skłonił Marję do nieopatrznego wystąpienia dla siebie, pan Gabrjel znajdował się właśnie w Meudon, dokąd natychmiast nadbiegły słuchy zastraszające, dziwne, groźne... Król Stanisław, oburzony, wierzyć im nie chciał i, aby dostać języka, posłał naturalnie Włodka. Ten miał swoich przyjaciół, donosicieli, swoje źródła, i choć nie zawsze sam

się mógł zbliżyć do królowej, dowiedzieć się zdołał dokładnie, co się z nią i u niej działo.

Jeden z Parisów był z nim w dobrej przyjaźni. Po drodze z Meudon, spotykając znajomych, miał czas potwierdzającemi się, groźnemi wieściami przerazić się...

Słowo „rozwód" latało w powietrzu, jeden po drugim przyjaciele Włodka potwierdzali mu to, że o rozwodzie na dworze mówiono już głośno, bez ogródki, jako o rzeczy postanowionej.

Biedny poseł tracił głowę.

W Paryżu stosunkowo wyglądało to mniej strasznо; tu jeszcze powątpiewano o ostatecznem rozwiązaniu. Włodek zbierał właśnie relacje różne, układając, jak je miał podać Leszczyńskiemu, gdy Marja, obawiająca się, aby ojca jej doniesieniem jakiem przesadzonem nie przestraszono, usiadłszy list pisać naprędce, w wiadomem miejscu Włodka szukać kazała, domyślając się, że przybyć powinien.

Wierny sługa miał czas rozmyślić się, rozsłuchać, porównać opowiadania i ułożyć własne tak, aby niem króla nie przerażać. Stary Leszczyński miał w najgorszych razach dosyć siły ducha, aby się nie dać pognębić wypadkom.

Dowiedziawszy się o scenie z Bourbonem, odmalowanej mu jaskrawo, król Stanisław poszedł naprzód do kapliczki się pomodlić. Klęczał długo z oczyma w niebo wzniesionemi i wstał uspokojony.

W duszy jego mówił pocieszający głos Boży:

— Nie lękaj się boleści, ani sromu, ani poniżenia, ale chwal Imię Pańskie, bo wybranym swoim zsyła On krzyże.

Łatwo sobie wyobrazić, z jakiemi siłami do walki występowali ci ludzie przeciwko społeczeństwu zepsutemu, którzy, zamiast puklerza i oręża, mieli tylko jedną tę wiarę głęboką. Co mógł taki król Leszczyński z córką bogobojną przeciwko Ludwikowi XV, Voltaire'owi i Richelieu!

Wychodząc z kaplicy, król spostrzegł Włodka, któ-

ry dobyty ze schówki pokazywał mu list Marji. Nie badając przybyłego, Leszczyński wziął naprzód pismo, odczytał je, drżąc, ucałował, i dopiero ochłonąwszy, obrócił się do posła.

— Mów ty mi po swojemu, co się tam stało? Jak się ma dziecię moje? Widziałeś ty ją?

Zakłopotał się nieco litościwy Włodek.

— Był dziś u królowej marszałek Villars — odezwał się, namyślając. — Król wyjechał już na polowanie do Rambouillet. Mnie się zdaje, że nadaremnie zbyt wielkiego narobiono hałasu i że strasznego niema nic... Wszystko pozostało po dawnemu. Królowa imć prosi, abyś w. kr. mość był spokojnym.

— A ona?

— Ona też obiecuje być spokojną.

Leszczyński podumał chwilę.

— Kardynał? czy powrócił?

— Powraca, — król ma się z nim widzieć niezwłocznie.

Piękne i jasne oblicze króla wypogodziło się zwolna po chwilowem zachmurzeniu.

— A zatem, — rzekł, oddychając swobodniej — zatem, Pan Bóg łaskaw, wszystkie te nieporozumienia dadzą się wkrótce usunąć? Poczciwy, stary Villars, on tam czuwa.

I, prowadząc za sobą idącego posłusznie Włodka, król mówił spokojnie, napół sam do siebie, wpół do niego:

— Byle tylko moja dobra Maruchna nie traciła odwagi, łzami się nie zalewała i była spokojna. Znajdą się ludzie, co ją podtrzymają, co jej dopomogą, sam nawet kardynał, jeżeli jest zagniewany, zmięknie... Bourbon niezręczny, doradcy jego jeszcze mniej od niego wiedzą, co począć — a za ich błędy moje biedne dziecko pokutować musi. Na nieszczęście ja, cobym tam najprędzej pokój i zgodę sprowadził — znajdować się nie mogę. Muszę się trzymać na uboczu, aby świat nie sądził, że młody zięć dał mi się zawojować... Tak, — kończył król z uśmiechem dobrodusznym —

mam najlepsze przeczucia, byle Maruchna tak do serca wszystkiego nie brała — i każdego kaprysu męża łzami nie oblewała.

Włodek, chociaż bardzo dobrze wiedział, że zajście Bourbona z kardynałem daleko było większego znaczenia, niż sądził Leszczyński, nie chciał go wywodzić z błędu.

Dotąd Ludwik XV wcale się Leszczyńskiemu nie wydawał groźnym, nie przypuszczał, ażeby sąd o nim mógł zmienić i miał się go obawiać na przyszłość.

Tak samo długo, starannie odgrywana obojętność na sprawy publiczne kardynała Fleury'ego w błąd go wprowadzała co do ocenienia jego charakteru. Przyznać się nawet przed sobą samym do zupełnie fałszywego pojęcia położenia i znaczenia człowieka, nagle wyrastającego do rozmiarów jakiegoś Richelieu i Mazarini'ego — nie umiał Leszczyński jeszcze.

Na uniewinnienie go dodać należy, iż nie jeden on tak się na nim omylił; książę Bourbon, Villars, najpoważniejsi mężowie wszystkich obozów dopiero się teraz dopatrzyli w tym cicho i podstępnie dobijającym się władzy człowieku, który żył odosobniony, zdawał się tylko wychowaniem ucznia zajęty i zbieraniem grosza... — niebezpiecznego, ambitnego, nadzwyczajnej wytrwałości intryganta.

Król, stając po jego stronie, wskazywał odrazu, iż on ma być panem położenia.

Leszczyński spraw tych nie roztrząsał tak głęboko, łudził się, widząc w tem nieporozumienie chwilowe. List córki, usiłujący go uspokoić, łatwo cel swój osiągnął.

— Nie trwóżcie się — rzekł, przywoławszy napowrót Włodka. — Fleury był osobiście dotknięty, otrzymał zadośćuczynienie, zgoda i pokój nastąpić muszą.

Włodek, który obawiał się, aby to złudzenie staremu królowi nowych nie gotowało zawodów i przykrości, ośmielił się do wielkiej otwartości.

— N. panie,— rzekł — z duszybym rad, aby się życzenie w. król. mości ziściło, ale na dworze ci, co le-

piej znają wszystkich, obawiają się, aby kardynał teraz, korzystając z łaski króla, nie zawładnął nim i władzą... Dla księcia Bourbon i dla naszej królowej ciężka się z nim zapowiada wojna.

Leszczyński poruszył ramionami.

— Są to postrachy, — odezwał się — rzucane przez tych, którzy radziby walkę wywołać, ażeby z niej korzystali sami. Kardynał mąż rozumny i łagodny, Maruchna ma miłość męża, wszystko znowu wejdzie w karby.

— Daj to Boże, — westchnął Włodek — ale ja, jako wierny sługa w. król. mości i pani mojej, muszę mówić prawdę, jaką widzę — mam obawę wielką... Nietylko książę Bourbon wiele omyłek popełnia — daleko więcej ich codzień czynią ci, którymi on królową obsadził, aby u niej sprawę jego popierali. Panowie Parisowie chciwi są na grosz i wiele wymagający; pani de Prie niespokojnego charakteru chce na dworze przewodzić. Gdyby królowa starała się o to najmocniej, nie powstrzyma jej, ona i jej przyjaciele nie dozwolą zawrzeć pokoju, bo wymagają rzeczy niemożliwych. Jeżeli kardynał w pokoju ich zostawi, oni jemu go nie dadzą!

Leszczyński słuchał dosyć obojętnie, optymizm jego szukał zawsze jakiegoś środka do wzbudzenia nadziei.

— Zobaczysz, — rzekł — wszystko to, da Bóg, wyjdzie na dobre, położenie się wyklaruje. Maruchna uzyska wpływ większy, a te wartogłowy umiarkować się będą musiały.

Tak się rozmówiwszy parę razy z Włodkiem, król poszedł pisać list do córki, nastając tylko na to, ażeby nie zrażała się, nie opuszczała męża, starała się zbliżyć do Fleury'ego. Wszyscy prześladowani z Pisma Świętego byli tu wspomnianymi — i triumfy ich ostateczne.

Ogólnemi wyrazy starał się ją pokrzepić, zalecając pewne modlitwy i duchowne ćwiczenia.

III.

Charakter Ludwika XV, który dotychczas dla wszystkich był nie rozwikłaną zagadką, po raz pierwszy się teraz jaśniej zarysował. Dotąd dosyć spokojne życie dworu, które młodzież znajdować już zaczynała nieco nudnem i zastygłem, w nową wchodziło epokę.

Króla widywano dotąd zawsze jednostajnie milczącym, pilnującym ściśle etykiety, tającym się z uczuciami i myślami, zapalonym jawniej tylko do łowów. Nagle przybrał on ton i postawę monarchy, zazdrosnego o swą władzę.

Miłość dla żony, namiętna, często dla niej uprzykrzona, w młodzieży obudzająca podziwienie, — stawała się wątpliwą. Natomiast poddanie się kardynałowi Fleury'emu, który z martwego widza zmienił się w czynnego aktora dramatu, — stawało się faktem zagadkowego znaczenia. Słabej strony Fleury'ego nikt dotąd nie znał... Człowiek, który tak długo umiał się taić, zdradzał niepospolitą siłę, — odsłaniał się jako ambitny władca, który wszystko, co mu zawadzało na drodze, potrafi usunąć.

Po powrocie jego z Issy napozór wszystko pozostało po dawnemu, — nastąpiło pojednanie pozorne. Villars skłonił królową, aby nie uchylała się na stronę i nie wyczekiwała czynności. Miała starać zbliżyć się i pozyskać sobie kardynała, na co się godziła. Z jej strony potrzeba było silnego poczucia obowiązku, aby przezwyciężyć wstręt, jaki czuła do wszystkiego, co się mogło nazwać intrygą, — co zmierzało do zdobycia władzy.

Wolałaby była cofnąć się, zamknąć w małem kółku obowiązków, pozostać obcą całemu temu ruchowi i zabiegom, ale Villars skłaniał ojca, aby on jej dodawał ochoty i odwagi. Bourbon, Parysowie, przymilająca się pani de Prie otaczali ją, wmawiali w nią potrzeby i obowiązki, zmuszali iść niemal bezwiednie.

Królowa więc sama, pierwsza pośpieszyła na powitanie Fleury'ego, który powracał ze swojego krótkiego,

dobrowolnego wygnania zwycięzcą, dumnym i zimnym, bynajmniej do ustępstw nie przygotowanym.

Pierwsze spotkanie to mogło królową nie bez przyczyny nastraszyć. Fleury nawet pomiarkowania, należnego królowej i pani uszanowania nie starał się jej okazać. Skłonił się zimno, przemówił jakby z musu; całe jego obejście się, mowa zapowiadały nie przejednanie, ale zemstę nieubłaganą.

W tych pierwszych chwilach nie było mowy o tym kroku fałszywym Bourbona, który spowodował rozterkę, ani nawet o publicznych sprawach. Gdy później królowa próbowała coś o tem zagaić, kardynał z politowaniem z góry spojrzał na nią, jak na ofiarę, i zapowiedział, że, jeżeli ją los księcia Bourbona obchodzi, powinna mu zalecać, aby największą uległością starał się króla niechęć ku sobie i żal ukrócić.

Marja nie umiała nigdy ani mówić półsłowami, ani się dać domniemywać, — wzorem ojca, była otwartą i zdziwiła pewnie kardynała, odważnie poczynając o stosunkach, które konflikt wywołały.

Z daleko umiejętniejszą powściągliwością Fleury odparł, bez ogródki jednakże, że Bourbon postępkiem niebacznym, bez taktu, sam całą burzę wywołał — że królowa winną też była, dając mu się powodować ślepo.

— Moim obowiązkiem jest — dodał Fleury — ostrzec w. król. mość, abyś się nie dawała prowadzić intrygantom chciwym znaczenia, dla korzystania z niego na szkodę króla i państwa.

— W. eminencja wiesz, żem wiele winna księciu Bourbonowi.

— Ale królowi więcej jeszcze — przerwał kardynał.

— Książę dla króla jest ze czcią największą, — mówiła dalej Marja — jeżeli przewinił, to pewno nie z braku miłości i poszanowania jego woli.

Kardynał nie dał jej dokończyć.

— W. król. mość — rzekł — musisz przyznać, że równie wierne sługi, a może lepiej mu służące, znajdą

się jeszcze nad ks. Bourbona. Od czasu, jak jest ministrem, nie dał dowodu trafności w postępowaniu, nie pozyskał serc dla króla. Narzekania są powszechne, rozrzutność i nieopatrzność bardzo wielka... pieniędzy brak nieustający.

— Ks. Bourbon wziął to w spuściźnie po regencji — odpowiedziała królowa. — Za mało miał czasu i sposobności, aby na to zaradzić.

Przez czas jakiś Fleury dał się królowej tłumaczyć, dosyć obojętnie jej słuchając, jakby powtarzała rzeczy mu znane, a wkońcu rzekł z powagą, którą kościelna jego dostojność usprawiedliwiała:

— Życzę w. król. mości mniej o księciu Bourbonie, a więcej myśleć o sobie, by serce j. król. mości dla niej nie ostygło. Dla was, jako dla małżonki i matki, jest to stokroć ważniejsze, niż losy jakiegoś pierwszego ministra.

Po chwili zaś, gdy rozmowa przybrała zwrot inny— dodał kardynał:

— Ks. Bourbon zdaje się zapominać o tem, że król jest już pełnoletnim, że chce rządzić sam, a nikomu sobą władać nie pozwoli; ja zaś stać będę na straży, aby nawet uwłaczających królowi zachcianek nie dopuścić.

Za drugim razem, wkrótce potem, rozmowa z Fleury'm przeciągnęła się bardzo długo, ale kardynał nie dał się ani zmiękczyć, ani w czemkolwiek przekonać, owszem, zdawał się ze szczególnym uporem usadzać na to, aby królowa w niczem po sobie nie miała słuszności, dowodził jej, że się myliła we wszystkich swoich poglądach i pojęciach. Czynił to z surowością tak bezwzględną, że Marja, nawykła do łagodności i sokratycznej rozmowy ojca, ciągle miała łzy na oczach.

W ciągu rozpraw tych nazbyt może otwarta Marja, pomiędzy innemi skarżyła się i na ten uwłaczający znak nieufności króla dla ks. Bourbona, iż nigdy sam na sam z nim mówić nie chciał.

— Ja znajduję — przerwał Fleury — samo to żądanie zuchwałem, a dla nas wszystkich w najwyższym

stopniu uwłaczającem. Tajemnic żadnych książę mieć dla nas nie powinien. Im mocniejby na to nastawał, tem mybyśmy temu wszyscy się mocniej sprzeciwiać musieli.

— To prawo jednak obcowania z królem bez świadków — dodała królowa — wasza eminencja posiadasz.

— Mój stosunek do n. pana jest wcale inny — zawołał kardynał. — Wychowałem go od dziecka, jestem nie tylko jego ministrem, ale byłem i jestem przybranym ojcem i piastunem jego ducha.

Podobne rozmowy z kardynałem ponawiały się bardzo często... O ile on ich unikać się zdawał, o tyle królowa korzystała ze wszelkiej sposobności, aby je wznawiać. Pozostały one jednak bez skutku, a raczej wywarły zupełnie pożądanemu przeciwny. Fleury stawał się coraz bardziej szorstkim, bezwzględnym i pozwalał sobie niekiedy obchodzić się z zuchwałem lekceważeniem i jakby umyślnie chciał wojnę wywołać.

Król-mąż stawał się też coraz dla niej surowszym i zimniejszym. Niekiedy rzucał słowami tak ostremi i gryzącemi, iż największa cierpliwość nie mogła ich znieść obojętnie.

Marja wkońcu często wybuchała płaczem, a łzy, zamiast obudzać politowanie, Ludwika niecierpliwiły — odchodził nadąsany, nie myśląc o złagodzeniu wrażenia.

Namiętna miłość pierwszych miesięcy miodowych, o której mówiono tyle, w Marji gasnąca, gdy ją okazywała mężowi, którego chciała uczynić kochankiem, spotykała w nim coraz dobitniejszą oziębłość.

Charakter króla objawiał się coraz wyraziściej. Nie znosił, aby mu się narzucano, robił chętnie na przekorę, do osób pewnych miał nieprzezwyciężone wstręty. Okazywał odrazę coraz większą do ks. Bourbona, a zarazem zazdrosnemu Fleury'emu dawał się powodować do zbytku, jawnie... Kardynał miał od dzieciństwa przyjęty sposób łagodny narzucania mu swojej woli, wmawiając bezwzględnie, że ona była jego własną.

Równie zręcznie, zamiast oświadczyć, iż sam czegoś sobie życzył, zwierzał królowi, iż nieprzyjaciele jego obawiali się tego lub zabiegali, aby zapobiec.

Domaganie się widywania króla sam na sam Fleury uczynił wreszcie przedmiotem codzień powtarzających się szyderstw. Tak samo pozwalał sobie słabą i biedną królową wyśmiewać za jej chętki panowania i radził jej z ojcem powierzyć finanse.

Ze szczególną bacznością czuwał nad tym stosunkiem Ludwika do żony, podając w wątpliwość samą jej dobroć i łagodność, każąc obawiać się nawet zbyt częstych z ojcem rozmów i listowania.

Oddawał przytem sprawiedliwość cnotom Marji, ale wskazywał zawsze, iż one czyniły ją zdolną do zajęcia należnego stanowiska tylko w kółku rodzinnem. Wszyscy biskupi, których królowa lubiła, Fleury'emu byli solą w oku.

Przeciwko ks. Bourbon i wszystkim, co z nim trzymali, Fleury bez ogródki objawiał nieubłaganą nienawiść, piętnując ich jako wyzyskać chcących każdą sposobność dla zbogacenia się i do obdarcia skarbu państwa.

Król, milczący, bez najmniejszej opozycji, szedł za radami Fleury'ego, tak, jak był nawykł od dzieciństwa... Nie obawiał się go wcale, gdy Bourbona lękał się jako niebezpiecznego współzawodnika, który mu chciał wydrzeć całą sławę i znaczenie... Kardynał napomykał często, że radby kuzyn widzieć go szukającym sławy na polowaniu i w nic nieznaczących uroczystych obchodach.

Jedne sprawy Fleury powiększał, drugie zacierał umyślnie, w miarę jak tego widział potrzebę. Ludwik patrzał przez jego oczy. Królowej zarzucał kardynał upór nieprzełamany, nalegając na męża, aby nie ustępował nigdy, w najmniejszej rzeczy... Ludwik, unikający sporów z nią dłuższych, a w słowach oszczędny, na kardynała zdał jej nawracanie. Zdaje się, że tego mu było potrzeba.

W razie sporu król ofiarował się wyrokować między nimi.

Posłuszny więc powtarzanemu ciągle rozkazowi, Fleury obchodził się z Marją surowo, a natrętnie szukał okazji do sprzeczania się z nią.

Życie więc, choć wlokło się napozór wedle utartego porządku, pod spokojną powierzchnią kryło nieostygający wrzątek. Zagrożeni w swoich finansowych rachubach, a chciwi Parisowie, roznamiętniona poczętą walką de Prie, za nimi Bourbon, zamiast przycichnąć i kardynała uspokoić, miotali się, popychali swoją protektorkę, królową, rzucali się aż do Meudon do Stanisława, aby on córce w walce osłabnąć nie dawał.

Tymczasem król, jakby chciał żonie okazać, że jej postępowania nie pochwala, że ono go od niej odstręcza, począł się okazywać coraz zimniejszym dla niej, zaprzestał odwiedzać ją, spotykał się z nią już tylko na publicznych zebraniach. Mówił bardzo rzadko i krótko. Widzieli to wszyscy.

Biedną Maruchnę przyprowadzało to do takiej rozpaczy, że byłaby się wyrzekła wszelkiej polityki dla serca męża; ale Bourbon nie pozwalał się usuwać, ani pozostać bezczynną. Nie było prawie dnia, ażeby jej książę nie zmusił do mówienia z mężem o czemś, do narzucania mu się ze sprawami nudnemi i żeby król, wedle jednostajnego zwyczaju swojego, nie odesłał jej z tem do Fleury'ego. Często nie wiedziała, utrapiona temi wymaganiami, co począć z sobą? Jedyną pociechą był jej stary, wierny marszałek Villars.

Jednego dnia wkońcu rozpłakała się raz królowa przed nim...

— A! kochany przyjacielu, — odezwała się do niego — jestem najnieszczęśliwszą. Nie wiem, jak i czem mogłam na to zasłużyć, kocham króla nad życie, a on swojem postępowaniem ze mną dowodzi, że zupełnie zobojętniał dla mnie... Zamiast miłości, okazuje mi wstręt i nienawiść.

To mówiąc, gdy coraz mocniej zachodziła się z płaczu, Villars zmieszany nawet się zrazu na odpowiedź

nie zdobył. — Wiedział on dobrze, iż miłość w istocie, jeżeli kiedy była inna nad zmysłową, w samych początkach, zupełnie teraz wystygła. Nie chciał jej pocieszać tem, w co sam nie wierzył.

— W. król. mość, — rzekł, wzdychając — powinnaś się była już przekonać, że król tego uczucia, które my miłością nazywamy, nie jest zdolny w sobie wyrobić. W. król. mość kochasz go bez wzajemności; nie należy mu zbyt jawnie dawać poznać tego przywiązania; nie trzeba, ażeby ludzie się domyślali, iż w. król. mość lękasz się utracić jego serce. Czyhają na niego ze wszech stron, aby podbić... Gdy zrozumieją, że się stał obojętnym, pierwsza lepsza z tych pięknych pań, co go otaczają — pochwyci. Zresztą, — dodał Villars — lepszym jest jego chłód i obojętność, niż usposobienie namiętne, któreby go mogło uczynić okrutnym.

Królowa płakała ciągle, stary Villars, jak mógł i umiał, ją pocieszał, ale jego argumenta, czerpane z prawideł życia dworskiego, dla niej były niezrozumiałemi. Pocieszała się sama tylko tem, że nie miała sobie nic do wyrzucenia, że gotowa była na ofiary, że własne jej serce wcale się nie odmieniło.

— Nie zawiniłam w niczem — dodała wkońcu.

— Lękam się, — rzekł Villars — aby poczęści i temperament króla nie czynił niepoprawnym. Jest znudzony, długo ani sercem, ani myślą przy jednem wytrwać nie umie.

— A, nie — przerwała Marja. — On nic nie winien; wszystko jest sprawą kardynała, który umiał korzystać z chwili, nie tylko przeciw ks. Bourbonowi, ale przeciw mnie, wydzierając mi jego serce.

— Położenie w istocie — dodał Villars — od jego wyjazdu do Issy zupełnie się zmieniło. Ale — czekajmy.

Nie dalej niż nazajutrz obawy następstw, jakie mogło pociągnąć panowanie kardynała, nagle się sprawdziły. — Jak piorun spadł na królową rozkaz, ażeby pani de Prie i Paris złożyli swoje obowiązki, jakie mieli przy królowej, i oddalili się z Paryża.

Wiadomością tą rażona boleśnie królowa, tegoż dnia zażądała widzenia się wprost z kardynałem. Fleury, który się tem napawał, gdy jej mógł przykrość wyrządzić, nigdy nie odmawiał rozmowy, bo ta zawsze cios zadany cięższym czyniła jeszcze. Więc i tym razem bytność swoją przyrzekł. Wszedł wkrótce potem zadumany, witając królową w sposób lekceważący i spytał: czego tak nagle mogła żądać od niego?

— Chciałam w. eminencji zapytać, — zawołała niezmiernie poruszona Marja — co zawinił Paris-Duverney, czem zasłużyła na dotykające ją wygnanie pani de Prie?

— Względem mnie — odparł kardynał, stawiąc siebie zuchwale na pierwszem miejscu — wcale nic nie zawinili oboje, ale nalegam, aby ich książę oddalił, bo oni szkodzą i jemu, i w. król. mości.

— Ja nie mogę tego na sobie wymóc, abym się z nimi rozstała; — zawołała królowa — nie mam do tego najmniejszego pozoru nawet... Jestem z ich usług zupełnie zadowolona. Paris-Duverney jest sekretarzem moim. Oni żądają i mają prawo wymagać tego, aby im dowiedziono winy. Rozstanie się z nimi będzie dla mnie nadzwyczaj bolesnem.

Kardynał poruszył ramionami, jak zwykle, i nie raczył nawet odpowiedzieć. Często tak zbywał pytania królowej pogardliwem prawie przemilczeniem. — Królowa, nie mogąc już dłużej wytrwać, wybuchnęła gniewnie.

— Król nietylko dla moich sług jest teraz niechętnym, dla mnie samej stał się obojętnym, ostygł... Jestem najnieszczęśliwszą.

Fleury spojrzał z góry na zgnębioną, biedną królową, ale boleść jej nie uczyniła na nim najmniejszego wrażenia.

— Jam temu nic nie winien wcale — odezwał się sucho, dając bardzo wyraźnie do zrozumienia, że wszystkie swoje nieszczęścia winna była przypisać sobie samej.

Królowa chciała przedłużyć rozmowę i wymóc na

nim, ażeby się otwarciej i jaśniej wytłumaczył. Fleury pozostał zamkniętym, nieprzystępnym i wkońcu odszedł, nie dając żadnej nadziei, aby się położenie polepszyć mogło.

Pani de Prie, zagrożona wygnaniem, nie dała chwili spokoju nikomu. Ks. Bourbon, Villars, d'Argenson, kto żył, kto tylko miał przystęp do Ludwika XV, musiał jej służyć, biegać w jej sprawie, — używać wszelkich sprężyn, aby zażegnać burzę... Fleury pod naciskiem tych natrętnych starań na chwilę przycichł z wymaganiami, ale rozkazów nie cofnięto. Książę, który za swą ulubioną chodził, sam wkońcu uczuł się zagrożonym.

Dworzanie z rozmaitych znaków prorokowali mu już niemal dzień ostatni. Potem zdawało się, iż wyrok zachwiany był i odłożony. Król czasem wydawał się dla niego łaskawszy, nazajutrz wracała wyrazista niechęć i wstręty, Ludwik XV unikał spotkania go i widzenia. Pani de Prie sama i przez przyjaciół nie ustawała w nadaremnych zabiegach.

Nareszcie oczekiwane wyroki sypnęły się jedne po drugich. Paris-Duverney, sekretarz, i bracia jego, pomimo najusilniejszego błagania królowej, pozbawieni urzędowych swoich obowiązków, zostali wygnani z Paryża i internowani na prowincji, ten sam los spotkał panią de Prie, której kazano wyjechać do Normandji, gdzie miała posiadłość wiejską Courbepine...

Wszystko to wykonywało się z nieubłaganą surowością, systematycznie, zgóry obrachowane na godziny...

Ks. Bourbon i królowa, broniąca go dotąd mężnie, strwożyć się musieli, widząc, że na kardynała żaden wpływ, żadne prośby nie działały.

Całe postępowanie jego widocznie było obrachowane na przygotowanie przyszłości. Usuwał wszystkich pomocników księcia, sprężyny jego intryg, a wkońcu miał i jego się pozbyć, razem zastraszając królową i paraliżując wszelkie jej czynności, — króla tymczasem zniechęcał do niej, wystawiając jako niebezpieczną

marzycielkę, którą do izby dzieci i zakrystji odesłać należało, najmniejszej nie dając nadziei, aby do rządów przypuszczoną była.

Jakiemi argumentami potrafił Fleury przekonać młodego króla, że powinien był z taką surowością nielitościwą obchodzić się z królową, — pozostało tajemnicą. Widocznem było, że plan kardynała wykonywał się pod jego nadzorem i bez najmniejszej trudności ze strony Ludwika.

Patrząc na to, co się działo dokoła, i licząc ruiny, ks. Bourbon stracić wkońcu musiał wszelką nadzieję utrzymania się na czele ministerjum. Pozostał sam, a królowa była bezsilną. Popierając jego sprawę, straciła miłość króla i pozostała zupełnie bierną, bez żadnego znaczenia, z bardzo małą garstką ludzi, którzy się wstydzili ją opuścić lub kochali. Ten dwór wiernych jej codzień się zmniejszał...

Ilekroć chciała cokolwiek bądź wyrobić dla siebie u męża i zwracała się wprost do niego, — zimno, jednostajnie, odsyłał ją do kardynała... Była to kara za uchybienie mu — tak daleko się rozciągająca, że Fleury nie tylko urzędownie rozporządzał wszystkiem, co królowej się tyczyło, ale stał się nadzorcą i stróżem nad nią, pozwalającym sobie wskazywać jej, co czynić miała.

Dotąd jednak ks. Bourbon zwał się jeszcze ministrem, ale zamiast pracować z królem, czego się ciągle domagał, zmuszonym był dla upokorzenia odnosić wszystko kardynałowi, bez którego rozkazu nic się nie działo.

Paryż na te naprężone stosunki ludzi, otaczających króla, patrzał z gorączkową ciekawością. Obiecywano sobie z tego najrozmaitsze następstwa. Widocznem było, że Fleury miał wszystkiem zawładnąć, królową usunąć, rozwód wyrobić. Nie godzono się jednak na to, czy nowa jej miejsce zastąpić mogła; przepowiadano panowanie metres, — ale dotąd na dworze Ludwika XV nie widać ich było, życie króla się nie zmieniało. Polował tylko namiętnie, a potem z wesołymi to-

warzyszami, w małem kółku swawolono po wieczerzy — i zabawy te przeciągały się niekiedy do rana. Zresztą obowiązki swoje jako monarchy gdy trzeba było wystąpić urzędownie, pokazać się ludowi — spełniał Ludwik XV z największą ścisłością i wielką powagą.

Żonie przy wystąpieniach publicznych okazywał należne poszanowanie, nie uchybiając jej w niczem, ani dozwalając, aby jej w najmniejszej rzeczy uchybiano — chociaż związek poufały, serdeczny zastąpiła teraz najzupełniejsza oziębłość.

Książę Bourbon, zniechęcony, gotował się wreszcie do ustąpienia lada dzień, gdy niespodzianie zabłysnął mu promyk nadziei!

Dnia jednego Ludwik XV wyjeżdżał do ulubionego Rambouillet na łowy i był w doskonałym humorze. Na pożegnanie i po rozkazy, których nie otrzymywał, stawił się z urzędu i książę Bourbon.

Ludwik XV w takich razach zwykle go unikał, prawie nigdy się do niego nie zbliżając; tymczasem tym razem, z twarzą weselszą przechodząc około niego, zatrzymał się...

— A cóż? Bourbon, — odezwał się, uśmiechając— gdy powrócę, przyjdziesz do mnie na kolację wieczorem?

Książę skłonił się uszczęśliwiony. Zaproszenie na jedną z tych wesołych kolacyj, w których uczestniczyli tylko króla ulubieńcy, było oznaką łaski!

Król zaledwie odjechał od ganku, gdy Bourbon wpadł z tą swoją nowiną pomyślną do królowej. — Ona pożegnała się już była prawie z nadzieją odzyskania serca męża. Siedziała na poważnej rozmowie z księżną de Luynes, gdy niespodzianie księcia oznajmiono. Promieniejące jego oblicze zdumiało dwie panie.

Królowa patrzała, nie rozumiejąc go...

— Proszę w. kr. mości nie dziwić się mojej wesołości — zawołał książę, podchodząc. — Spotkała mnie łaska, dozwalająca wróżyć, że król da się może po-

mniejszemi ofiarami przebłagać. Jestem zaproszony przez króla swego na wieczerzę... z uśmiechem mi to powiedział...

Ks. de Luynes, jakby niedowierzająca, ruszyła ramionami.

— Nie żartujesz, książę? — zapytała.

— Czyżbym śmiał! — odparł Bourbon.

— A cóż z tego wnosisz? — wtrąciła królowa ciągle smutnie.

— Wnoszę, że Louis, przywiódłszy mnie do tego, że się kardynałowi kłaniać muszę, zaniecha reszty, przebaczy i pozwoli mi pozostać na usługach.

— Ja nie przypisuję sobie wcale daru przewidywania przyszłości, — przerwała poważnie królowa — anibym chciała księcia zniechęcać, ale to zaproszenie może też oznaczać, że król się z nim przejednał dlatego, iż w nim już nie widzi swojego pierwszego ministra, ale dobrego kuzyna...

Bourbon zaprotestował.

— Znam Ludwika, — rzekł — takie postępowanie byłoby okrucieństwem, szyderstwem, złośliwością — to być nie może...

— Czekajmyż wieczora, — dodała ks. de Luynes — bo w tem jest coś zagadkowego w istocie.

W najweselszem usposobieniu Bourbon odjechał do siebie...

W tej samej godzinie prawie do pokoju, w którym Fleury pisał list poufny, wszedł na palcach ulubiony jego sługa, stary Barjac... Był on tem przy nim, czem u króla Bachelier. Kardynał wiedział, że we dnie nigdy darmo nie wchodził do niego, przynosił mu coś zawsze.

— Cóż ty tam masz, Barjac? — odezwał się, podnosząc głowę. — Staruszkowi usta się wykrzywiły szydersko, zbliżył się do fotelu, oparł rękę na nim i szepnął:

— Bourbon się cieszy, ale to cieszy! Król go na wieczerzę zaprosił!

Zmarszczył się Fleury.

— Ba! — odparł, do listu wracając — niemniej postaram się o to, aby na niej być nie mógł.

Barjac wyszedł na palcach, a Fleury pisał dalej.

Po śniadaniu książę Bourbon wracał odpocząć u siebie, gdy mu dano znać, że książę de Chavost przyjechał.

Należał on do najotwartszych nieprzyjaciół księcia, nie tając się z tem wcale. Przybyć z własnej woli nie mógł, — musiał mieć chyba polecenie od króla... Książę drgnął i pobladł...

Wtem drzwi się otworzyły i Chavost zaledwie oznajmiony, jako poseł królewski, wszedł, niosąc ogromny list w ręku.

Dosyć było spojrzenia na triumfujące oblicze gościa, aby odgadnąć, co przynosił; ale książę odzyskał natychmiast poczucie własnej godności i panowanie nad sobą. Postąpił parę kroków ku księciu de Chavost, z wyszukaną grzecznością przyjął list, otworzył go, przebiegł oczyma i z zimną krwią oświadczył, że się natychmiast zastosuje do rozkazów j. król. mości.

Księciu de Chavost, który się spodziewał wybuchu żalu, skarg i narzekań i miał nadzieję napawać się upokorzeniem nieprzyjaciela — nie pozostało nic, tylko się skłonić i przeprowadzonemu do przedpokoju ceremonjalnie odjechać z niczem.

Bourbon pożegnał go z arystokratycznym uśmiechem księcia krwi, chcącego dla szlachcica być grzecznym...

Postępek kardynała — przypisywany królowi, igrającemu sobie z Bourbonem w sposób tak okrutny, dającego mu nadzieję, aby odebranie jej mocniej zabolało — zapewniał księciu chwilowo pewną wyższość, jako pokrzywdzonemu w sposób nie pański i nie królewski... Przyjaciele Ludwika musieli go tłumaczyć słabością dla Fleury'ego.

List króla zawierał tylko te słowa:

„Rozkazuję wam, pod karą za nieposłuszeństwo, udać się do Chantilly i tam czekać dalszych moich rozkazów".

Było to wygnanie i niełaska.

Bourbon poddał się rozkazowi z pokorą i natychmiast w drogę wybierać się polecił. Nie szło mu o los własny, ale więcej o zbliżenie się do pani de Prie, która na równie srogie prześladowanie wystawiona była.

Królowa Marja zaledwie się o tem dowiedziała i miała czas rozważyć następstwa tej zmiany, gdy o siódmej wieczorem oznajmiono jej kardynała. Spodziewała się go biedna... Trwała tak stale do ostatka w obronie Bourbona i tak głośno się za nim oświadczała, że los jego biorąc do serca przeciw Fleury'emu, musiała za to od niego oczekiwać pomsty i ukarania!

Szczęściem, właśnie w takich momentach wielkich prób, na jakie była wystawioną, królowa Marja w religijnem swojem usposobieniu największą czerpała siłę i czuła się niezłamaną. Nie miała sobie nic do wyrzucenia.

Kardynał, który od niejakiego czasu względem królowej przybierał tony mentora i rozkazodawcy, wszedł z dumą, rozpromieniony swoją wyższością i ledwie małym ukłonem pozdrowił oczekującą.

— Z rozkazu j. król. mości mam oznajmić pani, — rzekł — iż książę Bourbon wysłany został do Chantilly i przestał spełniać włożone na niego obowiązki.

Królowa, nie odpowiadając nic, skłoniła głowę.

Zwolna Fleury dobył list króla i oddał go jej...

Pismo to było królewskie, nie ukochanego małżonka, podyktowane mu przez kardynała. Było w niem coś tak upokarzającego, że tylko biedna córka króla-wygnańca mogła je przyjąć bez oburzenia. Marja czytała je i łzy płynęły jej z oczu. Brzmiało zaś ono temi słowy:

„Proszę, a jeżeli trzeba, rozkazuję pani, abyś spełniła wszystko to, czego biskup de Frejus żądać będzie od niej, w mojem imieniu, tak, jakbym ja sam oświadczył jej wolę moją".

Całej mocy swojej duszy potrzebowała Marja, aby

przyjąć spokojnem obliczem, z rezygnacją chrześcijańską, ten uwłaczający jej rozkaz poddania się woli jawnie nieprzyjaznego człowieka. Siłę dawała jej pokora ta chrześcijańska, która z majestatem królewskim się godzi... Przez chwilę walczyła z sobą, ażeby nie wybuchnąć. Fleury stał, patrzał i czekał, azali nie pochwyci jej na jawnym buncie, na skardze, którąby mu pozwoliła ją obwinić; ale zmieszanie się i gwałtowny ból królowej trwały bardzo krótko... W duchu powiedziała sobie to, czego w dzieciństwie nauczyła się od ojca: „Bądź wola Twoja!“

Zwolna podniosła zapłakane oczy na kardynała i, milcząc, czekała tych zapowiedzianych rozkazów.

Kardynał, jak się zdaje, choć znał łagodność jej charakteru, po kobiecie pozbawionej przyjaciół, której mąż odbierał serce i dawał ją pod rozkazy człowieka mściwego, spodziewał się może jakiegoś oporu, sceny, którąby mu nastręczyła sposobność do większego znęcania się nad nią.

Zawiódł się na tem...

Boleść swoją głęboką Marja okryła rezygnacją prawie dumną i milczeniem pełnem godności.

Kardynał dosyć długo musiał czekać na odpowiedź.

— Zastosuję się zawsze do rozkazów króla i pana mojego — odezwała się wreszcie, list chowając.

Fleury, zdziwiony, oniemiał; nie był do tego przygotowanym. Rad był wywołać spór, dać naukę, ale królowa, spokojnie go pozdrowiwszy zdaleka, wyszła natychmiast do swoich apartamentów.

Zdumiony mocą ducha, jaką objawiła królowa, wcale nie przygotowana do katastrofy, kardynał stał chwilę i musiał uznać wyższość nad to, co spotykało nieszczęśliwą. Nie w smak mu był ten jej chrześcijański heroizm.

Ten *coup d'état,* tak starannie przygotowany przez kardynała, nie uczynił zbyt wielkiego wrażenia w świecie, gdyż tylko to, co się tyczyło ks. Bourbona, wiadomem było powszechnie. Postępek z królową Fleury zataił, nie śmiejąc się nim chwalić... Marja nie

mówiła o nim, tylko tym, w których miała zaufanie i w sekret ich wierzyła.

Pierwsze łzy wylała w uścisku ks. de Luynes; wieczorem, przeczuwając coś, przyszedł marszałek Villars, aby ją pocieszyć. Temu zwierzyła się całkowicie, ale opowiadając mu ranne odwiedziny Fleury'ego, wybuchnęła płaczem i całym serca uciskiem.

— Zniosę cokolwiek mi Opatrzność zgotowała, — rzekła z za łez — ale ten cios, wymierzony ręką ukochanego, jest stokroć boleśniejszym. Mówi on, ażebym się nie spodziewała nigdy serca jego, ani szczęścia tego, o którem marzyłam; skazuje mnie na gorsze nad wszystkie wygnania — na wygnanie z jego serca... Będę musiała codzień patrzeć na tego umiłowanego, widzieć go obcym mi, obojętnym, kto wie, jutro może upokarzającym mnie jawnemi miłostkami z jedną z tych istot płochych, które za nim gonią! Zostawia mnie królową, ale przestaje być moim mężem i przyjacielem.

Chociaż ani Marja, ani stary Villars, ani księżna de Luynes nie zdradzili tajemnicy i nie rozpowiadali nikomu o tym spełnionym cicho przewrocie, — skutki jego, domysły, naostatek niedyskrecja innych, półsłówka Fleury'ego wkrótce wszystko wydały.

Wiedziano, że królowa została opuszczoną i osamotnioną; okrucieństwo, z jakiem się to dokonało, oburzało wielu i budziło ciekawość innych — oczekiwano następstw, nie umiejąc się ich domyślać.

W pierwszych dniach po wygnaniu ks. Bourbona król umyślnie się na wesołość wysilał, dowcipkował na kolacjach z ks. d'Epernon i innymi, chciał okazać, że mu nic nie ciąży na sumieniu, że nic sobie nie ma do wyrzucenia.

Kardynał triumfował jawnie. Wszystko się zdawało skończone; królowa występowała publicznie, tłumiąc ból w sobie, starając się być zawsze, jaką dotąd była — łagodną i szczęśliwą istotą.

Ludwik, pomimo pozorów, cierpiał. Im pokorniej i posłuszniej znajdowała się względem niego królowa,

tem boleśniej sobie wyrzucał wyrządzoną jej krzywdę. Traf chciał, że właśnie w tych dniach, powracając z łowów, niespodzianie w okolicy Meudon spotkał o kiju, pieszo, z jednym paziem i psem, przechadzającego się starego teścia swojego.

Król chętnie byłby uciekł, ale rzecz była niemożliwa, a Leszczyński z tą pokorą, z jaką zawsze zięcia swojego spotykał, zdjąwszy kapelusz, powitał go nader uprzejmie. Twarz miał rozpogodzoną i spokojną.

Ludwik XV zawahał się, czy nie ma go pominąć, pozdrowiwszy tylko, lecz właśnie to, co się stało na dworze, o czem tyle mówiono, zmuszało okazać Leszczyńskiemu uszanowanie. Skinął więc na służbę i zsiadł z konia.

Stary król z tą dawną serdecznością, jaką okazywał swojemu dobroczyńcy, przybliżył się czule, pytając o zdrowie. Ludwik zawsze małomówny, zapewnił go, że ma się dobrze, — na co Leszczyński odparł, iż od córki też miał właśnie wiadomości i że ona, jak zawsze, cieszy się swojem szczęściem, za które jego błogosławi.

Staruszek, rzadko mający sposobność, widywać króla i wdzięczność mu swoją wypowiadać, chwytał skwapliwie chwilę tę, dziękując Ludwikowi z rozrzewnieniem.

Chociaż Villars część tego, co zaszło z Fleury'm, opowiedział Leszczyńskiemu, ten, skłonny zawsze wszystko tłumaczyć na dobre, widział w tem tylko przejście, które miłość mogło wzmocnić. Nie miał więc żalu do męża, ale gorące wyrazy wdzięczności w uszach Ludwika brzmiały jak ironja i szyderstwo.

Zmieszany nieco, wtrącił coś obojętnego (zapytał, czy były w Polsce jelenie), nie doczekawszy prawie odpowiedzi, siadł na koń i powrócił do Paryża.

Fleury, który tegoż wieczora stawił się u wychowańca, znalazł go względem siebie chłodnym i zakłopotanym. Ludwik skarżył się na zmęczenie i ból głowy.

Wieczerza, na którą młodzież zwykle była zapraszaną, przeszła jakoś niewesoło. Król milczący powtórzył skargę na ból głowy i ani razu nie rzucił jednem z tych rubasznych słów, które dziwnie brzmiały w jego ustach pieszczonych.

Naówczas już fantazja ta Ludwika, ciskanie słowami brudnemi, nieprzystojnemi, dziwacznemi, przezywanie swoich przyjaciół w sposób czasem do połajania podobny stanowiły zabawkę wieczorną, ale gdy tego dnia Trémouille coś podobnego przypomniał, został wzrokiem skarcony surowo. Młode duki poczuły zmianę humoru i nieco się nią strwożyły.

Gdy o północy wszyscy się porozchodzili po małych apartamentach, faworyt króla spostrzegł, iż król miał gorączkę, i natychmiast posłał po doktora. Nim lekarz znalazł się u łóżka, przy którem czuwał jeden z faworytów — gorączka wzmogła się z nadzwyczajną szybkością. Potrzeba było użyć środków gwałtownych, aby ją uśmierzyć.

Symptomata jednak choroby tak dwuznaczne były i wątpliwe, że nadedniem wszyscy lekarze dworu i króla, zebrani już na konsyljum, byli w powątpiewaniu, azali początek ten nie zwiastował straszliwej naówczas ospy? Znaczniejsza nawet część lekarzy widzieć ją chciała we wzmagającej się gorączce... Ludwik XV, nawpół jeszcze przytomny, widocznie był strwożony.

Zawiadomiony kardynał znalazł się w progu, ale małego serca, trwożny, zobaczywszy, jakie wrażenie zjawienie się jego wywarło na królu, grzecznie proszony, aby się nie pokazywał więcej nie wzywany, cofnął się pełen pomieszania.

Pomiędzy dworem króla a królowej nie było prawie związku, lecz Marja, przywiązana do ukochanego małżonka, starała się drogami potajemnemi mieć codzień wiadomości o jego zatrudnieniach i zabawach.

Dano jej natychmiast znać, że król jest chory. Lekarze, przybywający jeden po drugim, kazali się do-

myślać, że choroba była nie mało znaczącą niedyspozycją, ale czemś może nawet życiu zagrażającem... Ktoś przed królową wymówił to straszliwe słowo: — ospa!

Naówczas żadna już siła nie mogła powstrzymać Marji.

W przedpokojach chcieli ją doktorowie nakłonić, aby siebie szanowała.

— Moje miejsce jest przy królu, — rzekła z powagą — obowiązek mnie tam powołuje i żadna moc powstrzymać nie może.

Nikt też w tej chwili nie śmiał się jej przeciwić. Weszła do sypialni, przystąpiła do łóżka i zabrała przy chorym miejsce.

Od tego momentu już się stąd nie dała odprowadzić; ona podawała mu lekarstwa, napoje, poprawiała posłanie, układała poduszki, spełniała wszystkie posługi około chorego.

Król, który spostrzegłszy ją, poznał, okazał w początkach pewne wzruszenie, ale w istocie tak był strwożony o siebie, że go niewiele co więcej obchodzić mogło.

W mieście niewypowiedziana zapanowała trwoga... Szeptano o ospie; obawa o króla była niezmierną.

Tymczasem już nad wieczorem stary uczony lekarz, słynący z nauki i dziwactw, oświadczył chłodno przybywającemu księciu Orleanu, iż król ma wprawdzie silną gorączkę, ale ona ospy zapowiadać nie może.

— Jestem tego pewien, — rzekł — gorączka natury złośliwej i niebezpieczna, ale siły młodości wielkie, nie obawiajmy się o króla!

Stało się, jak uczony przepowiedział, i gdy tylko uzyskano pewność, że królowi nie zagraża ospa, postarano się o przerwanie gorączki. Trzeciego dnia niebezpieczeństwo przeminęło zupełnie.

Królowa dotąd nieodstępnie czuwała przy łożu jego, nie narzucając mu się, milcząca, — istna siostra miłosierdzia.

Ludwik XV nie wywdzięczył się jej za to najmniejszą czułości oznaką... Równie żywo, jak zaskoczyła go ta choroba, skutek walk wewnętrznych i walki z ludźmi, którą król przebył dla Fleury'ego, rozpoczęła się rekonwalescencja.

Ale w chwili, gdy Ludwik XV już tylko nakazami doktora wstrzymywany był w łóżku, a królowa, osłabiona czuwaniem, cofnęła się do swoich apartamentów, musiano do niej wezwać lekarzy.

Byłali to taż sama gorączka złośliwa, którą królowa zaraziła się, czuwając nad mężem, czy też choroba ze znużenia i boleści ducha zrodzona, to pewna, że już wstający Ludwik XV dowiedział się razem o swojem wyzdrowieniu i o niebezpiecznej słabości żony.

Rozumie się, iż nikt ze zręcznych dworzan nie śmiał najmniejszem przypuszczeniem dać do myślenia, iż choroba była czuwania, troski lub zarazy skutkiem.

Ludwik XV, któremu jeszcze wyjeżdżać nie dozwolono, zażądał, choć nierychło, widzieć chorą.

Stary doktór prawdomówca był przytomny.

— Najjaśniejszy pan raczysz się z tem wstrzymać, — rzekł — obawiamy się teraz, aby królowa nie zapadła na ospę, a dopóki pewności nie mamy, nie dopuścimy narażać się w. król. mości.

Ludwik też nie dopominał się już o widzenie żony; zapytał tylko, kiedy ma się niepewność rozstrzygnąć?

Kazano czekać dni cztery.

Tymczasem król się bawił z młodzieżą i odbierał odwiedziny biskupa de Frejus. Dwór smutny zdawał się oczekiwać smutnych wypadków.

Czwartego dnia ospa się ukazała... Król mimo to, chcąc dowieść męstwa, zażądał odwiedzić żonę. Miano go bohaterem uczynić za to.

Wprowadzony ze wszelkiemi środkami ostrożności do sypialni, zastał Marję znużoną, smutną, mizerną,

ale spokojną z uśmiechem i różańcem w ręku. Pokornie podziękowała mu za troskliwość.

Odwiedziny etykietalne, obowiązkowe raczej, niż serdeczne, powtarzane potem codzień, trwały zaledwie minut kilka.

Król wchodził zwykle i zbliżał się do łóżka, witał milczący, potem rzucał zapytanie, odbierał odpowiedź, kłaniał się i odchodził.

Nie można mu więc było zarzucić uchybienia względem żony, ale księżna de Luynes mówiła pocichu, że król się na... *strict nécessaire* ograniczał.

Nakoniec, dzięki staraniom starego doktora, podniosła się wybladła i wycieńczona królowa i wzięła krzyż swój, aby go nieść dalej.

IV.

Upadek księcia Bourbona i wszystkie następstwa, jakie pociągnął za sobą, daleko miał większe znaczenie i wpływ na przyszłość, niż ktokolwiek mógł przewidywać. Widziano w nim tylko sprawę kardynała, a nie domyślano się objawu charakteru Ludwika.

Z obawy, aby najłagodniejszy z ludzi, stary teść, nie chciał nim rządzić przez żonę, król daje kardynałowi władzę nad sobą, sądząc, że ją zawsze, gdy zechce, potrafi obalić; dręczy drżącą przed nim Marję.

Fleury, który był widzem niby bezczynnym, postacią obojętną, król, dotąd nie zajmujący się niczem, oprócz polowania, nagle zmieniają się do niepoznania.

Po raz pierwszy król, poparty przez swojego mentora, występuje z energją, której się w nim nie domyślano. Energja ta, posunięta aż do okrucieństwa w postępowaniu z królową, zapowiada w młodzieniaszku serce wystygłe.

Nikt nie rozumiał tej roli, jaką biedna królowa odgrywać była zmuszona, ani uczuć, jakie Ludwikiem powodowały.

W kilka dni po wyjściu uzdrowionej na pokoje Ludwik, ściśle szanujący formy, kazał oznajmić swoje przybycie. Marja zdziwiła się niezmiernie, uradowała; mniemała, że jest to znakiem, iż serce męża odzyska. Nie śmiała się tego spodziewać, ale nadzieja wstępowała w serce.

W oznaczonej godzinie król stawił się, otoczony dworem młodzieży, zimny, sztywny, prowadząc też z sobą nieodstępnego Fleury'ego, jakby dla okazania, że nigdy go dla niej nie poświęci. Wizyta była ceremonjalną: — zapytał tylko o zdrowie, zamienił słów kilka i na tem koniec... Kardynał, nie biorąc żadnego udziału w rozmowie, był tylko jej obojętnym świadkiem. Prawie godzinę naumyślnie zabawił król na pokojach żony, chociaż widać było z postawy niespokojnej i roztargnionej, jak to go wiele kosztowało.

Marja, z początku zmieszana, nabrała nadziei, chciała mu okazywać wdzięczność, ale im się żywiej poruszała, tem on widoczniej ostygał. Zdobyła się na uśmiech, na podziękowanie, — ani ona, ani król słowem nie wspomnieli o Bourbonie. Ludwik XV tylko napomknął o starym królu, okazując, że radby mu życie uprzyjemnić, a spełnić, jeśliby miał, jakie życzenia.

Chwilka ta, wytłumaczona lepiej, niż na to zasługiwała, natchnęła królową otuchą, wlała w nią nadzieję. Gotowa była na całe życie wyrzec się polityki, znaczenia, wpływu, dla jego serca, — kochała go.

Król z obrachowaniem zimnem, wytrwawszy tu dosyć długo, aby dwór mógł z tego wyciągnąć wniosek, jakiego sobie życzył, pożegnał żonę życzeniem wyzdrowienia zupełnego, rychłego.

Wyszli.

Kardynał nie zmienił w najmniejszej rzeczy swojego postępowania względem królowej; nie złagodniał, milczeniem upartem i dumnem dając poznać, że na etykietalnej grzeczności męża nie powinna nic budować w przyszłości.

Z rozjaśnionem obliczem, poruszona błogo, po raz

pierwszy od dawnego czasu, Marja powróciła do swoich pokojów, gdzie jej towarzyszyła księżna de Luynes.

— Widzisz mnie, — rzekła, obejmując ją — o tyle szczęśliwą, o ile teraz być mogę. Ludwik ma serce anielskie; widzisz, że sam przyszedł podać mi rękę do zgody, a nawet Fleury'ego zmusił przyjść z sobą. Wszyscy ci, którzy spodziewali się już widzieć mnie odpędzoną, wygnaną, opuszczoną, będą zawstydzeni. Nad to, co mi Ludwik powraca, nad serce nie żądam więcej.

Księżna de Luynes słuchała z uwagą, ze współczuciem, ale z wyrazu jej twarzy nie widać było, ażeby podzielała radość i nadzieję królowej.

— Dziękujmy Bogu za to, co jest, — rzekła wkońcu — chociaż ja się obawiam, abyś w. król. mość nie doznała zawodu. Więcej daleko wymagać mieliście prawo... Fleury z pewnością nie zmieni swoich planów — a król, jeśli się nie mylę, uczynił tylko ten krok, aby ludziom okazać, że oni go nie znają, że zawsze mylić się będą, tłumacząc jego czynności. Chce dla świata pozostać zagadką. Formy i reguły król szanuje i uczy drugich, aby ich nie lekceważyli... Zresztą, któż wie pobudki tego kroku?

Królowa, nie dając jej mówić, przerwała żywo:

— Proszę cię, przyjaciółko kochana, nie odbieraj mi choćby złudzenia! Po wiele razy w życiu formami się trzeba zaspokajać, gdy więcej uzyskać nie można... Co przeszło — zapomnijmy; jam skorzystała wiele z łez wylanych, wiem, żem się wielu rzeczy wyrzec powinna... Dobry mój, rozumny ojciec przewidywał to wszystko: powinnam stać zdala i mężowi osładzać chwile wolne od publicznych obowiązków. Bourbon, dla którego miałam wdzięczność, zmusił mnie... Drogo przypłaciłam ten krok fałszywy. Odtąd trzeba zaniechać wszystkiego, co mi zakazane, zamknąć się w mojem kółku rodziny i przyjaciół.

Głos jej drżał, mówiła, przerywając i ocierając

oczy. Księżna de Luynes dozwoliła się jej wynurzyć swobodnie.

— Wszystko to wybornie jest obmyślane, — rzekła wkońcu, wysłuchawszy królowej, która się nad postępkiem męża unosiła — ale wątpię, ażeby polepszyło stosunki z n. panem lub Fleury'm. Ostatni jest nieubłaganym, zawsze się lękać będzie wpływu waszego, a więc stać, niestety, na straży pomiędzy w. król. mością a jej mężem. Lękam się nawet, aby nie pobłażał wychowańcowi i nie pomagał, gdy młodzież szukać będzie mu rozrywek.

Znaczenie rozrywek zrozumiała Marja i wzdrygnęła się... Głos jej się zmienił.

— Król pozostał mi dotąd wiernym, — rzekła — nie poniży się, nie przypuszczam tego.

— Tak, dotąd Ludwik miał poszanowanie własnej godności, — przerwała księżna — ale za przyszłość nie ręczę. Richelieu i młodzież zręczniejsi są od ks. Bourbona... Nasze panie czyhają na niego; król młody, towarzysze jego mają w tem rachubę, ażeby mu je stręczyć.

Luynes, widząc łzy na powiekach królowej, wstrzymała się.

— A! nie przewiduj, nie mów mi o tem — szeptała cicho królowa. — Ludwik ma religję, nie złamie przysięgi.

Spojrzały na siebie, posmutniały i zamilkły.

Nazajutrz Villars przybył powinszować królowej odwiedzin króla, zgody. Całe miasto o nich wiedziało, ale bystrzejsi niewiele z tego obiecywali.

Villars dopytywał szczególniej o znalezienie się kardynała.

— Ja mu nic nie mam do zarzucenia — odpowiedziała królowa. — Już to samo, że króla nie odwodził od kroku do zgody, że sam mu towarzyszył — znaczy wiele!... Ja odtąd, wyrzekłszy się polityki, będę spokojną. Mam moich ubogich, nabożeństwo, zakonnice, muzykę, książki — czegóż mi więcej?

Królowa mówiła to tak żywo, jakby sobie samej

wmówić chciała nadzieję przyszłości lepszej i szczęścia domowego.

— Przeszłam przez ciężką próbę, — dokończyła— poniosłam straty wielkie, zamknę drzwi pokusom.

Villars oddawna nie widywał jej tak ożywioną, szczęśliwą — nie chciał jej tego momentu szczęścia zatruwać.

Nazajutrz Marja, chcąc co najprędzej podzielić się z ojcem, wybrała się do Meudon.

Pomimo przesilenia, które zdawało się grozić Leszczyńskiemu niełaską, pomimo wróżb, jakie ciągniono z upadku Bourbona, — Meudon jak był od początku pełnym gości, tak pozostał dotąd gospodą najróżnorodniejszych żywiołów. Stary król-wygnaniec przyjmował swoich gości z pogodą na obliczu, która go nigdy nie opuszczała. Zdawał się ani dla córki, ani dla siebie nie obawiać niczego. Przejednanie się Ludwika z żoną, o którem mu już doniesiono, utwierdziło go w tym spokoju ducha, a dworakom Leszczyńskiego dozwalało się spodziewać, że poważny wpływ uzyska... Poeci, artyści, filozofowie, ekonomiści napływali bezustannie... Zjeżdżano się z dalekich stron, aby króla-filozofa poznać, zjednać go sobie, pozyskać względy, przepędzić z nim godzin lub dni kilka. Nieprzebrana moc wierszy, kantat, od, poematów, powiązanych wstążeczkami, ksiąg wytwornie oprawnych, obrazów i nut zalegała półki w szafach.

Drzwi się tu nie zamykały, a stoły ledwie nastarczyć mogły biesiadnikom je oblegającym. Co dziwniejsza, cisnęli się tu ludzie najsprzeczniejszych przekonań, znając łagodną króla tolerancję. Voltaire i zwolennicy Frérona zarówno mu dworowali, a poeta zawczasu sobie skarbił względy Leszczyńskiego i królowej, tak, jak później pierwszy opiewał każde nowowschodzące słońce metres po sobie następujących.

Dwór króla w Meudon wcale już inaczej wyglądał, niż stara pustka komandorji w Wissenburgu. Przybywało tu już i Polaków z kraju bardzo wielu, szczególniej młodzieży, którą starzy przyjaciele narzucali kró-

lowi. Jedni rachowali na otarcie się na wielkim świecie, przy dworze Ludwika, wyobrażając sobie stosunki teścia i zięcia wcale inaczej, niż były w istocie. Leszczyński uśmiechał się z ich dobroduszności.

Czas schodził wogóle bardzo wesoło. Stół był obfity i wykwintny, król dla wszystkich uprzejmy, swoboda wielka, ale często też Leszczyński siedział sam zamknięty nad książkami i ukazywał się mało, co nie przeszkadzało zabawie na pokojach i przedłużaniu pobytu... Starsi dworzanie, marszałek dworu zastępowali wtedy gospodarza.

Ludwik XV nie unikał też rezydencji teścia. Zwykle zapowiadał swoje odwiedziny zawczasu, przybywał z niewielu towarzyszami i prawie zawsze przywoził z sobą do Meudon humor wesoły, usposobienie do poufałej rozmowy. Towarzyszył mu albo stary Villars, lub jeden z panów znanych i przyjaznych królowi staremu.

Pierwszy ten raz jednak po chorobie królowa przybywała sama do ojca, jak tylko stan zdrowia i doktorowie na to pozwolili. Ludwik XV może naumyślnie uciekł do Rambouillet na polowanie. dowiedziawszy się o tej wycieczce; dwie damy dworu towarzyszyły królowej. Meudon dnia tego właśnie pełen był natrętów, ale przybycie Marji ich nie rozpędziło; ojciec z córką usunęli się też natychmiast do gabinetu dla rozmowy na osobności. Król, chociaż czuł się w obowiązku dawać jej rady, nie narzucał się z niemi, wierzył w *gratia status,* w instynkt kobiecy, w łaskę, którą zlewa sakrament, więcej, niż w rozum własny i filozofję.

Mówił to sobie, ale teraz, gdy córka przybyła i poczęła opowiadać głosem drżącym, przez co przechodziła, co wycierpiała, starając się bronić Bourbona i siebie, królowi łzy w oczach stanęły nad jej dolą męczeńską. Ludwik XV, którego kochał, wydał mu się okrutnym, serce ojcowskie poruszyło się, bliskim był wybuchnienia gniewem, ale pomimo to pobożność,

rezygnacja, nawyknienie do poddawania się wyrokom Opatrzności uśmierzyły te uczucia.

— Maruchno moja, — odezwał się głosem drżącym — Bogu ofiaruj cierpienie. Staraj się krzywd zapomnieć i przebaczyć, choć mogłabyś tem być dumną... Wszystko to musiało być potrzebnem. Pytasz mnie o radę? ja ci jedną tylko dać mogę: poddanie się wyrokom Opatrzności bez szemrania. Inneśmy ci królowanie marzyli, ale męczeńska korona więcej warta, niż królewska!

— Wyrzekłam się — przerwała Marja — polityki i spraw publicznych — nie mieszam się już do nich... Król dał mi poznać dotkliwie, iż chce, abym im była obcą. Mam rodzinę, przyjaciół, ubogich, nabożeństwo, szpitale, kółko moje. To świat, w którym się zamknę chętnie, i starczy mi on do życia.

Westchnęła...

— Ja też nic ci innego nie życzyłbym i nie radził — dodał ojciec. — Nie dla niewiast stworzone kierowanie łodzią. Król znajdzie doradców i pomocników.

— Ja chcę tylko mieć serce jego — dodała Marja.

Leszczyński z westchnieniem pocałował ją w czoło.

— Serca ci on nie odbierze, — dodał po chwili namysłu — ale na płoche wybryki młodości trzeba, byś była przygotowaną i wyrozumiałą. Królem jest, młodym, wszyscy czyhają na niego, tysiące pokus go otaczają, byłoby cudem, żeby się im mógł oprzeć! Nie bądź zbyt zazdrosna — wiem od tych, którzy go otaczają, ile tam sideł zastawiają na niego. Ulec im może. Tyś powinna wielu rzeczy nie widzieć, wielu nie słyszeć, w wielu nie wierzyć, — a wszystko mu przebaczyć.

W oczach królowej łzy się kręcić zaczynały; Leszczyński mówił dalej powoli:

— Przykładem Ludwika XIV będą się starali do rozwiązłości go doprowadzić. Po regencji zostały nie tylko wspomnienia, ale żywi ludzie jeszcze jej obyczajami przesiąkli. Richelieu ma cały regiment piękności,

chce zawojować nim młodego pana i zjednać go sobie. Bądź pobłażającą, bądź ślepą.

— Ludwik był mi dotąd wiernym, — odparła wedle zwyczaju swego królowa, która się tem chlubiła— wszyscy to poświadczają. Wiem, że Richelieu, wyśmiewając surową cnotę, stara się go pobudzić do swawoli szyderstwy, że nie lepsi są jego sprzymierzeńcy d'Epernon, Trémouille, Gloves, że wesołe kolacyjki z kobietami w małych apartamentach we zwyczaj wchodzą i bawią Ludwika — ale dotąd wszakże nie doprowadziło go to do żadnego ściślejszego z jedną z tych piękności stosunku.

Król Stanisław nie odpowiedział wprost, zadumał się i dokończył po przestanku:

— Nie wglądaj w to zbytnio, nie słuchaj plotek... będą ci prawili mnóstwo baśni... Są rzeczy, które uszy kalają.

Ojciec umyślnie zapewne zmienił zaraz tok rozmowy. Wiedział, jak żywo ją obchodziły losy dwóch biskupów: arcybiskupa paryskiego, de Beaumont, i biskupa Amiens, de la Motte; począł więc o nich się dopytywać. Ostatniego szczególniej czciła królowa za jego cnotę, gorliwość religijną i surowość, a prostotę obyczajów. Leszczyński też wielbił w nim łagodność charakteru, spokój ducha i cierpliwość. Chociaż królowa zapowiadała przed chwilą, że miała się od spraw publicznych usunąć, król począł dowodzić, że w rzeczach religji mogła być pośredniczką pomiędzy duchowieństwem a królem. Właśnie królowa prosiła go o przybycie do Compiègne, gdzie dwór miał bawić czas jakiś, biskup od tego się wymawiał.

— Wiesz, dlaczego przybyć nie chce? — zapytał król — drobnostka to, ale ona znamionuje człowieka. Biskup u dworu, wedle przepisanego ceremonjału, musiałby stawić się ubrany po cywilnemu *(habit court)*, a sumienie jego wzdryga się na tę maskaradę. — „Nie mogę, między prawem kościelnem a regułą dworską wybierając, dać ostatniej pierwszeństwa,— mówił do mnie — muszę więc króla przeprosić, że mi

nowy strój sprawić trudno... jestem ubogi, a biednych mam dużo". — W Compiègne — dodał Leszczyński — zbiera się też wiele „wolno-duchów", którzy nic nie szanują i drwią sobie ze wszystkiego. Zanadtoby im uczynił honoru, broniąc się od ich napaści.

Ojciec i córka na nieskończonej rozmowie pozostali z sobą przez dzień cały; pytania, odpowiedzi, opowiadania na chwilę nie ustawały. Maruchna oddychała tu swobodniej; naostatek nadeszła wyznaczona pożegnania godzina i rzuciła się, płacząc, ojcu na szyję.

— Pobłogosław mnie, tatku, — rzekła — tak, jak błogosławiłeś, gdym dom twój opuszczała, idąc za głosem, powołującym mnie na męczeństwo. W mem życiu, czuję to, rozpoczyna się epoka nowa — jaśniej przed sobą widzę przeznaczenie swoje.

Zapłakała, lecz raźno, mężnie łzy otarła. Król ojciec pozostał spokojnym i poważnym, jak zwykle.

— Niech Bóg Abrahamów, Izaaków i Jakóbów błogosławi ci, dziecko moje, — rzekł głosem namaszczonym — słuchaj natchnienia własnego, a nie ludzi, módl się i bądź mężną. Bóg cię nie opuści. Cierpieniem twem okupisz go.

Od tej niemal chwili rozpoczęła się w istocie era nowa w życiu małżonków, która wpłynęła na wyrobienie się przyszłego charakteru Ludwika i kierunku jego postępowania.

Była to chwila przełomu... w której młody pan z mdłej jeszcze postaci, nieokreślonej, człowieka wahającego się, jaką pójść ma drogą — przekształcił się na tę dwulicową, znudzoną istotę, mającą szukać zabawki, nie patrząc jej źródła i igrać nawet z własną polityką.

Metamorfoza odbywała się powoli, ale raz poczęta nie zatrzymała się w swoim rozwoju aż do wstąpienia na tron pani de Pompadour.

Epoka ta, tak stanowcza w życiu króla, dla królowej była przygotowaniem do najcięższego męczeń-

stwa, poczynającego się też z mianowaniem tej głośnej i wszechmocnej metresy.

Dla nas też ona jest tylko wstępem do obrazu, jaki się przygotowuje.

Królowa ostrzegana, otoczona współczuciem, chociaż nie wierzyła całkiem w upadek męża, w upokorzenie swoje, już mogła je przeczuwać. Wierna postanowieniu swojemu, usunęła się całkiem od wszelkiego udziału w sprawach publicznych, starała się nawet o to, aby jej dwór jak najmniej zajmował się niemi.

Włodek, który służył ojcu i córce, a w Paryżu miał stosunki bardzo rozgałęzione, wkrótce potem starał się za pośrednictwem królowej wyjednać awans dla przyjaciela swojego, młodego oficera, pana de Blois.

Zdawało się to tak łatwem, że królowa potrzebowała tylko, aby go otrzymać, słówko szepnąć ministrowi wojny.

Ale kardynał czyhał tylko na pierwszą lepszą sposobność, ażeby okazać, że nie ścierpi najmniejszego jej wpływu.

Namyśliwszy się, z nieśmiałością wielką, Marja rzuciła słówko o tem mężowi.

Ludwik, jak zawsze, zbył ją krótkiem, suchem odesłaniem do ministra. Królowa więc napisała list i na ten otrzymała odpowiedź, iż minister nie może nic uczynić bez zgodzenia się kardynała!

Zmuszona więc była naostatek prosić o to Fleury'ego, mając za złe Włodkowi, iż ją na to naraził.

Kardynał wysłuchał pokornej prośby z dumną obojętnością — nie odmówił odrazu, zostawił sobie przyjemność... trzymania królowej w niepewności... Bawił się tem, że mogła się łudzić nadzieją i wkońcu odprawił odmową bez żadnych pobudek... *tel était son bon plaisir*. Fleury, odpowiadając, dał do zrozumienia, iż nawet takich drobnostek domagać się nie powinna. Biedna Marja doznała wielkiej przykrości i upokorzenia, ale je zniosła z cierpliwością anielską.

Kazała potem przywołać Włodka.

— Smutną nowinę mam ci zwiastować — ode-

zwała się łagodnie. — Prosiłam za twoim przyjacielem króla, ministra, kardynała — odmówili mi wszyscy.

I nie bez złośliwości dodała, poruszając ramionami:

— Wierz mi, zwróć się z tem o protekcję do Bacheliera (faworyt króla, kamerdyner), lub do Barjaca (ulubieniec, sługa kardynała), to będzie skuteczniejszem daleko.

Włodek, do rozpaczy przyprowadzony, że naraził panią swoją, przepraszał ją, całując kraj sukni.

— Ale ja ci dziękuję — rzekła, uśmiechając się, Marja. — Była to próba, która mnie powstrzyma od daleko niebezpieczniejszych! Nie znałam dotąd królewskiego rzemiosła, a trzeba się uczyć do śmierci.

Włodek gniótł ręce zniecierpliwiony i gniewny.

— A! — wybuchnął — nawet litościwemu sercu w. kr. mości nie dopuszczają nic uczynić.

— Owszem, owszem, mają słuszność; — żartobliwie dodała królowa — tylko od wojska odpędzają mnie do klasztoru i szpitali. Tam są regimenta moje!

Włodek przypomniał sobie wypadek, do którego słowo to było aluzją. Oblegających raz pokoje królowej ubogich straże stojące dopuszczać nie chciały. Gwardji wydano rozkazy odpędzania ich ode drzwi, aż królowa wstawiła się sama, aby im przystępu nie tamowano. Jednakże liczba cisnących się nieraz zmuszała do odpędzania, co widząc pan de Nangis, *chevalier d'honneur* królowej, odezwał się wesoło do straży:

— Przepuśćcież ten regiment królowej!

Wpuszczono żebraków, a dowcipne słówko z ust do ust przechodziło i pozostało w pamięci.

Czas upływał tak niepostrzeżenie, i choć napozór w formach życia dworskiego nieubłagana etykieta nie dopuszczała żadnych zmian dotykalnych, zachodziły już różnice ogromne od pierwszych lat pożycia. Ludzie

królowej oddzielali się od dworu króla — wyrabiały się dwa nieprzyjacielskie obozy.

Około królowej Marji skupiały się kobiety zasad surowych, którym obowiązki nakazywały pozostać przy niej, w większej części poważne matrony, pokutujące Magdaleny.

Od chwili, gdy król postępowaniem swojem wskazywać zaczął, iż małżeństwo jego będzie tylko związkiem urzędowym, nie krępującym go wcale, gdy się dzielić począł na małżonka dla oka ludzkiego i na swobodnego człowieka w towarzystwie otaczającej go młodzieży, powoli wszystko się zmieniło.

Richelieu czatował na chwilę stanowczą, która niechybnie nadejść musiała, a z nią panowanie metres królewskich.

Kolacyjki wesołe w małych pokoikach stawały się coraz częstsze. Król z początku napozór tylko bywał ich świadkiem, ale zwolna coraz żywszy brał w nich udział. Wprowadzano na te zakulisowe wieczorki rozmaite rozrywki, zaprowadzając w nich coraz większą swobodę.

Król z księciem de Dombes, w srebrnych wyzłacanych rondelkach, gotował tam jajecznicę. Przypominało to czasy młodości, gdy kardynał Fleury bawił Ludwika szyciem w krosienkach.

Po tej potrawie królewskiej, po truflach, przyprawianych przez pannę de Charolais potrzeba było szampana... Zapijano nim długo, a król czasem cały nim woniejący, przechodził późno do wspólnej sypialni.

Richelieu przepowiadał, że lada dzień zjawić się musi kuchareczka, która stanie u boku kuchmistrza... Kardynał na zabawy te oczy zamykał, bo wolał wpływ takiego fartuszka, niż pobożnej królowej. Zdaje się, że i wszechmocny Bachelier był tegoż zdania, zwłaszcza, że na wybór jego on miał wpływ największy, stanowczy.

Ludwik XV tymczasem zachowywał się dosyć długo tak, jakby nie rozumiał, czego wszyscy sobie

życzyli. Śmiał się tylko coraz głośniej, gdy wobec niego mówiono o „wielkiej nieznajomej", której zjawienia się wyczekiwano... Udawał, że nie rozumie. Gdy o tem półgłosem przy nim szeptano, parskał śmiechem czasami, ale się wcale nie gniewał. Tymczasem bawiły go wesołe szczebiotania hrabiny de Toulouse i panny de Charolais.

Już nawet w jednej z nich przewidywano przyszłą faworytę, ale drudzy, znający lepiej usposobienie króla do ukrywania swoich czynności, utrzymywali, że wybór padnie na jedną z dam pałacowych królowej! Pomiędzy niemi były bardzo piękne, ani jedna zaś pewno nie byłaby odtrąciła rzuconej ku niej chustki.

O tym dworze królowej Marji, który tak spoważniał pod jej wpływem, opowiadano, iż nie było w nim ani jednej, którejby się coś nie dało przypomnieć, — nie wyjmując nawet pani marszałkowej de Villars, księżny de Tallard, de Bethune, d'Epernon, d'Egmont, de Chalais i t. p.

Ale ponad niemi stała na straży surowa ich pani. Przyjaciele i pomocnicy Richelieu'go rzucali imionami panny de Beaujolins, pani de Lauragnais, de Portail i d'Anuzannes. Każda z nich miała za sobą jakiś wdzięk, urok, talent pociągający. Najprzenikliwsi jednak zgóry zaręczali, że nikt więcej za sobą nie miał prawdopodobieństwa pozyskania króla nad panią de Mailly.

Wszystkie te przewidywania były jednak przedwczesne... Jawnie król trybu życia nie zmieniał, był dotąd małżonkiem Marji; po orgjach w małych pokoikach odprowadzano go tam zawsze na spoczynek. Tylko nowe rozrywki coraz się więcej od dawnych różniły.

Dawniej król przypatrywał się raczej bawiącym, niż sam zabawiał, —, teraz widywano go pośpieszającym do Rambouillet, gdzie na niego oczekiwała hrabina de Toulouse, do Bagateli, w której królowała marszałkowa d'Estrées, — do panny de Charolais... Zabawy nocne przeciągały się aż do rana.

Kto była zakochana w Ludwiku hrabina de Mailly? — Była to istota, stworzona z płomienia i blasków... Pochodzeniem swojem należała do rodziny, która się niegdyś w wojskowej służbie świetnie odznaczyła. Matka jej słynęła już z galanterji, jako jedna z najzalotniejszych kobiet swego czasu; ojciec był niepoprawnym marnotrawcą. Pani de Mailly była jedną z całego szeregu sióstr, pięknych, jak ona, i niemniej namiętnych, odznaczających się temperamentem i wdziękami — kobiet, bez litości dla siebie i ludzi.

Oprócz wymienionej pani de Mailly, w klasztorze, miejscu dziwnie obranem dla wychowania kochanki królowi, oczekiwała na przeczuwany swój los druga siostra, Felicja, dla której Mailly drogę miała torować; naostatek pani de la Tournelle, zarówno jak dwie pierwsze, spragniona łask i miłości królewskiej. Richelieu, który chciał mieć metresę dla Ludwika XV, z wielką trafnością wybrał rodzinę i wszystkie trzy składające ją panie.

Osnuta przez niego intryga nie mogła chybić — w zasadzce nie jedna pani de Mailly rzucała się z wielką niecierpliwością, było ich trzy, które sobie wzajem dopomagać miały. Zakochanej, rozmarzonej nie zbywało na innych sprzymierzeńcach i pomocnikach, a najdzielniejszym była jej nadzwyczajna, czarująca płękność, na królewską zagładę stworzona.

Szatan nie mógł nic wymyślić i wykończyć piekielniejszym ożywionego ogniem... Cóż mogła przeciwko temu zjawisku pociągającemu królowa ze swoją miłością powagi pełną, otoczoną urokiem spokojnym, jaki daje cnota? Ludwik XV musiał ją szanować w oczach ludzi, dla świata, ale mu ona ciążyła jak złote kajdany. Zdawało mu się, że życie da się może podzielić na dwie połowy i serce rozłamać, aby światu i sobie uczynić zadość.

Król bawił się oczekiwaniem, pani de Mailly się rzucała niecierpliwie, popychana przez pomocników, którzy pierwsze szały emancypacji obiecywali sobie

wyzyskać. Widziano króla wahającym się i naglono o podział żywota konieczny, nieuchronny, fatalny. Potrzeba się tylko było starać, aby przyszła kochanka Ludwika XV mogła być jak najmniej niebezpieczną, a jak najpotężniej zawładnąć mogła znudzonym. W tem właśnie leżała nie trudność, ale prawie niemożliwość pogodzenia siły i nieszkodliwości...

Dlaczego, czyniąc wybór dla króla, Richelieu, Bachelier i neutralnie zdala stojący Fleury ciągle wracali do pani de Mailly, to było ich tajemnicą.

Tymczasem szukano rozrywek dla młodego pana w kółku familijnem u hrabiny de Toulouse i de Charolais.

O wszystkich intrygach i zabiegach, aby królowi dać kochankę, Marja podobno długo nic a nic nie wiedziała. Pierwsza na to oczy jej otworzyła pani de Boufflers; ale królowa usta jej zamknęła, nie chciała słuchać zwierzeń, ani wiedzieć o niczem.

Zachody jednak dworaków zbyt były jawne, kolacje nadto głośne; mówiono o nich na dworze, na ulicy, po domach prywatnych; cytowano dowcipne słowa, wyliczano *menu* królewskiej własnoręcznej kuchni. Zgorszenie było tak jawne, iż duchowieństwo nawet bolało nad poniżeniem królewskiej godności. Były to jednak dopiero początki; później nawet daleko bardziej rażące wybryki nie zwracały uwagi.

Ludwik XV był tymczasem zawsze z pewnem uszanowaniem urzędowem dla żony; a właśnie, gdy tajone jego napozór miłostki miały wyjść najaw i brudną falą wylać się na dwór pobożny — wypadki wielkiej doniosłości, w które król ojciec Marji był wmieszany, odwróciły nieco uwagę od intryg miłosnych, w które Ludwika XV wplątano.

Czas płynął szybko... W rok po wyjściu zamąż królowa wydała na świat dwie córki, bliźnięta, księżniczki Elżbietę i Henrjetę. Kraj domagał się i błagał Boga o następcę płci męskiej. Nakazano modły po kościołach. We dwa lata potem urodził się upragniony przez Francję delfin.

W rok po tym ostatnim wypadku, właśnie, gdy Ludwikowi szukano metresy, zmarł prawie nagle w Warszawie August II, z zabliźnionej ranki na nodze, która mu pozostała po pierwszych miłostkach z Lubomirską, późniejszą księżną cieszyńską.

Tron polski, którego tytuł przysługiwał Leszczyńskiemu, stał opróżniony, kirem okryty. Ludwik XV powziął myśl wprowadzenia nań teścia. Była to niespodzianka, której król-filozof nie przeczuwał wcale, ani żądał.

Zięć, który przy ślubnej intercyzie córki żądał zapewnienia, iż król polski nie wciągnie Francji w wojnę o koronę, sam teraz uznawał konieczność popierania elekcji teścia i osadzenia go na opróżnionym tronie. Stanisław nie życzył sobie tej korony i władzy, której się wyrzekł i nie tęsknił do niej; pierwszem jego poruszeniem było zrzeczenie się panowania. Tymczasem Ludwik XV ofiarował swoją pomoc przeciwko Sasom i Austrji. Wchodziło to w kombinacje jego polityki, skądinąd łatwe do wytłumaczenia.

Rachował zapewne na siłę narodu, który powinien się był oświadczyć za Leszczyńskim i poprzeć go tak, że sama powaga Francji starczyłaby do utrzymania go na tronie. Nie przewidywano rozdwojenia w Polsce i potrzeby czynnego popierania króla.

Leszczyński, znający kraj lepiej, niechętnie musiał przyjąć narzuconą mu koronę, przekradać się przez Niemcy, aby się dostać do Polski, i, zaledwie stopą stanawszy na ziemi Rzeczypospolitej, uchodzić z pod nacisku sił rosyjskich, które następcę Augusta II na tron prowadziły.

Rachuby na wpływ i znaczenie Leszczyńskiego, na potęgę Francji zawiodły. Tymczasem, gdy się ważyły losy ojca, do którego Marja była tak czule przywiązaną — Ludwik XV przechodził z pierwszej epoki swojego życia do trybu nowego, który miał go przepołowić na dwoje...

Marja tyle miała na sercu, troszcząc się o niebez-

pieczeństwa, na które ojciec był narażony, że nie mogła zbyt wiele cierpieć nad tem, do czego była przygotowaną oddawna. Nie żądała już od męża nic więcej nad to, byle nie wiedzieć o intrygach bezecnych otoczenia królewskiego, o wykroczeniach samego małżonka.

Ale biednej królowej, pragnącej tylko zachowania od sromu i wstydu, nieświadomości intryg, nie dano nawet ocalić przyzwoitości — mówiono o wprowadzeniu metres w najbliższe jej kółko...

Łzy jej wyschły już dawno, źródła ich się przebrały, nie wiedziała, jak ma postąpić. Ojciec był jeszcze we Francji, musiała się więc otworzyć przed nim, prosząc o radę. Usłużni Francuzi dawno go wtajemniczyli w położenie. Nie mówił o tem z córką, czekając, aż się zwierzy. Marja wahała się i milczała. Nadeszła wreszcie chwila, gdy z boleścią największą musiała mu odmalować swoją dolę.

Pobożna, zrezygnowana, rzuciła się starcowi w objęcia.

— Ojcze mój drogi, — rzekła — dziecię twoje wie, jak mu postąpić przystało, ale królowa Francji żąda twej rady. Wiesz, że bezecny Richelieu i cała gromada mniemanych przyjaciół Ludwika opanowali go, upoili i rzucają w brudną kałużę rozpusty. Król coraz jawniej otacza się kobietami bez wstydu. Wtargają one aż na pokoje do moich dzieci i do mnie... Co mam począć?

Załamała ręce. Król, wzdychając, spuścił oczy i zarumienił się zawstydzony.

— Sprawy to są powszednie — odparł, udając obojętność — i, Bóg da, przemijające. Nie bierz tego nazbyt do serca, nie obwiniaj Ludwika, bo bardzo jest młody jeszcze i niedoświadczony. Nudzi się, pragnie rozrywki, przyjaciele podstawiają mu także zabawki, z których sami korzystają. Niesmak i rozczarowanie przyjdą wkrótce. Ty, dziecię moje, zamykaj oczy, bądź ślepą.

— A! i głuchą chyba — podchwyciła królowa.

— Tak, i głuchą — potwierdził Leszczyński.

— I niemą! — dokończyła Marja.

— Pamiętaj, że jesteś królową Francji i że stoisz wyżej nad te chwilowe błyski pod stopami twojemi.

Rozmowa, która miała być wynurzeniem się córki przed ojcem, naradą — skończyła się na niczem, skutkiem wstrętu starego króla do przeciągnięcia jej.

W istocie, nic jeszcze nazbyt jawnem nie było. Król Stanisław widział w tem przesilenie, które się mogło skończyć albo triumfem królowej (złudzenie dziwne!), albo chwilowem tylko obałamuceniem Ludwika. Miłość jego dla zięcia zaślepiała go.

Królowa nie mogła zaprzeczyć temu, że względem niej wszelkie formy poszanowania zachowane były. Ani Trémouille, ani Dombes nigdy jej uchybić nie śmieli. Emancypacja ograniczała się na małych apartamentach, ukrywała się w cieniach nocy.

Pomimo to Richelieu był pewien zwycięstwa, a Bachelier myślał tylko, komu ma palmę oddać. Od niego przeważnie zależał wybór.

Milczący, umiejący nie narazić się nikomu, oszczędzający nawet królową, przed którą grał rolę przymuszonego i zmartwionego widza, szedł nadzwyczaj zręcznie, z obrachowaniem do celu.

Pani de Mailly, którą popierał, Richelieu'mu i jemu zdawała się na początek jakby stworzoną. Miała wszystkie przymioty i wady swojej roli. Miała sama wiele śmiałości, aby królowi oszczędzić przejść trudnych; była uroczo piękna, a piękność jej stanowiła kontrast ze skromnym wdziękiem więdniejącej już, nieśmiałej Marji.

Pani de Mailly w tych pierwszych rwaniach węzłów małżeńskich stała tymczasem pomiędzy kandydatkami, niecierpliwa, namiętna, zuchwała. Co dziwaczniejsza jeszcze, poza nią, tająca się ze swoją namiętnością dla króla, stała już w gotowości marząca oddawna, że musi go opanować — rodzona jej siostra, Felicja... Kończyła ona niby wychowanie w klasztorze, marząc już wtedy, iż wprost z furty wyszedłszy, rzuci

się w objęcia Ludwika XV. Przeczuwała swoje przeznaczenie!... Siostra ta, która ani pięknością, ani żadnym szczególnym urokiem oprócz dziewictwa nie mogła walczyć z panią de Mailly, miała za sobą tylko wyzywającą namiętność. Powiernicą jej była rywalka — siostra.

Los chciał, iż wszystko spełniło się według jej przewidywań. Panna Felicja, zostawszy panią de Vintimille, odebrała siostrze króla, aby go rychłą śmiercią osierocić. Ale rodzina de Nesles miała ją kim zastąpić.

Królowa opasana tem niewidomem kołem brudnych intryg, osamotniona, coraz kruchszym węzłem była napozór połączona z mężem. Po delfinie przyszła na świat Adelajda; po powrocie Leszczyńskiego z Polski Zofja; we trzy lata jeszcze potem Ludwika.

Wyśmiewano już wierność króla, i gdy ta dziecina przyszła na świat, jedna z pań szydersko, przybiegając oznajmić Ludwikowi o jej narodzinach, zapytała, jakie jej zamierzają dać imię? — król gniewny odparł krótko:

— Ostatnia! *(La dernière).*

Chwila ta w istocie znamionowała ostatni węzeł z królową zerwany, rozbrat zupełny między nią a małżonkiem. Rozpoczyna ona epokę nową cynizmu i całkowitej pogardy wszystkich względów.

Wszystko, co ją poprzedza, uważać można za rodzaj prologu, za przygotowanie do męczeństwa.

Ludwik XV, choć się już nie waha zerwać stanowczo, — ostyga zwolna, oddala się i powraca urzędownie, szanuje nadto wszelką formę i etykietę. Królowa też radaby ocalić choć pozory, oswaja się z położeniem powolnie, obojętnieje, a godność małżonka chce zachować. Najmniejszej już nie ma nadziei, ażeby węzeł pierwszy mógł się zadzierzgnąć na nowo, a jednak radaby pozorami jego łudzić siebie, a może ludzi.

Ludwik tymczasem, jakgdyby za krzywdę córce wyrządzoną, chciał wynagrodzić ojca, za słabo poparłszy Leszczyńskiego, aby się mógł na polskim

utrzymać tronie, płaci mu księstwem Lotaryngji i Baru, oddając je w dożywocie.

W tem życiu awanturniczem człowieka stworzonego do spokojnych rozmyślań i pracy — to, co poprzedza objęcie księstwa lotaryńskiego, jest jakby nową i ostatnią z nim losu igraszką. Ucieczka z Gdańska — epilog tej baśni — podobna jest do wymysłu romansopisarza.

Królowa Marja przez cały ten czas niepewności o losy ojca duchem i sercem jest przy nim; towarzyszy mu modlitwami, żyje niemi, trwoży się i cierpi, przekonywając wreszcie, że ta ostatnia nadzieja jest ostatnią próbą z zawodem w żywocie człowieka, który własnym nie mogąc rządzić krajem, na obcej ziemi musiał pokazać, coby mógł uczynić dla odrodzenia Rzeczypospolitej.

Ocalony cudownie w ucieczce z Gdańska, którą w liście do córki tak żywo opisał — powrócił Stanisław objąć Lotaryngję, którą dawni jej panowie opuszczają z boleścią, a poddani ich opłakują.

W Luneville'u dopiero osiada Leszczyński, wyposażony odpowiednio do swojej godności, aby tu spędzić ostatki życia, otoczony nie tylko blaskiem, jaki nadaje nowe wyposażenie obfitsze, ale i coraz bardziej uznawane mądrość i cnota.

Dwór króla-filozofa należy do ówczesnych osobliwości europejskich, nie godzi się go pominąć nikomu... Stosunkowo skromny, odznacza się pewną okazałością poważną. Dwóchset ludzi gwardji przybocznej, dwieście szlachty polskiej i lotaryńskiej, młodzieży, kadetów — oprócz tego wyborna orkiestra, starannie bardzo utrzymane pałace, ogrody, wille, myślistwo, stajnie i konie, stół wielce wykwintny, we wszystkiem ład i nadzór ścisły.

Inaczej też przy wielkim napływie gości z całego świata, duchowieństwa, szlachty, literatów, artystów, trudno było porządek utrzymać.

W Luneville'u dopiero mógł król Stanisław okazać cały swój rozum praktyczny, miłość dobra powszech-

nego, i z marzyciela w przekonaniu ogółu stać się wzorowym monarchą.

W Luneville'u dopiero osiedla się Stanisław, aby tu spędzić ostatki życia w warunkach, zbiegających się najdziwniej, aby mu dać okazać całą energję i siłę ducha, spokój filozofa, rezygnację chrześcijanina, rozum wpośród sprzeczności i zawikłań, umiejący zawsze widzieć swoją drogę jasno.

Stanisław, pobłażający wielce, musiał jednak czasami pozbywać się ludzi, których uwielbienie cień na niego rzucało. Do takich należał przewrotny pochlebca Voltaire, który, potrzebując trzymać się czyjejś klamki, nie rozumiał lub udawał, że nie rozumie, co to znaczy, gdy mu ją zamykano przed nosem.

Napróżno dawano mu grzecznie do zrozumienia, iż przestał być pożądanym gościem. Gdy chłód i zobojętnienie nic nie pomagały, król żartobliwie zapytał skromnego marszałka swojego dworu, czyby nie miał skutecznego sposobu na pozbycie się tego złego ducha?

— N. panie, — odparł stary Borowski — jest-ci środek pewny: — *hoc genus idemoniorum non ejicitur, nisi in oratione, in jejunio.*

Znaczyło to, że potrzeba go było wprost zmuszać głodem do ustąpienia... Nie dawano mu więc jeść... Uparty Voltaire napisał do marszałka dworu bilecik: „Gdy poeta Wirgiljusz był na dworze króla Augusta, Aljantus miał o tem staranie, aby mu na niczem nie zbywało".

Kiedy na liścik ten nie odpowiedziano, Voltaire i pani de Chatelais zmuszeni zostali Luneville opuścić, gdzie im było bardzo wygodnie.

V.

W pożyciu króla i królowej lata od zawarcia małżeństwa do r. 1744-go, a zatem całych lat osiemnaście, stanowią pierwszą epokę tej walki, która się zamyka nie namiętnością, ale zimnem jakiemś, rozpaczliwem rozpasaniem.

W pierwszych tych latach kilkunastu król usiłuje się taić ze swojem lekceważeniem sakramentu małżeństwa, a skrycie puszcza sobie cugle; otwarcie szanuje prawo kościelne i społeczne; chwilami napadają go zgryzoty sumienia, skrucha, pokuta, a po niej nowa rozpusta. Królowa modli się i spodziewa poprawy, później zrezygnowana pokrywa bezwstyd mężowski. On sam zdaje się sromać swawoli, ale ma ona nadto powabu, — zwycięża znużenie, wyżycie, pragnienie czegoś nowego.

Historja potępia Ludwika XV, ale ona bierze go już takim, jakim wyszedł z rąk Fleury'ego, nie licząc, ilu ludzi i wpływów składało się na ukształtowanie tego młodego pana, którego kardynał chciał mieć lekkim, zawczasu wycieńczonym, aby nim bez wysiłku najmniejszego zawładnąć, — którego Bourbon i Richelieu potrzebowali mieć swawolnym, ażeby rządzić nie umiał i nie chciał... Podobne wychowanie i życie, któremu uległ Ludwik XV, innego owocu wydać nie mogło. Po regencji Ludwik XV musiał być królem takim, jakim się zjawia oczom naszym: istotą wyżytą, choć nie żyła.

W ciągu tych lat osobliwe stosunki dworskie wyrabiają się bezprzestannie; król zarówno jak królowa kształtują się pod naciskiem z jednej strony rozpasanej swawoli, z drugiej błogosławionej, rezygnacją chrześcijańską namaszczonej boleści.

Obraz tej królowej, z jej cichą pobożnością, z jej ubóstwem, urągającem zbytkom otaczającym króla, jest dla Ludwika XV nieustannym wyrzutem i zgryzotą. Zdawałoby się, że podobna sprzeczność, cały szereg lat trwać mająca, będzie niemożliwą; że kontrast owych małych apartamentów i ich wieczorów rozpasanych z apartamentami, w których się szyją ornaty do kościołów i odzież dla ubogich, musi sprowadzić przełom i czyjeś zwycięstwo. Tymczasem obok pani de Mailly spokojnie żyje uboga królowa, i ten sam Ludwik XV towarzyszy z rana do kościoła żonie, a wieczorem metresie na wesołą wieczorynkę.

W pierwszych latach mówią o rozwodzie, bo nikt w trwałość takiego stosunku nie wierzy; później się wszystko ustala, a poczwarny związek przedłuża się aż do końca życia aktorów dramatu.

Narodzenie córki, którą król sam nazwał ostatnią, zapowiada nowy porządek. Królowa nie może przyjmować męża, wyprasza mu się; król zapowiada gniewnie, iż więcej już u niej noga jego nie postanie... Małżeństwo urzędownie jest zerwane.

Wychowanie dzieci zabiera Marji wiele czasu, który umiała zużytkować tak święcie.

Córki najstarsze zaczynają się wychowywać pod jej okiem ze zbytkiem, przepisanym dla „dzieci Francji"; na wychowanie i naukę delfina nie oszczędza się nic; wszystkie środki i liczni ludzie są zebrani, aby czuwać nad tem dziecięciem, na którego główce losy dynastji spoczywają. Później przychodzące na świat córki, których wychowanie nowych wymagało i bardzo znacznych nakładów, oraz ogromnej liczby urzędników, poddały kardynałowi myśl okrutną odebrania ich matce i powierzenia zakonnicom klasztoru w Fontevrault.

Ofiara to była ciężka dla macierzyńskiego serca wyrzec się dzieci; pocieszała tylko królową myśl, iż pobożnym niewiastom powierzano dziewczątka. Widywanie się też wzajemne wzbronionem nie było. Delfina oddalało od niej wychowanie męskie, córki wychowanie zakonne; ale, mimo to, Bóg tak czuwał nad nimi, iż brat i siostry pozostali najgoręcej przywiązani do Marji. Na córkach wszakże więcej się czuć dawał brak bezpośredniej serca macierzyńskiego opieki.

Ukazującej się na ulicach Paryża królowej z córkami, gdy z niemi zwiedzała pobożnie kościoły i szpitale, tłum zabiegał drogę, przyklaskując sympatycznie, gdy na ekwipaże metres królewskich kamieniami ciskano.

Gdy pani de Mailly zajęła małe apartamenta w pałacu pod bokiem królowej, zdawało się królowi i dworowi, że z nią razem weszła niewyczerpana wesołość

i będzie odtąd nieprzerwanie tam panowała. Starano się urozmaicać zabawy. A jednak wkrótce rozpusta się wyczerpała, stała się bezsilną, obrzydliwą. Król ziewał... Ani szampan, ani wrzawa, ani rzucania się gwałtowne nie pomagały.

Sama miłość pani de Mailly, nieograniczona, uległa, powolna, przyczyniała się do przesytu.

Przytem wymagania rodziny de Nesles rosły z dniem każdym; zaspokoić ich nie było możności. Po wrzawie następowały łzy i troski, a król skarżył się i ziewał. Ruina ojca pani de Mailly pochłaniała miljony — co króla obruszało.

Między Ludwikiem XV a panią de Mailly znudzenie rodziło zazdrość, szpiegostwo, spory. Poza nią rosła i gotowała się objąć spadek siostra Felicja, pochlebiająca sobie, iż króla lepiej i stalej do siebie przywiązać potrafi. Natręctwo jej, które budziło ciekawość w królu, nareszcie zwyciężyło. Felicja ukazała się na dworze.

Następstwa tego łatwo było przewidzieć. Mimo łez i rozpaczy siostry, Felicja zawojowała Ludwika. Znaleziono dla niej męża, pana de Vintimille, i druga z tej dynastji metres wstąpiła na tron, na którym krótko żyć miała.

Z panią Felicją nowi ludzie wciskają się na pokoje królewskie, nowe króla otaczają intrygi.

Plany pokojowe Fleury'ego znajdują w nich przeciwników, którzy gwałtownie pobudzają do wojny. Obu im, pani de Mailly i jej siostrze, potrzeba laurów dla bohatera, aby niemi okupił poniżającą go rozpustę i zdobył miłość poddanych.

Marszałek de Belle-Isle występuje w szeregu z panem de Noailles. Obie siostry go prowadzą. Znajduje się zapaśnik, mający zastąpić kardynała. Pani de Vintimille, nie ograniczając się rolą metresy, namiętnie oddaje się polityce, ale każdy jej krok, każda czynność rozbijają się o słabość, o bezwładność, o brak woli Ludwika XV, który zwraca się do kardynała, aby pozostać bezczynnym.

Pani de Vintimille w tej walce z ostygłością kochanka zyskuje nad nim przewagę, umie go zjednać tem, że podnieść go usiłuje.

Królowa w Choisy czyni Ludwika niemal zakochanym we wsi, w drzewach, w ogrodach i życiu na łonie natury. Król zaczyna budować, zakładać ogrody, sadzić, bawić się w gospodarza.

Wśród tych wielkich nadziei pani de Vintimille umiera. Ludwik XV rozpacza... Pani de Mailly wraca jako pocieszycielka jedyna, możliwa. Przywiązuje go do siebie wspomnieniami siostry. Ale żal po niej ostyga: król szuka już nowej pastwy. Richelieu korzysta z tego z panem de Tenein, aby próbować pozbyć się niemiłej Mailly, a nową zabawkę narzucić tej istocie bezwłasnowolnej.

Wybór pada na trzecią siostrę dwóch pierwszych, panią de Tournelles.

Przypadło to właśnie w chwili, gdy się znajdowała bez opieki, rzucona na pastwę losu, który jej księcia de Gèvres nastręczył. Przez niego dano dwom siostrom i jej w pałacu schronienie. Śmierć pani de Mazarin, opiekunki ich, czyniła to niezbędnem, nie miały się gdzie przechować.

Dziwnym trafem, gdy Gèvres sprowadzał do pałacu panią de Tournelles, królowa, która nie wiedziała o nowem położeniu jej u króla, ani o projektach Richelieu'ego, który ją forytował, powzięła myśl dania jej osieroconego po pani de Mazarin miejsca damy pałacowej.

Zbieg okoliczności osobliwy: królowa, o niczem nie wiedząc, wstawia się do kardynała za panią de Tournelles (która siostrze swojej Mailly nie oddała nawet wizyty). Król, od którego nominacja zależy, milczy; ale po tygodniu pyta kardynała: z czem u niego była pani de Tournelles? Fleury opowiedział mu, o co chodziło, zapytując ze swojej strony, czy król życzy sobie, ażeby wspomniana pani była zamieszczona na liście?

— Tak jest, — odparł król — mówiłem o tem z królową.

Po południu, z pewnym rodzajem znęcania się, król opowiada całą przygodę u pani de Mailly, która z siostrą była nabakier, a czuła, że wszystko to przeciwko niej wymierzone.

Przestraszona Mailly bieży do siostry z zapytaniem. Tournelles, zdjęta litością, wypiera się myśli zajęcia miejsca zmarłej.

Z panią de Tournelles zabiera się triumfować Richelieu, upada Fleury; więc kardynał nie dopuszcza pani de Tournelles na damę pałacową; przypomina, że królowa to miejsce przyrzekła innej przed trzema laty. Richelieu radzi się de Mailly, aby ją rozbroić, — koniec końców biedna Mailly sama prezentuje siostrę królowej. Otrzymuje ona apartament w pałacu po biskupie Renne.

Pani de Tournelles instalowana w pałacu opiera się, bo kocha księcia d'Agenois (siostrzeńca swojego). D'Agenois, wyprawiony za to na wieś, ma nasadzoną na siebie piękną młodą zalotnicę, która serce jego zdobywa, a zrozpaczona de Tournelles poddaje się i staje narzędziem w rękach Richelieu'ego.

Król musi serce jej zdobywać, ale to mu daje chwilową rozrywkę. Potrzebuje pozbyć się d'Agenois, odpychać niepokojącą go de Mailly, starać się o łaski jej siostry. Dla Mailly jest okrutnym, chociaż pokora jej, boleść raczej litość obudzać powinny.

Wszystko to przeciąga się nieznośnie, chociaż Richelieu usiłuje rozwiązanie przyśpieszyć.

Zmuszona, Mailly oddala się na ostatku; król skompromitowany pozostaje przy pani de Tournelles.

Mailly wyjednywa posłuchanie u króla i wychodzi z niego łzami zalana.

Ażeby dać wyobrażenie o charakterze i roli pani de Tournelles, dosyć jest list jej do Richelieu'go przytoczyć:

„Pokazałam królowi listy wasze, które go ubawiły; zapewnił mnie, że nie mówił pani de Mailly,

jakobyście wy prowadzili cały ten interes, ale że wprost on wam opowiedział rzecz całą i wyście mu towarzyszyli do mnie... Rozumiesz dobrze, iż z tego plotki urosnąć muszą; musicie zawsze stać przy tem, żeście nie wiedzieli o tem nic, aż gdy rzeczy już zaszły bardzo daleko; i dla mnie to jest przyzwoitszem. Nie chcę, aby się wydawało, żem szukała korzyści dla siebie lub dla swoich przyjaciół, tem bardziej, żeśmy o tem nie myśleli wcale. Pewno Meuse ci doniósł, jaką miałam trudność pozbycia się stąd pani de Mailly; nareszcie wyprosiłam to, że jej nakazano nie wracać. Myślisz, że to rzecz skończona? Wcale nie... Przejęty jest boleścią, nie pisze do mnie listu, w którymby o niej nie wspominał, w którymby nie prosił, abym jej kazała powrócić. Poprzysięga, że się do niej zbliżać nie będzie, byle ją mógł czasami widywać. Odbieram właśnie list taki w tej chwili; grozi mi, że jeżeli mu odmówię, wkrótce i jego, i jej się pozbędę. Ma to znaczyć zapewne, że oboje poumierają z boleści. Nie mam wcale ochoty mieć ją tutaj, myślę więc trzymać się mocno. Ponieważ się nie zobowiązywałam, z czego się mocno cieszę, niech między mną a nią wybiera. Przewiduję, wuju kochany, że wszystko to wiele mi zmartwień przyczyni. Dopóki kardynał żyje, nie będę nigdy mogła zrobić, co zechcę, on będzie zawsze pomiędzy nią a mną rozstrzygał. To mi wielką daje ochotę zyskać starego łajdaka, idąc go szukać w jego domu. Ten dowód zaufania potrafiłby go może pozyskać — warto się nad tem zastanowić.

„Pojmujesz łatwo, że wszyscy uwagę mają na nas zwróconą. Co się tyczy królowej, ta na mnie jak na psa patrzy, — i inaczej być nie mogło.

Wymienię ci damy, które będą przyjmowane w Choisy: panna de la Roche sur Yon, panie: de Luynes, de Chevreuse, d'Antin, de Flavacourt i — wasza najniższa sługa. On nie śmiał nawet przyjechać do Choisy; dopierom mu powiedziała, że tego sobie życzę. Nikt nie będzie spał w apartamencie pani de Mailly; ja zajmę ten, który nazywają waszym, to jest,

jeżeli Dubordage domyśli się mi go naznaczyć, bo król słowa nie piśnie. Między nami interes skończony, bo mi pisze w liście, dzisiejszego ranka otrzymanym, abym was wywiodła z błędu; nie chce, ażeby się więcej domyślano, aniżeli jest w istocie. Prawda, że, pisząc, sądził, że to będzie wieczorem — alem utrudniła cokolwiek wykonanie, czego nie żałuję".

Pani de Tournelles stawi warunki ciężkie, żąda zabezpieczenia, chce miejsca urzędowego przy dworze. Tymczasem wygnana Mailly znajduje schronienie w Noailles. Powoli wybiera się do Choisy Tournelles, o której każdym kroku królowa jest zawiadomiona, szydząc sobie z tych intryg, o których Włodek jej donosi, aby ze świadomością swojego położenia bronić się mogła. Spokojnie przypatruję się zabiegom króla, udającego obojętność, Richelieu'go, który nie spoczywa ani chwili, kardynała grającego rolę neutralną i dwu sióstr, walczących z sobą. Piosnki uliczne o „Damie pikowej" zabawiają dwór królowej Marji; Włodek umie je wszystkie napamięć. Pani de Tournelles inaczej się tu nie nazywa.

Ta wzgarda, która z damy pikowej może przelać się na króla, niepokoi ją... Nie tai się z tem, że starać się musi z króla uczynić bohatera i wlać mu rycerskiego ducha — do czego on zrazu nie okazuje ochoty. Ale nieznacznie król odsuwa się od kardynała, a szuka rozrywek w przyprawie foreli, w smażeniu potraw i płataniu figlów przyjaciołom.

Liczba tych zużytych towarzyszów zabaw Ludwika powiększa się nowymi. Do książąt d'Ayen, hr. de Noailles, hr. de Coigny, Meuse, Luxembourg, Villeroy przyłączają się zkolei de Gontaut, d'Aumont, Soubier, Boufflers, z mistrzem swoim Richelieu. Każdy z nich, wchodząc w poufałe towarzystwo znudzonego króla, łamie nad tem głowę, aby przynieść z sobą żywioł jakiś nowy, coś nadzwyczajnego, szaleństwo bezprzykładne, cynizm niedorównany.

Wśród pań widzimy księżnę de Charolais, panią

de la Roche sur Yon, księżnę de Chevreuse, panie d'Antin i Bellefond. I tu liczba gości wzrasta — a z nimi coraz się mnożą intrygi. Król wśród nich napozór obojętny, nie dający się ubawić, oprócz innych trosk ma i tę główną, że chciałby być oszczędnym i za rozrywkę nie płacić zbyt drogo. Ale pani de Tournelles zręczniejszą jest od niego i z nadzwyczajną znajomością serca ludzkiego rzuca, popycha, kieruje nim i innymi, nie dając tego poznać po sobie. W pomoc gotowa jest wezwać dwie pozostałe siostry, panią de Lauragunil, którą król żartem niby przezywał: „Rue des mauvaises paroles", i panią de Flavancourt.

Z poza tych komparsów nie widać prawie wszystkiem kierującego Richelieu'go, który zdobywa dla faworyty, jednym podchwyconym podpisem, tytuł księżny de Châteauroux, a dla siebie pierwszego „gentilhomme de la Chambre". Z tłumu tak zwanych „Marmousetów" Richelieu występuje na pierwszy plan... Triumf nowej księżny nie dozwala jej już wątpić o niczem; wierzy, że z Richelieu'm dokaże, co zechce.

Boleje ona nad upadkiem Ludwika, nad jego zniedołężnieniem i obojętnością na wszystko. Jedna wojna i udział w niej czynny podnieść mogą króla w oczach narodu, który go wyśmiewa, gardzi nim, a miłość swoją przenosi na królową i jej dzieci.

Nowa księżna przybiera sobie w pomoc pana de Belle-Isle i podżega gwałtownie do wojny. Wojna tylko zrehabilitować go może. Ale król zmęczony swawolą opiera się, gniewa, wyrywa, naostatek prosi o litość faworyty.

— Zabijasz mnie naleganiami temi — woła zrozpaczony.

— Tem lepiej, najjaśniejszy panie, — odpowiada księżna — trzeba, ażeby król umarł i zmartwychwstał bohaterem.

Ludwik nie ma od niej chwili spokoju; wyśmiewanego, wycieńczonego, zleniwiałego Châteauroux budzi, zapala, popycha przykładem Ludwika XIV.

W tem dziele tak trudnem, oprócz Richelieu'go, faworyta znajduje pomocników w panu de Noailles, de Maurepas, w starej, poważnej marszałkowej de Noailles.

W istocie, czas było myśleć o zmuszeniu króla do podźwignięcia się z upadku, który codzień go czynił niepopularniejszym... Ulice rozlegały się satyrycznemi piosenkami, epigramaty biegały zjadliwe: król oczu podnieść nie śmiał, kryć się musiał i uciekał.

Wszystkie środki wyczerpuje piękna i niezmordowana księżna. Z jej natchnienia jezuita Teinturier występuje ze śmiałem kazaniem o „życiu miękkiem".

Król zmuszony jest nareszcie ulec księżnie; wymogła na nim pół słowa... Na dworze mówią, że Ludwik jedzie stanąć na czele wojsk swoich. Maurepas korzysta z tego i wmawia w niego, aby, chcąc dobrą sławę odzyskać i zdobyć popularność straconą, przynajmniej na czas wyprawy rozłączył się z księżną de Châteauroux.

Ze słabym panem czynią, co chcą: księżna wymogła na nim wojnę, Maurepas obietnicę, że faworytę zostawi za sobą. On sam, dla złagodzenia tego wyroku, rozporządza, aby królowa Marja nie ważyła się także towarzyszyć mu do obozu i równie jak księżna pozostała w Paryżu.

Mimo nawyknienia do biernego posłuszeństwa, czując, że będzie popartą, nieśmiało dopomina się o prawa swoje. Jej także idzie o rehabilitację męża, którym naród pogardza; ona, jej towarzystwo ową rehabilitację przynieść mogą.

Na te usilne nalegania Ludwik, który oszczędza faworytę, odpowiada żonie bilecikiem krótkim i zimnym. Składa się przed nią wymówką, iż wydatki, jakieby podróż jej pociągnęła za sobą, nie dozwalają myśleć o wyjeździe zagranicę.

Naostatek w maju r. 1744 przygotowywana wyprawa przychodzi do skutku.

Nie omyliła się księżna, zmuszając do wojny króla: wiadomość o jego wyjeździe wprawia całą Fran-

cję w entuzjazm, sypią się gorące pochwały. Przyjaciele Ludwika opowiadają o zmianie, jaka zaszła w charakterze jego, jak odżył, ożywił się i czuje szczęśliwym... Po drodze zwiedza szpitale, zapoznaje się z wojskiem, kosztuje potraw dla chorych i dla żołnierzy przeznaczonych. Z dumą powtarzają odpowiedź jego, daną posłowi holenderskiemu, który się domagał objaśnień:

— Otrzymacie je we Flandrji!

Nikt nie powątpiewa o zwycięstwach. Nietylko królowa i księżna Châteauroux, lecz wogóle kobiety wyłączone są z obozu Ludwika XV. Cieszą się tem wszyscy.

„Nareszcie króla mieć będziemy!“ — powtarzają dokoła.

Wszystkie te nadzieje, cała ta radość rozbijają się o zuchwały krok księżny de Châteauroux. Czego nie śmiała królowa, dokonała ona... Samowolna, pewna siebie, dogania w Lille kochanka. Richelieu stoi za nią.

W tem wszystkiem *vox populi* każe królowej grać bardzo smutną rolę. Szepczą, że w opiekę bierze Flavancourt, aby z jej pomocą pozbyć się księżny. Richelieu stoi przy niej... Ażeby wyjazd za wojskiem możliwym uczynić, potrzeba kogoś popchnąć przodem, coby się nie lękał stać nieposłusznym królewskiej woli. Rozchodzi się wieść, że książę de Chartres spadł z konia: matka jego namawia żonę, aby śpieszyła za nim... Krewna króla toruje drogę metresie. W tem wszystkiem skryta ręka Richelieu'go jest czynną. Lękając się, aby mu wpływu nie odebrali książę d'Ayen i marszałek de Noailles, przynagla księżnę, aby wbrew woli królewskiej jechała za królem; sam w liście do Ludwika tłumaczył ją: że „ślepa, nieposłuszna, podróżująca miłość godna jest, aby jej przebaczono“.

Księżna de Châteauroux wyjeżdża. Ale nie dosyć jej na tem, że staje się nieposłuszną, chce triumfować

nad królową, urągać się jej słabej i biednej. Prosi o posłuchanie dnia 6 czerwca.

Z anielską cierpliwością przyjmuje ją Marja, odpowiada łagodnie, tak że przytomna pani de Lauvagnais, zawstydzona, zmieszana tą dobrocią, rzuca się ku drzwiom i chce z sobą uprowadzić siostrę.

Zuchwalstwo to księżny znajduje naśladowców. Wszystkie jadące do obozu panie usilnie domagają się posłuchania, chwalą się tem, że wyjeżdżają, dając jej uczuć, że ona jedna pozostać musi. Zkolei księżna Modeny, hrabina d'Egmont stawią się u królowej, — i one do Lille jadą.

Nakoniec i nieszczęśliwej pani przebrało się wytrwania, cierpliwości i pokory. Ostatniej z owych pań królowa odpowiedziała dumnie:

— Jedźcie wszystkie, jeśli chcecie, w tę głupią podróż waszą; to mi wszystko jedno...

Châteauroux wyrusza, ale wie, że na nią lud z kamieniami i błotem na ulicach czeka: musi się przedzierać nocą, zabierając z sobą panią de Lauvagnais i panie de Bellefond.

Wszystkie zabiegi Richelieu'go i jego pomocników nie zdolne są stłumić oburzenia powszechnego. Uwielbienie króla obraca się w szyderstwo...

Châteauroux, tak triumfująca na pokojach Marji, w ulicy uciekać musi przed wzburzonym motłochem, który ściga wzgardzoną i znienawidzoną metresę. Król tymczasem odnosi zwycięstwa ramieniem swoich wodzów. Ypres wzięty, a księżna jest tem dumną, oczekuje na Ludwika w Dunkierce, zalecając mu, aby zwiedzał miasta flamandzkie i upajał się wonią triumfu.

Król miał już jechać połączyć się z metresą, gdy przeciwko zdaniu rady opanowała go trwoga o Alzację: zażądał na odsiecz jej śpieszyć. Nalegania ze strony Châteauroux, aby jej pozwolono towarzyszyć królowi, nie ustawały. Stało się, jak żądała: na wszystkich stacjach pan oboźny, a raczej stanowniczowie czuwać musieli, aby kwatery króla i księżny były połączone.

Dnia 3-go sierpnia, po licznych toastach za zdrowie nowego sprzymierzeńca, króla pruskiego, Ludwik XV nagle zachorował. Była to tak zwana gorączka zgniła, niebezpieczna i groźna, którą życie nieporządne przygotowało... Od dnia następnego do 12 sierpnia puszczano mu krew ciągle, oczyszczano żołądek, ale żadne nie pomagały leki, tak że zamiast polepszenia lekarze nie taili, iż królowi zagrażało niebezpieczeństwo. Doktór miejscowy, Cassera, otwarcie oświadczył, iż za życie Ludwika nie ręczy.

Wyrok ten wywołał nagłą zmianę. Drzwi pokojów królewskich dla wszystkich zamknięto, nikt do nich dopuszczony nie był; księżna i Richelieu opanowali chorego. Odprawiano przybywających, mieniając się u łoża chorego na straży z panią de Lauvagnais i Meuse. Służba potraciła głowy, nie wiedząc, co począć. Księżna i jej pomocnik mieli nadzieję ocalenia chorego, rachując na jego młodość, na doskonałego doktora Chirasa, a chcąc mieć całą zasługę pieczołowitości około przerażonego pana.

Wkońcu jednak despotyczne to zawładnięcie Ludwikiem oburzyło wszystkich. Książęta krwi usunięci od króla, najdostojniejsi urzędnicy, pozbawieni możności pełnienia swoich obowiązków, tłumnie zaczęli gromadzić się w przedpokojach. Bouillon, Larochefoucault, Villeroy, biskup z Soissons, jezuita Perulleau, spowiednik królewski, połączyli się z książętami krwi przeciwko uzuchwalonej metresie. Tymczasem powiększyła się gorączka, nastąpiło majaczenie i bezprzytomność, — groźba śmierci dodała im odwagi.

Nieprzyjaciele księżny Châteauroux pod wodzą p. Fitz-Jamesa i biskupa Metzu poczęli się starać, aby do niego przypuszczono spowiednika. Księżna jednak nie ustąpiła z placu, strzegąc drzwi, nie dopuszczając ani książąt, ani duchownych, z wyjątkiem czasu odprawowania mszy świętej, po której służba natychmiast nagliła, aby wychodzono.

Dwa obozy do zaciętej walki stanęły u łoża króla. Richelieu, zachwiany nieco, wniósł o układy, co prze-

raziło księżnę. Straciła głowę, wołając o ratunek do Richelieu'go i kamerdynera Bacheliera. Nakoniec zapragnęła porozumieć się ze spowiednikiem.

Następująca scena rozegrała się w gabinecie, który graniczył z pokojem chorego.

Księżna, wprost przystąpiwszy do spowiednika, gorączkowo zadała mu pytanie:

— Gdy się król wyspowiada — każecie mi jechać precz?

Nadzwyczaj zręcznie usiłował się ksiądz wyśliznąć tem, że spowiedź zawczasu przewidzianą być nie może, bo król mógł nie wyznać winy. Odpowiedziawszy to, już się chciał z rąk napastników wyrwać jezuita, ale Richelieu i księżna pochwycili go, oblegli, zaczęli błagać, pieścić i prosić, aby im prawdę powiedział.

W tej chwili ośmieleni nieprzyjaciele ich wtargnęli do gabinetu. Książę de Chartres i Richelieu od ostrego słowa przyszli do żwawego sporu, do kłótni, a Clermont dostał się tymczasem do łóżka chorego, domagając się w imieniu książąt krwi, aby im przyjść dozwolił.

Nalegania pozostały bez skutku. Księżna z obawy, aby jej nie oddalono, zabiegała na wszystkich drogach, ale tym razem napróżno. Miara była przebrana... Król sam już czuł smutne położenie swoje i niebezpieczeństwo. Odpychając natrętne pieszczoty księżny, rzekł do niej ponuro:

— Potrzeba się nam będzie może rozstać!

— Bardzo dobrze — odparła dumnie obrażona faworyta.

Pomimo to, wieczorem jeszcze Richelieu oświadczył książętom, iż król nie chce żadnych nowych wydać rozkazów; znaczyć to miało, że widzieć ich sobie nie życzy. Księżna miała jeszcze tyle władzy nad chorym, iż wzięła górę: król pozostał w rękach jej i Richelieu'go.

Nazajutrz jednak La Peyronie, przerażony odpowiedzialnością, jaka spaść mogła na niego, poszedł do

księcia de Bouillon, oświadczając mu, iż król dłużej nad dni dwa nie przeżyje i spowiadać się powinien.

Książę de Bouillon wysłał do króla hrabiego de Clermont. Czując się umierającym, Ludwik znękany, bezsilny, przerażony, natychmiast kazał przywołać do łoża książąt krwi razem z przedniejszymi urzędnikami i przyjął ich przed mszą.

W chwili, gdy się to działo, wahał się jeszcze; postanowił usunąć księżnę i nie śmiał tego wyrzec... Osłabienie mówić mu nie dozwalało, walka z sobą skończyła się omdleniem.

Richelieu z panią de Lauvagnais gwałtem musieli wyprowadzić księżnę do gabinetu, przerażoną, nieprzytomną, w chwili, gdy drzwi otwarły się i dał się słyszeć głos od progu:

— Najjaśniejszy pan rozkazuje, ażebyście panie natychmiast stąd ustąpiły.

Był to głos zwycięski biskupa z Soissons.

Wstyd swój i boleść księżna pośpieszyła ukryć, rzucając się do powozu marszałka d'Uxelles i uchodząc z placu aż do Bar-le-Duc, gdzie ją wstrzymała jakaś na nowo odradzająca się nadzieja.

Z Bar-le-Duc dojechawszy do St.-Menehoud, zatrzymała się, czekając zmiany.

Spójrzmyż, co się przez ten czas działo z nieszczęśliwą męczennicą, królową Marją, przed którą naprożno zataić chciano część tych brudów i szkaradne małżonka postępowanie.

Mężna pani potrzebowała wiedzieć o wszystkiem, a wierny Włodek służył jej w tem z poświęceniem nieograniczonem. Każdy też ruch, słowo, postępek króla, postanowienia jego i cofanie się natychmiast z obozu dochodziły do królowej, Z oczyma zapłakanemi modliła się, oczekując miłosierdzia Bożego... Nabierała otuchy. Włodek też i dwór jej przeczuwali, że chwila ta miała być przesileniem i zwrotem ku lepszemu.

Dnia 9-go sierpnia, właśnie powracającej z nabożeństwa w kaplicy przyniesiono list hrabiego d'Ar-

genson, donoszący urzędownie, iż król jest chory i znajduje się w niebezpiecznym stanie.

Królowa Marja czuła, że miejsce jej było u łoża chorego; pozwolenia na to nie potrzebowała; ale w miejscu wahano się z przedsięwzięciem podróży.

Dnia 13-go przyszły nieco bardziej pocieszające wiadomości. Królowa wysłała do męża umyślnego, koniuszego swojego, prosząc o nowiny, domagając się litości.

Za tym pierwszym poczęła nieustannie wyprawiać innych, a że nikt się jej nie śmiał sprzeciwiać, Włodek zaś potajemnie zagrzewał do odwagi, — postanowiła udać się do obozu.

Arcybiskup z Rouen, który obawiał się skutków tej samowoli, błagał ją, ażeby wprzódy zapytała d'Argensona, czy mąż przybyć jej dozwoli. Zakaz był tak dobitny, iż cofnięcie go zdawało się koniecznem.

Królowa się jeszcze wahała, gdy dnia 14-go o godzinie 9-ej wieczorem posłaniec przybiegł z listem księcia de Bouillon do królowej.

Zaledwie się dowiedziano o tem, księżna de Luynes, delfin i inni przybiegli do niej niespokojni.

Zastali królową we łzach, rozdrażnioną do nieprzytomności, rozpaczającą, drżącą.

Bouillon pisał, że i sumienie, i obowiązki urzędu, i przywiązanie do królowej zmuszają go donieść, iż noc ostatnia złą bardzo była dla króla. Ranek po niej nadszedł niewiele lepszy. Król w czasie mszy rzucał się gwałtownie, domagał spowiednika, a wieczorem miał przyjąć wiatyk i ostatnie namaszczenie. Dowiedziano się z listu, który odebrał Włodek, iż księżna de Châteauroux wygnana i urzędowe jej obowiązki przy dworze odjęte.

O jedenastej wieczorem, po dniu spędzonym na modlitwach, kurjer d'Argensona nadbiegł wyrwać królową z niepewności. Zachęcano ją, aby jechała natychmiast aż do Luneville'u. Delfin z siostrami miał się udać do Châlons.

Marja chciała wyjeżdżać natychmiast; ale nim zdo-

łano przygotować co było nieodzownego do podróży niespodzianej — wiele upłynęło czasu. Etykieta, której się zaniedbać nie godziło, niezręczność dworu, nieumiejącego radzić sobie, nieustanne braki czegoś i przeszkody opóźniały wyjazd. Nie było dla królowej ani powozów, ani koni, ani ludzi! Karety, które miała, nie mogły iść pocztą; z dam pałacowych, znajdujących się na służbie, ani jedna nie była zdrową i nie mogła towarzyszyć swojej pani.

Trzy stare berlinki dobyto wreszcie z wozowni hrabiego de Tessé i w nich jako tako pomieszczono królową z damami. Ale przygotowania do tego trwały od jedenastej w nocy do siódmej rano.

Przez cały ciąg podróży królową wszędzie przyjmowano owacjami, uwielbieniem, czcią należną, oraz modlitwami publicznemi o uzdrowienie małżonka.

Gdziekolwiek się zatrzymywała, w Nanteuil u marszałkowej d'Estrées, w Soissons, w Braine u pani d'Egmont, w Châlons, w Vitry, lud oblegał ją, dając dowody współczucia i poszanowania.

Już w bliskości Bar-le-Duc kareta z herbami marszałka Belle-Isle, gubernatora Metzu, stała przed pocztą, zmieniając konie.

Lud, ściągnięty ciekawością, aby się o stanie króla dowiedzieć, otoczył herbowny powóz. Ale siedziały w nim dwie tylko panie. Jedna z nich z twarzy, na której widać było ślady łez, pomieszanie, trwogę, obwinięta płaszczykiem mało ukrywającym śliczną jej figurę i obfite włosy, natychmiast była poznana.

Była to księżna de Châteauroux, potajemnie usiłująca przekraść się do Paryża...

Ciżba ludu, której ktoś rzucił na pastwę jej nazwisko, wzburzyła się natychmiast. Garściami poczęto chwytać kamienie i błoto i rzucać je na powóz, który, okryty śmieciem i brudem, ledwie się mógł wyrwać tłumowi, ścigającemu go przekleństwy i naigrawaniem.

Gdyby właśnie w tej samej chwili nie dano znać o zbliżaniu się królowej, niema wątpliwości, że nie-

szczęśliwa metresa nie mogłaby bezkarnie w dalszą udać się drogę. Lud zastępował jej na gościńcu, warczał i groził; pocztyljoni gwałtem przedzierać się musieli przez tłumy.

W poniedziałek wieczorem królowa stanęła w Metzu, wysiadła wprost przed mieszkaniem męża i sama weszła do jego pokoju.

Nikt nie był świadkiem tego spotkania, lecz utrzymywano powszechnie, że Ludwik prosił o przebaczenie i z łatwością je otrzymał. Skrucha zdawała się być szczerą, a serce anielskie królowej dla wszystkich było pełne miłości. Dziękowała Bogu za niespodziane szczęście.

Nazajutrz król zażądał widzieć towarzyszki królowej, księżnę de Luynes i panią Villars; tłumaczył się im i uniewinniał przed niemi nawet z przykrości, jakich doznały z jego przyczyny. Zdawało się, że wszystko w nim było zmienione. Od pani Villars chciał się dowiedzieć, jak królowa była dla niego usposobioną.

Żal przezeń okazywany, wdzięczne bardzo przyjęcie żony, która nie odstępowała już jego łoża, kazały wierzyć otaczającym w rzeczywistą poprawę, nawrócenie i przykładną życia odmianę. Małżeństwo rozerwane miało się skojarzyć na nowo, panowanie metres i faworytów skończyło się na zawsze.

Nazajutrz całe towarzystwo, wszyscy przyjaciele królowej nie ukrywali już radości ze swojego zwycięstwa i głośno się niem chlubili. Zanadto może chlubiono się niem i wyszydzano przeszłość.

Służba króla, której znaczna część sympatyzowała z wygnanemi, potrosze sobie żartować zaczęła z pań podstarzałych, które przybyły z królową. Szydzono z tego, że księżna de Luynes i pani de Villars nadto się jaskrawo i młodo stroiły. Jako znaki zwycięstwa wskazywano zieloną wstążkę przypiętą na piersiach pani de Villars i różę we włosach królowej. Płocha służba, Bachelier, wierni przyjaciele księżny Châteauroux pobudzali do śmiechu, pozwalali sobie lekceważących żarcików, a wszystko to dochodziło króla.

Duma i próżność Ludwika uczuły się tem dotknięte. Zwolna usposobienie króla, zaledwie zdobyte religijnemi uczuciami, zmieniać się znów zaczęło. Obejście się z żoną i jej dworem przybrało ton kwaśny i obrażający... W miarę jak się czuł lepiej, król okazywał mniej czułości i skruchy. Ludwik, który pod wpływem żony wrócił był do zaniedbanych oddawna praktyk religijnych, modlitw, nabożeństwa, — znudzony, zaczął się od nich uwalniać i zaniedbywać.

Naostatek stanowcza oznaka ostygnięcia i obojętności dowiodła, że na Ludwika XV wcale rachować nie było można. Ze zdrowiem powracały wszystkie dawne nałogi. Zaledwie cokolwiek sił odzyskawszy, król naglił, aby się udać do Strassburga, a królowej, której obiecywano, że mu będzie towarzyszyła, oświadczył w sposób szorstki, iż zabrać jej z sobą nie może. Żądała, aby na czas swojej nieobecności dał jej wskazówki, jak sobie ma postąpić, gdzie się schronić i czekać na niego. Ludwik nic nie odpowiedział na to.

Rzecz była widoczna, że wcale jeszcze niezapomniana przeszłość odzyskiwała nad nim swoją władzę. Przypisywano to przytomności pani de Flavancourt, damy pałacowej Marji, razem z nią przybyłej i samym swoim widokiem odżywiającej wspomnienia wygnanki.

Jak król, niestety, wcale się nie zmienił, tak i Marja nie okazała się mężniejszą. Strwożona, nie umiejąca się narzucać, za pierwszą dostrzeżoną oznaką zobojętnienia cofnęła się i zamknęła w swojej pobożnej rezygnacji, do której była nawykłą, nie czyniąc nic, nie umiejąc nic przedsiębrać, coby zapobiegło nowemu zwrotowi do starego zwyczaju.

Zaledwie bolesnem wejrzeniem zmierzywszy małżonka, który wstyd swój pokrywał dumą, Marja pojechała ukryć boleść na łonie ojca w Luneville'u. Opuszczenie to stanowiska mówiło jasno, iż o utrzymaniu się na niem zwątpiła. Szczęście, które zdawało się jaśnieć przez chwilę, niepowrotnie okryły ciemności.

Król Stanisław, który nie o wszystkiem wiedział,

przyjął córkę jako triumfatorkę i starał się jej dowieść, że niema się czem trwożyć. Gdyby nawet mąż był dla niej niesprawiedliwym, miała dzieci, miała syna, który stał przy niej wiernie. Świat cały był po jej stronie.

Marja chętnie byłaby może zabawiła dłużej z ojcem, ale pozostawiła córki same, musiała pośpieszać do nich... Dwunastego października była już w Wersalu, gdzie gotowała się razem z mężem brać udział w uroczystych przyjęciach, które przygotowywano wracającemu, jako zwycięzca — Ludwikowi „le bien-aimé".

Wszyscy wszakże i sam król nawet nie mogli na to być ślepymi i głuchymi, że lud we wszelkich objawach czci i zapału ani na chwilę nie zapomniał o Marji. Przed powozami, pod oknami, w teatrach, na widowiskach z widocznym naciskiem powtarzano: „Niech żyje królowa!"

Ludwik miał jej to za złe... czuł się upokorzonym i powziął przeciwko niewinnej współzawodniczce niechęć — miał żal do niej. Spostrzeżono, że posmutniał, wrócił do Wersalu niemal upokorzony, przygnębiony i gniewny.

W kilka dni po powrocie do Wersalu zaczęto prorokować i zapewniać, że księżna Châteauroux wkrótce będzie przywołana. Richelieu pracował nad tem, ażeby z wielką okazałością odzyskała dawne prawa i pomściła się za doznane upokorzenia.

Dnia 14 listopada, zmęczony swoją poprawą, król wymknął się z Tuilleries na ulicę du Bac, wśród nocy, aby tam spotkać się z księżną. Od tego dnia nikt nie wątpił, że księżna powrócić musi.

Mało co później odebrała zaprosiny do Wersalu, ale trwożna jeszcze, pojechała tam w małej, niepokaźnej karetce (z rodzaju tych, które zwano *pot de Chambre),* niepewna, czy wróci, czy zatrzymana zostanie. Burzliwą była pierwsza rozmowa! Księżna pałała zemstą, chciała upokorzenia nieprzyjaciół: tymczasem król nakazywał o wszystkiem zapomnieć i pocichu, bez

rozgłosu, zająć dawne stanowisko. Księżna musiała być posłuszną, ale nie omieszkała postępowania swoich nieprzyjaciół, duchowieństwa wystawiać jako targnięcie się na królewską władzę. Wiedziała dobrze, iż nic więcej nad to nie mogło go podrażnić i oburzyć.

Ale było to ostatnie zwycięstwo pięknej pani... Księżna Châteauroux zachorowała i nadzieja ocalenia jej wkrótce znikła. Przez jedenaście dni rzucała się w gorączkowych męczarniach, nim na ręku rywalki-siostry, pani de Mailly, skonała dwudziestosiedmioletnia, w sam dzień Niepokalanego Poczęcia, jak sobie tego życzyła. Trumnę jej musiano wojskiem otoczyć, aby lud po zgonie nie znęcał się nad trupem. Śmierć przypisywano truciźnie, chociaż zmarła ze zgniłej gorączki i zapalenia mózgu, wywołanych namiętnemi wybuchami.

Pani de Mailly, która wdziała pokutną włosiennicę, żyła do r. 1731.

Temi tragicznemi wypadkami zamknęła się pierwsza epoka życia Ludwika XV i królowej, — pierwsze akta dramatu męczeństwa, który dopiero po zgonie księżny rozwinął się w całym blasku świetności, cynicznie odgrywany przez coraz brudniejszych, z ulicy niemal zaciąganych komparsów.

W tym ustępie, którego historję skreśliliśmy pobieżnie, jest jeszcze pewne umiarkowanie, wzgląd na przyzwoitość, staranie o elegancję formy. Po księżnie de Châteauroux występują tylko zupełnem wyuzdaniem odznaczające się metresy, w których wdzięk, młodość, urok zastępuje rozpasana swawola, język przekupek, bezwstyd szui ulicznej.

Śmierć księżny z początku przywodziła króla do rozpaczy, a widok tej boleści rozbrajał lud, który miał nad nim litość. Margrabia de Meuse wywiózł go z Paryża do Muetty.

Gdy królowa Marja i ojciec jej napróżno przez krótką chwilę oczekiwali, ażeby przesilenie bolesne rzuciło go na inną drogę, spodziewając się skruchy i żalu, Richelieu z pomocnikami biegał, szukając nie

wdzięku, woni, uroku, któryby króla oczarował, ale gotowości na rozpasanie i bezwstydu, który nie zna granic i miary.

W kapliczce królowej ona z dziećmi modliła się jeszcze o ocalenie męża, gdy z ust do ust podawano sobie imię, zapowiadające nową upokorzenia epokę.

VI.

W ciągu owych lat męczarni, oblany łzami matki, wyrósł cały świat nowy — rodzina królewska, do której zarówno serce Maruchny jak ojca przywiązane było. a którą etykieta tradycyjna, porady ludzi wpływowych, jak kardynał de Fleury, tudzież los jakiś rządził opaczny więcej niż rodzice. Król nie umiał i nie mógł się zajmować wychowaniem dzieci; królowej do rozrządzania niemi nawet nie dopuszczano. Zdane więc były na los ślepy i fantazję doradców, wszystkie, z wyjątkiem delfina.

Przyszły spadkobierca korony musiał naturalnie z największą troskliwością przysposabiać się do noszenia jej... Nie żałowano ani trudów, ani kosztów dla niego.

Wychowanie córek, które odpowiadać było powinno świetnej edukacji delfina, zdało się zaraz w początku tak kosztownem kardynałowi, iż poradził Ludwikowi XV dla oszczędności powierzyć je zakonnicom w Fontevrault.

Pomimo przywiązania do dzieci, Ludwik XV zgodził się na to, a królowa, obawiając się może wpływów płochego dworu, zgodziła się milcząco. Tymczasem okazało się później, gdy z tego klasztoru powróciły, że się tam ledwo nauczyły czytać. Jedna królewna Adelajda, padłszy ojcu do nóg, rozpłakana, wyprosiła się od zakonnic i pozostała przy matce.

Jakie było to wychowanie naprzód za klauzurą, potem w kole dworaków, wśród których królowa tak małe miała znaczenie, okazało się wtedy, gdy królew-

ny podorastały i czynny udział brać zaczęły w życiu rodziny. Każda z nich wyrobiła sobie nietylko odrębny charakter, ale inną fizjognomję, a niezawisłość tych córek Ludwika XV, któremi się on bawił niekiedy jak lalkami, mogła zdumieć i przerazić. Z jednej strony przejęte były pobożnością matki, z drugiej nabrały usposobień ojca i nauczyły się nawet jego języka, branego od przekupek.

Najstarszą później obwiniano o miłostki; najmłodsza w klasztorze skończyła świątobliwe życie; wszystkie razem w małych apartamentach ojca czasem, gdy innych zabrakło rozrywek, swawoliły z nim, rzucając sobie imionami wziętemi z ulicy... i używały swobody do zbytku.

Dwie najstarsze, Infantka i Henrjeta, były bliźniętami. Serdecznie do siebie przywiązane, wychowywały się razem, i zdawało się, że z konieczności podobnemi do siebie być były powinny. Tymczasem niema mniej sobie pokrewnych umysłów i temperamentów nad te dwie dusze bliźnięce. Infantka podnosi się niemal do politycznej roli i dąży do odegrania jej; Henrjeta miłością wielką, potajemną, nieszczęśliwą, ofiarną, czystą kończy żywot tchnący poezją i zaparciem siebie. W Infantce więcej czuć ojca; w Henrjecie pokorną a biedną matkę. Losy dwojga bliźniąt tak różne, jak charaktery!

W chwili, gdy król pozostał nagle osieroconym po Châteauroux, a troskliwe kółko jego przyjaciół gwałtem szukało nowej metresy, któraby ją zastąpić mogła, — losy najstarszej z córek już były rozstrzygnięte. Wydawano ją zamąż do Hiszpanji, a początki małżeństwa Infantki dosyć się burzliwie zwiastowały. Siostra jej, Henrjeta, czule przywiązana do brata delfina, pozostała przy matce i przy nim, z powracającemi z klasztoru siostrami młodszemi.

Delfin, na którym wielkie przyszłości spoczywały nadzieje, nauczony od dzieciństwa czcić matkę, podzielający jej usposobienia, uczucia, przekonania, — w istocie już się od najmłodszych lat zapowiadał jako

niepospolitemi obdarzony przymiotami. Staranne wychowanie wyrobiło w nim, razem z tem na co patrzał, charakter pełny energji i nie dający się ani złamać, ani ugiąć.

W dzieciństwie, gdy mu szumiący wiatr dokuczał, królewski syn żądał, aby posłano kazać mu się uciszyć... Kardynał Fleury, chcąc nie dość uległemu zależność od ojca uczynić dotykalną, dowodził, że wszystko, co go otacza, należy do króla. Dumną na to otrzymał odpowiedź, iż przynajmniej dusza jego i myśli do niego samego należą. Ludwik XV dziwił się i radował tej odpowiedzi syna; ale później obawiać się go zaczął, podejrzewając o natarczywą żądzę panowania.

W sprawach z duchowieństwem delfin stał po jego stronie; razem z matką popierał i bronił jezuitów, nienawidził Voltaire'a, encyklopedystów, opiekował się Fréronem. Około niego zbiegło się wszystko, co prądowi wieku opór stawiało. Śmiałe jego odpowiedzi powtarzano naówczas jako dające miarę charakteru. Dojrzałość w nim wiek wyprzedzała. Pobożny aż do fanatyzmu, czytał jednak wszystko, co ówczesna prasa w świat rzucała, i śmiało występował do walki z wolnomyślnymi.

Siostry Adelajda, Henrjeta i Ludwika miały w nim wodza, on w nich wiernych, posiłkujących współpracowników. W tym właśnie czasie przychodziło do skutku pierwsze małżeństwo delfina, po którem niezwłocznie miał się bohatersko w wyprawie pod Fontenoy odznaczyć.

Królowa Marja, delfin, córki składały na dworze grupę oddzielną, która jawnie wielce czynną być nie mogła, ale potajemnie krzątała się nieznużona, w obronie wiary, duchowieństwa i zagrożonego jezuitów zakonu. Delfin skupiał około siebie siostry, przyjaciół matki i własnych, którzy, służąc mu, nie lękali się popaść w niełaskę u ojca.

Ludwik z coraz widoczniejszą nieufnością stronił od syna i bardzo późno pozwolił mu począć się obe-

znawać z interesami państwa. Żył też delfin zamknięty, na uboczu, bezczynny, a najczęściej wcale go na dworze przez czas długi nie spotykano.

Do króla poufalej zbliżają się tylko córki, poprzezywane żartobliwie, gotowe pomagać mu do swawoli, byle coś wytargowały dla zagrożonego arcybiskupa, zamkniętego w Bastylji księdza lub wygnanego na wieś protegowanego prezydenta. Pomiędzy niemi śmiałością, posuniętą aż do zuchwalstwa, odznacza się Adelajda, która, gdy była jeszcze jedenastoletnią, już chciała walczyć, jak Joanna d'Arc.

Najulubieńszą z sióstr ojcu była może piękna, rozkwitająca, mająca jego upodobania Wiktorja, która więcej, niż inne pragnęła używać życia i uśmiechała się do niego, a dla dobrej kuchni i muzyki gotowa była wyrzec się polityki.

Lecz z całego rodzeństwa, w którego charakterach i temperamentach widać niemal walkę dwóch strumieni krwi, które w ich żyłach płynęły, — jest niezaprzeczenie kończąca świątobliwością ascetyczną, pełna życia, samowoli, energji — Ludwika... Jest to ta, która na świat przyszła, gdy się spodziewano syna, i której urodzenie ojciec powitał owem niechętnem: — „Córka?“ — Tak, n. panie. — „Ostatnia!“

W istocie najmłodszą była i musiała najbliższą po synu być serca matki, chociaż temperamentem żywym przypominała ojca... Ona, jak Wiktorja, życiu się w początkach uśmiechała — ale złudzenia wkrótce się rozprószyły. W czasie, o którym mowa teraz, obie z Zofją były jeszcze w Fontevrault, gdzie wpływ matki niczem tamowanym nie był... Wszczepił on też w nie wszystkie, a szczególniej w Ludwikę, pobożność gorącą, którą się ostatnie lata królowej odznaczały. Ona i Adelajda poświęciły się potem obronie interesów kościoła u ojca. Żadna jednak z córek Ludwika XV ani tak wielką, jak ona, nie odznaczyła się świątobliwością, która ją czyniła za żywota niemal błogosławioną, ani taką siłą woli w zwyciężaniu wszelkich skłonności, jakiemi ją temperament i krew uposażyły.

W Ludwice silniej jeszcze niż w jej rodzeństwie występowały spadki po ojcu i matce i one to były walk jej przyczyną. Tysiące sprzeczności ścierały się z sobą; miała męskie upodobanie w konnej jeździe, w podróżach pośpiesznych, w myślistwie dziwacznem i hałaśliwem. To cwałowanie na koniu raz o mało nie było przyczyną nieszczęścia: wierzchowiec spiął się i zrzucił ją prawie pod koła karety sióstr nadjeżdżających. Ocalenie swoje nazywała cudem, ale dodać należy, iż natychmiast kazała sobie podać krnąbrnego konia, dosiadła go, pokonała i powróciła do pałacu zwycięsko. Lubiła stroje i wybredną była w jedzeniu, wiele wymagając od kuchni. Pomimo to wszystko, złamana życiem, wstąpiła później do klasztoru, ofiarując się Bogu, jako ofiara ekspiacyjna za grzechy ojca. Zdumiewała też świątobliwością i surowością życia w jednym z najsurowszych zakonów — karmelitanek.

Oprócz rodziny własnej, królowa zupełnie już zapomniana i opuszczona przez męża miała bardzo szczupłe grono wiernych jej przyjaciół. Z mężem widywała się już tylko na pokojach, gdy występowała urzędownie. Przychodził ceremonjalnie powitać ją, przemawiał słów kilka zimnych i spełniwszy ten obowiązek, siadał do swojej gry, gdy ona też zmuszoną była obyczajem dworu zabawiać się nią i przegrywać często grosz pożyczony.

Dwór sam składał się ze szczupłej liczby osób. Chociaż nie należącego do niego, postawimy przecież na czele spowiednika jezuitę. Wychodząc zamąż, królowa wymówiła sobie, iż zatrzyma ojca tego duchownego, którego miała od dzieciństwa. Po ks. Łubińskim nastąpił Radomiński, naostatek Biegański i do zgonu Maruchna Leszczyńska nie chciała się inaczej spowiadać, niż po polsku. Czuła to, że przed Bogiem powinna była stanąć z tą mową na ustach, którą z sobą na świat przyniosła.

W ten tylko sposób mogła, niestety, objawić swoje przywiązanie do ojczyzny, bo występując publicznie,

ciągle była zmuszoną powtarzać, że jest dobrą córką Francji. Listy i poezje ojca, piosenki polskie, o których wspominają, że obok innych znaleźć było można w pokoju królowej, parę książek może, modlitwy i spowiedź pozostały jedynemi węzłami, które ją z Polską ukochaną łączyły. Temu przywiązaniu wierna, taić się z niem musiała; własne dzieci byłyby jej nie zrozumiały, bo im spadku tej miłości pozostawić po sobie nie mogła. Nie byłoż to jedną z najboleśniejszych ofiar, jakie w cichości, z rezygnacją spełniała?

Spowiednik Polak, który nie był na etacie domu królowej, nie brał żadnej pensji, nie miał nic, żył z tego, co ona dla niego wyżebrać mogła. Ślad tej troski o spowiednika znajdujemy w listach.

W chwili, gdy metresy królewskie marnowały miljony na fantazje swoje, biedna królowa musiała się ograniczać pensją stu tysięcy franków, z których wszystkich opłacać i dobroczynności swojej zadosyćuczynić musiała. Robiła też długi, a sama dla siebie nic nie kupowała, nic nie potrzebowała nigdy. Nie miała, można powiedzieć, fantazyj żadnych, którymby dogadzać potrzebowała. Jedyną zabawką, oprócz muzyki, było malowanie, które czasem żywo ją zaprzątało. Tak raz postanowiła, z pomocą swojego nadwornego malarza, przekopjować obraz Oudrego, który później staraniem przyjaciela i intendenta swojego wytwornie i kosztownie oprawny ofiarowała królowi. Pozostał on do dziś dnia w galerji Luwru, ale d'Argenson w pamiętnikach swoich odbiera nam wiarę, ażeby królowa sama wykonać go miała, mówiąc o czynnym współudziale pomocnika. Tak potem znowu bawiło ją malowanie Chińczyków w pokoju, który był chińszczyznami przyozdobiony. Chińczykami tymi zajmowała się bardzo gorąco, mówiła o nich w listach, pracowała nad nimi rozmarzona.

Lecz wszystkie te świeckie rozrywki nikły obok najulubieńszych męczennicy długich rozmyślań w owej kapliczce, którą sobie skromnie urządziła. Ozdobą jej dziwaczną nieco była owa *mignonne,* trupia

głowa kobieca, którą królowa przystrajała we wstążki i świecidełka, jakby dla urągania się niewieściej zalotności... Wedle podań miała to być czaszka Ninony de l'Enclos. Inna trupia główka, zdobyta w Szwecji, należąca do świętej, rozróżnianą być od niej powinna.

Mówiliśmy już, jak czas upływał zazwyczaj.

Z przyjaciół płci obojej dwie szczególniej osoby wyróżnić potrzeba, bo w sercu królowej zajmowały miejsca najpierwsze po rodzinie. Były niemi naprzód księżna de Luynes, potem prezydent Hénault. Pierwsza miała tytuł i obowiązki damy honorowej przy królowej, drugi był jej intendentem i zawiadywał dochodami. Do obojga przywiązała się nieszczęśliwa z owem spragnieniem osieroconego serca, które za trochę życzliwości płaciło najzupełniejszem oddaniem się... Z portretów, jakie kreślą współcześni księżny de Luynes, widać, że wszyscy jej wielkim przymiotom oddawali sprawiedliwość; nie miała prawie nieprzyjaciół. W tym wieku galanterji, gdy o żadnej z kobiet prawie powiedzieć nie było można, iż pozostała bez skazy, w księżnie de Luynes znaleźć nikt nie umiał pozoru nawet do potwarzy. Owdowiała wcześnie, prowadziła życie na bardzo wielkim świecie, ale zupełnie się różniąc od niego.

Królowa, przywiązawszy się raz do niej, gdy ją zbliska poznała, do zgonu pozostała jej wierną. Po całych dniach prawie nie rozstawały się z sobą. Każdy wieczór kończył się na pokojach księżny de Luynes.

Prezydent Hénault, znany ze swojego treściwego obrazu historji Francji, wsławiony uczonością i charakterem, dzielił z księżną de Luynes przywiązanie królowej. Z listów, jakie pisywała do niego, widać największe zaufanie, poszanowanie i nawet jakąś słabość dla uczonego męża, który nie był bez przywar. Sybarytyzm wieku odbijał się w jego zamiłowaniu kuchni, ucztowaniu chętnem i stosunkach nawet ze światem, który go otaczał. Dla królowej prezydent był z troskliwością najczulszą o jej byt, o interesa, a całe

to gospodarstwo dni powszednich, którem ona się zajmować nie umiała.

Urzędowa portrecistka wszystkich ówczesnych znakomitości, pani de Destand, w bardzo bliskich z nim będąca stosunkach, nie mogła go pominąć w swojej galerji. Oto niektóre rysy:

„Wszystkie przymioty prezydenta Hénault, a nawet wszystkie jego słabości wychodzą na korzyść towarzystwa: próżność daje mu niezmierną chęć podobania się; łatwość pozyskuje mu wszystkie charaktery, a jego miękkość zdaje się cnotom nie odejmować, tylko to, co w drugich czyni je ostremi i dzikiemi.

„Wszystko się składa na to, aby go uczynić najmilszym w świecie człowiekiem; podoba się jednym przymiotami, wielu innym wadami swemi. We wszystkiem, co czyni, gwałtowny, równie w sporach, jak w pochwałach. Zdaje się żywo odczuwać przedmioty, na które patrzy i o których rozprawia, ale przechodzi tak nagle z największej popędliwości do najzupełniejszej obojętności, iż nietrudno jest poznać, że choć dusza jego porusza się łatwo, rzadko ją co głębiej wstrząsa. Gwałtowność ta, któraby w innym była przywarą, w nim jest prawie przymiotem".

Człowiek ten tak miły, ukazując się na dworze królowej, opuszczonej od wszystkich, z sympatją dla niej i poszanowaniem, musiał jej przyjaźń pozyskać. Nawykła do poważnych rozmów z ojcem, w prezydencie znalazła jego zastępcę i wzięła go za doradcę do czytania, wyboru książek, polegając na sądzie jego. Mianowanie go nadintendentem domu królowej zbliżyło prezydenta do niej, i odtąd stosunki, korespondencja, przyjaźń wzmogły się — nie ustając już aż do śmierci. Osładzał on, o ile mógł, ciężki byt królowej, która mu była posłuszną.

Mało komu wiadomo, że słynny Helvetius, którego książka „de l'Esprit" tak wielkie naówczas wywarła wrażenie, był synem doktora nadwornego Marji Leszczyńskiej.

Królowa wymogła to na nim, iż się wyrzekł wszyst-

kiego, co w jego dziele z nauką kościoła było niezgodne. Helvetius był posłuszny, ale książka w świat poszła, jak ją napisał. W sprawie tej prezydent Hénault był też czynnym. Królowa pisywała do niego bardzo często i z prawdziwie macierzyńską troskliwością czuwała nad zdrowiem jego, które słynny sybaryta i smakosz niesłychanie nadużyciami kuchni doskonałej narażał. Nie przeszkodziło mu to żyć lat osiemdziesiąt i sześć.

Z męskiego towarzystwa prezydent Hénault jeden może, po spowiedniku ks. Biegańskim i po Włodku, ma poufały przystęp do królowej. Ani d'Argenson, ani księżna de Luynes, ani kardynał tego imienia, ani żaden z biskupów, którzy na dworze rzadko się pokazywali, nie mieli u królowej tyle względów, ani wpływu takiego na nią jak prezydent Hénault.

Dosyć naówczas wzięty Moncrif, który był lektorem Leszczyńskiej, znika gdzieś w cieniu... Z lekarzy jej ani Helvetius stary, ani Lassone nie są widoczni na dworze... Wogóle małe kółko królowej nie powiększa się, nie zmienia, ale też nie traci swoich członków, chyba, gdy śmierć stąd oderwie.

Jakiem okiem król i jego dworacy patrzyli na to smutne, niemal klasztorne życie Marji, łatwo odgadnąć. Delfin nawzajem nie taił się z pogardą, jaką miał dla przyjaciół ojca. Nie możnaby prawie jednej znaleźć postaci ówczesnej, którąby zarówno swobodnie poruszała się w tych dwóch światach, jakie tron otaczały. Jednemu tylko Voltaire'owi wolno było, szydząc z obydwu pocichu, obu kadzić przy zdarzonej okoliczności.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

POWIEŚCI HISTORYCZNE – Tom LXXIV

J. I. KRASZEWSKI

MĘCZENNICA NA TRONIE

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

CZĘŚĆ III

1 9 3 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

DRUKARNIA ZAKŁADÓW WYDAWNICZYCH
M. ARCT, SP. AKC. W WARSZAWIE
CZERNIAKOWSKA 225
1 9 3 0

I.

Przeciąg czasu, który spokojne życie na komandorji wissenburskiej przedziela od smutnych dni, jakie teraz spędzała królowa w Paryżu i Wersalu, otoczona szczupłym swoim dworem, wynosi lat dwadzieścia, a zmienił do niepoznania położenie Marji i jej ojca, dziś panującego księcia Lotaryngji i Baru. Zyskali oboje na wywyższeniu, na blasku, nieco na dobrym bycie i pozornych dostatkach; ale stracili na niezależności, spokoju, a królowa pożegnała wszelkie szczęścia nadzieje. Zmieniło się ich otoczenie, dwór, stosunki. Włodek tylko, który się gwałtem cisnął na służbę Leszczyńskich, chociaż nie dobił się i nie dobijał do żadnego w niej dostojeństwa, pozostał swojemu panu wiernym.

Stało się z panem Włodkiem, czego nikt, ani on sam spodziewać się nie mógł: dla Leszczyńskich wyrzekł się zupełnie kraju i wcielił się niemal w ich rodzinę. Król, przyzwyczaiwszy się nim posługiwać, umiał go cenić; Marja, pierwsza jego opiekunka, uważała go za najwierniejszego, najzaufańszego ze sług swoich i zwierzała mu się ze wszystkiego; kochali go wszyscy. Włodek, dopiąwszy celu, którym była służba przy starym królu, bo jemu służył też ojciec jego i młody brał po nim spadek, — o sobie najmniej myślał, nikomu ambicją na drodze nie stawał, a niezależnym będąc majątkowo, choć niewiele miał, niewiele też potrzebował. Usprawiedliwiało go to, że miał zaufanie rodziny, wtajemniczony był w sprawy naj-

żywiej ją obchodzące, słowem, że zajmował miejsce, na którem niegdyś ojciec jego trzymał się do końca.

Czem był teraz Włodek przy królu, nie dawało się określić. Służył jemu i córce, nie ograniczając się żadnym wydziałem i funkcją umyślną. Pisał, jeździł, zbierał wiadomości, grał rolę pośrednika, przenosił się do Luneville'u dla królowej, do Wersalu dla króla, zabierał znajomości, jednał ludzi, a wszelkie jego czynności jeden cel miały — wierną, poczciwą służbę.

Po kilkakroć wdzięczny Leszczyński chciał mu przy swoim dworze dać jakąś posadę i tytuł: Włodek ich nie przyjął, bo niczem krępowanym być nie chciał... Król wypłacał mu pensję, którą on z własnym dochodem na służbę obracał. To poświęcenie tak z obu stron potem wydawało się naturalnem, że król już o wywdzięczeniu się nie myślał, a Włodek nie marzył nawet, aby potrzebował być wynagradzanym. Czyż nie dość było tego, iż król zwał go przyjacielem?

Serce tu wszystkiem było, ale też dwudziestokilkoletnie postępowanie Włodka, częstokroć w najtrudniejszych okolicznościach, nigdy nie zawiodło. Nic mu zarzucić nie było można, chyba zbyt czasem śmiałe ważenie się na niebezpieczeństwa, gdy okoliczności tego wymagały.

Ta potrzeba czuwania nad królową wpłynęła najwięcej na wyrobienie człowieka, na zawiązanie przezeń stosunków najrozmaitszych dla wyszukania przyjaciół, słowem, na sprawy Włodka, który, pozostawszy Polakiem w duchu, tęskniąc do ojczyzny, musiał powierzchownie całkiem się przerobić na Francuza.

Udało mu się to tak szczęśliwie, iż samych Francuzów zwodził swoją powierzchownością, mową, tonem, a znajomością ludzi i stosunków większość ich nieskończenie przewyższał. Właśnie, że w tem wszystkiem więcej rozum u niego był czynny, niż serce, że był zimnym na wszystko, co losu królowej nie dotykało, dawało mu siłę i panowanie nad sobą.

Na młodym dworze króla Ludwika, u kardynała

de Fleury, w rozmaitych sferach, nie wyjmując arystokracji, która królowi do swawoli pomagała, Richelieu'go, młodzieży małych apartamentów, Włodek znał wszystkich i poufale był prawie ze wszystkimi — przyjaciółmi, przyjaciółkami, sługami ich, pomocnikami, — tak że gdzie sam nie mógł sięgnąć, tam zawsze miał kogoś, co go skutecznie wyręczył.

W rodzinie de Nesles umiał sobie zjednać różnych powinowatych, przy księżnie de Châteauroux jej przyjaciółki, a że średnia klasa, finansiści, fermerowie, spekulanci na grosz w owym czasie wielkich wydatków, a trudnych dochodów rośli w znaczenie, Włodek też, między innymi, i między nimi sposobił sobie przyjaciół, miał Parisów i kilku innych protektorów. Niektórzy z nich domyślali się, że był agentem Leszczyńskiego, inni mieli go za potajemnie goniącego za groszem. Łatwość zastosowania się do ludzi, rozumienia ich, przymioty towarzyskie czyniły go miłym gościem i otwierały drzwi bogatych mieszczan i urzędników. Nie zbywało mu też na przyjaciołach wojskowych, a stosunki pobożnej królowej zmuszały ciągle prawie mieć do czynienia z duchownymi, których szczerą, gorącą swoją religijnością polską ujmował.

Przy tych wszystkich zdolnościach Włodek był skromny i chluby z przymiotów swoich nie szukał wcale; wolał był nawet, o ile można, za nieudolnego uchodzić.

Po śmierci księżny de Châteauroux, gdy król naprzód wpadł w najstraszliwszą rozpacz, która jego przyjaciół przeraziła, a potem zwolna dał się skłonić do szukania roztargnienia na łowach i wieczorach, na które ściągano mu ludzi umiejących go zabawiać, — Włodek, jak inni, śledził z niezmiernem zajęciem każdy krok Ludwika, chcąc odgadnąć, co się w nim gotowało na przyszłość. Jedni utrzymywali, że panowanie metres już skończone, że król czynnie się zajmie rządami, zbliży do żony, pokocha dorastające dzieci, nawyknie do życia na łonie rodziny. Drudzy, a z nimi Richelieu, usiłowali nie dopuścić do tego,

chcieli na nowo narzucić mu wybraną przez siebie kobietę, któraby nim owładnąć mogła, jak księżna.

Liczniejsza część otoczenia królewskiego wcale sobie nie życzyła powrotu do życia pierwszych lat i surowych obyczajów. Na panowaniu metres zyskiwali wszyscy, mieli więc w tem własny interes, aby się królowi nie dać wytrzeźwić z szału. Ci, którzy bliżej znali naturę i nawyknienia Ludwika, pewni byli, że się znowu da wziąć w niewolę białych rączek; szło tylko o wybór osoby, o zręczne mu jej podstawienie.

Można sobie łatwo wystawić, jak mocno to wszystko obchodziło królową i małe jej kółko przyjaciół, któremu przewodniczyła księżna de Luynes i prezydent Hénault. Powstrzymać króla, skłonić go do zmiany życia, po tylu zawiedzionych nadziejach, królowa Marja nie spodziewała się już prawie; zrezygnowana patrzyła na to, że prędzej czy później zmarłą księżnę de Châteauroux inna musi zastąpić. Szło tylko o to, aby owa inna nie była zbyt zuchwałą, niebezpieczną, przykrą a dokuczliwą dla królowej.

Wyrzucano to Marji, iż naówczas nie starała się męża opanować, siłą woli i charakteru przy sobie utrzymać, zabawić go poważniej, zająć sprawami kraju. Wymawiano jej, że pobłażająco patrzyła wprzódy na panowanie metres, potem na płoche miłostki; ale czyż mogła ta odepchnięta przez męża, zapomniana, w samym początku poddana despotyzmowi Fleury'ego pani mieć odwagę i środki do podobnego czynu?

Na dworze królowej, w obozie króla mowy teraz nie było o niczem innem, tylko o przyszłej metresie królewskiej. Upatrywano ją we wszystkich zalotnicach, uszczęśliwianych chwilowemi faworami; lada dzień spodziewano się jej zjawienia. Król sam tyle był słabym, obojętnym, zastygłym, znużonym, że ani chciał zadać sobie nawet pracy poszukiwania zabawki. Potrzeba mu ją było znaleźć, narzucić.

W Luneville'u do starego króla przychodziły prawie codziennie wieści o tem, co się działo w Wersalu i Paryżu; pisywała córka do ojca, przyjeżdżali ludzie

różni, co się o dwór ocierali, ale wiadomości, które tu przynoszono, były tak sprzeczne, tak nawzajem sobie kłam zadające, iż Leszczyński nic z nich nauczyć się nie mógł.

Z listów córki, która w nich unikała szczegółów, trzymając się ogólnego malowania położenia i uczuć— stary król mało się mógł dowiedzieć. Skończyło się więc na tem, iż w jednym z ostatnich biletów do Marji król zrobił dopisek:

„Ja w moim szlafroku z futerkiem i fajką do eleganckiego nie zdałem się Wersalu, tobie od twoich karmelitek i szpitalów odjechać trudno, papier bywa zdrajcą i nie wszystko powierzyć mu można. Poradź na to, czarownico ty moja, abym ja przecież co pewniejszego wiedział o was i na żywienie się niestrawnemi plotkami nie był skazany".

Po odebraniu tego listu zakłopotała się mocno królowa i musiała posłać kogoś dać znać Włodkowi, aby się do niej stawił na radę.

Włodek nie był dworowi królowej znany jako jej sługa, ale raczej jako jeden z pośredników w dobrych uczynkach, w sprawdzaniu ubóstwa, w rozdawnictwie jałmużny. Nie posądzano go o nic więcej. Zjawiał się też na posłuchania w tych godzinach, gdy królowa pieniądze, odzież i wszelką pomoc dzieliła między ciągle oblegających ją biedaków. Powierzchowność jego nie dawała odgadnąć ani stanu, ani powołania. Nosić się musiał po francusku, stroił się dosyć elegancko, ale niebijąco w oczy. Powierzchowność miał człowieka lepszego towarzystwa i pochodzenia.

Zazwyczaj pozostawał on do ostatka, aby królowa sam na sam mogła się z nim rozmówić. Tym razem, zamiast tłumaczyć Włodkowi czego żądała, królowa nieśmiało pokazała mu list ojca i dopisek, znacząco patrząc na niego.

Włodkowi niewiele potrzeba było, aby zrozumiał. Skłonił się, nie mówiąc nic, ale okazując gotowość do usług, jak zawsze.

Królowa westchnęła smutnie.

— Ojciec niepokoi się o mnie; — odezwała się — jedź do niego, powiedz mu o położeniu, które znasz najlepiej. Zdałam los mój na Opatrzność Bożą.

Włodek milczał chwilę.

— Będę się starał najj. pana uspokoić, — rzekł — bo, dzięki Bogu, złego, to jest gorszego niema nic... Król zdaje się być znużony intrygami. Są, którzy, znając go dobrze, utrzymują, że się wyrzecze mianowania następczyni po nieboszczce *Dame en roux*.

Uśmiech ironiczny przebiegł po ustach biednej królowej; wiedziała ona, co to znaczyć miało. Stałą metresę zastępowały kilkodniowe, z których każda się spodziewała dostać pokoje w Wersalu, a żadna z nich długo nie mieszkała. Popatrzyła na Włodka.

— Daj Boże — szepnęła. — Król wśród tych wszystkich swawoli, do których go niegodziwi przyjaciele wciągają, zachował pobożność; wiem, że nie zaniedbuje religijnych obowiązków. Bóg wkońcu zlituje się nad nim i nade mną.

Wtem przerwała nagle.

— Powiedz kochanemu ojcu mojemu, abyś go pocieszył, że z drogiego syna mego delfina jestem prawdziwie dumną i szczęśliwą. Nie zawiódł moich nadziei. Podziwiają go wszyscy. Jak był dziecięciem cudownem, tak dziś jest chłopakiem nad wiek poważnym i rozumnym. Córki także są sercu mojemu najmilsze. Adelajda ciągle przy mnie... Cieszę się niemi... Nieraz mi u króla pośredniczyły. Nie zasmucaj niczem starego ojca mojego.

Skłonił się powtórnie posłuszny Włodek. Królowa Marja poszła do gabinetu swojego i gotowy już list do Leszczyńskiego przynosząc, uśmiechnęła się raz jeszcze poczciwemu wiernemu słudze, dała mu białą, wychudłą rękę do pocałowania i natychmiast wyzwana odejść musiała.

Tegoż dnia, nie tracąc czasu, p. Gabrjel pocztą pośpieszył do Luneville'u.

Przebiegał teraz tylekroć tę drogę, że mu każdy nawet jej kamień był znany. Po małych miasteczkach

miał swoich gospodarzy, u których zwykł był stawać dla krótkiego spoczynku. Jeden z popasów przed Luneville'm przypadł Włodkowi w Commercy, miasteczku, w którem dla krzyżujących się gościńców ogromna gospoda zawsze dniem i nocą była otwarta. Gospodarz jej, pan Flandrin, szeroko znany w świecie podróżującym, słynął z doskonale zaopatrzonej piwnicy i śpiżarni.

Nigdzie podróżni pewniejsi być nie mogli, że o każdej godzinie dnia i nocy znajdą wszelkie wygody, za które Flandrin sowicie sobie płacić kazał. Gospoda Pod herbem Lotaryngji, dla przypochlebienia się Leszczyńskiemu, zawsze była pełną i gwarną, a teraz zajeżdżający Włodek znalazł ją jak nabitą w części wracającymi z jakiegoś jarmarku, z dodatkiem wędrowców, których słota i wicher napędziły.

Flandrin, który miał słabostkę do uprzejmego i wesołego Polaka, a był wielbicielem cnót i rozumu starego króla Leszczyńskiego, zobaczył go zsiadającego z konia prawie na ten raz ze smutkiem.

— Mój Boże! gdzież ja was posadzę! — zawołał, witając go. — W wielkiej izbie u stołu niema wygodnego miejsca, a wam nie przystało na przyczepku się lokować. Węgorzby się tam nie wcisnął, chyba na półmisku. Potrzebujecie przecież podjeść i wypocząć, czego w ścisku, wśród wrzawy, nie potraficie dokazać. Szczęściem mam jeszcze czem wasz głód i pragnienie zaspokoić, ale gdzie ja was posadzę?

— Flandrinie kochany, byleby nie na dachu, bobym nie wdrapał się; — rozśmiał się Włodek, z konia zeskakując — nogi mam zmęczone. Zresztą wszędzie mi będzie dobrze.

Mówili to, stojąc w progu, a otyły, jak na oberżystę przystało, Flandrin trzymał jeszcze podaną rękę gościa, gdy poza nim zjawił się nieco dziwacznie ubrany mężczyzna, z piórkiem w ręku, którem zęby oczyszczał, pilno się przypatrując Włodkowi. Włodek też w nim zdawał się sobie jakąś dawną przypominać znajomość. Tymczasem przez Flandrina ujęty, zabie-

rał się już próg gospody przestąpić, gdy wpatrujący się w niego nieznajomy podniósł rękę i zaparł mu nią drogę. Uśmiech na rumianych ustach dowodził, że czynił to bez złego zamiaru.

— Przepraszam — odezwał się do niego, nieco ochrypłym głosem człowieka, który najadł się i napił do przesytu. — Słyszę gospodarza utyskującego, że nie ma gdzie was posadzić wygodnie. My, jeżeli się nie mylę, jesteśmy dawni znajomi (schylił się, szepcząc mu kilka słów na ucho) — podzielę więc z waćpanem tę dziurę, którą miałem szczęście zająć zawczasu u Flandrina.

Gospodarz, który nie wiedział, że podróżni znajomi sobie być mogli, zatarł ręce wielce uszczęśliwiony tem, że mu się Polaka, gościa częstego, nieźle umieścić udało.

— Korzystajmy z uprzejmej ofiary kapitana de Lozilières, — przerwał żywo — idźcie panowie, ja o pieczeni myśleć muszę, abym się jej nie wstydził.

Teraz dopiero, głos posłyszawszy, Włodek dawno już niewidywanego Lozilières'a sobie przypomniał i poznał w otyłym, rumianym, do zbytku ociężałym kapitanie lekkiego przed laty agenta pani markizy de Prie.

Między poufałymi niegdyś z sobą, których przed kilku laty cale różne rozdzielały zajęcia, żywa się teraz wszczęła rozmowa. Lozilières opowiedział o swoich losach, chlubiąc się potrosze szczęśliwie przebieżoną drogą; Włodek słuchał go z zajęciem. Dziwnem to poniekąd było, iż w ciągu lat tylu wcale się nie spotykali z sobą; bo Lozilières teraz miał posadę w łowieckim dworze króla Ludwika i ciągle prawie przy nim się znajdował.

— Jestem w swoim żywiole; — mówił Włodkowi — szczęśliwszego położenia nigdym ani pragnął, anim się spodziewał. We wszystkich polowaniach króla j. mci biorę udział bardzo czynny; król mi się dosyć mile uśmiecha: w kółku przyjaciół n. pana mam dobrych przyjaciół i protektorów; oddycham

tem powietrzem dworskiem, którego piersi moje tak bardzo potrzebują; żadna plotka nie przeleci w powietrzu, żeby się o moje nie obiła uszy.

Włodek winszował. Gdy nawzajem kolej przyszła na niego opowiadać o swoich losach, Polak nie miał się z czem chwalić.

— Znajdujesz mnie, panie kapitanie, — rzekł — *gros Jean comme devant,* na starem stanowisku, na któremś mnie porzucił. Nie dorobiłem się niczego, a wielu złudzeń pozbyłem po drodze.

— I wielu osobliwym rzeczom i wypadkom miałeś zręczność przypatrzyć się zbliska — dorzucił kapitan, prowadząc gościa do pokoju, który zajmował, ofiarując się nawet ogromnem łożem podzielić.

Włodek przyjął chętnie gościnność tymczasową, uspokajając Lozilières'a, iż długo korzystać z niej nie będzie, gdyż do Luneville'u pośpieszać musi z listem królowej.

Przypomniał sobie zaraz kapitan, że i on cokolwiek się przyczynił do wyniesienia Marji na tron.

— Za to, prawdę rzekłszy, — przerwał mu Włodek — nie możesz się domagać wdzięczności ani od niej, ani od nas... Ambicji ani ojciec, ani królowa nie mieli nigdy, a szczęścia to małżeństwo nie przyniosło nikomu.

— Jakiegoż bo u licha sielankowego szczęścia Dafnisa i Chloi chcieliście dla pani waszej? — rozśmiał się Francuz. — Od króla Ludwika wymagać nie można, aby jedną się miłością wciąż karmił. Przeje się najlepsza potrawa. Płochość trzeba darować panu, który Francję uszczęśliwia. Królowa za to ma zupełną swobodę modlenia się, a nawet protegowania arcybiskupa paryskiego, gdy król go karci; ma wolność komenderowania swojemi pułkami ubogich, urządzania szpitalów i odprawiania nabożeństw; funduje klasztory i kościoły.

Włodek słuchał milczący.

— Zapomnijmy o tej przeszłości, — odezwał się po namyśle — o tem, co królowa przez metresy i Ne-

słów ucierpiała, szczególniej z powodu zuchwałej Châteauroux. Król spoważniał, dojrzał, nauczył się wiele, i spodziewamy się, że do spokojnego życia na łono rodziny, u boku małżonki powróci. Dosyć mu już dokuczyły wszystkie de Nesles, ile ich miał...

Lozilières, dłubiąc w zębach, wsparłszy się na stole, słuchał, uśmiechając się ironicznie.

— Wnosicie, że się król ustatkuje? — zapytał szydersko. — Doprawdy? Zapomnieliście więc o przysłowiu: *Qui a bu, boira!* Król podobno dlatego tylko metresy nie ma, że ich nadto się nastręcza, a my (położył nacisk na wyrazie) nie możemy się zgodzić na to, jaką mu damy.

— Któż to my? — podchwycił, śmiechem wtórując, Włodek — my?

— My? — odparł kapitan. — My, to znaczy ci, których ani widać, ani słychać, a którzy więcej zawsze znaczą i mogą, niż ci, którzy są widoczni i dużo hałasu czynią. My, to może Bachelier, Binet, Bridge, a choćby nawet i ja... Bez nas król nie wybierze sobie metresy, a my musimy o tem pamiętać, aby królowi z nią było dobrze i nam też nieźle.

Włodek stał wielce zdziwiony.

— Ale, kapitanie mój! — odezwał się z pewnem oburzeniem — drwisz sobie chyba ze mnie... Nie przypuszczam, ażeby król Ludwik, tyle doświadczywszy przykrości z powodu Châteauroux, miał sobie nowe gotować. Ona do niego zniechęciła paryżan, zrobiła go im nienawistnym.

— Ta! ta! ta! — roześmiał się kapitan. — Gdyby tak było nawet, wybyście nie mieli prawa skarżyć się na to, bo co król u nich stracił, to wasza królowa zyskała. Z płochym ludem zresztą nie warto romansów poczynać; jutro poklaskiwać będzie temu, na którego dziś rzucał błotem.

— Ja to tylko wiem, — przerwał Włodek — że ten lud tak niestały był dla naszej królowej i jest wiernym, czci ją i wielbi... Popatrzcie, jak ją przyjmuje,

gdy z dziećmi do kościoła jedzie... Król tymczasem zamykać się musi, aby go nie postrzegli.

Lozilières poruszył ramionami.

— Bo go to nudzi, — dodał — ale on sobie z tego nic nie czyni. Gmin nigdy nie wie, dlaczego kocha lub nienawidzi.

Machnął ręką pogardliwie.

— Dla pozyskania sobie jego faworów — ciągnął dalej — król ani kroku nie zrobi. Królowa, jeżeli chce, może sobie prowadzić życie klasztorne razem z przeoryszą karmelitek; my za klauzurę z nią nie pójdziemy... Wszyscy są tem długiem intermezzo, bezkrólewiem, znużeni... Metresy nam dla Ludwika „ukochanego" potrzeba koniecznie.

Ze zdumienia i przykrości, jaką sprawiło Włodkowi to oświadczenie kapitana, powiernik królowej przez czas jakiś mówić nie mógł. Nie chciało mu się wierzyć Lozilières'owi, ale skądinąd było wiadomem, jaki wpływ ludzie napozór maluczcy wywierali na króla, a kapitan musiał być dobrze zawiadomiony, co się knuło. Należał do łowiectwa, a szeptano, że w lesie Sénard pokazywały się amazonki.

Wyczekawszy nieco, Włodek przemówił nareszcie:

— Ja dotąd nie słyszałem o żadnym projekcie; nie mówią o nim na dworze, nie słychać w mieście, ani pomiędzy przyjaciółmi króla. Richelieu odpoczywa...

— A co dziś Richelieu znaczy? — przerwał kapitan. — Owdowiawszy po *dame en roux,* nic nie znaczy. On przyjdzie do gotowego; my królowi dobierzemy taką, jakiej mu potrzeba, bo my jedni wiemy, czego mu potrzeba.

— Wy! to jest Bachelier, Binet, Bridge i ty, panie kapitanie! — wykrzyknął nie bez odcienia szyderstwa Włodek.

Kapitan, wcale tem niezmieszany, głową dał znak potwierdzający, popił winem, a stawiąc gwałtownie kubek na stole, spojrzał śmiało w oczy Polakowi.

— Widzę, — rzekł — że wy mi wiary dać nie chcecie; ale w krótkim czasu przeciągu przekonacie

się, iż nie kłamałem i nie przechwalałem się nadaremnie.

Pod wrażeniem tej niespodzianej, a tak nieprzyjemnej dla niego nowiny Włodek oniemiały usiadł, zajmując miejsce przy kapitanie. Nie chciał się z nim rozstać, dopókiby nie dopytał się czegoś więcej.

— A zatem — dodał po przestanku — macie już coś upatrzonego dla króla?

— A no, mamy — potwierdził znowu kapitan. — Ale to dotąd tajemnica stanu, dopóki pewnego białego dnia nie stanie się sekretem poliszynela. Dziś ja to wam tylko powiedzieć mogę, że to kobieta, mająca w sobie wszystkie uroki — kobieta, która potrafi być płochą, poważną, dowcipną, rzewną, dziecinną, lubieżną, dostojną, jak wielka pani i grubjańską jak przekupka, — kobieta, która zrobi z siebie, co zechce, a królowi jednostajnem szczęściem znudzić się nie da...

— Skądżeście to cudo wzięli? — szydersko wtrącił Włodek.

— Jakto, skąd? — wybuchnął kapitan. — Jedno jest tylko w świecie źródło, w którem się takie istoty poławiają: — bruk paryski!

Polak na to nosem pokręcił.

— Więc jej gdzieś w kałuży szukać będziecie? — podchwycił. — Mój kapitanie, po pannach de Nesles, po księżnie de Châteauroux, po arystokratycznej krwi, która dotąd miała smutny przywilej dostarczyciela do królewskiego haremu, niepodobieństwem jest taki upadek! — Kałuża! ulica!

— Ulica, tak... kobieta pochodzenia mieszczańskiego — rzekł Lozilières — tak! tak! Arystokracja znudziła się sama i nudzić tylko umie. Długie wieki jadła i przejadła się; syta jest i my jej syci. Nam trzeba niezużytych sił natury.

Zamyślił się nieco kapitan i sam niedosyć ścisłe określenie pochwycił i poprawił:

— Trzeba nam nie zużytych sił, ale takiego upragnienia niedostępnych dotąd rozkoszy, ażeby dla nie-

go poświęciła się sama, poświęciła wszystko — wszystko i coś więcej jeszcze.

Rozśmiał się głośno rad z konceptu, uderzył pięścią w stół, obejrzał się wokoło i dodał:

— Dosyć — *Motus!* Nie mogę zdradzić tajemnicy.

Włodek, słuchający z podziwieniem, bo do jego uszu nic dotąd nie doszło, nierad był temu zakończeniu.

Jechał z tem właśnie do Leszczyńskiego, aby go o przyszłość uspokoić, a na drodze, niespodzianie, rozbijał się o zawód i nierozwikłaną tajemnicę.

— Mój kapitanie, — odezwał się po chwili namysłu — bardzo ci jestem wdzięczen za zaufanie choć niezupełne; ale zwierzasz mi się z czegoś, o czem ja sądzić nie mogę. U nasby powiedziano, że mi dajesz kota w worku... Gdybyś istotnie chciał mi wielką uczynić przysługę i dowieść przyjaźni, powinienbyś coś więcej mi zwierzyć. Języka długiego nie mam...

— Nie mogę! nie mogę! — wykrzyknął Loziliè-res. — Wszystko to wkrótce się jawnem stanie, pomimo Richelieu'go i wszystkich, którzy nam przeszkadzają; ale tymczasem osoba i imię muszą tajemnicą pozostać. Mogę ci tylko zaręczyć, że nasza metresa choć z plebejuszów pochodzi, godna jest zasiąść choćby na stopniach tronu. Jednego dnia potrafiłaby być królową i przekupką na halach. Umie wszystko, a nie kocha nic — i to jest najdoskonalszy sposób zawładnięcia światem.

Napróżno potem Włodek starał się wszelkiemi sposobami dobyć coś jeszcze z kapitana. Wkońcu losem nieszczęśliwym królowej starał się go ująć i obudzić w nim litość, usiłując dowieść, że nie godziło się przeciwko niej spiskować, a należało spiskowi zapobiec.

— Jakto! przeciwko niej! — przerwał kapitan. — Ja królową naszą czczę z Francją całą; ale metresy nie uważam dla królowej za klęskę, tylko za wyswobodzenie. Niech będzie pobłażającą dla niej, a tem sobie zyska powolność króla i zupełną swobodę. Króla prze-

cież mieć nie może, ale poszanowanie dla siebie wyrobi i w kółku swojem panować będzie...

Oburzył się Włodek na to.

— Kapitanie, — zawołał z wyrzutem — widzę, że u ciebie dużo ofiar wielkich wcale w porachunek nie wchodzi. Za nicze liczysz upokorzenia świętej, pobożnej niewiasty, zmuszonej u boku swojego znosić taką rywalkę, jak sam powiadasz, z ulicy wziętą, która niewątpliwie na dworze się zaprezentuje, a może taburet pozyska! Niczemże to, iż ona żadnej władzy, a tamta mieć będzie wszechmocną? Przypomnij sobie, jak Châteauroux niepoczciwie się płaczącej królowej urągała, przychodząc żegnać z rozgłosem, umyślnie, gdy wyjeżdżała do Metzu.

Lozilières nie dał mu dokończyć.

— Wiem o tem, — rzekł szybko — ale królowa sama sobie winna, gdy płacze tam, gdzie śmiaćby się mogła skuteczniej. Wiele rzeczy musi nie widzieć, nie słyszeć i nie chcieć rozumieć. Stoi na takich wysokościach, że ją te brudy nasze dochodzić nie powinny.

Zmierzchało już, gdy po nazbyt przedłużonym popasie Włodek nareszcie, wcale niezaspokojony połowiczną wiadomostką, pochwyconą od Lozilières'a, puścił się w dalszą do Luneville'u drogę, wiedząc, że więcej już z niego nie wydobędzie.

Przybył tam nocą, ale w małej stolicy nocą i dniem ruch i życie było takie, iż zawsze podróżny znalazł przyjęcie i kogoś zastępującego gospodarza. Król stary żył, pracował, zabawiał się swoim zwykłym trybem, dla nikogo nie zmieniając go... W pałacu, w oficynach, po dworkach gościnnych przybywający panowie znajdowali wszystko gotowem na ich przyjęcie. Król Stanisław często po dni kilka widzieć się nie dawał; ale to nie przerywało zabaw i zatrudnień gości. Niektórzy z nich, jak w początkach pani du Châtelet i Voltaire, mieli swoje apartamenta i w nich ugaszczali innych, zapraszanych do Luneville'u, gości.

Tym razem też znalazł Włodek kilku jeszcze przy-

jaciół u wieczerzy. Ci go bardzo serdecznie powitali, ciesząc się, że królowi przywozi zawsze pożądane od córki wiadomości.

Nazajutrz bardzo rano król był zaledwie po rannej kawie i w długim, podbitym futerkiem szlafroku palił tytuń z ogromnego cybucha, gdy przywołano do niego Włodka. Przywitał go twarzą wesołą.

Ten oddał mu naprzód list córki, który Leszczyński skwapliwie przeczytał cały, niekiedy łzy mając na oczach, a potem ucałowawszy go i położywszy na stole, zwrócił się do posła.

Usposobiony był czule i serdecznie; rozpoczął też rozmowę, badając Włodka o niego samego, okazując mu wielką miłość i szacunek. Wśród tego rozpytywania Włodek ciągle przybiegał do ucałowania ręki królewskiej.

— Maruchna pisze do mnie, — rzekł wkońcu Leszczyński — że wiele mi masz ustnie do opowiadania. Zaszłoż tam co nowego? a nadewszystko co pocieszającego? Co się dzieje z tym biednym królem?

— Biednym? — podchwycił Włodek.

— Tak jest biednym, — powtórzył król z przyciskiem — inaczej go nazwać nie można. Nie znam nad niego w świecie biedniejszego człowieka. Wszystko mieć, czem Bóg obdarzyć może, a w niczem nie smakować; zamiast miłości narodu, zarobić na jego wzgardę; nie słuchać ani głosu sumienia, ani napomnień religijnych, ani przestrogi z niebios.

Leszczyński powstał wzruszony.

— Wiesz? — rzekł ze łzami w głosie — jestem przekonany, że wkońcu znękany i nieszczęśliwy wróci na drogę prawa. Opatrzność się nim opiekuje, modlitwy żony go uratują — Bóg ich wysłucha... Widzisz tam, że już od śmierci tej nieszczęsnej *Dame en roux* wyrzekł się przynajmniej jawnogrzesznicy u swego boku. Toć już poprawa.

Mówiąc to, król spojrzał na Włodka, który tylko westchnął głośno.

— Przecież mi nie przyjeżdżasz zwiastować wstą-

pienia na tron nowej jakiejś Nesles, bo się ich już przebrało... — dodał, posłyszawszy westchnienie.

Włodek milczał czas jakiś, oczy trzymając wlepione w ziemię. Leszczyński usiadł niespokojny.

— Metresy niema! — dodał.

— Dotąd jej niema; — rzekł, ociągając się, przybyły — ale mówią, że za przyszłość ręczyć nie można.

— Skądże ten wniosek?

— Jabym nie śmiał wnioskować — odparł zapytany. — Jechałem tu do w. król. mości z tem także przekonaniem, że panowanie metres się skończyło, a król, który ciągle zaleca oszczędność i mówi o niej, dla niej się wyrzecze złego. Tymczasem po drodze z niepokojącą spotkałem się wiadomością.

Włodek powtórzył potem całą rozmowę z Loziliè-res'em, i twarz starca słuchającego zachmurzyła się... Wiedział z doświadczenia, że złym pogłoskom najczęściej wierzyć należy, gdyż nigdy prawie nie zawodzą. Uderzyło go i to, że zapowiadano metresę nie wybraną, jak dawniej, z pomiędzy dam dworu i arystokracji, ale umyślnie wziętą z ulicy.

— Nowa era! — zamruczał chmurno. — Jakąż nam niespodziankę gotują? Ludwik, to wiem, zabawiał się kuchmistrzowaniem; mieliżby mu do pomocy dodać kucharkę?

— Odgadnąć nic niepodobna; — przerwał Włodek, nie odpowiadając na ucinek starego — ale w samej tej myśli wybryku jest przewrotność i zręczność wielka. Nowość dla znudzonego króla jest wszystkiem.

Pewność, z jaką kapitan głosił nowinę, niektóre szczegóły, z któremi się mimowolnie wygadał, przekonywały, że nie był to jedynie plan, ale już zawiązana intryga, bliska urzeczywistnienia. Dosyć może było, aby jedna z tych małych karetek, które tak nieprzyzwoicie nazywano, przywiozła wieczorem wybraną istotę, do stojących pustką pokoików po księżnie de Châteauroux.

Stary król, który witał Włodka nadzieją lepszych czasów, pod wrażeniem tych plotek zasmucił się

i o córkę troskać począł. Chciano tem współzawodnictwem z ulicznicą poniżyć ją jeszcze.

— Sądzisz, że to rzecz możliwa? — spytał po namyśle Włodka.

— Najjaśniejszy panie, — rzekł cicho przybyły — mieliśmy dosyć doświadczenia przez te lata, aby się przekonać, że u nas wszystko możliwe, co przykre i groźne. Wczoraj jeszcze byłem przekonany, że król, nie zmieniając trybu życia, formę jego przynajmniej dla świata i ludzi zechce uczynić przyzwoitszą.

— Jam był też tego przekonania; — dodał Leszczyński — ale Pan Bóg nas chce próbować do końca. Wola Jego Święta. Biedna Maruchna powinna była korzystać z chwili, nie odpuszczać od siebie, narzucać mu się, zmusić go do nabrania nałogu cnoty. Ale Bóg ją stworzył bojaźliwą, zbyt łagodną — nie mogła swej pobożności, swego smutku błogosławionego zmienić dla męża na sztuczną wesołość... Tymczasem przyjaciele czyhali, otaczali, wyrwali go nam znowu.

Ze spuszczoną głową siedział król czas jakiś milczący, jakby się modlił, a gdy później podniósł oczy i spojrzał na Włodka, oblicze miał już wypogodzone i spokojne.

— Cóż ci moja Maruchna poleciła powiedzieć mi? — zapytał głosem stłumionym, w którym czuć było wielkie wzruszenie, zaledwie pokonane.

— To, com miał przynieść, w takiej jest sprzeczności z tem, com po drodze pochwycił, — odparł Włodek — że już nie śmiem powtarzać, czem waszą król. mość i siebie cieszyła. Mówiła mi, że rachuje szczególniej na odżyłe w mężu religijne sentymenta, na wpływ spowiednika... Kazała mi też waszej król. mości powtórzyć, że z syna swojego delfina dumną jest i szczęśliwą; ludzie go kochają i wielbią. Gorliwym jest w wierze, niewzruszonym w zasadach, brzydzi się najmniejszym ekscesem, czas spędza na nauce i poważnych zatrudnieniach. Ale smutna to rzecz, — dodał Włodek — że miłości ojca sobie pozyskać nie mógł, choć posłu-

sznem jego dziecięciem. W wielu sprawach już dziś jest podporą dla matki.

— Cieszę się nim, — odparł król — ale zanadto gorliwości nie może mieć, bo podobno przypadnie na niego stoczyć wielki bój w obronie wiary, zewsząd napastowanej i uciśnionej. Niech się wcześnie zaprawia.

Rozpytując tak o delfina, o królewny, o prezydenta, o damy znaczniejsze przy królowej, spędził Leszczyński czas dość długi z Włodkiem sam na sam... Obaj wkońcu puścili się na domysły o przyszłości, którą Włodek widział czarną, a król ze swoją dobrodusznością rozjaśniał nadziejami, pragnąc dla córki spokoju, wypoczynku, pociechy.

Na przerywanej rozmaitemi epizodami rozmowie upłynął czas do obiadu, na który król udał się do swoich gości, bo dnia tego z biskupem Châlons i dwoma duchownymi z innych diecezyj miał obiadować w wielkiej sali, przy osobnym stole.

Towarzystwo świetne znaleźli tu już zebrane, a król nader wesoło, otwartemi ramiony powitał przybyłego niedawno pożądanego gościa, o którym mu nie oznajmiono.

Był to w Wissenburgu tak mile widywany, naówczas oficer niższego stopnia, hrabia d'Estrées, ten sam, który się niegdyś kochał w królewnie, a teraz pozostał wielbicielem jej i obrońcą. Królowa miała dla niego szacunek i przyjaźń; Leszczyński miłował go prawie jak syna. Znali go wszyscy jako oddanego królowej Marji, która sama wspominała o tem, że mogła była zostać hrabiną d'Estrées. Z niewielu innymi liczył się on do obozu królowej, nie zapominając też o starym królu, którego odwiedzał w Luneville'u, czasem przesiadując tam po dni kilkanaście.

Zaprosił go król do stołu swojego, i obiad rozpoczął się przy dźwiękach muzyki, która wedle zwyczaju przygrywała z galerji.

Można się tu było przypatrzeć dziełu tego najuboższego prawie z książąt panujących w Europie, którego dwór porządkiem, elegancją, poważną swobodą,

z jaką się służba odbywała, powszechne zdobywał pochwały. Kuchnia, piwnica, posługa, muzyka słynęły z doskonałości, wytworności i smaku, chociaż ani zbytkiem, ani pokaźnością się nie odznaczały. Wszystko tu było skromne i piękne.

Stół królewski, przy którym zasiadł hrabia d'Estrées, otaczali współbiesiadnicy, przyjaciele, wszyscy wtajemniczeni w losy rodziny, uświadomieni z cierpieniami jej, podzielający uczucia króla dla uwielbianej córki. Biskup Châlons pierwszy nazwał ją męczennicą, i imię jej inaczej niż z tą koroną z ust jego nie wychodziło.

Przybycie Włodka, znajomego dobrze hrabiemu d'Estrées i biskupowi, naprowadziło rozmowę cichą na Wersal, króla, jego teraźniejszy sposób życia i przyjaciół, którzy go otaczali.

Król, mający najlepsze nadzieje, napomknął coś o plotce, przyniesionej przez Włodka, śmiejąc się z łatwowierności tych, co ją powtarzali. Zdawało mu się niepodobieństwem, aby Ludwik wkońcu nie był zmęczony i zniechęcony temi dramatami, które się kosztem jego odgrywały.

Hrabia d'Estrées z twarzą namarszczoną smutnie słuchał w milczeniu; a gdy Leszczyński dokończył, zwrócił się do niego i rzekł zcicha:

— Niestety! najj. panie, więcej jest w tem prawdy, niżeli zdawać się może. Słyszałem i ja o tem, osobę nawet przeznaczoną królowi mógłbym wymienić, ale nie uczynię tego, aby plotce nie dodawać wagi. Wybór jest nie do wiary, ale im dziwniejszy, tem się mniej prawdopodobniejszym wydaje.

Wszyscy słuchali z natężoną ciekawością. D'Estrées ciągnął dalej:

— Jest to piękność, a nadewszystko urocza wdziękiem kobieta, nad którą się dziś cały Paryż unosi, choć wyszła z pod bardzo ubogiej strzechy. Ale rodzice i opiekun przeczuli w niej cudo i na nie wychowywali. Jeliotte był jej nauczycielem muzyki i śpiewu, Gubauset uczył tańcować, Crébillon deklamacji, nie

wiem już kto jeździć konno, rysować, malować i władać igłą rytownika. To pewna, że we wszystkiem tem celuje i talentami artystów zachwyca. Młodzież sławi jej nadzwyczajną piękność, starzy się unoszą nad niezrównanym dowcipem, wszyscy zgodnie uznają godną choćby tronu... Czarom jej nikt oprzeć się nie może.

Oczy wszystkich zwrócone były na hrabiego d'Estrées, którego twarz ironicznie a smutno się uśmiechała. Leszczyński złożył ręce jak do modlitwy, przejęty niemal trwogą.

— Na Boga! — przerwał — malujesz nam ją takiemi barwami, że ja się zaczynam obawiać. Wymieńże nam tego szatana-kusiciela...

— Najj. panie, — żywo odezwał się d'Estrées — nazwiska tej osoby wymienić nie mogę, dlatego, że ona żadnego nie ma, a to, które nosiła i nosi, nie mówi nic... Nie wierzę, ażeby niebezpieczną być miała, bo trzebaby ją obmyć z pierworodnego grzechu pochodzenia z ciemności, aby do salonu wprowadzić się godziło, — cóż dopiero na dwór królewski! Król się tyle szanuje, że nie zechce się poniżyć, schylając się do niej... Gdybym nawet nazwisko Joasi Antuanety zdradził, nicby ono nikomu nie powiedziało.

I ironicznie, wśród milczenia, ciągnął dalej:

— Chociaż cały Paryż tę młodą mężatkę wynosi pod niebiosa, ani połowa nie zna jej pochodzenia. Muszę więc przystąpić do wywodu genealogicznego, dobywając go z mroków otchłani.

W rodzinach, w których kobiety panują, od nich zawsze poczynać potrzeba. Matką tej przyszłej gwiazdy jest niejaka panna de la Mothe, zamężna pani Poisson... nie Poisserde!! Stosunek nader czuły, jak mówią, łączył ją z panem Lenormandem de Tournehem. Poisson, papa domniemany, był i jest... szafarzem u Inwalidów, komparsem, ukrytym za kulisami. P. Lenormand de Tournehem opiekuje się matką i córką, którą wydał zamąż za rozkochanego synowca swojego, pana Lenormanda d'Etoiles.

Wtajemniczeni zaręczają, że piękna Antuaneta wy-

szła zamąż dla uzyskania swobody, od dzieciństwa bowiem ma się nosić z przepowiednią wróżbiarki, jakiejś Lebon, która jej zapowiedziała, że będzie panią serca i worka króla Francji. Zgadzają się na to wszyscy, że jest też prawdziwym królewskim kąskiem *(morceau de roi)*.

Leszczyński przysłuchiwał się z wyrazem oburzenia i zgrozy, a nie mogąc wkońcu wytrwać dłużej, przerwał hrabiemu:

— Czyjaż to znowu intryga? Ma w tem udział Richelieu?

— Bynajmniej — odparł d'Estrées. — Tacy Poissonowie sobie właściwych używają narzędzi, daleko może dzielniejszych, niż Richelieu. Pierwszy kamerdyner królewski, para koniuszych, z których pono jeden się kuzynostwem Poissonów zaszczyca — łowczy jaki i psiarz... oto pośrednicy... Oni to ją upatrzyli i przygotowali pierwsze spotkanie w Wersalu, potem zjawienie się amazonki, Diany na polowaniu w lesie Senart... Za życia jeszcze *Dame en roux* mówiono o tem, że naprzekór Richelieu'mu królowi dać chciano tę śliczną d'Etoiles. Księżna zakazała jej pokazywać się najj. panu. Piękna Antuaneta umiała czekać— i nie pokazywała się długo... długo, aż do balu w niedzielę zapustną w ratuszu. Król ją tam zmusił, że mu się zdemaskowała i podniósł jej upadłą na ziemię chusteczkę. Tegoż wieczora cały Paryż wiedział, że — chustka rzuconą została. Kuzyn Binet czekał tylko rozkazów najj. pana.

— A! więc to już rzecz dokonana! — przerwał smutnie Leszczyński — a królowa nic o tem nawet dotąd nie wie.

— Nie, — zaprzeczył d'Estrées — aż do dziś dnia wszystko to było tajemnicą. Lecz kto zna króla, kto jest wtajemniczony w intrygi jego otoczenia i służby, już nie wątpi, że lada dzień pani Poisson zajmie czekający na nią apartament. Ja nie mam szczęścia należeć do przyjaciół panów Binet'a, Bachelier'a, ale przypadkiem wpadłem na tropy.

Dość długo panowało milczenie. Leszczyński, który zawsze starał się bronić zięcia, choć męczeństwo córki serce mu rozdzierało, — odezwał się, zwracając oczy do siedzących u stołu:

— Przepraszam cię, d'Estrées, ale pozwolę sobie nie dawać temu wiary. Chwilowo płocha a zalotna kobieta potrafiła go podrażnić, zająć, pociągnąć... ale rychło syt będzie i odprawi ją z podarkiem, a do Wersalu nie wprowadzi. Châteauroux zamknęła listę metres, król się zwrócił do żony, do rodziny, i choć go pokusą na godzinę jaką oderwą od nich Binety, nie da się wziąć w niewolę sromotną... Poisson nie będzie nad nim królowała! Nie! nie!!

Nikt nie śmiał potępiać Ludwika ani się sprzeciwiać Leszczyńskiemu. Tylko d'Estrées się uśmiechnął i rzekł:

— Z serca życzę, aby tak było!

— Królowa — dołożył stary — zwykle bywa dosyć dobrze zawiadomioną o tem, co jej zagraża; ma czuwających nad nią przyjaciół. D'Argenson wiedziałby o tem i nie taił przed nią; zdaje się tedy, że nie wie wcale o żadnej Poisson.

Wezwany na świadka Włodek, rzekł pocichu, zbliżając się do stołu:

— Może najj. pani uważa to za kaprys mający prędko przeminąć, bośmy takich wiele przeżyli. Ja też mam przekonanie, że intryga Bineta skończy się na wypędzeniu go ze dworu. Król się przecież tyle szanuje, że mu nie pozwoli na takie poniżenie.

Dłuższe tym razem milczenie, którego nikt nie śmiał przerywać, wznawiając przedmiot drażliwy, zdawało się zakończeniem poufałych tych zwierzeń, ale staremu ojcu na sercu leżał los córki, jej cierpienie i sądy ludzi o pożyciu pary królewskiej. Raz jeszcze wznawiając rozmowę, zwrócił się do biskupa Châlons.

— Ojcze mój, — począł — słyszę obwiniających

Maruchnę moją o winy męża. Żądają od niej, aby się opierała, nie dopuszczała, walczyła z nim... Zarzucają królowej zbytnie pobłażanie, dobrowolną ślepotę, nadto uprzejme przyjmowanie tej nieszczęsnej Châteauroux! Cóżby pomogło, gdyby ją i męża drażniła, jątrzyła kobietę mściwą i zniżała się do walczenia z nią i jej podobnemi, jakgdyby one równe jej były! Biorę część znaczną winy na siebie, bo się mnie zapytywała nieraz, jak sobie ma postąpić? Radziłem jej zawsze być cierpliwą, ślepą i obojętną. Szła za radą moją.

— Najj. panie, — przerwał gorąco d'Estrées — raczysz mi przebaczyć, ale jabym był inaczej radził. Królowa ma prawa, o które śmiało i głośno upominać się może. Zbyt wcześnie była zrezygnowana na znoszenie postępowania męża. Król korzystał z tego i przestał się oglądać na małżonkę, rodzinę i obowiązki. Miała królowa siłę, aby stanąć w obronie rodu, ale użyć jej nie chciała.

— Powiedz raczej: nie mogła — rzekł król, zwracając się do mówiącego. — A!... proszę was, nie obwiniajcie jej, nie przypisujcie jej tego, co jest dziełem nierozwikłanych przeznaczeń i wyroków Bożych. Nikt z was nie wie, co ona ucierpiała i cierpi, zmuszona ocierać się o te istoty, niemal się jej urągające. Wielka łagodność, cierpliwość nadludzka, pokora czynią ją świętą. Porywy namiętne, bezsilne, do walki z temi istotami bezwstydnemi, upadłemi, nie przystały jej... Trzeba przytem znać króla, którego duma i obojętność żony więcej dręczy i zawstydza, prędzej nawrócić może, niż drażnienie ciągłem sprzeciwianiem się. Cierpliwość święta zwycięży nareszcie, gdy zniecierpliwiona byłaby wyśmianą i odepchniętą.

Wchodzący w tej chwili marszałek dworu, który nowoprzybyłego oznajmował gościa, oswobodził Leszczyńskiego od dalszych tłumaczeń. D'Estrées zbliżył się do Włodka, zdając się mówić wyrazem twarzy: — Zostawmy go w jego przekonaniu i błędzie... Niech się pocieszają choć tem, że wierzą w poprawę.

II.

Rodzina królewska nie żyła wspólnem i jednostajnem życiem, sama etykieta ją rozdzielała. Ludwik XV oddawna całkiem się z niej ze swoim obozem wyłączył, przesiadując albo na zameczku Choisy lub w Wersalu, ale całkiem oddzielnie od królowej. Delfin i siostry jego trzymały się osobną gromadką, którą gusta i zajęcia w różne strony prowadziły. Naostatek królowa Marja coraz bardziej się od wszystkich prawie odsunęła.

Zajmowały ją głównie pobożne praktyki, dzieła dobroczynności, narady z duchownymi i zakonnicami, z któremi najmilej jej było czas spędzać.

Część jego jednak zmuszoną była poświęcić urzędowemu występowaniu, wedle ceremonjału, wprowadzonego przez Ludwika XIV, w pewnych godzinach oznaczonych. Musiała reprezentować majestat królewski, przyjmować przybywających, dawać posłuchania, asystować grom i balom, od których się uwolnić nie mogła.

Wedle przyjętej etykiety, której w niczem nadwerężać się nie godziło, królowa szła naprzód rano przywitać króla, widzieć dzieci i osoby, które miały tak zwane: *petites entrées*. O jedenastej słuchała pierwszej mszy świętej, przywdziewała suknie na dzień naznaczone, wpuszczano gości, mających prawo do wielkiego przyjęcia *(grandes entrées)*. O godzinie pierwszej słuchała królowa drugiej mszy, otoczona całym dworem.

O godzinie drugiej podawano obiad, który można było nazwać urzędowym, przypuszczając do przypatrywania się ceremonjałowi świadków, mających do tego prawo i pozwolenie.

Posługiwały do stołu dama honorowa i cztery inne panie w wielkich, uroczystych strojach. Galerja niezbyt wysoka dzieliła część pokoju, przeznaczoną dla niektórych świadków, od tej, w której stół był za-

stawiony. Prawie codzień tłum się cisnął dla oglądania biesiadującej swej pani.

W niedzielę zwykle przedstawiały się królowej te osoby, które po raz pierwszy na dwór wchodziły lub z prawa urodzenia albo zajmowanego urzędu objąć miały „taburet" na pokojach pani.

Przyjęcia te częstokroć wiele kosztowały królową, gdy była zmuszoną niemiłe sobie osoby, jawnie niechętne, złośliwe, witać uśmiechem i choć kilku słowami, do których była obowiązaną. Każda z tych nowowprowadzanych, choćby najśmielsza, przychodziła drżąca i zmieszana, a zwykle łagodny uśmiech, słowo miłe dodawały odwagi i wyprowadzały z kłopotliwego położenia. Królowa była litościwą.

Nie było przykładu, aby z niewyczerpaną swoją dobrocią królowa chciała się pomścić na której z tych, które tu przychodziły z nienawiścią w sercu a fałszywą pokorą. Ujmowała nawet najzuchwalsze słodyczą i łagodnością.

Po odbyciu tej częstokroć dosyć długiej ceremonji w wielkich apartamentach mogła dopiero zrzucić niewygodne rogówki, strój paradny i, przebrana skromniej, zająć miejsce w ulubionych małych pokoikach.

„Tu — pisze o niej przyjaciel prezydent Hénault— z królowej się przeistoczała na pospolitą gospodynię domu. Pokoje jej zawsze były napełnione krosnami, tamburkami, rozpoczętemi kobiercami, haftami różnego rodzaju, w większej części przeznaczonemi dla kościołów. Królowa zajęta pracą zwykle zdawała prezydentowi sprawę z tego, co czytała, zasięgając rady jego i zdania i żądając objaśnień miejsc wątpliwych... Książki, które czytywała najchętniej, były treści religijnej i historycznej. Widzimy pomiędzy niemi ojców kościoła w oryginale, umiała bowiem po łacinie, żywoty świętych tłumaczone z angielskiego, kazania ulubionego jej Bourdaloux i t. p. Z kaznodziejów sobie współczesnych, sławnego o. Elizeusza nie ceniła zbyt wysoko... Z pisarzy świeckich podobały się jej

wielce pamiętniki Joinville'a, żywot kardynała de Granvelle, Turenjusza i historja Lebeau".

Gdy w r. 1761-ym ukazała się „Historja Jana III, Sobieskiego" przez ks. Coyer'a, ostrzegł ją prezydent Hénault o tem dziele, aby go nie czytała. Gniewano się na nie wielce i autor zaledwie Bastylji uniknął. Podobały się dosyć listy pani de Maintenon, ale przeciwko zdaniu prezydenta królowa broniła pani Sevigné, której dawała pierwszeństwo. Nie miał łaski Marmontel ze współczesnych, ani młody Helvetius, — co pierwszemu z nich nie przeszkodziło dostać się do Akademji, bo kogo nie lubiła królowa, zwykle popierała metresa, a przy tej zawsze zostawało zwycięstwo.

Około godziny trzeciej goście tacy, jak ukochany prezydent Hénault, żegnali się i wychodzili; królowa siadała do czytania książek, często przysyłanych przez ojca. Oprócz francuszczyzny i łaciny, oprócz języka polskiego, rozumiała dobrze niemiecki i włoski.

Rodzinnej mowy swojej bynajmniej nie zapomniała; modliła się najczęściej na książkach polskich. Ojciec przysyłał jej to, co sam pisał i co mu najciekawszego z kraju przywożono. Rozrzewniały ją pieśni, kolędy i słyszane niegdyś w dzieciństwie śpiewy kościelne, które czasem w kaplicy kilkoro polskiej służby dla niej powtarzało... Żadne jednak z jej dzieci nie wyuczyło się języka polskiego, choć delfin chęć do tego okazywał. Nie było na to czasu i nie stał na programie.

Mniejsze apartamenta królowej w Wersalu składały się z salonu, gabinetu i oratorjum, urządzonych wedle jej wskazówek, z największą prostotą.

Bawić się królowa nie umiała i nie potrzebowała nigdy. D'Argenson w swoich pamiętnikach wspomina, że najniewinniejszych nawet rozrywek nie uznawała za stosowne dla siebie.

Do najmilszego kółka przyjaciół należeli, oprócz księżny de Luynes, jej mąż, dalej kardynał tegoż nazwiska, oboje księstwo Chevreuse, Montcrif, nie mówiąc nic o prezydencie, bo ten miał pierwszeństwo

przed wszystkimi. Pies nawet ulubiony księżny de Luynes, zowiący się Tiatamarre, miał u niej łaski i na wieczorach o nim nie zapominano. W kółku tem oddychała swobodnie, mogła mówić, nie obawiając się, że słowa jej fałszywie tłumaczyć ktoś będzie.

Dobroczynność jej dla biednych była niewyczerpana, a nacisk ich około mieszkania królowej codzień niezmierny. Nic też dziwnego, iż nigdy grosza nie miała i ze wszystkich stron pożyczać musiała. Wiadomo, że klejnoty, jakie miała, jeden po drugim sprzedając, fałszywemi zastępować musiała. Oprócz tego robotami rąk własnych obdzielała ubogich, sama żebrała dla nich, choć rumieniec występował jej na lica, gdy była do tego zmuszoną.

Przydomek „dobrej" zyskała sobie łatwo, i później, zamiast imienia, tym przydomkiem powszechnie ją oznaczano *(bonne reine)*.

Sama dla siebie królowa potrzebowała bardzo mało. W powszednich dniach nosiła się tak skromnie, iż niktby w niej domyśleć się nie mógł królowej. Na głowie najczęściej prosta, czarna, koronkowa chusteczka, strój wszelki zastępowała. Opowiadano mnóstwo wypadków, w których niepoznana mogła się dowiedzieć, jak ją sądzono i w jakiej była miłości u wszystkich. Powierzchowność nie zdradzała jej pochodzenia i stanu. Twarz, która nigdy piękną nie była, nie miała typu i charakteru francuskiego, jego przymilania się i zalotności; ale niewysłowioną tchnęła dobrocią i łagodnością. Nawet w chwilach ożywienia, gdy się zdobywała na dowcip, łagodziło go coś polskiemu charakterowi właściwego, szanującego w człowieku słabości jego.

Każdego z Polaków przybywających do Francji, gdy ich Leszczyński posyłał do Paryża, gdy zobaczyli, „jak tam jego Maruchna króluje", uderzało w królowej podobieństwo do portretów jej babek i prababek. Francuzom ta jej dobroduszność nasza wydawała się cechą świątobliwości, z której królowa słynęła.

Złośliwi dowcipnisie, płoche pismaki, igrający ze

słowem, nie szanujący niczego, niebardzo wysoko cenili umysłowe dary królowej. Miano ją za prostaczkę krótkowidzącą; tymczasem w listach jej mamy dowody, jak swój czas doskonale sądzić umiała, a nawet przyszłość przepowiedzieć.

Ale nikt naówczas tego głosu Kassandry słuchać nie chciał.

„Mój Boże! — pisała do prezydenta Hénaulta — dokąd idziemy? Jestże to kraj, któremu Ludwik Święty panował? Co za wiek! To tylko znajduje przyjęcie, co jest niedorzecznem!"

A w kilka dni potem dodaje:

„Niestety, masz słuszność: wszystko, na co patrzymy, przejmuje boleścią; wszystko idzie coraz gorzej: religja, władza królewska, wszystko znika, a co najsmutniejsza, że poszanowanie władzy ginie, jakgdyby na zgubę była przeznaczona: nikt nie staje w obronie. Prawica Boża widomie cięży nad nami. Myślmy o tem chyba, aby błagać Najwyższego o miłosierdzie".

Naostatek w jednym z listów do prezydenta znajdujemy jeszcze te słowa:

„Bardzobym sobie życzyła obiadować razem z wami i arcybiskupem; ale smutna to rzecz być królową. Niestety! jeżeli wszystko tak dalej iść będzie, jak poczęło, wkrótce nas uwolnią od tych niedogodnych obowiązków. Drżę, myśląc..."

Mnóstwo rysów z życia królowej maluje nam ten charakter kobiety-chrześcijanki, która nie miała innego celu i starania nad dążenie do doskonałości.

Domownicy jej słyszeli bardzo często, że sobie czyniła wyrzuty, iż bliźniego sądziła za surowo, mówiła o nim nierozważnie. Raz, gdy głośno z tem się przy sługach odezwała, dwie z nich zaczęły ją zapewniać, że nigdy z ust jej nie słyszały nic złośliwego, nic, coby nie było natchnione miłością chrześcijańską.

— A ja, — odezwała się trzecia (w której domyślać się można panny Châtelain, późniejszej karmelitki) — ja znajduję, że królowa słusznie to sobie wyrzuca.

Towarzyszki zakrzyczały zuchwałą, ale królowa kazała jej mówić śmiało.

— Bądź otwartą, — rzekła — miej odwagę powiedzieć prawdę. Niestety! ja się sama poczuwam do winy. Proszę cię, mów...

— Nie będę tego taiła, — zaczęła się tłumaczyć zręczna sługa — alboż to nie obmowa i sąd niesłuszny, gdy pani nasza na siebie samą wymyśla to, czego nie popełnia?

Z dowcipnej tej odpowiedzi królowa wcale nie była rada.

Raz księżna de Luynes, najlepsza przyjaciółka królowej, doniosła, że wielu ludzi pewną czynność sądzi fałszywie, przypisując jej znaczenie, jakiego nie ma; nazwała nawet po imieniu damę, która się z tem wymówiła.

Królowa chłodno odparła na to:

— Bóg zna myśli nasze; On osądzi.

Nazajutrz zobaczywszy osobę, o której była mowa, królowa podeszła ku niej.

— Nie podziękowałam wam — odezwała się — za przestrogę, którąście mi dali, a za którą wdzięczną wam jestem; proszę was, mówcie zawsze otwarcie o mnie i przestrzegajcie, gdy czynności moich cel wątpliwym być może dla ludzi.

Tej pokory w życiu Marji są przykładów tysiące.

Nie mogąc przy sobie utrzymać męża, który umiał w niej szanować cnotę, lecz nie miał siły iść w jej ślady i zmienić trybu życia, choć zazdrościł jej popularności, jaką sobie zdobywała, — królowa zagrożona była ciągle oderwaniem od niej dzieci.

Starsze córki wychowywały się z początku bardzo kosztownie, wedle dawnych tradycyj, co spowodowało utrzymanie dla nich nadzwyczaj licznego dworu, profesorów, metrów, dozorców i t. p. Kardynał Fleury, pod pozorem oszczędności, doradził królowi i potrafił skłonić go, jakeśmy mówili, iż wychowanie młodszych powierzył zakonnicom w Fontevrault. Nie śmiano ich jednak usunąć całkiem z pod wpływu

matki. Królowa przyjęła te rozkazy z rezygnacją, ale pomimo to wpływ jej na córki, równie jak na delfina, był ogromny.

Stosunkowo jednak pod względem temperamentu córki więcej szły za ojcem, niż za matką, choć przekonaniami nigdy się od niej nie różniły. Ludwik XV, czując to powinowactwo charakterów, córki daleko więcej kochał, słabszym był dla nich, bawił się niemi więcej, niż synem, którego obawiał się i któremu nie ufał. W zabawach z ojcem ulubione jego dziewczęta nabrały zwyczajów jego, płochości i dowcipkowania językiem przekupek.

Delfin, dziecię oczekiwane z takiem upragnieniem przez całą Francję, można powiedzieć, że był przedewszystkiem dziecięciem matki. Patrzał na nią jak na wzór doskonałości, radził się w każdej ważniejszej sprawie i szedł posłusznie za jej zdaniem. W rzeczach religijnych, równie gorliwy jak ona, był pomocnikiem matki i poświęcał jej swoje skłonności. Królowa cieszyła się nim i przepowiadała mu świetną przyszłość dla dobra Francji, — ale tej dożyć on nie miał.

Męczennicy naszej los nie oszczędził i tej boleści, aby straciła, co miała najdroższego. Córki, równie gorliwe w sprawach religji, nie miały ani powagi, ani surowości delfina względem samych siebie. Ojciec płochości je uczył, bawiąc się niemi; ale gdzie było potrzeba wystąpić w obronie wiary, przeciwko tym, którzy z Voltaire'm na czele wypowiadali wojnę kościołowi i sługom jego, zarówno z delfinem siostry, nareszcie sam nawet Ludwik XV, gdy zdaleka go popychano, stawili opór. Atoli król potem duchowieństwo dawał na ofiarę intrygantom, którzy w niem wskazali mu nieprzyjaciół władzy jego i buntowników. Zawsze wystarcza do opanowania słabych mówić im o silnych nieprzyjaciołach.

W chwili, gdy po księżnie Châteauroux przez czas jakiś Ludwik XV zdawał się o żadnej stałej zabawce nie myśleć, a królowa cieszyła się nawróceniem, bardzo zręcznie uknuta intryga sług nastręczyła mu pa-

nią z Poissonów d'Etoiles. Królowa Marja dowiedziała się o tem dopiero wtedy, gdy rzecz była postanowiona, i nie brakło już nic, oprócz wprowadzenia pięknej mieszczki i wyznaczenia jej apartamentu. Wiadomość tę jednak królowa powitała z początku niewiarą; ani ojciec zaś, ani lepiej od przyjaciółki zawiadomiona księżna de Luynes nie chcieli jej wyprowadzać z błędu.

— Poco się śpieszyć? — mówił, dając instrukcję Włodkowi, Leszczyński. — Poco się ma zawczasu dręczyć? Niech się łudzi dopóki może.

Wysłaniec królowej wrócił z Luneville'u z listem, ukłonami, życzeniami — nic więcej. Oczu jej otwierać nie potrzebował, milczał. Dokoła Marji wszyscy już szeptali o spotkaniu Ludwika na polowaniu w lesie z tajemniczą Dianą, o balu w ratuszu i podniesionej chusteczce, a nawet o potajemnej schadzce, umówionej przez Binet'a, gdy królowa miała to wszystko za potwarze i plotki.

Na dworze wielu też było takich, którzy w panią d'Etoiles nie wierzyli, nie dlatego, ażeby ją mniej uroczą i utalentowaną uznawano, niż pani de la Popelinière, którą prowadził Richelieu, lub księżna de Rochechouart, wybrana przez inny obóz przyjaciół, ale że d'Etoiles była urodzoną Poisson, a krępy, mały, brudny, ograniczony szafarz Inwalidów, jako ojciec metresy królewskiej, wydawał się niemożliwym.

Po schadzce ułożonej i doprowadzonej do skutku przez Binet'a, król przez cały miesiąc walczył z sobą, nie mogąc się odważyć na sprowadzenie oczekującej już tylko na rozkazy pani d'Etoiles.

Zwłokę przypisywano nie Richelieu'mu, nie bezsilnym przyjaciołom królowej, ale chodzącym posłuchom o pogróżkach delfina, który zapowiadał, że służbie swojej każe precz wyrzucić Binet'a, jeżeli kuzynka jego d'Etoiles zostanie mianowana metresą.

Tym sposobem znajdujemy tu wmieszanego delfina, mającego wystąpić przeciwko ojcu, jakgdyby się spodziewał, iż mu podobnych postępków wzbronić

można. Zdawałoby się to niezrozumiałem, gdyby pani d'Etoiles więcej coś nie znaczyła nad metresę króla.

Nauczyciel i pierwszy nadzorca delfina, biskup Boyer, nieprzyjaciel namiętny Voltaire'a, Fontainelle'a, Maupertuis i całej kliki encyklopedystów, przerażony był tem, iż z panią d'Etoiles, jej wychowanicą, oni też na dwór do króla dostać się będą mogli. Szło tu więc o sprawę wiary, o religję, dla której delfin gotów był dać życie, w której obronie wszystko mógł poświęcić, posunąć się aż do wystąpienia przeciwko ojcu.

W kółku królowej i księżny de Luynes mówiono czasem o intrydze, prowadzonej przez panią de Tencin, ale tyle jej podobnych rozchwiało się i skończyło zawodem, iż nie wierzono, aby Poisson była szczęśliwszą.

Na starą, wierną przyjaciółkę spadł obowiązek odsłonienia tego, co się znowu gotowało, a było nieuniknionem. Księżna de Luynes zwolna opowiedziała królowej wszystko, nie słodząc gorzkich następstw, jakich się po wprowadzeniu d'Etoiles obawiano.

W tem, co rozpowiadano o pięknej protegowanej pani de Tencin, córce człowieka bez wychowania i ogłady, wyrosłej wśród nietajonego zepsucia macierzyńskich miłostek, w otwartym domu galanterji jawnej, była zapowiedź bezwstydnych rozrywek i rozpusty. Ci, którzy ją przyprowadzali królowi: kuzyn Binet, koniuszy, Bridge jego kolega, Bachelier, stojący zboku faworyt, nieznużona pani Tencin, rajfurująca za pieniądze, nadawali sprawie ohydny charakter. Królowa oblewała łzami upadek męża, sponiewieranie dostojności jego.

Wiedziano, że schadzka zbyt łatwo wyjednana przez Binet'a, w początku dała królowi do myślenia i zdawała się go zrażać. Zawahał się rażony tonem gminnym i obejściem się zuchwałem. Przez cały miesiąc potem nie dawał Binetowi znaku życia, trwoga panowała wśród spiskujących. Rozbudzono obojętniejącego już Ludwika wiadomością, podrzuconą mu,

że d'Etoiles od zazdrosnego męża, doprowadzonego do szału, znajduje się w niebezpieczeństwie, że należy ją ratować, bo życie sobie chce odebrać.

Cała ta historja rozwijała się teraz przed królową w opowiadaniu przyjaciółki, która nic taić nie mogła.

Król się nudził, nie mając nikogo; Binet ciągle szeptał, że d'Etoiles jest rozkochaną w nim do szaleństwa; a gdy wyprosił dla niej posłuchanie, okazywała się tak naiwną, niezgrabnie uroczą, taką sztucznie stworzoną prostaczką, iż król, zachwycony niespodziankami tej istoty dzikiej, obiecywać sobie począł mieć z niej doskonałą zabawkę. Była dla niego czemś całkiem nowem.

Język, którym do niego przemawiała, wyrazy, jakie się z ust jej wyrywały, a których Ludwik nigdy przedtem nie słyszał, miały w sobie coś tak pierwotnego, ludowego, iż pieszczonym uszom smakowały prawem kontrastu... i pociągały ku niej ciekawością samą. Wszystko się składało za nią... Król chorował na oszczędność, a taka plebejuszowska wdziękinia dozwalała się utrzymywać na skromniejszej stopie, jak jemu się zdawało. Mówiły za nią wszelkie względy, ale najwięcej ona sama.

Wściekłą zazdrość mężowską doskonale zużytkowano. Król musiał jej ocalić życie — ona zresztą bez niego żyć już nie mogła... Tak głosiła, zanosząc się od płaczu...

Po przetrwaniu pierwszej boleści, która skończyła się ofiarą jej u stóp krzyża, królowa, która i tak już z każdym dniem się coraz więcej usuwała od świata, od ludzi, od dworu, zamykając się w swoich małych pokoikach, unikając króla, nie śmiejąc pytać nawet o niego, jeszcze się bardziej odosobniła i otoczyła milczeniem.

Ci, którzy królową teraz mieli za obowiązek oswajać powoli z nieuchronną koniecznością przyjęcia pani Poisson d'Etoiles, rozpowiadali wszystko, to czarniej ją malując, niż była, to jaśniej, niż na to zasługiwała. Dowodzili niektórzy, iż dobrocią ujęta, może

się stać posłuszną i znośną. Królowa, począwszy od narzekania i płaczu, skończyła na odrętwieniu obojętnem, na które przyjaciele jej bez wzruszenia patrzeć nie mogli. Czasami stawała w obronie przyszłej faworyty, utrzymując, że z niej rodzina i intryganci uczynili ofiarę, że ona może być mniej winną, niż sądzono.

Modliła się tylko i prosiła Pana Boga, ażeby owa Poisson nie ukazywała się u dworu i nie zmuszała jej do upokarzającego ocierania się o bezwstyd. Ale o tem ani myśleć nie było można, bo pierwszem wymaganiem nowej gwiazdy być musiała prezentacja i zajęcie stanowiska poprzedniczek. Królowa więc przygotować się powinna do przyjęcia i znoszenia jej... Jedni żądali, ażeby oparła się stanowczo i oświadczyła, że na wprowadzenie na dwór nie zezwoli; drudzy przekonywali, że pobłażanie dawniejszym zmuszało niejako do tolerowania ostatniej. Sama królowa, przenosząc spokój nadewszystko, była tego zdania.

Począwszy od delfina, który znać nie chciał przyjaciółek ojca, chociaż przyjmować je był zmuszony, cała rodzina królewska i arystokracja czuły się tem wprowadzeniem pomiędzy siebie córki szafarza Inwalidów, wychowanicy encyklopedystów, do najwyższego stopnia upokorzone. Król, który o tem wiedział, opór stawiany sobie brał za zuchwałe targnięcie się przeciwko swojej władzy i tem mocniej postanowił postąpić wedle fantazji.

Królowa nie mogła myśleć mu się opierać. Wyrzucano jej słabość, pobłażliwość, nieudolność, zalewała się łzami, ale wojny prowadzić nie umiała. Wobec tej rezygnacji matki, syn, mimo podżegań ks. Boyera — nie mógł się opierać, boby tem powiększył jej winę. Jemu zaś wcale nie szło o pochodzenie Poissonów, żaden tytuł bowiem w jego oczach nikczemności ich nie byłby uszlachcił, gniewało go, że przyjaciółka i protektorka Voltaire'a wchodziła na dwór i groziła wprowadzeniem go za sobą, popieraniem encyklopedystów.

Binetowi, który był jawną intrygi sprężyną, delfin w początkach groził wypędzeniem; ale król wcześnie ostrzeżony, pani de Tencin, Bachelier czuwali nad nim, — nie obawiał się... Sam ks. Boyer musiał zakląć wychowańca, aby się wyrzekł daremnego wystąpienia.

Przeciągało się rozstrzygnięcie ostateczne; tymczasem starano się uspokoić zrozpaczonego męża, a żonę ochraniać od jego napaści. Położenie zuchwałej Poisson było w istocie trudne: z jednej strony groził jej mąż, z drugiej cała arystokracja oburzona, gniewna, która się jej stawiła nieprzyjaźnie. Przyszła metresa musiała się uzbroić w męstwo do walki z całym światem i z zimną obojętnością króla. Rachować zresztą choć trochę musiała na to, że król wystąpienie przeciwko niej gotów będzie wziąć za bunt przeciwko sobie. Wiedziała, iż nie jest skłonny ustąpić przed zapowiadającą się burzą.

Naostatek po długiem oczekiwaniu i niepewności zawiadomiono królową, że piękna d'Etoiles ma być u dworu prezentowaną. Nim się to stało, wysłaniec bardzo zręczny trafił do księżny de Luynes. Wiedziano, że królową najłatwiej przez nią pozyskać.

Posłaniec zaczął od tego, iż wybuchnął oburzeniem przeciw metresie, ale zarazem tłumaczył ją, malował jako ofiarę intrygi pani de Tencin. Zręczny rzecznik zaręczał, że wszystkim domownikom Poissonów było wiadomo, iż d'Etoiles oddawna dla królowej Marji miała cześć i uwielbienie nadzwyczajne, niemal bałwochwalcze, a w rozpacz ją to wprawiało, że los właśnie ją z tem uczuciem w sercu skazywał, ażeby wielbionej pani zadała cios najboleśniejszy.

Księżna de Luynes zrazu nie uwierzyła temu, co się jej baśnią umyślnie skleconą wydało; ale ze wszech stron powtarzano, iż w istocie d'Etoiles czciła królową, a na stanowisku, na które ją los skazywał, postawiła być sługą powolną, odgadującą jej myśli, oszczędzającą przykrości.

Jakim sposobem uczyniono to królowej Marji

prawdopodobnem, jakim sposobem wpojono w nią wiarę, iż Poisson mniej, niż każda inna szkodliwą, a nawet pożyteczną być może, pozostało dla wszystkich tajemnicą.

Zdumiało to najmocniej delfina, ale nawykły być ślepo posłusznym matce, gdy zobaczył na jej ustach uśmiech łagodny, a posłyszał słowa przejednania, rezygnacji — poddał się jej woli. Jeżeli ona mogła znosić tę kobietę, dlaczegoż onby nie miał pójść za przykładem matki?

Ze wszystkich cudów, jakich d'Etoiles dokonała i dokonać miała, z pomocą najsubtelniejszej intrygantki swego czasu, pani de Tencin, skłonienie królowej ku sobie było najdziwniejszym, najmniej spodziewanym. Wpływowi księżny de Luynes, którą ująć umiano, wiele też przypisać było można. Ona to potrafiła wytłumaczyć królowej, iż d'Etoiles mniej będzie przykrą, powolniejszą, pokorniejszą, niż każda inna. Jeżeli królowa Marja znosiła zuchwałą, nieubłaganą, szyderską księżnę de Châteauroux, dlaczegożby pokornej, poddającej się jej d'Etoiles nie miała cierpliwie znosić?

Dawniejsze postępowanie królowej zmuszało ją do powolności.

Pani d'Etoiles, wiedząc, że pewne pobłażanie ze strony królowej zawdzięczała księżnie de Luynes, ośmieliła się jej za to podziękować listownie i zapytać jeszcze, jak dla niej usposobioną była królowa?

— „Królowa — odpisała na to księżna de Luynes — odpowiedziała mi w sposób najuprzejmiejszy, że nic wcale przeciw pani nie ma, że bardzo jej jest wdzięczna za to, iż przy każdej sposobności stara się jej przypodobać. Żądała nawet, abym pani o tem doniosła. Podjęłam się tego z przyjemnością, umiejąc ocenić jej uczucia i kochając osobę, dla której jestem i t. d.".

Korespondencję tę, do której powrócimy jeszcze, poprzedził krok stanowczy.

Dnia 14 września r. 1745 d'Etoiles miała być

przedstawioną u dworu. Jakie to wrażenie uczyniło w Paryżu, wypowiedzieć się nie daje. Tłumy się zbiegły, ażeby być świadkami tego pamiętnego wypadku.

Owa d'Etoiles, na którą niedawno jeszcze pluli wszyscy, której nikt znać nie chciał dla ojca jej i matki, owa panna Poisson, znalazła do wprowadzenia siebie na dwór tęż samą księżnę Conti, która niegdyś pomagała pani de Mailly, kobietę rozrzutną, zadłużoną, osławioną, ale noszącą imię wielkie. Oprócz tego towarzyszyły jej: pani de Chaumontauban i pani d'Estrades.

O godzinie szóstej piękna pani zjawiła się naprzód z tym swoim orszakiem u króla, którego pokoje, sienie, korytarze, podwórza pełne były ciekawych tłumów.

Król przyjął ją sztywny, zimny, zmieszany, a d'Etoiles daleko większą od niego okazała odwagę.

Ale tu odegrał się tylko prolog; dramat rozwinąć się miał w pokojach królowej, której apartamenta paradne jeszcze większy ścisk osób, chciwych podpatrzenia i podsłuchania, napełniał.

Spodziewano się tu, że królowa, zmuszona tradycją i zwyczajem przemówić kilka słów do prezentowanej, użyje jakiegoś dwuznacznego frazesu, zaprawionego sarkazmem, czegoś, co powszechne uczucia oburzenia i zgrozy wyrazi pod lekką osłoną jakiegoś choćby westchnienia, któreby potem z ust do ust w świat poszło powtarzane.

Tymczasem, w chwili, gdy d'Etoiles zbliżyła się do Marji, oblicze królowej blade i smutne przyoblekło się łagodnem współczuciem dla ofiary i z ust jej usłyszano tylko zapytanie, które przyjemnie musiało połechtać ucho tej kobiety, przypominając jej jedną i jedyną osobę do arystokracji się liczącą, z którą ona miała stosunek.

Litościwa królowa podźwignęła ją w ten sposób.

— Powiedzże mi pani co o pani de Saissac? Bardzo rada byłam spotykać ją niekiedy w Paryżu.

Zamiast odpowiedzi na to pytanie, zmieszana, niespokojna d'Etoiles zaledwie wyjąknąć mogła:

— Najgwałtowniejszą namiętnością moją jest, abym na łaskę pani zasłużyć mogła.

Na tem szczęśliwie skończyło się owo straszne dla d'Etoiles spotkanie.

Delfin był mniej pobłażający i miłosierny; chłodno powinszował jej pięknego stroju, w który się na ten dzień przybrała, a niektórzy utrzymywali, że, ręką się zasłoniwszy, język jej pokazał...

Dzień ten potem łzami rzewnemi u ołtarzyka swego oblała biedna królowa i boleść swoją, jak zawsze, złożyła na ofiarę Panu Bogu.

Było we zwyczaju, iż o ważniejszych życia dworskiego wypadkach zawiadamiała królowa ojca, chociaż w wielu razach pisać obawiała się i wstręt miała do poufałych listów, które niszczyć nakazywała ostrożność. Wybierała się więc sama na łono ojca złożyć żale swoje, lub wierny Włodek wiózł mu ustne doniesienie.

Tym razem Marja postanowiła, po długiem niewidzeniu się, sama ojca odwiedzić, a Włodek miał się przyłączyć do karawany i towarzyszyć królowej do Luneville'u.

To, co zaszło z nową metresą, w oczach całego dworu i arystokracji niegodną zaszczytu, jaki ją spotykał, postępowanie z nią łagodne królowej, ustępstwa, jakie czyniła dla spokoju, miały być przedmiotem narad w Luneville'u.

Ojciec i córka byli zgodni w usposobieniach względem pani d'Etoiles: gotowi byli ją tolerować; ale Marja wobec zarzutów pobłażania, jakie jej czyniono, potrzebowała mieć uspokajające ojca pochwały.

Leszczyńskiemu to niespodziane przymierze z Marją dawało miarę kobiety, która z całą swoją pozorną niezgrabnością, nieznajomością form i etykiety okazywała się przebieglejszą, rozumniejszą od poprzedniczek. Uśpiła i rozbroiła najstraszniejszego z nieprzyjaciół. Delfin, choć otwarcie niechętny, postępowaniem

matki był związany. To już odniesione zwycięstwo stary król tłumaczył sobie jako doskonałą strategję córki!

W istocie, wychowanka pp. de Tournehem, Cahusac, Fontenelle, abbé de Bernis, Maupertuis i Voltaire'a, którą Ludwik XV przygotowywał się kształcić i okrzesywać, co go bawiło, przy pierwszem wystąpieniu silniejszą się okazała od tych wszystkich, którzy ją sobie lekceważyli. Nikt jej nie znał jeszcze, sądzono z powierzchowności; a tymczasem ta prostaczka, daleko zręczniejszą była, mając do czynienia z ludźmi nowymi, niż oni, którzy pochlebiali sobie, że ją przeniknęli. Motyle te skrzydełka stworzenia lekkiego osłaniały żelazną wolę i przebiegłość niezrównaną.

Dwór, widząc pobłażanie okazane przez królową wdzięki przy pierwszem z nią spotkaniu, całą winę tej przegranej złożył na biedną panią. Nie chciano przyznać tej Poisson nadzwyczajnej umiejętności życia; wolano ubolewać nad słabością królowej, która znana była z uległości mężowi, kardynałowi, Bourbonowi i niemal wszystkim swoim przeciwnikom.

Niektórzy, zamiast boleć, obwiniali królową o brak męstwa, siły, o grzeszną powolność, która zepsucie mnożyła. Nie zyskała na tem w opinji metresa, ale straciła królowa. Świątobliwość jej, dobroć, uprzejmość wyśmiewano, jako nieudolność i ślepotę.

Począwszy od Ludwika XV, który w nowej kochance widział istotę, względem której nie potrzebował się w niczem poskramiać, wszyscy się na pani d'Etoiles oszukać dali. Nikt się nie domyślał najprzebieglejszej w świecie, najzręczniejszej komedjantki i intrygantki. Prostaczka napozór, która słówek cedzić nie umiała i obudzała śmiech umyślną dosadnością wyrażeń, braną za nieokrzesanie, była widocznie czarodziejką w swoim rodzaju. Pomijając talenta, któremi zachwycała, urok twarzyczki młodej i cynizm pobudzający króla do śmiechu, wychowanica Voltaire'a miała niesłychaną zręczność zdobywania serc ludzkich. Pochlebstwem obrachowanem, które wydawało

się zachwytem, brała każdego, kogo sobie ująć chciała. Wszyscy, którzy jej nauczycielami być zamierzali, uczniami jej zaledwie być mogli. Zimna, bez serca, żyjąca głową i fantazją, tak znudzona jak jej koronowany kochanek, instynktami niewieściemi cudownie dobijała się do celu.

Na list ów księżny de Luynes, którego wyżej przepisaliśmy ułamek, d'Etoiles odpowiedziała:

— „Pani mi przywracasz życie. Tak od dni trzech, mościa księżno, doznawałam niezrównanych boleści. Oczerniono mnie przed jej król. mością, delfinem i delfinową. Miano tyle względności dla mnie, iż mi dozwolono dowieść, że obwinienia były fałszywe. Na kilka godzin wprzód mówiono mi, że i królową najgorzej uprzedzono o mnie... Sądź pani o mojej rozpaczy, gdy ja życiebym dała dla niej... To pewna, że im łaskawszą jest dla mnie, tem zazdrość tych poczwar goręcej się zajmuje wymyślaniem okropności na mnie... Jeżeli królowa raczy strzec się tych potwarców i zechce mi kazać powiedzieć, o co mnie obwiniono, nietrudno mi będzie się usprawiedliwić".

Rodzaj cichego przymierza stanął w ten sposób pomiędzy biedną królową Marją a zwycięską d'Etoiles, chwilowo się uniżającą przed tą, której najboleśniejszą krzywdę wyrządzała. Opłakując swoją powolność, Marja widziała się do niej zmuszoną.

III.

Aby się z niej wytłumaczyć przed ojcem jechała teraz do Luneville'u. — Stolicę ojcowską znalazła tak pełną i ożywioną, jak zawsze. Poprzedziły ją już tam wieści o przyjęciu d'Etoiles u dworu, powtarzano nawet kilka tych słów, któremi przywitała prezentowaną. Nie wszyscy im wierzyć chcieli.

Voltaire i jego klika cieszyli się już zawczasu z uzyskanego na dworze stanowiska, z tej obronicielki i protektorki, jaką im los dawał w przyjaciółce ks. Bernis

i Fontenella... chociaż wypadek młodego Helvetiusa powinien ich był przekonać, iż tu pilno czuwano nad tem, co wchodziło i wychodziło.

Leszczyński, nie objawiający zdania swojego, oczekiwał na przybycie Maruchny, którą całe grono gości powitało chciwie w ganku pałacu. Biedna ofiara uśmiechnęła się tylko witającym ją i razem z ojcem natychmiast zniknęła.

Przyjaciele domu zobaczyli ją przemykającą się tylko zbiedzoną, zawstydzoną, smutną, niosącą na łono ojca nowe upokorzenie... Milczącym uściskiem witał ją król Stanisław... Siadła, pochwyciwszy jego rękę do pocałowania, i rozpłakała się na długo.

Otarłszy łzy, gorączkowo potem tłumaczyć się zaczęła.

— Ojcze kochany, — mówiła — choć ty jeden mnie nie potępiaj! Miałamże Ludwika drażnić napróżno? Gdybym nawet zapobiec zdołała wprowadzeniu jej, któż mi zaręczy, że ta, coby ją zastąpiła, nie byłaby gorszą jeszcze? W tej prostej, przestraszonej szczęściem swojem kobiecie mam przynajmniej mniej zuchwałego przeciwnika.

Leszczyński słuchał, milcząc. Gdy skończyła, rzekł wreszcie:

— Nie potrzebujesz się uniewinniać przede mną. Zrobiłaś to, co ja, do porady powołany, byłbym ci uczynić życzył. Nie stworzył cię Bóg do walki z nikczemnemi istotami, które wejrzenia twojego nie są warte. Są w życiu ludzkiem wypadki, gdy zwyciężony, ulegając, nad zwycięzcę swego wyższym się staje i zdobywa siłę. Ludwikowi potrzeba dać do dna pić męty życia, które ze wstrętem już przełyka z nałogu, dopóki nie odepchnie czary.

— Nie mogłam postąpić inaczej — ciągnęła dalej Marja. — Drażniąc i zniechęcając tę kobietę, byłabym do niej zniechęciła delfina i żonę jego, a narażać ich na jej zemstę nie mogę.

— Ze wszech miar postąpiłaś chwalebnie — przerwał Leszczyński, usiłując ją uspokoić. — W życiu

potrzeba logiki: nie rozpoczynaliśmy wojny, gdy Nesle męża ci odebrały; występowałaś z godnością, nie patrząc na plugawe intrygi; nie czas teraz przeciwko pannie Poisson brać się do oręża. Musimy być ślepi i głusi. Arystokracja francuska obraża się, że po księżnie de Châteauroux przychodzi córka pośledniego oficjalisty; dla nas to wszystko jedno.

Marja wzruszyła ramionami.

— Luynes mnie zapewnia, — mówiła — że pokorniejszej nad nią sługi mieć nie mogłam. Ujęłam ją przez okazanie litości. Zresztą, niech się dzieje wola Boża. Jestem zawsze jak byłam, królową i matką delfina.

Stary raz jeszcze uściskał córkę.

— Na przyszłość plan mój obmyślany — dodała. — Usunę się całkiem od świata do moich małych pokoików, w których małe też kółko przyjaciół moich się pomieści. Ty wiesz, z kogo się to kółko składa: z rodziny tych poczciwych Luynes, nie wyjmując kardynała, który tak jest do delfina przywiązany, z obojga oddanych mi Chevreuse, z mojego kochanego, najlepszego prezydenta Hénault'a, Moncrifa, którego znasz i cenisz talent jego... a potem z niewielu innych... nieznanych ci... oddanych mnie, dworaków niedoli. Moje zakonnice karmelitki, moi księża w wyszarzanych sutannach, moich sług kilka... czyż nie dosyć? Rozrywek nie potrzebuję żadnych, muzyka nawet już mi się wydaje za płochą, malarstwo za jaskrawem. Skołatana, potrzebuję ciszy i pokoju.

— Gdyby one gdziekolwiek na świecie się znaleźć mogły, Maruchno moja! — westchnął król.

I natychmiast, chcąc zwrócić rozmowę, mówić począł o delfinie, o żonie jego, o Adelajdzie i spodziewanej w odwiedziny infantce.

Serce pociągało go szczególniej ku mężnemu wnukowi, który rozpoczynał walkę otwartą z niewiarą, z encyklopedystami i Voltaire'm. Królowa także o synu się odzywała z zachwytem; ale bolało ją, że lepszej

harmonji pomiędzy nim a ojcem wprowadzić nie mogła.

Ludwik XV w sprawach religji zajmował stanowisko dziwne. Jawnie unikał drażnienia ludzi, którzy pod pozorem szerzenia światła propagowali ateizm, a w skrytości nienawidził ich i pomagał duchowieństwu; ale i duchownym nie dowierzał, najmniejsze ich stanie przy swoich prawach poczytując za bunt przeciwko władzy królewskiej, o którą tak był zazdrosny. W polityce świeckiej i duchownej najmilej mu było pozostać zagadką nierozwiązaną.

Aby taką zagadką pozostać, król często jawnie czynił coś, przeciwko czemu skrycie potem oddziaływał, w odwrotnym kierunku. Ministrowie usiłowali zgadywać jego usposobienia, on sam dawał je im odgadywać, a w duszy żywił zupełnie inne od tych, które okazywał. To zwodzenie ludzi było dla niego zabawką. Miał na tajemne posługi skrytych i sobie tylko znanych agentów.

Leszczyński prawy, otwarty, czujący się do obowiązku nie tylko głoszenia prawdy, ale bodaj cierpienia dla niej, nigdy zięcia zrozumieć nie mógł; a najczęściej, chcąc mu się przypodobać, robił to, co mu niemiłem było. Tę otwartość charakteru po ojcu wzięła Marja, a po niej odziedziczył ją delfin, ale w nim zaprawna ona była sarkazmem i goryczą.

Stanisław, nie mogąc rozwikłać zagadki, jaką Ludwik był dla niego, zwracał się teraz z całą miłością i nadziejami ku wnukowi. On i matka w delfinie widzieli przyszłość Francji; Leszczyński nigdy nie śmiał potępiać zięcia, ani się skarżyć na niego; nigdy też Marja nie odzywała się o nim inaczej, niż z należną czcią i politowaniem. Oboje czuli wszakże, że był dla nich straconym i dla kraju, bo żył tylko dla fantazyj swoich i dla siebie, świat cały uważając za stworzoną dla niego zabawkę.

Delfin był im całem uosobieniem przyszłości. Wiadomo, z jakiem upragnieniem czekała Francja na potomka płci męskiej, żądał go Ludwik, modliła się

o niego królowa; z szałem radości niesłychanej powitano przyjście jego na świat... Dwór i król, który śmieszną wagę przywiązywał do etykiety i ceremonjału, zapragnął obchodzić narodziny delfina z całą tradycjonalną pompą, bodaj średniowieczną.

Ale około siedemnastu lat upłynęło od narodzin ostatniego delfina, wszystko było zapomniane, musiano szukać wspomnień, które odżywione być miały.

Królowa przypomniała jeszcze ten moment życia swojego, jako jeden z najszczęśliwszych. Dziadowi zdawało się, że zapytując teraz o delfina, serce uciśnięte matki pocieszy i da jej zapomnieć o doznanem upokorzeniu.

Po krótkim przestanku zwrócił się do niej, zapytując o delfina, dając poznać, że radby wiedział, co on względem nowej zamierzał metresy, przeciw której tak się groźno stawił z początku. Marja milczała nieco, bo dotknięta struna brzmiała boleśnie w jej duszy.

— Ojcze mój, — odezwała się po namyśle — nie potrzebujesz nawet pytać o Ludwika. Burzył się, musiałem użyć całej mojej przewagi nad nim, aby skłonić go do pobłażliwości. W pierwszej chwili, gdy nas wieść doszła o wyborze tej Poisson, miał mocne postanowienie sprawcę tego skandalu, Bineta, który się zowie jej krewnym, zmusić do ucieczki groźbą gwałtu, którego chciał użyć, aby go oddalić. Ale możnaż było dozwolić, ażeby wystąpił przeciwko ojcu własnemu?

— Nigdy w świecie! — przerwał strwożony Leszczyński.

— Ja nie mogłam i nie miałam ani prawa, ani siły wojować z mężem; — ciągnęła dalej królowa — on nie powinien był postępowaniem swojem mojego potępiać. Klękał przede mną, abym się opierała i protestowała przeciwko nowemu zgorszeniu... ale cóżem ja począć mogła? Sprzeciwiać się królowi, było to tylko przyśpieszyć spełnienie tego, co postanowił...

Musiałam delfina prosić, aby szedł ze mną razem i milczał, tem bardziej, że serce ojca i tak nie skłania się ku niemu, a od podróży do Metzu podejrzewa go o żądzę panowania.

— Radbym go widzieć; — wtrącił Leszczyński — dawno już mnie nie nawiedzał. Łaknę go, a wy mi skąpicie...

— Nie jam winna — odparła Marja. — Ja sama mam go za mało. Siedzi zamknięty nad książkami. Tak było od dzieciństwa, tak pozostało i teraz. Matka, mająca największe prawa, widywała dziecię swoje najmniej. Wyrwała mi go naprzód księżna de Ventadour, bo królowej Francji nie godziło się być matką i ona ją zastępowała. Ona i jej trzy pomocnice ledwie mi dozwalały dostąpić do jego kołyski. Nie znałam macierzyńskich rozkoszy... Tradycje wymagały, aby w niewieścich rękach pozostał do lat siedmiu; ale Ludwik tak dojrzewał żywo, a nad wiek swój pozbywał dzieciństwa, iż go ojciec przed czasem oddać musiał księciu de Chatillon, pp. de Mouy i Palestron. Trzeba było znowu rachować się z etykietą, kiedy ona mnie do niego dozwalała przypuszczać... A jednak zachował dla mnie uczucie przywiązania, które może przeszkody wzmogły, bo mi go długo okazać nie mógł prawie. Poszczęściło mi się biskupa Mireprix, oddanego mnie, nastręczyć mu za preceptora, a oprócz tego abbé Saint-Cyr i Marboeuf więcej sprzyjali nam, niż wpływom przeciwnym. Czuwać mogłam nad wychowaniem jego, nad sercem, nad pobożnością i nad przywiązaniem jego dla mnie... Zarzucali mi i zarzucają, żem go pieściła, ale nie zaprzeczą, że posłuszniejszego nad niego na świecie nie było dziecięcia.

— Dla ciebie, — dodał weselej Leszczyński — ale utrzymują, że on ciebie jednej słucha tylko, nikogo więcej; że Boyer swoją powagą, Saint-Cyr łagodnością, Marboeuf pokorą nie mogli zapobiec, aby nie wybuchał gniewem, nie zdradzał się z niecierpliwością.

Królowa gorąco stanęła w obronie ukochanego dziecięcia.

— Ojcze mój drogi! — mówiła — aniołby nie potrafił pohamować oburzenia przeciwko temu, co jego, młodego i niedoświadczonego do wybuchów pobudza. Dotąd nie mogą mu zapomnieć, iż potrącił Boyera, że, dzieckiem będąc, chciał, aby na rozkaz jego wiatry milczały. Wychowali go tak, iż, gdybym ja ich dzieła nie poprawiła, zamiast uczynić bohatera, jakim mieć chcieli, uczyniliby go dzikim. Ja i biskup Mireprix — dodała matka — sprawiliśmy, że Ludwik posiada wiarę głęboką, gorliwość religijną i niezachwiane zasady... wstręt do tych reform, które Francji grożą zagładą... Nie mają encyklopedyści nieprzyjaciela większego nad niego; niezrażony jest w naleganiu na ojca, aby pospołu z parlamentem tamę położył zgorszeniu... Fréron nie ma lepszego protektora nad niego.

Uśmiechnął się król stary.

— O! o! — zawołał — zapominasz, żem i ja syna mu trzymał do chrztu i przyjął go do mojej Akademji.

— Fréron się tem chlubi i przypomina to nieustannie — podchwyciła Marja. — Ale powróćmy do Ludwika, któremu ani Poisson, ani jej rodzina nie jest straszną, ale się lęka Voltaire'a, którego ona ciągnie tu z sobą.

Leszczyński, który rad był rozmowę urozmaicić, aby nie dać córce gryźć się i martwić rozpamiętywaniem przygód nowej metresy, podchwycił imię Voltaire'a.

— Niepoczciwy to, ale genjalny człowiek! — zawołał. — Naprzód, nikt nad niego piękniejszych wierszy we Francji nie pisze, nikt dowcipniejszym nie jest i nikt pracowitszym, a mało kto zręczniejszym. Poczciwemu, uczonemu Fréronowi z nim się nie mierzyć... Pamiętasz, jak ten czarodziej oboje nas zachwycał, gdy jeszcze taił się ze swoją nienawiścią względem wiary i kościoła.

— A! pisał tak do mnie madrygały, jak dziś do Poisson, której ma być wielbicielem rozkochanym! — roześmiała się królowa.

— Prawdziwie wdzięczni jej być powinniśmy, — rzekł król — iż go sobie zabrała.

— Tak, lecz jeżeli potrafi go nauczyć zabawiać króla, a dowcipem swoim rozpędzi jego nudy, może z łatwością nabyć wpływu na umysł królewski.

— O! — przerwał Leszczyński — samaś mi tyle razy zaręczała za religijne męża usposobienie, za gorliwość jego w rzeczach wiary, iż ja się w nim ostygnięcia, apostazji nie boję.

— W głębi duszy pozostanie wiernym Bogu, — dodała królowa — ale chwilowo może pobłażliwym być dla nieprzyjaciół jego. O syna nie lękam się wcale; tego niewzruszonej mocy duszy nic zachwiać nie potrafi.

— A córki? — wtrącił król.

Smutnie jakoś ściągnęły się usta Marji. Przypomnienie bolesne wywołało dreszcz, od którego wstrząsnęła się cała.

— Słyszałeś, jakie im ponadawał imiona? — zawołała z boleścią.

— Imiona? — podchwycił Leszczyński z podziwieniem.

— Tak, albo, jeśli chcesz, przezwiska — oglądając się bojaźliwie, mówiła królowa.

Stary milczał zachmurzony.

— Zdaje mi się, — dokończyła Marja — że żaden jeszcze król Francji nie splamił sobie ust takiemi brudy... Trzy starsze noszą przydomki: *Logue, Chiffe et Graille...* Nie wiem, co dla reszty zachował.

To mówiąc, westchnęła biedna. Leszczyński z obrzydzeniem odwrócił się, pytając o infantkę i Henrjetę. Były to właśnie dwie najstarsze.

Rozmowa byłaby inny może obrót wzięła, gdyby nie oznajmiono o przybyciu Włodka, który pozostał był w Paryżu, a miał napędzić królową, jeżeliby za-

szło coś stanowczego w sprawie, która teraz wszystkie inne zagłuszała.

Zabierało się na wojnę, Ludwik XV pamiętny może przestróg Châteauroux, aby swoim generałom nie dawał sobie laurów odbierać, sam miał stanąć na czele wojska.

Czekać więc znowu mogło królową to, co ją z księżną spotkało, oburzając lud do najwyższego stopnia. Mógł król zabrać z sobą d'Etoiles, a żonie nakazać w Wersalu pozostać.

Zaledwie oznajmiono o Włodku, gdy król niecierpliwy dał znak, aby go natychmiast wpuszczono. Poseł wszedł z twarzą rozjaśnioną, co przypuszczać dozwalano, że nic z sobą nie przywoził złego. Król wyciągnął ku niemu rękę, a wierny sługa ucałować ją pośpieszył i zkolei potem zbliżył się do królowej.

— Z czemżeś się tak śpieszył do nas? — zagaił Leszczyński. — Pod te złe czasy nic się, nawet po tobie, nie spodziewam dobrego, bo ty kłamać nie umiesz.

— A nacóżby się przydał fałsz, gdy prawda chodzi po ulicy? — odparł Włodek. — Król się wybiera do armji.

— To nie nowina, — rzekł Leszczyński — a któż z nim więcej!

— Nie wiem: — zawołał Włodek — to pewna, iż ryba, którąbyśmy radzi byli widzieli w tym saku, nie wpadnie weń, nadto rozumna. Nowa metresa nie będzie panu towarzyszyła, pamiętając, jak na dawną błotem i kamieniami rzucano. D'Etoiles na ten czas wygania się sama na wieś i znika z oczu złośliwym paryżanom, dając się im wyśpiewać, wyśmiać z siebie i nacieszyć plotkami. Wróci pokryta królewskiemi laurami i nikt jej nie postrzeże.

— Cóż więcej mówią w Paryżu? — odezwał się Leszczyński, którego twarz oblekła się smutnym wyrazem.

— Najj. panie, — ciągnął Włodek dalej wesoło — Paryż nie mówi, ale śpiewa. Nigdy tyle piosne-

czek nie sprzedawano po ulicach. Poissonady liczą się na tysiące, jedne od drugich dowcipniejsze. Mówią, że Maurepas na współkę z Pont'em de Veyle i Caylusem dostarczają najzjadliwszych. Cała genealogja d'Etoiles jest już wyśpiewana, wyrysowana, wyryta dla potomności. Prawdziwie nie wiem kogo mieć będzie z sobą d'Etoiles, tak wielu ma przeciwko sobie.

Królowa westchnęła i z pewnem zadziwieniem spojrzała na Włodka.

— Znasz bardzo dobrze dwór i tych, z których się on składa, — przerwała mu — a nie wiesz, mój stary przyjacielu, że dzisiejsi jej wrogowie jutro kraj jej szaty całować będą. Nie ręczę nawet za tego Maurepas, który zarówno moim, jak jej jest nieprzyjacielem. Pewną jestem, że tak głośno przeciwko niej oświadczający się Richelieu, ulegnie wkońcu i da się skorumpować.

— Przyszłości nie odgaduję, — przerwał Włodek — ale teraz nie słyszałem, aby kogo miała za sobą, oprócz koniuszych, jak Binet, lokajów, jak Bachelier, i pań takich, jak Tencin.

— Źle słuchałeś, mój Włodku — odparła królowa. — Ma już przecie księżnę i księcia de Conti za pieniądze, ma braci Parisów, którzy głośno może śpiewają piosenki a słuchają rozkazów pocichu... no, i panią d'Estrades.

Przez cały ten wieczór w Luneville'u mówiono tylko o Poisson-Etoiles. Przynosił ktoś ciągle jakąś nową wiadomostkę, rys charakterystyczny, dowód przebiegłości i zręczności. Królowa słuchała zrezygnowana; Leszczyński starał się ukryć niepokój, jaki to w nim budziło.

Nareszcie późno w noc, po wieczerzy i koncercie, królowa, która nazajutrz rano do Wersalu powracać musiała, odprowadziła ojca do jego gabinetu.

Zwykle spokojny i jak córka zrezygnowany, stary król tym razem był zadumany i smutny. Marja starała się go pocieszać tem, że Poisson osobiście nie zda-

wała się jej niebezpieczną. Dobroduszna królowa nie obawiała się tej, którą sobie wyobrażała jako prostą, nieokrzesaną, nieobytą z życiem dworu kobietę, która w królu namiętność obudzić mogła, ale długo jej utrzymać nie jest zdolną.

Król stary wysłuchawszy opowiadania córki, pocałował ją w czoło.

— Moja Maruchno, — odezwał się — moja Maruchno! ja z tego wszystkiego, co słyszę, wcale inne wyciągam wnioski. Daj Boże, abym się mylił. W każdym kroku tej kobiety widać obrachowanie i przebiegłość niezmierną, talent i rozum niepospolity. Może ona mieć prostacze maniery, ale chytrością i subtelnością wszystkie wasze księżny przechodzi. Nie waż jej lekko! Zobaczysz! Ludwik ją wziął jako cacko, a ona go prowadzić będzie... gdzie zechce... Alboż i to nie jest dowodem zręczności, że sobie twoją poczciwą Luynes ująć potrafiła, a ciebie rozbroić pokorą?

Królowa Marja spojrzała na ojca, w oczach jej łzy się zakręciły, i nic nie odpowiedziała.

IV.

Niewiele czasu potrzeba było wyśmianej, wygwizdanej, okrzyczanej w początkach Poisson, aby piosnki uszczypliwe zmieniły się w ody na jej pochwały i uwielbienie. Za rydwanem swoim zwycięskim wiodła już wodza ludzi, którzy opinji publicznej ton nadawali — Voltaire'a. Zastęp jej przyjaciół rósł z dniem każdym.

Maurepas napróżno strzelał złośliwemi i cynicznemi epigramatami; pobożni ludzie napróżno gorszyli się jej samowolnem wyrwaniem się mężowi; d'Argenson i Orry szemrali na rozrzutność króla, który wszystkim zalecał oszczędność, a dla niej rozsypywał krocie. Potwarze, obelgi, szyderstwa rozbijały się o jedno wielkie znakomite dzieło, jakiego dokonała pani d'Etoiles, przemianowana na margrabinę de

Pompadour... Król — nudzić się nie miał czem: nowa metresa nie dawała mu wytchnienia ani spoczynku, nie pozostawiała go ani na chwilę samemu sobie i nudzie. Czyhała na niego, porywała, wciskała się wszędzie, a wkońcu stała się tak potrzebną, jak powietrze do oddychania.

Nieznacznie rozpostarła swoje panowanie na wszystkie strony, owładnęła ludźmi, potrafiła pozbyć się nieprzejednanych, poodsadzała niechętnych, ujęła najzaciętszych, olśniła nawet tych, którzy poczęli od sarkazmów, a kończyli na ekstazie.

Za jej wozem triumfalnym szli pocci i kroczyli filozofowie.

Osobliwa rzecz, metresa królewska była z uwielbieniem dla królowej. Poeta jej nadworny, który był razem poetą Fryderyka II, zarówno śpiewał chwałę faworyty i majestat męczennicy. Pompadour stała na straży, aby jej oszczędzać cierpienia, aby ją od lekceważenia obronić, dawała przykład uwielbienia dla jej cnoty... Te objawy głośne, w których szczerość wierzyła królowa, zmuszały prawie do wdzięczności, do powstrzymywania delfina, niekiedy nawet do stawania w obronie nowej margrabiny. Syn zżymał się na to postępowanie matki, ale kochał ją i szanował tak, że się w niczem sprzeciwiać nie śmiał. Większość też wyrzucała królowej Marji pobłażliwość zbytnią, nie pomnąc na to, że tyle już wycierpiała, iż do walki czynnej wkońcu sił zabrakło. Królowa stawiła tylko opór bierny i za cały swój oręż miała cierpliwość.

Księżna de Luynes, prezydent Hénault bronili Marji, a przynajmniej zapobiegali, ażeby zbytniej powolności na złe nie tłumaczono. Pompadour zaś małemi przysługami, wielkiem poszanowaniem w obejściu się, drobnostkami szczególniej starała się utrzymać w łaskach królowej, które najaw wychodzić nie śmiały, bo się z nich nielitościwie wyśmiewano... Nie było dnia prawie, ażeby oskarżana o zbytnie uleganie

faworycie, o uzuchwalanie jej nie była zmuszoną tłumaczyć się przed delfinem i córkami.

Pompadour nie zaniedbywała czynić głośnem swojego uwielbienia dla królowej, a chlubić się najmniejszą oznaką dobrego jej dla siebie usposobienia. Wszystko to mistrzowsko było prowadzone, ale nie w jednym stosunku swoim do królowej, owa prostaczka nieokrzesana, którą miano uczyć obyczaju i ogłady, okazała się godną walczenia z najwytrawniejszymi intrygantami.

Począwszy od spraw prywatnych, nieznacznie wślizgała się w kierowanie publicznemi, dopomagając, wyręczając w nich króla, oszczędzając mu często przejść nieprzyjemnych, a w istocie wyrywając z rąk wodze.

Wszystkie środki owładnięcia ludźmi dobre jej były, począwszy od pochlebstwa aż do zalotności i obietnic na przyszłość, które ambicję obudzały. Tak samo do pozbycia się nieprzyjaciół, nigdy zbytniej nie używając srogości, nie posługując się zemstą, umiała niepostrzeżenie zastawiać sidła i ku nim ich napędzać. Wszystko to działo się częstokroć tak, iż ani król, ani nikt nie dostrzegał jej zabiegów, nie domyślał się celu obrotów, aż gdy rzecz została dokonaną.

Jawna niechęć i nieprzyjaźń wypowiedziana jej przez Richelieu'go, który wojnę przeciwko niej prowadził, musiała się dać złamać i uległa tak powolnemu, umiejętnie stopniowanemu pozyskiwaniu go, że sam on nie postrzegł, jak został rozbrojony.

Zamiast, jak inne jej poprzedniczki, zamykać króla w ciasnem kółku małych rozrywek, Pompadour podbudzała go do polityki czynnej, do szukania rozgłosu, do przypodobywania się zazdrosnym o sławę Francji.

Na zwalczenie nudów królewskich, które się zdawały nieprzezwyciężonemi, coraz nowe umiała wynajdywać środki, nie dając mu spoczynku na chwilę.

Ponieważ król i królowa głęboko byli przejęci religijnemi uczuciami, a u dworu wszystkie praktyki religijne ściśle były obserwowane, muzyka kościelna

nie była też zaniedbaną. Pompadour z kościoła potrosze zrobiła teatr. Śpiewała sama, znalazła piękne głosy wśród arystokracji i na scenie. Wszystko to w czasie postu bawiło króla, a od tych prób krok tylko już zostawał do utworzenia teatru amatorskiego na dworze. Samego króla potrafiła tem zająć i obudzić w nim ciekawość.

Teatr ten gabinetowy, w salce zawierającej zbiór medalów, rozpoczął się naturalnie sztuką Voltaire'a: „Synem marnotrawnym". Nie marzono nawet o tragedji, operetkę i balet przybierając w pomoc sobie.

Jak dla kuchmistrzującego króla musiano srebrne kuć rondelki, tak dla Pompadour cały przybór teatralny na królewskiej postawiono stopie.

Pomijając aktorów i kierowników, nauczycieli, kopistów, starczyło mu ledwie siedmiu krawców i garderoba od złota i najdroższych bławatów. Składy jego ze wspaniałością królewską były zaopatrzone.

Tymczasem Marja Leszczyńska z grubego płótna szyła sama koszule dla ubogich, a bawełnicy na pościele musiała żebrać u konfiskujących kontrabandę urzędników komory.

W cichym i biednym saloniku królowej maleńkie kółko spędzało godziny długie, jednostajne, samotne, i nikt nie starał się tu dobić i wcisnąć, — gdy około teatru wyprzedzano się z największem poniżeniem, aby wstęp uzyskać, którego zazdrośnie wzbraniano. Opowiadano, że Pompadour miała raz zuchwale drzwi zamknąć przed marszałkiem de Noailles i księciem Contim! Role lokajów grać się dobijały największe imiona. Znaczny jeden dygnitarz garderobianie faworyty dla jej kuzyna obiecywał stopień w wojsku, jeżeliby krewnemu jego podrzędną rolę wyrobiła w „Tartufie"!

Lecz teatr był tylko zabawką. Pompadour panowała wkońcu nie tylko nad życiem króla prywatnem, ale nad jego polityką, wyborem ludzi, którymi się posługiwał, najmniejszym ruchem i najtajniejszą myślą. Jeden Maurepas, który się tem chlubił, iż nie

uległ nigdy i nie uląkł się żadnej kobiety, był dotąd niezwyciężonym. Wojna z nieprzyjaciółmi jawnymi wkońcu się ograniczyła do niego jednego. Delfin wprawdzie i królewny na każdym kroku starały się okazywać jej wzgardę i wstręt, ale królową mając za sobą, postępowanie ich też przypisywała natchnieniu i poduszczaniu pana de Maurepas.

Walka z nim była już na tym stopniu, iż nie mogła się niczem innem skończyć, tylko upadkiem jednego z przeciwników.

Stary pochlebiał sobie, iż on przecie królowi potrzebniejszym będzie, niż łatwa do zamienienia metresa, którą powinien się był znudzić.

Ludwik XV przez jakąś fantazję, milcząc, tolerował zażartą wojnę pomiędzy faworytą a ministrem, można było przypuszczać, że go to bawiło.

Na cokolwiek skarżyła się Pompadour przed królem, Maurepas był przyczyną wszystkiego. On miał podburzać delfina do najboleśniejszych dla niej przycinków, on ośmielał i popychał królewny, on buntował przeciw królowi duchowieństwo, on szerzył plotki uwłaszczające monarsze, zachęcał do buntów i dawał przykład nieposzanowania woli panującego.

Skarg tych król zwykle słuchał milczący, a najczęściej przerywał je, zapytując o coś lub kogoś zupełnie rzeczy obcego; — ale wrażenie pozostawało... Pamięć miał doskonałą.

Na wieczerzy w małych apartamentach, gdzie swoboda słowa była większą, niż zwykle, wobec króla, hrabiny d'Estrades, pani Pompadour rozerwawszy bukiet z białych hiacyntów, rozrzuciła sobie kwiaty pod nogi. Maurepas, który był przytomny, dopuścił się z tego powodu zjadliwego dowcipu, śmiertelnie obrażając nim piękną faworytę. Poprzysiężono mu zemstę.

Maurepas uchodził za autora złośliwych piosnek przeciwko faworycie. Poleconem było wyśledzić ich autora. Maurepas zwlekał ze spełnieniem rozkazu.

Nazajutrz Pompadour pojechała sama do niego

z zapytaniem, kiedy nareszcie dowie się imienia tego, który owe piosnki pisał?

— Gdy się o nim dowiem, doniosę o tem królowi — odparł zimno Maurepas.

— Wpan nie szanujesz wcale tych, których król kocha — rzekła na to faworyta.

Maurepas, mierząc ją wzrokiem zuchwałym, rzekł dobitnie:

— Zawszem je szanował — jakiegokolwiek były rodzaju.

Na tem skończyła się rozmowa, którą Pompadour nadaremnie przedłużyć się starała.

Tegoż dnia, gdy się już wieść rozeszła, iż Pompadour sama jeździła do swojego wroga, przebłagać go usiłując, winszującej mu tych odwiedzin marszałkowej de Villars odpowiedział Maurepas:

— Tak jest, dziś rano była u mnie margrabina. Zła to dla niej przepowiednia.... Przypominam sobie teraz, że pani de Mailly na dwa dni przedtem, gdy wygnaną być miała, odwiedziła mnie także. Ja dla nich wszystkich jestem nieszczęścia zwiastunem.

Do najwyższego stopnia rozjątrzona przeciwko zuchwałemu przeciwnikowi, Pompadour natychmiast porwała z sobą króla w podróż do zameczku de la Celle, samotnej ustroni, gdzie od wszelkiego wpływu obcego był zabezpieczony. Minister tymczasem triumfujący jechał na wesele.

Tu Pompadour nie dała na chwilę spocząć królowi, nieustannie się skarżąc. Maurepas z ust jej nie schodził.

— Trzeba być tak ślepym, jak ty, — mówiła mu — aby grożącego nie widzieć niebezpieczeństwa. — Maurepas jest wszystkich spisków głową, sercem, kierownikiem! Jeżeli delfin ośmiela się być nieposłusznym, gdy królewny się buntują, jeżeli lud bezkarnie śpiewa przeciwko panu swojemu paszkwile, jeżeli plotki niedorzeczne się szerzą, nikt temu nie winien tylko on... On to czyni jawnie, chwali się tem! Wszyscy wiedzą,

że, inaczej nie mogąc, pozbyć się Châteauroux trucizną... Wiem na pewno, że i mnie ten sam los czeka.

Przyznała się potem, że co noc cyrulik z lekarstwami i antydotami przeciw truciznom sypiał w bliskości, tak była pewna, że jej Maurepas przy którejś wieczerzy zada truciznę.

Król z tego śmiał się w początku, ale Pompadour płakała. Nazajutrz znowu dowodziła, jak okropnie złym przykładem był bunt Maurepas'a przeciwko tym, których król kochał. Po całych rankach, on, obcując z delfinem, wpajał w niego to przekonanie, że powinien był walczyć przeciw ojcu jawnie, dopókiby na swojem nie postawił i metresy nie wypędził. Zmęczony wkońcu Ludwik XV, miękнąć zaczynał, przyznając, że Maurepas jest zbyt zuchwały, ale też niezmiernie potrzebny.

Pompadour dowiodła mu, że zawsze więcej szkodził, niż pomagał, wszystko się nie wiodło, zawsze przez niego.

I nazajutrz z de la Celle szedł już rozkaz do Maurepas'a, polecający mu natychmiast oddalić się do Bourges i pod utratą łaski pańskiej pozostawać tam aż do dalszego rozporządzenia.

Odbierając list, stary uśmiechnął się szydersko.

— D'Argenson — zamruczał — nie będzie dowcipkował jak ja, ale odziedziczy po mnie potrzebę pozbycia się tej intrygantki.

Pozbycie się Maurepas'a było triumfem wielkiego rozgłosu, zwycięstwem ogromnego znaczenia.

Królowa, której wiadomość o tem przyniosła księżna de Luynes, zawołała żywo:

— Widzisz, księżno moja, chciano ode mnie, abym ja bezsilna porywała się do walki z nią, gdy ona jednem dmuchnięciem takich olbrzymów obala!

— Tak, kochana matko, — przerwał nadchodzący w tej chwili delfin, który żałował Maurepas'a, — ale od ciebie nie wymagał nikt, abyś ty ją zwyciężyła, tylko, abyś stanęła do walki. Ty zaś dałaś się ująć jej

pięknym słowom i w oczach tłumu wyglądasz, jakbyś nie tylko pobłażała złemu, ale pomagała do niego.

Nie miał czasu dokończyć delfin, gdy spojrzawszy na matkę, łzy dostrzegł na jej oczach i upadł przed nią na kolana, przestraszony tem, że on — dziecko jej — śmiał dawać matce naukę.

— Przebacz mi! — zawołał, nogi jej całując — przebacz! uniosłem się.

— A ja ci nic do przebaczenia nie mam — odpowiedziała, spuszczając oczy, królowa. — Jestem w istocie winną — zawczasu należało mnie o tem ostrzec. Tak jest, zgrzeszyłam pobłażaniem, milczeniem, obawą cierpienia, małością ducha.

Księżna de Luynes, oburzona, usta jej zamknęła.

— W. król. mość zawsze najłatwiej obwiniasz siebie, — rzekła — ale ja od początku świadkiem byłam wszystkiego, ja pośredniczyłam, ja też winna jestem, a może najwinniejsza.

Urywek tej rozmowy, która się często powtarzała, tym razem nagle przerwanej, długo brzmiał w pamięci biednej pani, która się obawiać zaczęła prostej nawet wzmianki imienia Pompadour, tak ona jej wielki ów grzech pobłażania niecnocie przypominała.

W tej walce metresa małemi nader, zaledwie dostrzeżonemi ustępstwami zdobywała sobie coraz większą siłę.

Gdy teatr amatorski rozpoczynać się miał od skromnych bardzo koncertów muzyki kościelnej — na wyraźne jakoby żądanie królowej, ażeby ją czemś z muzyki świeckiej, teatralnej przeplatano, Pompadour miała zuchwalstwo wystąpić z arją „Triumfu Armidy", która wydała się wszystkim tak obrachowaną aluzją do położenia jej własnego, że królowa nawet uczuła ją i zabolała. Nie było to z pewnością ani obmyślanem, ani przygotowanem, ale musiało dotknąć królową, której niewdzięczna margrabina urągowiskiem za jej łagodność płaciła. Nie omieszkano znowu wyrzucać Marji pobłażania, ale strwożona de

Luynes postarała się o to, aby obwiniona wytłumaczyła się i oczyściła.

Teatr rozwijał się świetnie, kosztownie, rujnująco, ale król się nim bawił. Tego za drogo opłacić nie było można. Do aktorów z mężczyzn liczyli się książę d'Orleans (naówczas jeszcze de Chartres), książęta d'Ayen, de Nivernois, hrabiowie Duras, Maillebris, Langeron, margrabia de Courteveaux, d'Entragues, naostatek i książę de Coigny. Pomiędzy aktorkami odznaczały się księżna de Brancas, pani Trusson ze dworu delfinowej, pani de Pons, de Livry, a na ich czele pani de Marchais kuzynka faworyty, która była naprzód za synem Bineta, koniuszym króla, a potem za panem d'Angivilliers.

Król sam, choć miał przed sobą przykład Ludwika XIV, występującego na scenie, pamiętny jednak na powagę swoją, nie dał się nigdy wciągnąć do niczego więcej nad prosty kontredans.

Teatr margrabiny tak zajmował go jednak, że dla okazania powolności ojcu, coraz więcej zniechęcanemu, delfin nawet z żoną musiał się na nim pokazać pomiędzy widzami. Przedstawienie tak się powiodło, iż po niem dano operę w jednym akcie „Erygonę". To podobało się królowi do tego stopnia, iż ośmielił się na powtórzenie jej zaprosić królową! (d. 22 marca r. 1747).

Było-li to pomysłem własnym jego, czy myślą poddmuchniętą przez margrabinę? — pozostało tajemnicą. Zaproszenie nieprzewidywane, które spadło jak piorun, sprawiło wrażenie ogromne. Królowa była niem przerażona. Pójść posłusznie, znaczyło potwierdzić wszystkie głoszone wieści o niesłychanem pobłażaniu dla margrabiny; oprzeć się, mogło wywołać straszny gniew króla. Bytność delfina z żoną usprawiedliwiała królową... teatr należał do króla.

Przez cały dzień, poprzedzający widowisko opłakane, ściągali się na naradę do królowej jej przyjaciele: nie odstąpiła na krok przyjaciółki księżna de Luynes, nie odchodził prezydent Hénault, wezwano

nawet duchownych, królowa posłała po księdza Biegańskiego i po Włodka.

Jezuita, posłyszawszy, o co chodzi, złożył ręce w milczeniu i oczy błagalnie podniósł ku niebu. Włodek zakrzyknął oburzony, iż na to nigdy w świecie zgodzić się nie można... Ale narada przedłużyła się potem, gdy królowa z boleścią wyznała Włodkowi, iż do uczynienia królowi przykrości nie ma ochoty ani siły. Jezuita nie widział w tem nic zdrożnego; królowa dowodziła, że po wszystkich ofiarach, na jakie ją los naraził, ta się do najboleśniejszych liczyć nie może. Włodek więc ulec musiał.

Królowa z początku myślała upozorować swoją nieobecność nagłą chorobą, ale i tego się później wyrzekła. Córki towarzyszyć jej miały, a te wiodła złośliwa ciekawość. Posłuchać więc postanowiono; ale królowa szła jak na pręgierz skazana.

Był to jeden z najświetniejszych wieczorów teatralnych, na którym obok Ludwika XV, promieniejącego jeszcze życiem pobudzonem, widziano królową zwiędłą, skromnym strojem i pokorną postawą protestującą przeciwko przepychowi, z jakim się popisywała faworyta, delfina z brwią nachmurzoną, który musiał stawić się dla żony, pod pozorem choroby nieprzytomnej widowisku, a obok nich sławnego Maréchal de Saxe, książąt Luynes, marszałków de Duras, księcia d'Aumont, Noailles'ów i najgłośniejsze imiona Francji, przyklaskujące triumfowi margrabiny.

Król szczególniej był zachwycony; królowa zdawała się też ujętą talentem artystów improwizowanych i skromnością, z jaką przyjmowali dowody uwielbienia, któremi ich osypywano.

Tak zwycięska na wszystkich prawie polach, na których się walka wywiązywała, Pompadour, mimo to nieustannie czuwać musiała, bo wiedziała bardzo dobrze, iż najmniejszy dowód ostygnięcia króla, mógł być dla niej znakiem upadku.

Czyhano na to i spodziewano się tego co chwila.

Utrzymać przy sobie ostygłego i w najwyższym stopniu zużytego człowieka było zadaniem, któremu tylko Pompadour podołać mogła, bo gotowa była nawet do takich posług, jakichby się żadna inna nie podjęła.

Wszystko to, co się działo wśród dworu, około króla, pod jego bokiem, nie dałoby spocząć i opamiętać się każdemu innemu temperamentowi i umysłowi poważniejszemu. Wojna, przymierza, zwroty w polityce, ruina finansowa, zatargi z duchowieństwem, z parlamentem — starczyłyby na wyczerpanie sił monarchy, któryby na to siłami szafował. Ludwik XV z osobliwem lekceważeniem zdawał się to wszystko zostawiać jakiemuś biegowi fatalnemu. Więcej go czasem obchodziła skarga naprzykrzona faworyty, niż protest parlamentu, niż opór episkopatu, niż powszechne umysłów podrażnienie, odbijające się w pamfletach, paszkwilach i piosenkach.

Sprawy istotnie ważne i wielkie nudziły go i przygniatały, a teatr margrabiny doskonale od nich odrywał. Męczeństwo królowej, opuszczenie jej tak bijące w oczy nie obudzało w nim ani sromu, ani współczucia dla ofiary. Niechęć delfina, miotanie się biednych córek czasem go niecierpliwiły, częściej niemal stanowiły dla niego rozrywkę.

Około króla wrzało czasem, kipiało, groziło wybuchem; jemu ten zamęt był jakby elementem niezbędnym do życia.

Dwoista polityka, jawna i skryta, niepoliczone miłostki i fantazje, wojna, triumfy, klęski, wszystko to kamiennego człowieka nie wyczerpywało.

Obok tej gorączki, która z nim przenosiła się wszędzie, gdzie z faworytą szukał nowej rozrywki albo chwilowego wypoczynku, nic większego nie mogło stanowić kontrastu nad to życie, jakie się powoli wyrobiło około „dobrej królowej".

Ona i rodzina stoją obozem osobnym przeciwko Pompadour. Delfin, oraz nieznużona, zajadła Adelajda bronią interesów swoich przyjaciół; królowa zupełnie znika w cieniu. Położenie to, z którem długie

już lata cierpienia obyć się dozwoliły, przystawało tak dawnemu trybowi życia Leszczyńskiej, temperamentowi jej i charakterowi, iż teraz może, rozczarowana, na żadne inne zmienićby go nie chciała. W tem ciasnem kole, jakie sobie zakreśliła królowa, była swobodną, a nie mając wymagań wielkich, umiała sobie starczyć tem, co jej dawano lub co sobie z pomocą prezydenta wyprosić mogła.

Życiu temu męczennicy nie brak niekiedy pociechy. Król Ludwik XV czuł to i wiedział, że polityka jego, postępowanie, obyczaje, fantazje obudzały przeciwko niemu opinję całego narodu, z którą musiał walczyć; królowa miała dowody tego codziennie, że ją czczono i cnotę jej cenić umiano. Lud zwał ją „dobrą królową", jeszcze, gdy *„le bien aimé"*, Ludwik, niegdyś istotnie „ukochany", stał się wstrętliwym. Nie ubiegała się ona wcale o to uznanie, nie ukazywała się publicznie, skrywała ze swoją pobożnością i dobremi uczynkami, ale o nich wiedzieli wszyscy, czuli ją w delfinie, którego każde słowo, powtarzając z ust do ust, dawały sobie tłumy; jej narzędzie widziano w Adelajdzie, jej natchnienia szukano we wszystkich królewnach, które zyskiwały w miłości narodu tyle, ile ojciec tracił.

Wśród rodziny swojej nawet i dzieci królowa była odosobnioną, nie zawsze mogąc pochwalać śmielsze występowanie przeciwko królowi, ani nawet ścierpieć głośnego narzekania na to, czego wolała nie widzieć, gdy zapobiec nie mogła.

Ludwik XV od zbyt czujnych oczu uchodził najczęściej razem z margrabiną do wybranych przez nią i nagle ukochanych a równie prędko porzucanych chwilowych rezydencyj: do Crécy, które było trochę za odległe od Wersalu, potem do la Celle, do Montretout i najulubieńszego Bellevue. Królowa przesiadywała stale, zamknięta w swoich pokoikach, w Paryżu lub Wersalu, niekiedy tylko odwiedzając z przyjemnością swoje karmelitki w Compiègne.

Mniejsze jej pokoje w Wersalu składały się z sa-

lonu, gabinetu i oratorjum, których urządzenie skromne i prawie ubogie charakterowi jej odpowiadało. Salon zawsze jeszcze zalegały porozrzucane roboty do kościołów i dla ubogich; w kąciku tylko stał klawicymbał, na którym otwarte czasami pokazywały się kantaty Moncrifa, operetki Rameau i pieśni pobożne polskie. Tych pieśni zachowywanie i bawienie się niemi wspominają pamiętniki współczesne... Zapewne pomiędzy niemi być musiały pisane przez ojca, który się poezją zabawiał. Stoliki oddzielne do rysowania, do pisania, maleńka drukarnia ręczna, kwiatki, obrazki dopełniały umeblowania salonu.

Współczesny opis wymienia jeszcze przyozdabiającą salon wazę, ofiarowaną przez marszałka de Nangis, rękopis, pamiątkę po kardynale de Fleury, pagodę porcelanową z wierszami pani de Boufflers. U jednego okna umieszczona bibljoteczka mała zawierała wybór poezyj ulubionych królowej, a między niemi i wiersze przyjaciółki księżny de Luynes. Pamiątki od ojca, od matki, od babki, od Tarły, po Karolu XII otaczały ją wspomnieniami miłemi i uspokajającemi.

W oratorjum ściany były okryte drewnianemi taflami ciemnej barwy; zdobiły je tylko bukiety kwiatów naturalnych i wizerunków świętych. Zużyty, skromny, drewniany różaniec, pewnej pobożnej siostry szpitala św. Wincentego w Wersalu, zachowywała tu królowa jako pamiątkę świątobliwej, pokornej sługi Bożej. Najmniej trzy godziny codziennie spędzała tu królowa sama, w skupieniu ducha, pogrążona w modlitwie.

Dwór zgromadzał się zwykle około godziny szóstej. Zabawką jego powszednią była gra w loteryjkę, zwaną *cavagnole*, która, przeplatana muzyką i rozmową, trwała niekiedy do godziny dziesiątej. Następnie przechodziła królowa na wieczerzę do ks. de Luynes, ilekroć większego stołu nie było. Tu oprócz gospodarzy znajdowała zazwyczaj panie de Villars, de Chevreuse, pp. Maurepas, kardynała Tencina, de Luynes, prezydenta de Hénault, Moncrifa, a w ostatku

i Fontenella, który, pomimo podeszłego wieku, miłym być umiał w towarzystwie.

Rozumie się, że Voltaire, wyproszony z Luneville'u, nie pokazywał się tu nigdy, ale zawsze wielbicielem królowej się głosząc, przypominał się wierszami, naprzemiany służącemi królowej i faworycie. Dowcipna przyjaciółka filozofa fernejskiego, pani du Deffand, mająca wstęp do salonu ks. de Luynes, tu poznała królową, której portret odmalowała później pod nazwiskiem Temiry...

Oto wyjątki z niego:

„Temira ma wiele dowcipu, serce czułe, humor łagodny, twarz interesującą. Wychowanie pozostawiło w jej duszy pobożność prawdziwą, która stała się w niej uczuciem, rządzącem wszystkiemi innemi. Temira kocha Boga, a po nim zaraz wszystko, co tylko jest kochania godnem; umie godzić rzeczy przyjemne z poważnemi, zajmuje się niemi pokolei, a czasem łączy je razem. Cnoty jej, rzec można, są zarodem i szczytem jej pasji (?). Łączy z czystością obyczajów uwielbienia godną czułość nadzwyczajną; z największą skromnością chęć podobania się, którąby sama starczyła, aby cel osiągnąć. Rozsądek ułatwia jej odkrycie wszystkich przywar i odczucie wszystkich śmieszności; jej dobroć i miłosierdzie dozwalają znosić je bez niecierpliwości, a rzadko się z nich uśmiechnąć. Uprzejmość ma tyle władzy nad Temirą, że ją często skłania do pobłażliwości dla wielkich nawet przywar. Szacunek ma dla osób najcnotliwszych, pociąg ku tym, które są miłe. Ta słabostka, jeżeli ją tak nazwać można, czyni może właśnie Temirę tak uroczą. Kto ma szczęście znać ją, wszystkoby poświęcił dla niej... Nadzieja podobania się nie wydaje się naówczas urojeniem. Poszanowanie, wzbudzane raczej przez jej cnoty nie zaś dostojeństwa, nie ostudza ani odrętwia duszy i zmysłów. Zachowuje się przy niej zupełną umysłu swobodę, a zawdzięcza się to przenikliwości jej i delikatności. Pojmuje wszystko tak łatwo, tak głęboko, że nietrudno jest myśli swoje jej

przelać, nie przekraczając względów nakładanych przez godność. Zapomina się, widząc Temirę, że są inne wielkości i inne dostojeństwa nad te, które nadają uczucia. Nieraz się oddaje złudzeniu, że między nami a nią niema innej różnicy położenia nad istotne zasługi; lecz nadchodzi przebudzenie okrutne, przypominając, że ta Temira, tak miła, tak doskonała, jest..."

W obrazku tym, subtelnie cieniowanym, widać powszechnie królowej czyniony zarzut pobłażliwości dla osób miłych i ujmujących uprzejmością, to jest dla Pompadour... Pani du Deffand, wielbiąc królową, musiała też opinji powszechnej uczynić ustępstwo i nie broniła obwinionej. Obrazek ten, puszczony w świat, pierwszy Włodek zawiózł do Luneville'u, a stary król nie dostrzegłszy ukrytego w nim żądełka, uradował się nim wielce i choć du Deffand była przyjaciółką Voltaire'a, powziął dla niej szacunek... Nie jedna ona uważała Marję Leszczyńską za istotę niepospolitą umysłem i wykształceniem; unoszono się powszechnie nad wielką umiejętnością w prowadzeniu rozmowy, którą odznaczała się królowa. O politykę, intrygi dworskie, o to, co tylko drażnić mogło, a czego naówczas tak trudno było uniknąć, nigdy nie dozwalała potrącić, a chociaż u zjadliwych dowcipnisiów uchodziła za prostoduszną, nie zbywało jej na bardzo trafnych słówkach i odpowiedziach.

Niektóre z nich przywodzą jej biografowie, jak naprzykład czysto francuskie zwrotem swoim słówko, na wzmiankę o marszałku de Saxe:

— Jakże to boleśnie nie móc odmówić choćby jednego *„de profundis"* za tego, który tyle razy zmuszał nas śpiewać *„Te Deum!"*

Dostojność królewska nie przeszkodziła Marji zbliżać się i spoufalać z ludzmi z gminu, z prostaczkami, których naiwność urok jakiś dla niej miała. W Fontainebleau żyła podstarzała wiejska dziewczyna uboga, która miała prawo wchodzić do królowej, kiedy chciała. Była ona pośredniczką w rozdzielaniu

jałmużn i zasiłków, których niezmierną moc rozdawała ciągle Marja. Dobroczynność ta poskutkowała jako przykład na jej dzieci, a poczęści nawet na męża. Mając szczególne nabożeństwo do Serca Jezusowego, wyrobiła u Klemensa XIII ustanowienie we Francji dnia świątecznego, przeznaczonego na szczególne nabożeństwo do Serca Zbawiciela. Ona to z królem Stanisławem pierwsze dwa ołtarze wzniosła na cześć Serca Jezusowego w Wersalu i w katedrze w Touln, a z synem delfinem postawiła pierwszą kapliczkę na cześć Matki de Chantal. Ale zakłady pobożne i dobroczynne, do których się przyłożyła, policzyć trudno.

Pobożność ta gorąca, nieustanna, w dziwnej często sprzeczności być musiała z tonem, z mową, ze sposobem wyrażania się córek, które ojciec dla własnej zabawy zmuszał do posługiwania się najgminniejszą, najzepsutszą mową przekupek i ulicy, w ich ustach pobudzającą go do śmiechu.

Imiona najdziwaczniej brudne nadawszy własnym dzieciom, nie mógł się potem dziwować, dowiadując się, że pani Adelajda margrabinę Pompadur zwała „Maman Catin".

Pod tem nazwiskiem chodziła ona u całej rodziny, i delfin go także używał.

Ze wszystkich dzieci Marji Leszczyńskiej Adelajda była najmilszą, najwięcej miała siły charakteru i niepodległości. Była nieuchodzoną, niepohamowaną, wiecznie rozgorączkowaną istotą, o którą matka mieć musiała nieustanne troski, ale z której zarazem miała i prawdziwą pociechę.

Pamiętniki współczesne pełne są opowiadań o niej, które zmyślonemi być nie mogły, bo są tak nieprawdopodobne i dziwaczne, że zmyślający na karb córki królewskiej nicby podobnego utworzyć nie mógł.

Miała naówczas lat jedenaście, gdy raz zerwawszy się w nocy z łóżeczka, wdziała spódniczkę, sukienkę, włożyła do kieszeni woreczek ze czterdziestu luidorami i, gdy wszyscy uśpieni byli dokoła, na palcach wyszła z sypialni. Przebiegła potem całą galerję i miała

już wydobyć się z pałacu wersalskiego do ganku, przy którym czekał na nią koń osiodłany, gdy jedna z pokojówek dogoniła zbiegłą i gwałtem odprowadziła do sypialni. Zapytana o powód nocnej wyprawy, odparła, że chciała stanąć na czele wojsk ojca, aby bić Anglików, dopókiby ich króla w niewolę wziętego nie odprowadziła papie. Oprócz tego najnaiwniej w świecie mówiła, że najznaczniejszych generałów miała zgładzić sposobem, jakiego Judyta użyła przeciw Holofernesowi.

Jak delfin gniewał się, iż go nie posłuchano, gdy nakazał posłać, aby się wiatr uciszył, tak ona nie znosiła, aby się jej ktokolwiek bądź sprzeciwił, gdy co postanowiła.

Ze wszystkich córek Ludwika XV Adelajda ani na chwilę nie była oddaną na wychowanie do klasztoru. Mając naówczas lat siedem, rzuciła się do nóg ojcu, rozpłakała, i pozwolił matce zatrzymać ją przy sobie.

To nadzwyczajne powodzenie, które winna była sobie, musiało księżniczkę Adelajdę ośmielić i uczynić samowolną. Ojciec się jej nie sprzeciwiał, bo go bawiła niezmierną żywością i swobodą słowa; matka pieściła ją i cieszyła się jej rozumem; dwór powtarzał jej dowcipy złośliwe przeciwko faworycie. Adelajda nawykła do wypowiadania myśli otwarcie, głosiła to, czego drudzy powiedzieć nie śmieli. Noszono ją więc na rękach.

Ona ruch i życie wlewała w dwór matki, brała na siebie wszelki opór i odpowiedzialność zań, delfinowi dodawała męstwa, kierowała nim, pośredniczyła, gdy kogo zjednać potrzebował, słowem, była sprężyną wszystkiego, co się przeciwko metresie knuło i osnuwało.

Gdy królowa, w której przemagała łagodność i wstręt do gwałtownego występowania, nieśmiało i niepewnemi kroki próbowała bronić się przeciwko d'Etoiles, coraz sobie więcej władzy przywłaszczającej, Adelajda nie dawała się niczem zbić z drogi, pociągała z sobą rodzinę, buntowała obcych, stawała na

drodze, wypowiadała wojnę. Do pomocy wszyscy jej dobrzy byli; ale gdy z jej strony zuchwała napaść była jedynym środkiem, Pompadour miała na odparcie ich tysiące.

Z obu stron uciekano się do króla, starając się ubiec, uprzedzić i albo przeciwnikom z rąk wyrwać zdobycz, lub nie dopuścić, aby ją pochwycił. Tak naprzykład delfin z pomocą Adelajdy otrzymał pułk dla pana de Marboeuf, ona z siostrami nie dopuszczała, aby damą ich honorową mianowano księżnę de Brancas, ale w odwecie Pompadour, mszcząc się, korzystną dzierżawę rządową, o którą delfin dla któregoś ze swoich przyjaciół się starał, pochwyciła dla protegowanego przez siebie, i apartament wygodny dla siebie na złość Adelajdzie wymogła.

Przez cały jeden karnawał Adelajda z siostrami spiskowała, tak ciągle ojca otaczając i bawiąc, że faworycie do niego nie dała przystępu; ale Pompadour zaraz potem wywiozła z sobą Ludwika do zamku La Meutte i trzymała go tam niedostępnym dla nikogo, najbardziej dla córek.

Królowa i Adelajda odgrażały się ciągle, iż nawrócenie króla, zmiana życia była bliską, a oddalenie d'Etoiles ode dworu miało być pierwszem następstwem powrotu na drogę cnoty.

Królowa, sercem całem będąc z dziećmi, niewiele jednak zdawała się w to wierzyć, aby wszelkie ich zabiegi skutek jaki wywarły, gdy wypadek niespodziany znowu na chwilę krótką zbliżył ją do męża, a Pompadour o mało nie wyrzucił z tego stanowiska, na którem się z taką zręcznością, wysiłkami nadzwyczajnemi dotąd utrzymać potrafiła.

Kreśląc dzieje życia domowego króla i wszystkich intryg, jakie go opasywały, malując jego charakter i postępowanie, widząc wagę, jaką przywiązywał do rozrywek, zabaw, do wyzyskiwania życia dla siebie, możnaby sądzić, że wszystko to działo się wśród najszczęśliwszego stanu pokoju, wśród najpomyślniejszych dni, gdy świetne owoce zwycięstw kraj ubłogo-

sławiały. W istocie działo się inaczej. Kraj był miotany gwałtownie zewnętrznemi i wewnętrznemi burzami. Prowadzono dosyć niepomyślnie i rujnująco dwie wojny przeciwko Anglji i Niemcom, pieniędzy brakło w skarbie, a rozrzucano je nieopatrznie, błędy jawne polityki ministrów króla do najwyższego stopnia oburzały przeciwko nim i królowi naród cały. Ludwik „ukochany", któremu imię to nadano od roku 1744, stał się Ludwikiem „znienawidzonym".

W znacznej części przyczyniła się do tego Pompadour, której zuchwałe postępowanie, marnotrawstwo, samowola, walka z królową i rodziną zgrozą przejmowały wszystkich. Jeszcze za panowania Châteauroux i choroby króla, lud oddając cześć cnotliwej królowej, rzucał błotem na faworytę, ale księżna była daleko mniej znienawidzoną, niż dziewczyna z ulicy wciągnięta do pałaców na nieustające gody. Jej to przypisywano, że parlament się opierał, że duchowieństwo protestowało, że skarb był ostatecznie wycieńczony i że król ciągle usuwał delfina od wszelkiego w rządzie udziału. Religijne spory aż do szału podniecające, które rodziły konwulsjonerów znieczulonych na boleści, wprowadzały umysły na drogę teoryj krwawych. Fanatycy wołali, iż Bóg żąda krwi, że krwią tylko może się grzech zmazać i okupić wina.

U prostaczków przeradzało się to w obłędy dzikie. Takim był ograniczony umysłowo, rozmarzony życiem błędnem, bez celu, ów Damiens, który, posłyszawszy wśród zbiegowiska gminu, jak się ktoś krwi domagał, postanowił przelać krew królewską, aby monarchę ostrzec, że paść może ofiarą, jeżeli rozjątrzeniu nie zapobieży. Dlatego, zbrojąc się przeciwko królowi, którego napaść i nastraszyć postanowił, użył prostego, lichego nożyka, którym zabićby nie mógł.

Całej tej sprawy, celu istotnego napaści, myśli, która ją zrodziła, trudno jest wreszcie dziś rozjaśnić i wytłumaczyć ją sobie. Człowiek, który miał popełnić to szaleństwo, musiał w istocie być chorym na umyśle i niespełna rozumu.

Dnia 5 stycznia r. 1757 król wieczorem o godzinie siódmej wybierał się z Wersalu do Trianonu. Towarzyszył mu delfin, wielcy urzędnicy królestwa i oddział gwardji.

W chwili, gdy miał wsiąść do powozu, Damiens stojący za nim ztyłu, przecisnął się bliżej i uderzeniem nożyka zadał mu ranę niegłęboką pod piątem żebrem, z której zaledwie kilka kropel pociekło. Pochwycono natychmiast zbrodniarza; król tymczasem mocno przestraszony widokiem krwi, natychmiast, jak niegdyś w Metzu, poczuł skruchę grzesznego życia i przedsięwziął poprawę, pojednanie się z królową, a pozbycie metresy.

Stać się to musiało nie bez wpływu otaczających, którzy na pierwszą lepszą sposobność czekali.

Rana wprawdzie była nic nieznaczącą, ale domyślano się, że nóż mógł być zatruty. Sam król Ludwik, dopóki go lekarze nie uspokoili, zawahał się pomiędzy wyrzeczeniem grzechu i skruchą a dalszym ciągiem życia swawolnego.

D'Argenson, któremu Maurepas pozostawił po sobie w spadku wygnanie pani Pompadour, jako obowiązek sumienia, zgodnie z kanclerzem Machaultem korzystając z chwili niepewności i obawy o życie króla, opierając się na opinji publicznej, domagającej się oddalenia faworyty, wziął na siebie wyrobić na Ludwiku oddalenie pani Pompadour. Król w pierwszej chwili uległ przestraszony i zgodził się na wszystko.

Po raz pierwszy rozkaz jego powołał delfina do zasiadania i przewodniczenia radzie stanu. Spowiednik królewski, o. Desmarett, nie odstępował go na chwilę, królowej, wezwanej do niego, Ludwik prosił o przebaczenie win, do jakich się względem niej poczuwał.

Pompadour zapomniana, odepchnięta, chociaż nie odebrała jeszcze żadnego rozkazu, mogła już przewidzieć, co ją czeka.

Pod oknami jej tłumy zbierały się z pogróżkami i wrzaskiem, do pokoju cisnęli się przyjaciele i cieka-

wi, chcąc się przekonać, jak rzeczy stały; wszystko się zdawało zwiastować upadek.

Pompadour omdlewała i płakała. Uszczuplone kółko wiernych starało się ją pocieszać; doktór Quesnay, najznakomitszy lekarz swojego czasu i najśmielszy w wypowiadaniu swoich przekonań, nie wahał się głośno powiedzieć, że gdyby król był innym człowiekiem, to jest gdyby trochę więcej miał męstwa, tegoż wieczora mógłby był wstać z łóżka.

Za każdem drzwi otworzeniem Pompadour oczekiwała poselstwa, które jej wyrok skazujący na wygnanie przynieść mogło. Ale spodziewany kanclerz Machault nie przychodził.

Wysłano stamtąd na zwiady, co się dzieje? kto jest przy królu? Pompadour dowiedziała się, że właśnie kanclerz się tam znajdował. Liczyła go do swoich przyjaciół, była pewna, że się zjawi pierwszy, tymczasem Machault od króla odjechał wprost do domu.

Abbé Bernis usiłował ją pocieszyć i uspokoić, usprawiedliwiając kanclerza, gdy ten ukazał się nareszcie, ale z twarzy jego widać już było, że sprawa niedobrze stoi.

— Jak się ma pani margrabina? — zapytał zimno. — Nie odpowiadał nikt, wszedł więc do gabinetu, z którego zaraz usunęli się wszyscy.

Co się działo pomiędzy margrabiną a nim, pozostaje tajemnicą. Upłynęło nieco czasu, dał się słyszeć dzwonek, przywołani znaleźli ją we łzach całą i drżącą.

— Muszę wyjeżdżać! — odezwała się pocichu.

Przyjaciółki napoiły ją wodą z kwiatem pomarańczowym. Bernis starał się natchnąć męstwem. Powołany koniuszy odebrał rozkaz przygotowania natychmiast domu w Paryżu i zalecenie woźnicom, aby się nie oddalali.

Wyjazd więc zdawał się postanowiony. Wiadomość o tem natychmiast doszła do królowej i delfina.

Radość królewny Adelajdy równała się prawie wściekłości jej przeciw zbójcy.

Opuszczona przez wszystkich, którzy niedawno na klęczkach ją czcili, Pompadour z abbé Bernis rozpamiętywała znikomość rzeczy ludzkich. Wtem od przedpokoju dał się słyszeć głos niewieści marszałkowej de Mirepois.

— Cóż się to dzieje! — odezwała się przybywająca, wchodząc i widząc już kufry i tłumoki, które przygotowano. — Mówią mi, że wyjeżdżacie.

— Machault przyszedł mi oznajmić wolę pana — odpowiedziała Pompadour.

— Cóż mówił kanclerz?

— Że powinnam być posłuszną.

Poruszyła ramionami.

— Kanclerz zdrajca, — odezwała się — co z oczu, to z myśli... Właśnie oddalać się nie potrzeba.

Należało tylko dodać Pompadour trochę męstwa i otuchy w tej chwili, aby ją wstrzymać od wyjazdu. Marszałkowa tego dokonała. Wszyscy przyjaciele zebrali się na naradę, pan de Soubise, abbé Bernis, marszałkowa de Mirepois i brat margrabiny de Marigny. Wyjazd został przynajmniej odroczony, nie radzono się śpieszyć, woźnice nie otrzymali żadnego rozkazu, przygotowania zawieszono. Pompadour pozostała.

Około apartamentu faworyty puściej niż zwykle wyglądało, ale pomiędzy nim a apartamentami królewskiemi pozostały stosunki. Ludzie i listy przesuwały się ciągle. Pierwszy delfin, oczekujący wyjazdu, dowiedział się od rozognionej Adelajdy, że go wstrzymano. Następnych dni król milczący, chmurny, leżał w łóżku, ale razem z zapewnieniem, że rana wcale nie jest niebezpieczną, zwolna mu powracała odwaga. Jednego dnia, wcale niespodzianie, narzuciwszy cudzy płaszczyk na ramiona, król poszedł i na kilka godzin zniknął. Łatwo się było domyśleć, gdzie bawił tak długo... Zmiana tymczasem w ogólnych postanowieniach nie zaszła żadna. Kanclerz począł chodzić niespokojny.

W pierwszym momencie trwogi Ludwik zdał się cały na tego, któremu wygnany Maurepas, spadek po sobie przekazał — na d'Argensona. Niechętny pani Pompadour, której już następczynię nawet wybrał w osobie hrabiny d'Estrades, d'Argenson prawie już był pewien zwycięstwa.

Około tego wyżytego, bezsilnego już króla, który niedawno ze strachu spowiednika żony prosił o przebaczenie, obiecywał poprawę, chciał zmienić tryb życia, zaledwie odetchnął, na nowo snuć się zaczęły i zawiązywać intrygi. Ani królowa, ani delfin nie mieli w nich udziału, a nawet świadomości o nich... Jedna Adelajda przenikała je, choć przeciwko nim nic nie mogła.

Pompadour, zbrojna wielką znajomością charakteru króla, stała na czele swojego obozu; w drugim dowodził d'Argenson, który rachował na znużenie króla jednostajnością, na urok nowości, na własny wpływ wreszcie. Gdy odmówił spotkania z wyzywającą go na rozmowę i porozumienie się panią Pompadour, ona, po krótkim namyśle, sama pojechała do niego.

Powróciła smutna i zadumana głęboko. Minister zmuszał ją do stawienia wszystkiego na kartę. Zwyciężywszy Maurepasa, mając do wyboru albo się usunąć lub walczyć i obalić d'Argensona, wybrała to ostatnie, chociaż wiedziała, że ten triumf nowych jej nieprzyjaciół przyczyni.

Rozmowa jej z d'Argensonem, długa, smutna, zakończyła się proroczemi słowami:

— Nie wiem, jak się to wszystko skończy, ale to pewne teraz, że ja albo wy ustąpić musicie.

D'Argenson spodziewał się, że nie on będzie oddalony.

Margrabina wracała właśnie od ministra, gdy król wszedł do niej.

Co nastąpiło pomiędzy nimi, tego się domyślano. Z przedpokoju słychać było tylko łkanie, przyniesiono krople Hoffmana, sam król przyprawiał wodę z cu-

krem dla orzeźwienia... Pompadour przyszła nareszcie do siebie.

We dwa dni potem d'Argenson odebrał list z pieczątką (lettre de cachet):

„Służba wasza nie jest mi już potrzebna; rozkazuję wam, abyście podali się do dymisji z zajmowanego urzędu sekretarza stanu ministerjum wojny i wszystkich połączonych z nim obowiązków i odjechali do majętności waszej des Ormes.

Z upadkiem d'Argensona margrabina powracała na dawne stanowisko. Można sobie wystawić, jakie wrażenie uczyniło to na królowej i jej dzieciach. Ona sama najmniej może spodziewała się, najmniej się radowała już niemal otrzymanem zwycięstwem; ale delfin, żona jego, Adelajda i reszta rodzeństwa jak piorunem zostali rażeni tą niełaską, w którą popadł d'Argenson.

Wyczerpali już wszelkie środki mogące zachwiać wpływem i znaczeniem margrabiny. Maluje to najlepiej położenie i wagę, jaką przypisywano oddaleniu Pompadour, że delfin i Adelajda czynny mieli udział w spisku d'Argensona, który próbował Pompadour zastąpić przez panią d'Estrades, tę samą przyjaciółkę, która jej towarzyszyła przy pierwszem wystąpieniu na dworze.

Ani świątobliwa i surowa królowa, znękana tem, że jej zbytek pobłażania wyrzucano, ani delfin nie byłby pewnie przyłożył ręki do takiego frymarku i zamiany jednej metresy na drugą, to jest zgorszenia starego na nowe, najczynniejszą była w tem Adelajda, która brata wciągnęła za sobą do spisku.

Spisek to był bowiem w całem znaczeniu wyrazu.

Hrabina d'Estrades, wedle świadectw współczesnych, miała być wcale niepiękną, a bardzo złośliwą, obdarzoną przytem żywością umysłu, dowcipem, przebiegłością nadzwyczajną. Przez męża, po którym owdowiała w r. 1743, liczyła się do spokrewnionych z panią Pompadour. To jej pomogło do zbliżenia się i pozyskania sobie margrabiny i wyrobienia przez

nią miejsca „*dame d'atours*" przy królewnach. Pani d'Estrades, prawdopodobnie przez Adelajdę ujęta, dała się wciągnąć do zmowy i naprzód nastręczała się sama w miejsce kuzynki, a gdy się to nie powiodło, pomagała młodej hrabinie de Choiseul.

Koniec był smutny: hrabina d'Estrades dostała list z pieczątką i musiała Wersal opuścić. Jaki udział w tem miała rodzina królewska, trudno dociec; nie przyznawała się do żadnego, ale czuć było w tem jej pomoc i współczucie. Sprężyną być musiała Adelajda, posiłkował ją tajemnie delfin, tak że nie mogła wiedzieć nawet królowa.

Nikt zresztą nie miał dla hrabiny d'Estrades ani szacunku, ani przyjaźni, a Adelajda, do której osoby szczególniej była wyznaczoną jako dama dozór nad garderobą mająca, skarżyła się na jej skąpstwo i chciwość. Gdy po wygnaniu hrabiny zastąpiła ją pani de Civras, głośno była tem uszczęśliwioną i nie taiła swojej radości.

Przebaczonoby jej jednakże wszystko, gdyby mogła była zastąpić panią Pompadour, tę, której nikt nie mógł podejść, zastraszyć i z łask króla wyrugować.

V.

Do istot wyjątkowych, siłą nadzwyczajną obdarzonych, które walka życia podnosi i wyrabia do rozmiarów zdumiewających, należała wyśmiewana w początkach Poisson, która pod imieniem margrabiny Pompadour gra rolę tak wszechmocną w panowaniu Ludwika XV. Rozpoczyna ona od rzucenia znudzonego pana w wir nieustających rozrywek, opanowuje zmysły jego, zawładuje umysłem, nie daje spoczynku, staje się upajającym trunkiem nałogowym, bez którego wkrótce Ludwik XV obejść się nie może... Starczy na wszystko, chwyta i zagarnia wszystko, zmusza nieprzyjaciół do poddania się, nieprzejednanych wypędza, zastępuje obojętnych, wkońcu zastę-

puje ministrów, rządzi polityką, staje się wszechwładną.

Marja Teresa zmuszona jest jednać ją sobie słodkiem pochlebstwem, aby zyskać z Francją przymierze.

W życiu jej niema minuty straconej, nic zaniedbanego i pominiętego, czegoby nie tknęła i nie starała się sobie przyswoić.

Bawi ona człowieka, którego nic w świecie rozerwać już nie może, ale zarazem zabawia siebie po królewsku: buduje pałace, tworzy ogrody, proteguje sztukę, zajmuje się literaturą, nie spuszczając z oczu polityki, kieruje myślami Ludwika XV bez jego wiedzy.

Narada z ministrami nie przeszkadza jej dobierać wstążek do sukni, rysować na blasze, ryć na kamieniach, grać w amatorskim teatrze, pisać tysiące listów, a w Rzymie nalegać na obalenie najpobożniejszego w świecie zakonu. Wszystko to w niej godzi się, zszeregowuje, łączy tak, aby sobie nie przeszkadzało, i naprzemiany porywa ją całą.

Nie należy zapominać, że ma ciągle pod bokiem nieprzyjazną sobie królową, nienawidzącego ją delfina, zajadłą Adelajdę i mnogich nieprzyjaciół, mniej więcej skrytych lub jawnych. Ale dla niej niema tajemnic, ona i król codziennie mają wyciągi z rozpieczętowywanych listów.

Począwszy od tego, że sobie uniżeniem się i łagodnością pozyskała królową, której względność dla siebie ciągle się starała utrzymać, Pompadour nie oszczędzała nikogo z rodziny, ale unikała z nią bezpośredniego zetknięcia. Nie widziała, gdy jej delfin język pokazywał, nie słyszała, gdy coś kolącego powiedział, ale wywracała to wszystko, co on i pobożny dwór starał się utrzymać. Jeżeli on wstawiał się za arcybiskupem Paryża, ona go skazywała na wygnanie; jeżeli on podtrzymywał jezuitów, ona im zagładę poprzysięgała.

Z królową, nie drażniąc jej, umiała tak postępować, że nawet w swoją pobożność rodzącą się wierzyć jej

kazała. Gdy było potrzeba, szła do spowiedzi, zrywała z królem grzeszne stosunki i wyrabiała sobie tem zrzeczeniem się dostojeństwo damy pałacowej.

Przestawała być kochanką, aby objąć kierownictwo wszechwładne myśli i czynów. Zleniwiały król chętnie już na nią zdawał wszystko, a Pompadour pozwalała mu dogadzać wszelkim zachciankom, uwodzić napatrzone i podsuwane dziewczęta, z któremi miłostki szły na karb Polaków, dworzan Leszczyńskiego.

Obdarzone bogato, chwaliły się stosunkami temi, z cudzoziemcem, który choć znikał potem, powrócić obiecywał. Nie zawsze zalecana dochowywała się tajemnica, rozchodziły się o tem wieści, a że z Polaków Leszczyńskiego w Paryżu najlepiej znany był Włodek, podejrzewano go jako uwodziciela.

W ten sposób dochodząc rzuconej nań potwarzy, Włodek wpadł na trop miłostek królewskich, któremi Pompadour zabawić go usiłowała; i dobadawszy się tajemnicy małych domków, w których ukrywano uwiedzione ofiary, przejęty zgrozą i wzburzony, ze zmartwienia i upokorzenia popadł w ciężką chorobę.

Zdawało mu się, że ta rozpusta gromy z niebios na nową Sodomę i Gomorę ściągnąć musi. Ocieranie się o takie brudy rodziny ukochanego króla Leszczyńskiego, węzeł, który świętą niewiastę łączył z rozpustnikiem nieuleczonym nawet latami, zgrozą go przejęły. Nienawiść jego ku tej kobiecie, która nietylko pobłażała złemu, ale je na swoją korzyść wyzyskiwała, wzrosła do najwyższego stopnia. Ale cóż Włodek mógł przeciwko tej sile nieczystej, która tu panowała coraz samowolniej?! Chciał jechać rady i pociechy szukać w Luneville'u, lecz po namyśle przekonał się, że nicby tam zaczerpnąć nie mógł, a to coby zawiózł, starcaby nadaremnie przygnębiło i znękało.

Zamknął więc w sobie boleść, starając się tylko, aby ohydnej rozpusty tajemnica na świat nie wyszła. Rozumiał teraz, co dla drugich mogło pozostać niezrozumiałem: wszechmocność faworyty, która okupo-

wała swoją władzę ustępstwami, na jakie żadnaby inna się nie zdobyła.

W istocie rosła potęga faworyty, i na jej skinienie wyrósł z niczego, z drobnego dyplomaty, ten, który miał nagle zostać książęciem, parem i wziąć tekę prezesa ministrów, razem z imieniem Choiseula.

W wyborze człowieka, który doskonale powołaniu i jego obowiązkom odpowiadać umiał, Pompadour dała razem dowód i trafności sądu, i szczęścia, które jej sprzyjało. Zjawienie się Choiseula i siostry jego księżny de Gramont, stanowi epokę w panowaniu Ludwika i jego polityce. Występuje on odrazu jako człowiek swojego czasu, oglądający się, oprócz łaski pańskiej, na głos opinji publicznej, na pochwałę ludzi nią kierujących, na panów filozofów i encyklopedystów. Nie potrzeba już nawet mówić, jakie przez to stanowisko zajmuje względem królowej, delfina i obozu, który ich otaczał. Jezuici znajdują w nim nieubłaganego wroga.

Przeczuwający to delfin, nie czekając, aby Choiseul oświadczył mu po czyjej stanie stronie, sam powołał go do siebie.

Historja zachowała nam rozmowę, którą delfin rozpoczął pytaniem: kiedy sprawa jezuitów na radę wniesioną zostanie?

— Mam nadzieję, że pojutrze to nastąpi — odparł Choiseul.

—Mówiono mi o tem — odezwał się delfin. — Jesteś więc pan przygotowany! Nie wątpię, żeś rzecz zbadał gruntownie.

— O ile zdołałem.

— Nie badając pana o przekonanie, jakie sobie wyrobiłeś, dodam tylko, iż mnie to najżywiej obchodzi.

— Nie wiem, jak to mam rozumieć? — odparł Choiseul odważnie. Jestem ministrem zaszczyconym zaufaniem j. król. mości i nie będę taił przed synem wielkiego monarchy mojego sposobu myślenia. Jestem stanowczo przeciwnikiem zgromadzenia.

— Mam sobie za obowiązek oświadczyć mu, że się temu całą siłą przeciwić będę.

— Jakto! w. król. wysokość byłbyś do nich tak przywiązany, iżbyś im chciał poświęcić największej wagi interesa?

— Tak jest, — odparł Delfin z żywością wielką — i gdyby potrzeba było poświęcić połowę królestwa dla utrzymania ich, uczyniłbym z niego ofiarę.

— Jakto! Najpoważniejszy z mężów kraju, następca tronu, hołduje takim przesądom? — odparł Choiseul i z niezmierną gorącością oświadczył, że gotów głową przypłacić swoją prawdomówność, ale nie powstrzyma się z objawieniem swojej myśli.

Jak delfin, tak i on w spotkaniu tem znaleźli się na krańcach przeciwnych. Wojnę wypowiedziano.

Wiadomo z dziejów, kto odniósł zwycięstwo. Pompadour przygotowywała je powoli, zbliżając się do parlamentu i potajemnie z nim zawierając przymierze, oparte na zapewnieniu, że zgromadzenie jezuitów skasowane będzie.

VI.

Panowanie margrabiny nad królem trwało jeszcze nienaruszone, chociaż Ludwik więcej chwil odkradzionych publicznemu życiu spędzał w swoim Parc aux cerfs, niż u stóp metresy. Zmysłowym króla fantazjom nie stając na zawadzie, posiłkując im nawet, Pompadour o wpływ swój i przywiązanie była zazdrosną. Wszystko, co zagrażać mogło jej panowaniu nad umysłem Ludwika XV, przerażało ją.

Zjawienie się nadzwyczajnej piękności panny Romans, córki adwokata z Grenobli, piękności, o której piszą współcześni, iż była istotnie cudowną doskonałością kształtów i rysów, dźwiękiem i powagą, tak że król przy niej wyglądał na studenta — i tem bardziej przywiązał się do niej, iż mu dała syna, napełniało ją obawą. Lękała się i piękności matki, i miłości dla

dziecięcia, ale wkrótce przekonać się mogła, że Ludwik więcej poddanym był nałogowi, który go wiązał do niej, niż jakiemukolwiek uczuciu, nie mogącemu długo wyżyć w sercu wyziębłem.

Zdaje się, że wśród tego niezmordowanie czynnego życia, które siły pochłaniało, wśród spodziewanych triumfów polityki, zawarcie traktatu paryskiego, którym wyrzec się było potrzeba posiadłości w Nowym Świecie, odstąpić Kanady, wyspy Breton, wysp, rzeki i zatoki Św. Wawrzyńca i t. d., dotknęło ją boleśnie i było ciosem, który ten organizm, tak sprężysty, złamał. Piękność jej, dotąd jeszcze cudownie się zachowująca, zwolna więdnieć zaczęła. Straciły blask oczy, cera straciła świeżość, i wszystkie kosmetyki, któremi ją odżywiać usiłowano, nie pomagały.

W ciągu przejażdżki dla rozrywki do Choisy sił jej zabrakło; musiała się w łóżko położyć. Oprócz choroby kłopoty pieniężne i troski zwiększyły cierpienie; potrzeby i długi cisnęły tak, że w chwili, gdy zachorowała, musiała 70.000 franków pożyczyć. Z owych stosów złota, które pięknemi rączkami rozsiewała po świecie przez lat tyle z rozrzutnością nie powątpiewającą o jutrze, w chwili ostatniej miało jej pozostać trzydzieści kilka luidorów w stoliczku.

Choroba, z dolegliwym kaszlem, wzrastała. W łóżku nie mogła wytrzymać, bo ją dusiło. Doktorowie odrazu okazali się wielce zaniepokojonymi. Król prawie codzień chorą odwiedzał, a gdy go sprawy pilniejsze zatrzymywały w Wersalu, kurjerowie co godzina przywozili mu nowiny z Choisy.

Wiadomość o jej chorobie i o niebezpieczeństwie, w jakiem się znajdowała, uczyniła ogromne wrażenie. Delfin nie ukrywał radości, a Adelajda od siebie wyprawiała posłańców do Choisy, chcąc być pierwszą, która królowej zwiastować miała wyswobodzenie.

Radość tę, jaką wywoływał zbliżający się zgon faworyty, nieukrywaną wcale, dzieliła księżna de Luynes i cały dwór otaczający królową Marję. Ona tylko jedna wcale jej nie okazywała.

Syn, który wszedł właśnie, gdy powracała ze swojej kapliczki, zdziwił się na widok posępnego oblicza matki.

— Lekarze — odezwał się otwarcie — nie czynią już najmniejszej nadziei ocalenia jej... Raz tedy swobodniej odetchniemy, bo z nią zaginie cały system, który ona z Choiseulem królowi narzuciła. Zmienić się musi wszystko. Król jest wyczerpany i znużony.

Mówiąc to, delfin spojrzał na matkę, która mu tylko westchnieniem odpowiedziała. Właśnie do salonu królowej wchodził prezydent Hénault. Ku niemu zwróciła się królowa Marja.

— Ludwik się cieszy — odezwała się — i radby we mnie obudzić radość, jaką w nim budzi spodziewany zgon margrabiny. Wierzcie mi, choć nam ta kobieta tyle złego zrobiła, nie mogę się oprzeć uczuciu politowania dla niej... Wątpię, ażeby była szczęśliwą, a bardziej jeszcze, by umierała spokojną.

Delfin stał wielce zdumiony.

— Trzeba być takim jak ty, kochana matko, aniołem dobroci, aby nad taką istotą czuć politowanie.

— Trzeba być tylko chrześcijanką, — odparła spokojnie królowa — bo przebaczenie jest dla nas obowiązkiem. Zresztą, Ludwiku mój, wierz mi, że zgon jej więcej może powinien budzić obawy, niż radości. Wiemyż, co po niej nastąpić może?!

— Mogłożby być co gorszego? — przerwał delfin.

Wśród milczenia nadeszła księżna de Luynes, na którą królowa spojrzała wzrokiem pytającym.

— Włodek przyjechał z Choisy — szepnęła królowej na ucho. — Przywozi dla nas niepomyślną, ale dla chorej dobrą wiadomość. Przyjaciele jej cieszą się, spała w nocy, gorączki nie ma, mówi o wstaniu i przechadzce.

— Niech Włodek przyjdzie — odpowiedziała królowa.

Księżna de Luynes, doszedłszy do drzwi, dała znak, i po niedługiem oczekiwaniu Włodek, zawsze tu wi-

tany przyjaźnie przez całą królewską rodzinę, zbliżył się z poszanowaniem do krzesła królowej.

— Mówią, — odezwała się, dając mu rękę do pocałowania, Marja — że dobrą przywozisz wiadomość z Choisy.

— Dobrą? — podchwycił Włodek z przekąsem — nie wiem, jak ją nazwać, ale że pewną, za to ręczyć mogę. Margrabina ma się znacznie lepiej. Słyszałem o tem z własnych ust marszałkowej de Mirepoix, którą znać mam szczęście i która mnie przez roztargnienie zapewne do przyjaciół margrabiny zalicza. Uszła gorączka, powrócił sen, zaczęto już mówić o powrocie do Wersalu.

— Favart już począł pisać kuplety o zaćmieniu słońca, które ma nowym blaskiem zaświecić, a Cochin sztychuje ramki, w których się one umieszczą.

Czas jakiś panowało milczenie. Oblicze królowej nie zdradzało ani radości, ani zniecierpliwienia. Włodek, któremu się zdawało, że powinien był się tłumaczyć z tego, że tak niemiłą wszystkim potwierdził wiadomość, począł mówić o doktorach, którym margrabina powierzyła się w chorobie.

— Doktór Richard sam wprawdzie mi mówił o tem polepszeniu, — dodał wkońcu — ale ja nie mam wielkiej wiary w niego. Nie wiem, dlaczego pozbyto się starego Quesnay'a.

— O! Quesnay! — przerwała królowa — jest z pewnością jednym z najrozumniejszych medyków; ale najlepszego, niestety! nie użyją dla niej, bo go tam nie znają... Boga... Gdyby wyzdrowiała Pompadour, — dodała z uśmiechem — byłoby to słuszną karą Bożą nad nami, bośmy się nadto cieszyli nieszczęściem, jakie ją spotkało...

— Nie wszyscy tak są święci, jak w. król. mość — rzekł Włodek.

Scena, która się odegrała w apartamencie królowej, złagodzona jej charakterem i przytomnością, nie mogła dać wyobrażenia o tych, jakie się gdzie indziej

z powodu choroby i już przepowiadanego końca faworyty odbyły z cynizmem oburzającym.

Wszyscy, którzy w jakikolwiek sposób dotknięci być mogli zmianą, jaką śmierć wywołać tu mogła, żywo się już nią i likwidowaniem spadku metresy zajmowali. Śmielsi szukali jej następczyni, ręcząc, że Ludwik, nawykły do tego rodzaju życia, jakie mu stworzyła Pompadour, szukać będzie kogoś, coby mu ją umiał zastąpić.

Zresztą na twarzy zawsze ostygłej Ludwika najbliżsi i ci, którzy go najlepiej znali, nie mogli odkryć najmniejszego śladu smutku, a tem bardziej rozpaczy, z jaką przyjął zgon księżny de Châteauroux; był tylko jakby długością trzytygodniowej choroby znudzony i znękany.

Wieczorem, po ogłoszeniu polepszenia, kazał do siebie przywołać starego Quesnay'a, który słynął zarówno z trafności sądu, jak i prawdomówności.

— Powiedz mi otwarcie, — rzekł, przychodzącego chwytając tem przemówieniem na progu — nie ukrywaj nic przede mną. Jak się ma margrabina? Richard chlubi się, że ją uleczył; mówią, że niebezpieczeństwo minęło?...

Stary lekarz poprawił niecierpliwie perukę.

— Najj. panie, — rzekł — Richard nic nie rozumie... i dlatego zdaje mu się, że wszystko może. Margrabina jest bez nadziei; cuduby potrzeba, ażeby życie wyczerpane powróciło.

Na obliczu Ludwika nie drgnął żaden muskuł; oczy tylko podniosły się leniwie na Quesnay'a.

— Tak sądzisz? — zapytał.

— Jestem tego pewien, — potwierdził Quesnay — i bardzo się cieszę, że Richard miał odwagę wziąć na siebie kurację.

Skinieniem głowy król pożegnał starego, który wyszedł spokojny.

Nazajutrz, po owych nadziejach tak świetnych, nastąpiło już nagłe rozczarowanie. Księżna de Luynes

przyniosła królowej wiadomość, że Pompadour jest bez nadziei, że dogorywa.

Łzy zakręciły się na powiekach biednej Marji.

— Księżno moja droga, — rzekła cicho — posyłała mi bukiety, gdy życiem kwitnęła... poproś proboszcza Marji Magdaleny, aby poszedł przejednać ją z Bogiem... albo przynajmniej kogoś, coby jej ten obowiązek przypomniał.

W chwili polepszenia skorzystała z niego, łudząc się niem Pompadour, i ostatkiem sił przeniosła się do Wersalu. Ruch tem może przyśpieszył pogorszenie jej stanu. Richard zaczynał wątpić teraz o niej i o sobie.

Przyjaciele jej, zgromadzeni około łoża, w daleko mniejszej liczbie, niżby się spodziewać było można, ze zdumieniem przypatrywali się mocy ducha, z jaką się gotowała na śmierć. Król nie dał znaku życia. Wiadomem było, iż czasem aż nadto się bawił ideami o śmierci, a niekiedy je odpędzał. Tym razem przeciąganie się ostatniej godziny zdawało mu się ciężyć wielce... Chciał raz jakiegoś końca.

Królowa, gdy jej znać dano, że margrabina przykładnie dała do swego łoża przystęp kapłanowi, który ją na wielką podróż miał pobłogosławić, poszła się modlić na jej intencję do oratorjum swojego.

Wszystkich tych nawet, którzy znali lodowaty chłód serca Ludwika XV, zdumiała obojętność, z jaką przyjął zgon kobiety, która przez lat kilka rządziła i zdawała się władać sercem jego. On, który bolał i rozpaczał po zmarłej Châteauroux, po pani de Mailly, po Vintimille, z okna pałacu wersalskiego patrzył okiem zastygłem na żałobne wozy, które zwłoki i towarzyszące im osoby wiozły do klasztoru kapucynek na placu Vendôme. Dobył flegmatycznie zegarka, obrachowując czas, jakiego kondukt potrzebował, aby się dostać na miejsce przeznaczenia, i rzuciwszy okiem na niebo zaciągnięte dżdżystemi chmurami, odezwał się do otaczających:

— Margrabina nieszczególną ma pogodę na dzisiejszą podróż swoją.

Było to podobno ostatnie jego wspomnienie o tej, której żonę, rodzinę i tylu sług swoich poświęcił.

Cały ten ruch artystyczny, umysłowy, intrygancki, wywoływany i tworzony przez margrabinę, która była jego ogniskiem, z nią razem ustał i zagasnął. Król uwolniony od kobiety, której panowanie było już dla niego ciężarem, oddychał swobodniej. Zdawało się i rodzinie królewskiej, z wyjątkiem królowej, że śmierć margrabiny zwrot jakiś pociągnie za sobą. Lecz i delfin, i wszyscy wprędce przekonać się mogli, iż tryb życia Ludwika wcale nie uległ zmianie. Część jego ukryta w cieniu pozostała ciemną; jaśniejsza też mdłem dawnem światłem połyskiwała. Król tylko jeden swobodniejszy obracał się niczem nie krępowany w ciasnem kółku swoich fantazyj zużytych.

Królewna Adelajda, ciągle czynna, nigdy się niepowodzeniami nie zrażająca, chociaż zarówno z delfinem pochwalić się nie mogła, aby u ojca cokolwiek wymóc zdołała, nie ustawała w tem wspomaganiu matki, które ją zajmowało ciągle. Aby pozyskać ojca, stawała się trzpiotowatą, wesołą, zuchwałą, podżegała do zabawy siostry, opanowywała chwilowo znudzonego Ludwika, z jednego dnia na drugi wymyślała mu rozrywki, aby potem w upatrzonej godzinie zakląć go, napaść, oblec tak, ażeby wkońcu spełnił, o co prosiła. W ten sposób udało się jej przemóc długi opór ojca w sprawie podatku od dochodów duchowieństwa na potrzeby państwa i uwolnić je od przysięgi.

Królowa, całą duszą będąca za duchownymi, nie mogąc sama działać, musiała się posługiwać córką, Król bardzo długo prośby jej, nalegania, napastliwe zabiegi odpychał; lecz Adelajda nie dawała mu spokoju i wkońcu zmusiła, że zezwolił, aby duchowni nie składali dowodów swoich posiadłości. Było to dziełem rodziny, ale sprężyną jej zawsze Adelajda, która się też przyczyniła do wygnania Machaulta, acz król go potem żałował. Delfin i ona zawsze byli najczynniejszymi, ale położenie delfina nakazywało mu oględność wielką. Wiedział on, że ojciec go nie lubi i nie ufa

mu, że każdy krok jego fałszywie tłumaczą i podejrzewają; musiał więc, podzielając uczucia i pragnienia matki, od jawnego występowania się wstrzymywać. Adelajda go zastępowała.

Charakteru żywego, gwałtowny, delfin musiał od dzieciństwa być łagodzonym i uśmierzanym. Obowiązek tego ukajania przypadł niewłaściwie na biskupa Mirepoix, który był wielkiej surowości i najskrajniejszych przekonań kapłanem.

On i abbé Saint-Syr wpajali zawsze uczniowi swojemu wstręt, nienawiść, pogardę dla wszystkich, co się nie poddawali przepisom kościoła, przeciw sekcie filozofów i wolnomyślących. Prześladowanie ich zalecali jako obowiązek.

Delfin, jak tylko wiek jego i stosunki z ojcem pozwoliły mu mieszać się do spraw publicznych, wypowiedział im wojnę i przy każdej sposobności naglił, aby król i parlament ścigali tego nieprzyjaciela wiary.

Delfin wcale się nie krył ani z przekonaniami, ani z czynnościami. Pomiędzy nim a tak zwanymi filozofami wojna była wypowiedzianą i jawną. Złośliwemi dowcipami obrzucano delfina w kołach wolnomyślnych, a na dworze jego nie oszczędzano filozofów i nowatorów. Przyjaciele z jednego do drugiego obozu przenosili te słówka, jątrzące często, z których delfin śmiał się pogardliwie.

— Cóż tam? — zapytał raz hrabiego de Mouy, powracającego z Paryża, co prawią nasze wielkie genjusze i nasi wielcy filozofowie? Mówią, że mają wiele talentów i przymiotów, na których delfinowi zbywa? Nieprawdaż?

De Mouy, uśmiechając się, domysł ten potwierdził.

— Zaprawdę, — odparł delfin — mógłbym być z tego dumnym. Sądziłem zawsze, że delfin unikać powinien posądzenia, iż się stara o uznanie i pochwały filozofów.

Ówczesne namiętne zajęcie się encyklopedystami, ich walką z tem, co się zwało przesądem i zacofaniem, moda filozofowania, które się głównie zasadzało na

obaleniu tego, co od wieków czczonem było, czyniły delfina ogółowi wstrętliwym, jako rzekomego nieprzyjaciela postępu i oświaty.

Voltaire ogłaszał go za wroga prawdy i fanatyka. Zrobiono mu opinję ciasnego umysłu, nieudolności, tak jak królowej, której cnoty wielbiono, ale nie przypuszczano wyższości umysłu i rozumu, z któremi się nie popisywała.

Tymczasem, królowa i jej syn mieli daleko więcej wykształcenia, dowcipu nawet, z którego inni słynęli, niż ci, co ich tak mało szanowali.

Delfin miewał odpowiedzi ostre i zręczne. Przytaczano rozmowę jego z hrabią de Noailles, którego pytał:

— Zawsze będziesz waćpan występował w stroju piętnastoletniego, z twarzą trzydziestopięcioletnią, a obyczajami osiemdziesięcioletniemi?

— Prawdziwie — odparł hrabia zmieszany — nie wiem, co mam czynić, aby się w. król. wysokości podobać!

— Całkiem się odmienić — rzekł sucho delfin.

Położenie jego względem ojca, potrzeba tajenia się z myślami i uczuciami czyniły go skrytym z musu, tak iż dowcipni nieprzyjaciele wyrażali się o nim, iż połowę zdolności swoich zużywał na to, aby drugą zataić. Niezmiernie żywy i porywczy, miał zwyczaj, gdy był zmuszony stać w jednem miejscu, niecierpliwie z nogi na nogę się przechylać, a gdy ktoś się z tego wyśmiewał, rzekł mu:

— Im więcej się uczę waszego dworskiego życia, tem mocniej się przekonywam, że się nigdy nie nauczę z nogi na nogę przerzucać.

Pochlebstwo było mu nieznośnem. Jeden ze sławniejszych rzeźbiarzy przyszedł go prosić, by pozwolił mu zrobić popiersie „największego z żyjących ludzi".

Delfin mu na to odpowiedział, że na to czas będzie jeszcze.

Ludwik XV, któremu donoszono każde jego słowo, zawiadamiany o skłonnościach i czynnościach,

stosunkach i obrotach, posądzał go o ambicję, chęć panowania i niecierpliwość pochwycenia władzy. Obawiał się go, nie ufał mu i bardzo długo nie używał do niczego. Przeszło dwudziestoletni wszedł do rady ministerjum spraw zagranicznych, a w dziesięć prawie potem do rady stanu.

W czasie choroby króla w Metzu, gdy ks. Châteauroux odprawioną została, a królowa bez pozwolenia przyjechała do męża, delfin także samowolnie ze swoim preceptorem pojechał za nią... Król wziął mu to za złe i tłumaczył żądzą panowania. Rozkazano mu natychmiast powrócić do Wersalu, a książę Chatillon ukarany został wygnaniem. Król z przekąsem wyraził się do kogoś ze swoich:

— Zdaje mu się, że już jest merem pałacu!

Odtąd oziębłość dla delfina rosła i spotkał go tenże los co królową: stał się prawie obcym ojcu. Sprawiło to, że między matką a synem ściślejszy zawiązał się stosunek, ugruntowany na jedności przekonań i wspólności losu.

On, matka i królewna Adelajda stanowili grupę, do której później przyłączyła się druga żona delfina, księżniczka saska, córka tego samego Augusta III, z którym Leszczyński o tron polski wojował.

Pomiędzy pierwszem ożenieniem delfina z księżniczką hiszpańską, siostrą tej, którą Ludwik miał poślubić, a drugiem z córką Augusta III delfin miał sposobność w kampanji r. 1745 odznaczyć się męstwem rycerskiem, w bitwie pod Fontenoy. W parę lat później poślubił Marję Józefę saską. Pomimo wszystkiego, co ją dzielić mogło od królowej Marji, pobożna młoda pani z łatwością sobie pozyskała serce matki.

Leszczyński wpajał to córce, ażeby synową jak najczulej przyjęła. Żona więc delfina weszła do obozu królowej i wplątana została w intrygi przeciwko faworycie, której jako dumna swoim rodem nie znosiła tak blisko siebie i tronu.

Delfin zaniedbywany, zapomniany, zostawiony sam

sobie — całkiem się też od dworu oddalił i wyłączył. Jeżeli dnia którego nie było wieczoru u królowej, zamykał się z żoną, stawał niewidzialnym i nieprzystępnym.

To ukrywanie się, unikanie ludzi, zamiast przyczynić się do zapomnienia o nim, obudzało ciekawość, zwracało na niego oczy wszystkich. Domysły były najrozmaitsze nad tem, co robił, co zamierzał, a złośliwi wolnomyślni żartowali sobie, ubierając go we włosiennicę, opowiadając o biczowaniu, o modlitwach w chórze i t. p. praktykach.

Brak ruchu, życie siedzące, za wcześnie uczyniły go z powierzchowności ociężałym. Zaczął tyć, a oznakę tę wzięto za znak i dowód równej ociężałości ducha. Pomawiano go o próżniactwo, o dziwactwa. „Piszą mi z prowincji, — notował w swoich pamiętnikach d'Argenson — że delfin jest przyczyną fermentacji umysłów w kraju, gdyż ma wielkie przywiązanie do episkopatu rzymskiego. Otóż to owoc owego wychowania całkiem ultramontańskiego! Biskupów zwą tu burzycielami pokoju publicznego. Wszystko tu miłość ku panującej rodzinie obraca w nienawiść dla niej i następcy tronu, co wielkiem jest niebezpieczeństwem dla królestwa naszego".

To odsunięcie się zupełne delfina trwało przez lat kilka, w ciągu których najczulszy, serdeczny związek między matką a synem coraz ściślejszym się stawał. Delfin nie mógł, patrząc na los matki, jej anielską cierpliwość, na to, co cierpiała od urągającej się jej przepychem swoim i potęgą metresy, nie powziąć wzajemnej niechęci, wstrętu ku ojcu, żalu do niego. Szanować go nie mógł.

Marja wprawdzie nie dozwalała nigdy dzieciom jawnie mówić przeciw ojcu, tłumaczyła go, uniewinniała, pokrywała wiele milczeniem, ale były tak jawne i krzyczące zgorszenia, że z nich nic go nie mogło rozgrzeszyć.

W czasie napaści Damiensa król chwilowo zdał rządy na delfina, a pierwszą czynnością tego ostatnie-

go było upoważnienie do wygnania margrabiny. Król, przestraszony zrazu, zgodził się na nie, a Michaud padł później ofiarą posłuszeństwa delfinowi.

Bardzo prędko potem Ludwik odebrał synowi rządy, który powrócił na dawne stanowisko, ale Pompadour, pamiętna obrazy swojej i trwogi, nie przebaczyła delfinowi i nie dała mu pokoju aż do zgonu swego.

Zmyślano najpotworniejszą baśń, jakoby pragnący panowania delfin posługiwał się Damiensem i był z nim w zmowie. Uczyniono delfina pomocnikiem i narzędziem jezuitów, których zakonu zwinięcie i kasata postanowione zostały. Wiadomo, jaką w tem rolę odegrał przyjaciel pani Pompadour, kardynał de Bernis.

Powierzenie rządów ministrowi ks. de Choiseul, podniesionemu nagle, postawiło go na czele nieprzyjaciół najzajadlejszych delfina. Przyczyniły się do tego osobiste niechęci i wstręty, a wpływ margrabiny. Delfin z ministrem, stworzonym przez metresę, obchodził się dumnie, okazując mu wzgardę, tak że Choiseul, do najwyższego stopnia rozdrażniony, rzekł mu raz w oczy:

— Mogę być skazanym na nieszczęście, że zostanę poddanym w. król. wysokości, ale nigdy nie będę jego sługą.

W kilka lat potem dzieło Choiseula i kardynała de Bernis — kasata jezuitów, uczyniło delfina nieprzejednanym wrogiem ministra.

Delfin i królowa Marja, sprzyjająca jezuitom, znaleźli się w szczupłej gromadce tych, którzy opłakiwali los zakonu. Ludwik XV trzymał z panią Pompadour, a Voltaire pisał o niej do swoich: „Ona trzyma z nami...“ Wśród tych wypadków, które dla bawiącego się króla były także rodzajem rozrywki, rodzina jego coraz się bardziej rozdzielała i odosobniała.

Życie królowej całe teraz było w ojcu i w synu, który, nieczynny, milczący, odepchnięty, spotwarzany, w kółku poufałem dawał się poznać jako umysł poważ-

ny i charakter energiczny. Żadna płochość nigdy go nie skaziła.

Surowe prawidła życia czyniły go dla płochego ojca sędzią strasznym. Samo jego prowadzenie się było potępieniem ojcowskiego. Matka miała nadzieję, że syn jej naprawi wszystko, co mąż zwichnął i nadwerężył.

Na nieszczęście, delfin, ciągle drażniony, niecierpliwiący się, zmuszony do ukrywania się z uczuciami i myślami, cierpieć zaczynał zarówno na ciele, jak na duszy. Przedwczesna otyłość, która dawała pozór zdrowia, a w istocie zwiastowała chorobę, nikomu zrazu nie wydawała się groźną. Pomimo szczęśliwego z żoną pożycia, której tylko niczem nieuzasadnioną zazdrość przypisywano, delfin wpadł w melancholję.

Otyłość zwiększająca się zmuszała ciągle już suknie rozpuszczać, cera stała się żółtą, oczy utraciły blask, siły go opuszczały. Doktorowie się niepokoili.

Przestrach matki doszedł do najwyższego stopnia, gdy znajdujący się podówczas w Wersalu delfin zasłabł nagle na zapalenie płuc i dysenterję. W listach nieszczęśliwej matki odbija się stan jej duszy w czasie kilkutygodniowej choroby syna, której tragicznego końca nie mógł się nikt spodziewać.

Naprzemiany zwątpienie i nadzieje miotały królową. Nadzieja jej cała była w Bogu i modlitwie. „To pewna, — pisze do prezydenta przyjaciela — że polepszyło mu się z dniem, gdy rozpoczęły się modlitwy. Gdy oddycham wolniej nieco, piszę do ciebie, prezydencie. Z łaski Bożej, oto już dni trzy, jak mu lepiej, noc była dobra, odpluwanie lepsze, gorączki mało... Zdaje się, że lekarstwa zrobiły dobry skutek. Szczęściem, że niema na nim tych oznak, które chorych na piersi cechują: głos ma tak mocny, jak dawniej, kaszel silny i jest bardzo wesoły. Ucieczmy się do największego lekarstwa: módlmy się do Boga, módlmy się z wiarą i zaufaniem". Jeszcze list jeden pełen jest nadziei, — potem... milczenie...

Spełniło się, co było w przeznaczeniu męczeńskiem:

syn ten jedyny, w którym Marja wszystkie złożyła nadzieje, chluba i pociecha rodziny, po trzytygodniowej chorobie, przeniesiony z Wersalu, którego nie lubił, do Fontainebleau, którego nie cierpiała królowa, skończył życie.

„Piszę do ciebie, kochany prezydencie, — odzywa się potem królowa w ostatnich dniach grudnia roku 1765 (delfin zmarł 20) — by ci tylko powiedzieć, że żyję jeszcze po mojem okropnem nieszczęściu... Nie mogę się tylko niem zajmować. Płaczę świętego, Bóg moją pociechą jedyną!"

Wkrótce potem dodaje w innym liście: „Nieszczęście moje codzień mi się okropniejszem wydaje; płaczę po synu i po przyjacielu, płaczę nad nieszczęściem państwa. Bóg tylko może łzy te osuszyć, i to szczęście, jakiego syn mój doznaje przez miłosierdzie Jego, pociesza mnie..."

W listach tych długo, długo jeden ten tylko ból się odbija.

Po zmarłym, opłakiwanym przez całą rodzinę, pozostawała królowej wdowa i dziecię, wnuk, na którego teraz zlała się cała jej miłość macierzyńska.

Lecz tych wszystkich ofiar i boleści, jakie Marja przeżyć musiała, nie dosyć jeszcze było przeznaczeniu, które jej świętą cierpliwość i poddanie się woli Bożej na najstraszliwsze narażało próby.

Zkolei straciwszy ukochaną Henrjetę, potem siostrę jej bliźnią infantkę, naostatku najukochańszego syna i wnuka, musiała patrzeć z trwogą na owdowiałą delfinową, która swojej niedoli podźwignąć nie mogła. Otoczona macierzyńskiemi królowej staraniami wkrótce po zgonie męża poczęła cierpieć. „Bardzo się niepokoję o delfinową, — pisała królowa do prezydenta: — kaszle ciągle, a zmiana jej twarzy jest okropna."

Stan ten już się tylko później pogarszał. Czasami, chwilowo świeciła jakaś słaba nadzieja; potem znów symptomata niszczącej choroby wracały. Sprowadzono ze Szwajcarji najsłynniejszego z ówczesnych leka-

rzy, Tronchina. „Delfinowa — pisze później królowa — wczoraj trochę miała się lepiej, ale daleko do tego, aby było dobrze. Tem gorzej, że lekarze nic nie rozumieją choroby i mówią to otwarcie... Mogę powiedzieć, że od lat dwóch karmię się tylko goryczą".

Mogła powiedzieć raczej, że się nią karmiła od chwili ukoronowania, które jej cierniową koroną skroń opasało. „Tronchin mówi, — dodaje nazajutrz — że chorobą jej jest wątroba, a piersi tylko cierpią od niej... Rodzaj wykrzywienia ciągle trwa; mówię: rodzaj, bo ono zdaje się jej nie szkodzić, przeciwnie. Mówi po wzięciu lekarstwa wczoraj, że się od początku choroby nigdy tak dobrze nie czuła. A! niech nam Bóg ją powróci! Żyjemy od dwóch lat w boleści i goryczy; lecz trzeba chcieć tego, co Bóg przeznacza. W chwili, gdy to piszę, przychodzą mi oznajmić, że noc spędziła bardzo dobrze".

Pociecha ta z polepszenia stanu synowej trwała bardzo krótko; w marcu tegoż roku delfinowa skończyła życie... „Strata jej — odzywa się wkrótce po jej zgonie — przygnębia mię, a oprócz tego, że czuję ją, jak powinnam, przypomina mi inne".

Trzeba było całej siły ducha, jaką dawała pobożność, aby zkolei przychodzące ciosy znieść z taką rezygnacją świętej, jaką widzimy w listach królowej.

Pozostawały jej jeszcze córki, wnuk, naostatek sędziwy ojciec, który z pogodą w duszy podzielał jej męczarnie.

Po zgonie delfina wkrótce przyjaciółka od lat czterdziestu, hrabina de Saint-Florentin, zmarła także, zostawiając po sobie wspomnienie najboleśniejszej straty.

VII.

Po śmierci margrabiny de Pompadour przez czas jakiś mniemano, że miejsce jej pozostanie niezajętem, a Ludwik, mając dosyć rozrywek w Parc aux cerfs i miłostkach przemijających, nie podda się despoty-

zmowi nowej wdziękini. Żywił tę nadzieję stary król, królowa, a nawet wszystko wiedząca i zawsze w łaskach u ojca zostająca królewna Adelajda. Stosunki wszakże męża i żony wcale się nie zmieniły; pozostały tak, małżeństwo to dzieląc i odosobniając, że zaledwie na pokojach w dni przyjęć uroczystych się spotykali. Królowa naówczas nie śmiała próbować męża przyciągnąć ku sobie, zmienić tonu w rozmowie, narzucić mu się nieco i ośmielić. Ludwik przychodził z uszanowaniem wielkiem, ale zimny, ostygły, okazując żonie niezmierną uprzejmość, tak przesadzoną, że szczerą być nie mogła. Przystępował do niej z respektem wielkim, wymagał, aby wszyscy cześć jej okazywali, ale prośbom jej rzadko czynił zadość i poza godziny przymusowego pobytu na pokojach nigdy z nią chwili dłużej nie pozostał.

Zdawał się rad bardzo, gdy mógł po kilku, zawsze jednych wyrazach powitania oddalić się, na drugich ją zdając. Marja już tak do tego była nawykła, że więcej pragnąć nie śmiała. Najmniejsza oznaka niezwykłych jakichś względów i grzeczności rumieńce wywoływała na twarz jej bladą, chociaż oznaki te żadnych następstw nie prowadziły za sobą... W dziejach biednej pani z lat tych smętnych niema nic oprócz tęsknych wspomnień, nabożeństw z zakonnicami, podróży do Luneville'u i przyjęć starego ojca w Wersalu. Ale królewna Adelajda krząta się i biega w sprawie duchownych, jezuitów i wszystkich tych, których pomyślne rozwiązanie mogło jakąś pociechę przynieść matce.

W obronie duchowieństwa ciągle ona i królowa czuwać muszą. Mówiliśmy już o tem, że po napaści Damiensa nie wahano się delfina oskarżać przed ojcem o spisek z nikczemnym zbójem. Cóż dziwnego, że o ten sam współudział listem jakimś u króla oskarżano arcybiskupa paryskiego?... Ludwik XV, znający zacnego kapłana bardzo dobrze, chcąc mu okazać zaufanie, jakie w nim pokładał, i wzgardę dla denuncja-

ta, pokazał mu list, oświadczając szacunek, jaki miał dla niego.

Oburzony sędziwy pasterz, któremu wpojono przekonanie, iż metresa była listu tego sprężyną, w odezwie pasterskiej dotknął z boleścią sprawczynię potwarzy. Postanowiono wygnanie... ale w chwili, gdy miał wydać rozkaz, król zawahał się i posłał Richelieu'go, żądając zbliżenia się i przejednania.

Szło o cofnięcie listu, którego arcybiskup nie chciał odwołać, ani naprawić.

— Niech stawią rusztowanie, — odparł posłowi — wejdę na nie, dopominając się praw moich i spełniając obowiązek, posłuszny przekonaniu sumienia.

Zesłano arcybiskupa do Gaskonji. Królowa, dzieci nie śmiały nawet podnieść głosu w obronie jego, ale płakali pocichu. Leszczyński nie miał najmniejszego wpływu, patrzył i bolał z niemi, a ilekroć spotykał córkę, w obawie pogorszenia jej losu, doradzał powolność, wyrzeczenie się wszelkiego wpływu na politykę i cierpliwość.

Na Ludwiku XV wszystkie straty, jakie ponosił on i rodzina, nie czyniły najmniejszego wrażenia. Przyjął śmierć Pompadour z równą obojętnością, jak zgon syna, który w kraju wywołał troskę o przyszłość Francji. Jezuici głosili, iż delfin zmarł z boleści, jaką mu sprawiło ich wygnanie, któremu zapobiec nie mógł, a filozofowie i encyklopedyści po zgonie chcieli go niemal liczyć do swoich adherentów, dlatego, że pod poduszką znaleziono u niego Locke'a, że się opierał prześladowaniu wolnomyślących i że Thomas pisał jego pochwały. Voltaire, najzręczniejszy z pochlebców, pod wizerunkiem zgasłego delfina umieścił dwuwiersz, za który matka musiała mu być wdzięczną.

Więcej znany z cnót swoich, niż przez głośne czyny,
Życiem mędrzec, a zgonem pozyskał wawrzyny.

Wśród tych dziejów męczeńskich, patrząc na nie, starając się ulżyć niekiedy dotkliwym ciosom, jakie spotykały królową, Włodek starzał i poczynał tęsknić do kraju; ale go tu trzymał nałożony dobrowolnie na

siebie obowiązek służenia tej, która wiernych sług miała niewielu i pośredniczenia w stosunkach z ojcem.

Naprzemiany w Wersalu, w Paryżu, w Luneville'u, przenosząc się z miejsca na miejsce, gdzie mu się zdawało, że więcej mógł być potrzebnym, stary kawaler siwieć poczynał. Żenić go chciała królowa nieraz i byłaby mu łatwo posażną znalazła Francuzkę, swatał król stary z córkami swoich urzędników, ale Włodek im bardziej starzał, tem o tem mniej chciał słuchać.

— N. panie, — odpowiadał żartobliwie — nie zapomniałem o przysłowiu naszem, które powiada, że w tych latach, jak moje, djabeł już chyba człowieka żeni, bo on największą z małżeństwa jego ma pociechę; a przytem, gdyby się Polka znalazła, kto wie? z Francuzką, choćby najpiękniejszą i najcnotliwszą, nie ożeniłbym się, bo mi dzieci wychowałaby na Francuzów. Ojciec daje nazwisko, to prawda, ale matka duszę i język.

Leszczyński wzdychał, słuchając.

— Masz słuszność, — mówił — gdy tych mieszanych małżeństw nie chcesz... rzadko one na dobre wychodzą.

Tęsknił Włodek do kraju coraz mocniej, choć do wytworniejszego życia we Francji był nawykł, czuł, że powrócić był powinien kości położyć przy ojcach; ale jakże mu było opuścić tych, do których przywiązał się, jak dziecię, a czuł, że im był potrzebnym?

Szczególniej po śmierci delfina, gdy okrutny żal po nim widział w królowej, litość go zdejmowała wielka i z nową żywością począł z Luneville'm coraz częściej królową łączyć, przynosząc jej stąd wiadomości, zmuszając do pisywania do ojca, bo wiedział, że stary król, do którego córka była serdecznie przywiązaną, jeden ją mógł pocieszyć skutecznie. Namawiał też ciągle to króla Stanisława do Wersalu, to królową do niego.

Z obu stron nie brakło chęci zbliżania się jak najczęstszego, ale trudności były mnogie.

Kończyło się to więc najczęściej na listach, do któ-

rych żywym komentarzem bywał zawsze Włodek. Posługiwano się nim, jakgdyby bez niego obejść się nie było można. Listy wkońcu zawierały zwykle notatkę tylko tego, o czem on miał rozpowiedzieć.

A miał nad pismem tę wyższość poseł, iż wiedział i miarkował, jak należało rzecz wedle pory i okoliczności wystawić.

Chociaż tyle lat spędził we Francji i był już w niej tak przyjmowanym jakby we własnym kraju, nie lubił jej Włodek. Wszystkie nieszczęścia rodziny Leszczyńskich Francji przypisywał.

— Zdawać się im może, — mówił w duchu — że nas uszczęśliwili! Słyszałem ich już na oczy nam wyrzucających swoje dobrodziejstwa! a stokroćbym wolał widzieć mego pana generałem wielkopolskim, niż królem na Lotaryngji i Barze, i królową naszą za Jabłonowskim albo za Tarnowskim, albo za którymkolwiek z panów polskich, niż tą nieszczęśliwą królową Francji, przez pół wieku dla tego szczęścia wypłakującą sobie oczy!

Do delfina, jako do wnuka pana swojego, Włodek był bardzo przywiązany, ale mu go tak wychowali na Francuza, że w nim krwi swoich panów nie mógł czuć i wydawał mu się obcym.

W Wersalu i w Luneville'u zarówno teraz było smutno, król Stanisław odprawiał ciągle nabożeństwa za duszę delfina i nie przestawał go opłakiwać, matka pisała do niego tylko o nim... Nic ich pocieszyć nie mogło.

Byłby może wreszcie na swojem postawił Włodek i starego króla namówił na podróż do córki i dłuższy pobyt przy niej, gdyby się cały dwór lunewilski nie spiknął przeciwko temu. Nie chciano go stąd puścić pod pozorem słabego zdrowia i podeszłego wieku. W istocie król miał już rok osiemdziesiąty dziewiąty, a chociaż zdrów i czerstwy, czuł na sobie to lat brzemię. Szczególniej dolegała mu otyłość, która ruch utrudniała.

Z taką fizjognomją dni ostatnich widzimy go na

rysuneczku i sztychu Cochina, z długą fajką w ręku, w sukni dostatniej, ciepłej, grzejącego się przy kominku.

Dnia 3 lutego po Gromnicznej Stanisław uroczyste kazał odprawić nabożeństwo za duszę delfina znowu i sam znajdował się na niem... Dni były krótkie, zima ostra, i po obiedzie Włodek, towarzyszący mu, odradził pod noc jechać do Luneville'u, namówił do nocowania w stolicy, na co się król zgodził.

Wieczór spędził na rozmowie z urzędnikami miejscowymi, wypytując ich swoim zwyczajem, czyby do instytucyj dobroczynnych, których już wiele wprowadził w życie, coś jeszcze dodać nie można. Nie były to czcze słowa, pozostawało w tym roku kilkakroć sto tysięcy franków, o których pożyteczne zużytkowanie Stanisław się troszczył, i właśnie tego wieczora powstała kasa pomocy na niespodziewane wydatki ludzi mniej zamożnych.

„Gdy biedny rzemieślnik zachoruje, — tłumaczył urzędnikom myśl swoją — wprawdzie znajdzie pomoc w szpitalach, ale jeśli ma dzieci niedorosłe, co się stanie z tem biedactwem w czasie, gdy ojca nie będzie w domu? Kto je nakarmi, kto się niemi zaopiekuje? Włościanin straci woły, któremi rolę uprawiał, inny krowę, która żywiła rodzinę, lub konia, z którego pomocą prowadził mały handelek, — nieszczęśliwi ci zostaną zniechęceni na zawsze, może przywiedzeni do żebraniny, jeżeli się im nie przyjdzie z pomocą. Starając się tym małym stratom zapobiec i opiekując się nimi, wrócimy im życie".

Taki był początek założonej kasy pomocy na nieprzewidziane wypadki, która natychmiast z rozkazu króla miała być w Nancy otwartą. Kilkakroć sto tysięcy przekazał tegoż wieczora na zakład, warując, iż procenta od tej sumy nigdy nie będą obracane na stałe pensje, ale służyć mają na zaradzanie nieprzewidzianym wypadkom.

Była to ostatnia myśl wielkiego filozofa. Późno

w noc mówił jeszcze o niej ze swoimi zaufanymi, i w najlepszem usposobieniu poszedł na spoczynek.

Nazajutrz rano, wedle zwyczaju swojego, wstał bardzo wcześnie i dzień rozpoczął od modlitwy. Mrok jeszcze był szary na dworze... Leszczyński, nałogowo do fajki tureckiego tytoniu nawykły, zapalił ją i czytał jeszcze przy lampie papiery, które zabrać miał z sobą. Służba rozeszła się, wiedząc, że jej w tej godzinie dnia potrzebować nie będzie.

Na kominie palił się ogień zawczasu nałożony.

Chcąc powrócić do Luneville'u, zapragnął król zobaczyć godzinę na zegarze, który stał na kominie. Okryty długim szlafrokiem, w którym go Cochin rysował, nie spostrzegł, jak poła jego jedna od płomienia się zapaliła... Dym, który powstał, zdawał mu się pochodzić z komina i nie zważał, że całe okrycie na nim płonęło.

Nierychło płomień obejmujący już nogi przeraził go i zmusił dzwonić na służbę. Tymczasem starał się schylić, by stłumić ogień na ubraniu; lecz że przy otyłości ruchy miał utrudnione, stracił równowagę i padł w ogień, kalecząc się w nogę o żelazne podstawki, a ręką prawą trafiwszy na rozżarzone ognisko.

Osłabiony i przelękły, napróżno już podnieść się usiłował, próżno głosu dobyć chciał z piersi. W straszliwych męczarniach, żywcem się paląc, w ostatku — stracił z bólu przytomność.

Któż wie, jak długo to trwało?

U drzwi pokoju stała straż królewska... Żołnierza doszedł wreszcie dym, zaleciała spalenizna i swąd jakiś niezwykły dobywający się z królewskiego pokoju. Zszedł natychmiast z posterunku, usiłując wyszukać służbę, ale w izbie pokojowców nie było nikogo, na wołania rozpaczliwe żołnierza nikt nie odpowiadał. Żołnierz domyślał się jakiegoś wypadku w królewskim gabinecie, do którego wnijść mu nie było wolno.

Począł więc, podniósłszy głos, krzyczeć coraz mocniej, tak że wkońcu przywołał jednego ze służących, Perreina, który od progu ujrzawszy króla leżącego

w płomieniach, rzucił się go ratować. Za nim pośpieszył stary sługa, Syster, pomagając wyciągać omdlałego z ognia i zdzierać z niego płonące suknie.

Tymczasem popłoch powstał w całym pałacu. Zbiegał się, kto żył...

Król, którego natychmiast podniesiono, odzyskał zmysły i spostrzegł dopiero, jak straszliwie był okaleczony. Spaliło się na nim wszystko, co miał na sobie, nawet flanelowa koszula, której nigdy nie zrzucał. Palce ręki lewej były zupełnie zwęglone, a lewą stronę ciała okrywała jedna rana ogromna od oparzelizny, która od policzka ciągnęła się do kolana.

Służba natychmiast rozbiegła się do miasta, do apteki, po doktorów i chirurgów, a nim ci nadeszli, nim pierwsze środki łagodzące ból zastosowano, starzec cierpiał straszliwie, ale z męstwem nadzwyczajnem.

W tym dopiero wypadku ci, co go nigdy nie widzieli walczącym z innemi życia bólami, mogli w nim poznać bohatera.

Nadbiegli urzędnicy, z wybuchem namiętnym obwiniając służbę niedbałą; odgrażali się przeciwko otaczającym osobę króla, gdy on z największą łagodnością bronił jej, chwalił pośpiech, z jakim nadbiegła, dziękował Systerowi i Perreinowi, iż mieli przytomność zedrzeć z niego palące się odzienie.

Od pierwszej chwili nie łudził się Leszczyński uzdrowieniem, chociaż lekarze zdawali się mieć nadzieję, że życie utrzymać potrafią. Wiek, wyczerpane siły, ogromna rana wycieńczająca w istocie nie dozwalały mieć najmniejszej ufności w pocieszające zapewnienia lekarzy.

Wrażenie, jakie w Lotaryngji i Alzacji uczyniła wieść o wypadku, opisać się nie daje. Dowiodło ono przywiązania i wdzięczności klas wszystkich narodu, ale szczególniej ubodzy, wieśniacy, wyrobnicy, ci wszyscy, których losem król się zajmował, tłumami poczęli zbiegać się do miasta i na podwórza pałacowe. Pod wieczór wszystkie gospody były zajęte, lud kupami obozował pod oknami, w dziedzińcach i ogrodzie,

a niesposób było nakazać mu milczenia, tak że jęki i wołania dochodziły do chorego, któremu musiano wytłumaczyć to zbiegowisko. Poruszony tem posłał zaraz do intendenta Alliota, ażeby o potrzebach biednych pamiętał, rozkazując rozdać żywność, wino, a nawet pieniądze uboższym.

— Nie jestemże aż nadto wynagrodzony za to niewiele dobrego, które mogłem uczynić! — odezwał się słabym głosem.

Przypomniało mu to, iż zapisy, poczynione dla ubogich, na rozmaite zakłady dobroczynne, mogły po zgonie jego się zatracić i natychmiast je kazał wszystkie zgromadzić, zachowując w miejscu bezpiecznem. Musiano niezwłocznie żądaniu jego zadośćuczynić.

Pomimo straszliwych boleści, jakich doznawał, król daleko więcej zajmował się swoją służbą, tymi, którzy go otaczali, aniżeli samym sobą. Ponaznaczał godziny czuwania, tak, aby się ludzie nieustannie zmieniać mogli.

Widok Włodka, który jeden z pierwszych znalazł się u jego łoża, na myśl mu przywiódł córkę i kazał mu się przybliżyć.

— Powracaj natychmiast do Wersalu — rzekł do niego. — Rozejdą się wieści o wypadku. Maruchna się nastraszy... naco ma cierpieć przedwcześnie?... Wiem, że tego przeżyć nie mogę, ale pocóż ją karmić tą boleścią, ją, co jej już miała w życiu więcej, niż my wszyscy?... Jedź waćpan zaraz... pokłonisz się jej ode mnie i uspokoisz, że oparzelizny małe są, a ja wkrótce zdrów będę.

— Najj. panie, — przerwał Włodek — radbym tu pozostać...

— Waćpan powinieneś o niej myśleć, a nie o mnie i o sobie — przerwał król. — Rozumiesz!

Włodek napróżno mówić usiłował i wyrobić pozwolenie zatrzymania się: musiał się natychmiast wybierać.

Wolą było ostatnią króla, aby córka do ostatniej chwili o istotnym stanie jego nie wiedziała... Przeczu-

wał zapewne, że choroba się przeciągnie i że przez ten czas, pod groźbą niebezpieczeństwa, córkaby nadto cierpiała.

Widok tego ostatniego męczeństwa starca, znoszonego z tak nadzwyczajnem, można powiedzieć heroicznem męstwem, w zdumienie wprawiał wszystkich, duchownych zachwycał.

Gdy pewnej nocy kapłan, który go odwiedzał, chciał, odchodząc, uśpionych chirurga i sługę obudzić, król nie dopuścił tego uczynić.

— Proszęż cię, mój ojcze, — rzekł — daj im odpoczywać; oni mi nic nie pomogą. Jest w porządku rzeczy, że oni po dobrej wieczerzy, po znużeniu snu potrzebują... tak, jak w porządku rzeczy jest też, abym ja nie mógł zasnąć i stękał.

Jednego wieczora do siedzącego przy nim eks-jezuity odezwał się tonem łagodnym:

— Przypomniałem ustęp jeden z Pisma Świętego, który do przygód życia mojego stosować się może, tak że nieustannie powtarzam go sobie: „Transivimus per ignem et aquam, et reduxisti nos in refrigerio". Przeszedłszy przez ogień i wodę, spodziewam się i ja, że mnie Bóg przyjmie do miejsca ochłody.

Ksiądz, sądząc, że król mówił o ostatnim wypadku, dodał:

— Na nieszczęście, woda za późno przyszła.

— Ale, boście mnie, ojcze, nie zrozumieli — odparł król. — Przeszedłem przez wody błot gdańskich, teraz przez ogień, były to dwa okrutne w życiu mojem wypadki, które przebywszy, spodziewam się, iż Bóg w miłosierdziu swojem szczęśliwszem życiem w niebiesiech ochłodę mi przyniesie.

Jest to mała próbka tego spokoju ducha i cierpliwości, z jaką starzec straszliwe boleści swoje znosił, nie dając się im pokonać.

Gdy choroba się przeciągała, bo trwała dni osiemnaście, a król coraz mniej miał nadziei wyzdrowienia, z tym samym spokojem i przewidującą troskliwością rozporządził najmniejszemi szczegółami tyczącemi się

pogrzebu i osób do dworu należących. Ponieważ zarządzenie nabożeństwem żałobnem należało do Ossolińskiego, który objął marszałkostwo nad dworem jego, dnia jednego zapomniawszy mu dać rozporządzeń, przy których obstawał, późno w noc podyktował jeszcze kartkę do niego, bo się obawiał, że go już jutro nie zobaczy: „Mój książę (tytuł ten dawał Ossolińskiemu, chociaż Rzeczpospolita za Władysława IV odmówiła jego potwierdzenia), nie mogę na żaden sposób przezwyciężyć wstrętu, jaki mam do balsamowania. Jest to obyczaj pogański. Zdaje mi się przeciwnym duchowi chrześcijaństwa, aby trupa rozcinać na części. Dobre to tylko być może dla nauki doktorów, ale w tym razie nie wchodzą oni w rachunek.

„Pamiętam dobrze, iż droga moja nieboszczka często mnie prosiła o to, aby jej nie otwierano; mam sobie do wyrzucenia, że wola jej nie była spełnioną; możnaby tym przykładem zapobiec, aby i mnie nie krajano, gdy Bogu się podoba duszę oddzielić od ciała. Ja mogę tylko wzbronić tego, i o ile ode mnie zależy, spełniam. Ściskam cię, kochany książę, proszę cię moje pobudki ocenić i życzę ci lepszej nocy, niż moja".

Wygnany wolą króla Włodek musiał natychmiast powracać, a raz się wybrawszy w tę drogę, sam czuł, iż mógł oszczędzić królowej cierpienia, wchodząc w myśl i życzenie ojca.

Wiadomość o wypadku, jakiemu uległ król Stanisław, wprawdzie wyprzedziła Włodka i znalazł ją już w Paryżu, ale tak niedokładną i zmyśloną, że łatwo mu było uspokoić królową, gdy go do siebie powołać kazała.

Przystąpiła do niego, oczyma badając go niespokojnie.

— Rozeszła się tu wieść, iż ojciec mój miał przypadek, że się poparzył, że suknie się na nim popaliły? Powracasz stamtąd?...

— Wysłany przez najj. pana, — odparł Włodek — wyprawiony umyślnie, abym uspokoił w. kr. mość.

Król w istocie, przy kominie stojąc, zapalił na sobie suknię, a gasząc ją, sparzył sobie rękę, ale to się już goi... Król dobrej myśli i lekarze się niczego nie obawiają.

— Ale wiek jego! — przerwała królowa — osłabienie.

Włodek, nie dając się nad tem rozszerzać, tak dobrze umiał odmalować stan zdrowia króla, jego umysłu swobodę, iż zupełnie uspokoił królową, i tegoż dnia pisała do prezydenta Hénaulta, gdy już nie było żadnej nadziei utrzymania go przy życiu:

„Wiem, jak się niepokoiłeś wypadkiem, któremu uległ król, ojciec mój, i wrażeniem, jakie on wywrze na mnie. Nie mogę jeszcze o tem myśleć bez trwogi, i nie wiem, jak dziękować Bogu za to, że go uratował. Dzięki Opatrzności, ma się bardzo dobrze. On sam tylko zachował cały swój spokój i wesołość, wcale nie stracił nawet ani snu, ani apetytu, i ciągle sobie z tego wypadku żartuje. Odtąd pisałam już do niego razy cztery, prosząc go i zaklinając, aby zawsze miał kogoś przy sobie w pokoju. Że to nie jest bardzo przyjemnem, wątpię, aby mnie usłuchał...“

Utrzymywana w tej niewiadomości niebezpieczeństwa królowa dowiedziała się dopiero po zgonie ojca o nieszczęściu, które ją spotkało.

Był to cios ostatni, najboleśniejszy może.

Rzadko dziecię z rodzicem w takim jest związku i pokrewieństwie ducha, jak była Marja ze swoim ojcem.

Była nie tylko dziecięciem jego krwi, ale duszą jego duszy i myśli. On sam ją wychował, on w nią wlał wszystko, począwszy od pojęć aż do uczuć, które na wzór ojcowskich się wyrobiły.

Były to dwie istoty, z których jedna wiernem się stała odbiciem swojego pierwowzoru. Niewieście tylko bardziej piętno nosi na sobie dobroć królowej i jej rezygnacja, żeńską więcej jest jej pobożność. Zdaje się, że los, tworząc te dwie tak sobie pokrewne istoty,

życie ich tak ułożył, ażeby obie zarówno cierpiały i jednym uległy próbom.

Marja, nie podpada to wątpliwości, nie miała najmniejszego pragnienia korony i panowania. Nie przewidując wszystkich następstw, jakie nieznany wówczas charakter Ludwika miał pociągnąć za sobą, wolałaby była skromniejszą i cichszą dolę. Poświęciła się dla ojca.

Chciała mu zapewnić byt swobodny, dostatki, poszanowanie, jakie teściowi króla Francji należało. Tułactwo długie, pozbawienie majętności, tytuł królewski bez sposobu do skromnego chociażby życia, odpowiedniego dostojeństwu, napełniały serce jej litością, a uczucie to zmusiło poświęcić się dla ojca. Stanisław może za późno to poznał i miał sobie do wyrzucenia, że nie odgadł prawdy i przyjął ofiarę całego bytu córki, skazując ją na męczeństwo. Uczucie wdzięczności ojca, przywiązanie jej do niego węzeł między nimi czyniły daleko silniejszym, niż między rodzicami a dziećmi bywa w latach późniejszych. Dla starca była to zawsze jego ukochana Maruchna; dla niej był on zawsze umiłowanym „tatkiem", jakby jeszcze na ręku ją nosił.

Oszczędzono biednej znękanej cierpienia, stan króla Leszczyńskiego malując przed nią jako niczem nie zagrażający. Nie żył już, gdy królowa jeszcze cieszyła się rychłem jego wyzdrowieniem.

Śmierć starca mogła być wielką dla świadków jej nauką. Gdy po osiemnastodniowych bohatersko znoszonych męczarniach, po długim śnie gorączkowym Leszczyński się obudził, aby skonać z modlitwą na ustach, a w kościołach uderzono we dzwony wołające na modlitwę za konających, cała ludność miasta i ta, którą tu ściągnęła choroba króla, wybiegła na ulice, napełniła otwarte kaplice i kościoły. Żal uciskał serca wszystkich. Czuli, że tracą w nim ojca, który losem wszystkich swoich poddanych zajmował się, jakby rodzonych dzieci. Takiego króla — wieki chyba wydać mogły... takiego sumienia i serca nikt już doczekać nie

miał... Człowiek, co widzi ludzi i braci w najbiedniejszych swoich poddanych, zostawił po sobie niewypowiedziany żal, bo nic go zastąpić nie mogło. Z załamanemi rękami ludzie sobie nieznani spotykali się, płacząc i bolejąc nad nieszczęściem swojem.

— Król nasz umiera! król umiera! — wołano, łkając.

Opiekun ten najbardziej potrzebujących a najmniej mających na świecie opieki — z pobożnością uspokajającą, z ufnością w Bogu kończył żywot czysty, wejrzeniem wdzięcznem żegnając zgromadzonych przy jego łożu.

U nóg jego klęczący Włodek, który natychmiast powrócił, zanosił się od płaczu.

Mówił sobie, że po raz ostatni ogląda Nancy i więcej miejsc tych oglądać już nie chce... Teraz służba jego należała królowej, — a potem! — jeśli mu Bóg miał życie przedłużyć, postanawiał Francję opuścić.

Razem ze dworem króla towarzyszył pogrzebowi. Po nim, już prawie nie zwróciwszy oczu na osierocony zamek, puścił się do Paryża.

Na kilkanaście godzin przedtem już królowa, z wielkich nadziei, któremi ją karmiono, nagle wywiedziona jednem słowem księżny de Luynes, zrozumiawszy je, padła na kolana, aby odmówić „Anioł Pański" za duszę ojca.

Nie śmiała nawet rozpytywać o szczegóły. Żądała, aby jej wolno było udać się na pogrzeb, ale przewidując to, a nie chcąc jej na podróż nużącą narażać, przyśpieszono złożenie zwłok, i królowa tylko uroczystem nabożeństwem pamięć ojca uczciła.

Stosunkowo wielka boleść jej była mniej jawną i gwałtowną, niż się lękano. Była tak pewna, że świątobliwy i cnotliwy starzec musi być szczęśliwym, iż mu więcej zazdrościła, niż opłakiwała zgon jego.

Dopiero gdy płaczący Włodek przywlókł się znowu do stóp jej, mówić nie mogąc dla łkania, rozpłakała się i ona z wiernym sługą i o szczegóły rozpytywać zaczęła.

— Najj. pani — rzekł Włodek, — wszystkim nam

tu męczeńsko żyć i umierać przychodzi. Nie widziałem w żvciu człowieka, któryby tak srogie cierpienia z taką świętą cierpliwością znosił, błogosławiąc Najwyższego... Nie mówiono w. król. mości prawdy całej, bo na cóż było serce jej rozdzierać nadaremnie? Po straszliwem tem oparzeniu, ze spaloną na węgiel ręką, poraniony od stóp do głowy, żyć już nie mógł; widzieliśmy wszyscy, widział i on sam, że żyć nie będzie. Dla spokoju w. król. mości pisał listy wesołe... — ale nie miał ani godziny wolnej od straszliwych bólów... Modlił się i błogosławił, o wszystkiem pamiętał, wszystkiem rozporządził... Bohaterami zwą tych, którzy na placu boju w gorączce i zapale giną; a jakże nazwać takiego jak on świętego, który się męczy okrutnie, a uśmiech ma na ustach, a miłość w sercu do ostatniej godziny?...

Królowa, słuchając, płakała.

— Bóg mu cnoty jego zapłacił, — dodał Włodek, kończąc — bo mógł widzieć i słyszeć, jakim żalem jego śmierć napełniła serca wszystkich... Ulice i rynki w dzień i w nocy były pełne ludzi, którzy jęczeli pod oknami.

VIII.

Cofnijmy się w przeszłość jeszcze.

Delfin żył wówczas i nic nawet nie zwiastowało choroby, która wkrótce tak nagle wyrwać go miała kochającej matce, siostrom i żonie.

Pomiędzy młodszemi damami dworu królowej znajdowała się, od dwóch lat mianowana przyboczną jej, hrabina de Beaumont. Nosiła ona imię rozrodzonej i możnej rodziny, ale sama była ubogą i osieroconą owdowieniem, które ją samą bez opieki zdało na łaskę i niełaskę losu. Młoda, niepospolicie piękna i miła, odznaczała się wdziękiem, skromnością, łagodnością charakteru, poszanowaniem dla starszych, które jej serca jednało takich pań, jak: księżna de Luynes, marszałkowa de Boufflers i Villars. Wszystkie one były nią

zachwycone. Pierwsza księżna de Luynes dała ją poznać królowej, a gdy się jej od pierwszego widzenia podobała, wyrobiła miejsce przy dworze. Adelajda, również ją pokochawszy, uprosiła u ojca stosowne wyposażenie, bez którego wdowa niezamożna obowiązków przy dworze podjąćby się nie mogła.

Wkrótce ulubienica wszystkich pani de Beaumont tylko względem delfina znalazła się w fałszywem położeniu.

Najzimniejszego i najobojętniejszego z ludzi na wdzięki niewieście siostry na przekorę prześladować zaczęły piękną panią de Beaumont. Delfinowa, zazdrosna bardzo, żart ten wzięła do serca, posądzając go w istocie. Chcąc żonę oduczyć od śmiesznej zazdrości, delfin przez czas jakiś udawał, że się do hrabiny zaleca, co wielce młodą damę dworu przeraziło... Słowem, wywiązał się z tego tak zwany „pasztet", który niemiłe po sobie zostawił wspomnienie... Przy delfinie nie zbywało na tych, którzy go płochym uczynić i zepsuć byli radzi.

Ci ichmoście na gotowej osnowie tkali intrygę bardzo zręczną, której każda inna kobieta i każdy inny młody książę możeby się oprzeć nie umieli. Delfinowi zaręczano, że Beaumont do szaleństwa w nim się kocha, hrabinie zaś mówiono, że delfin namiętnie jest w niej rozmiłowany.

Szczęściem delfin sercem i myślami był gdzie indziej, a pani de Beaumont miała się na baczności i wyobraźni nie dawała panować nad sobą.

Powodziło się jej na dworze, bo miała wszystko, co ją tu miłą i pożądaną czynić mogło — wesołość, dowcip, dobroć serca, uprzejmość i niewinną tę chęć podobania się wszystkim, o którą pani de Deffant i Temirę obwiniała.

Oprócz tego hrabina miała talenta rozliczne: doskonała lektorka i deklamatorka, śpiewaczka z głosem sympatycznym, grała wybornie na klawikordzie, celowała w delikatnych robótkach żeńskich, umiała opowiadać zręcznie, a w rozmowie zastosować się tak

do humoru i usposobienia każdego, iż łatwo sobie wszystkich pozyskiwała. Miała też ów dar rzadki, który pozwala przenikać ludzi, odgadywać ich gusta, a ciekawość młodą, skłaniającą ją do poznania każdego, z kim się spotkała, choćby znajomość krótko trwać miała.

Na dworze stała się wkrótce istotą pożyteczną, potrzebną wszystkim. Zwracano się ku niej po informacje i sądy, które zawsze łagodnie wypadały i pobłażająco, choć nic nie zakrywały. Beaumont widziała lub odgadywała wszystko.

Nie można jej było nazwać zalotną, choć się podobać pragnęła każdemu, i w tych czasach miłostek łatwych, gdy na dworze mało kto nie zawiązywał, nie zrywał, nie odnawiał intrygi, nie próbował choć na krótko wkraść się w łaski pięknej kobiety — urocza Beaumont wcale nie miała adoratorów. Nadto się jej obawiano. Starsze panie stawiały ją za przykład i miały za zasługę, iż przystępu do siebie broniła.

Królowa w krótkim czasie, widząc ją tak stateczną, mocno się do niej przywiązała; pozyskała sobie Adelajdę, zjednała Ludwikę, księżnę de Luynes i prezydenta Hénaulta. Delfinowa tylko zawsze jej nie dowierzała. Niezbyt piękna, bo w niej austrjacka krew matki była widoczną, obawiała się jej wdzięków... Z rzadkich tu gości pani du Deffand, autorka słynnych „Portretów", tego rozmiłowania wszystkich w hrabinie nie podzielała, zazdroszcząc jej może.

— Cóż chcecie? — odpowiadała tym, co jej to wyrzucali — są ludzie, którzy nie znoszą zapachu róż.

W kilka miesięcy po umieszczeniu jej przy dworze królowa Marja brała ją z sobą w podróże, kazała sobie towarzyszyć do Compiègne, pozwalała z sobą podzielać nabożeństwa, usiłowała natchnąć pobożnością własną i długo czasem w noc z nią przesiadywała.

Nieznacznie wyrobiła sobie wpływ wielki, ale im ten więcej wzrastał, tem i delfinowa, i on mniej ją zdawali się lubić. Plotki najczarniejsze i najniedorzeczniejsze rozmaicie to tłumaczyły.

Mówiono pozu dworem, iż byli przyjaciele delfina, którzy chcieli go koniecznie wciągnąć na tę drogę, jaką utorowali Ludwik XIV i XV. Nie można było o to obwiniać ani marszałka de Belle-Isle, ani hrabiego de Saint-Florentin, ani d'Argensona, ani de Paulmy, którzy wszyscy do orszaku delfina należeli, ale młodzież i „menin'ów" jego. Pozorem do tego obowiązku rozbawiania młodego pana było jego usuwanie się od najniewinniejszych zabaw, od czasu, gdy nieszczęśliwy strzał na polowaniu życie jednego z jego dworzan kosztował. Myślistwo nawet delfin zaniedbał zupełnie. Wśród młodzieży ci, co go kochali, sprzysięgli się, aby go wywieść z tej melancholji i osamotnienia. Większej części z nich zdawało się, że przez kobietę najłatwiej tego dokażą — a pani de Beaumont była pod ręką. Dalej stojący te przywidzenia uważali za rzecz spełnioną.

Wszystko to próżniaczych głów i gąb było wymysłem, ale puszczona w świat najnieprawdopodobniejsza potwarz zawsze coś po sobie zostawia.

Znający bliżej delfina nie dawali wiary, obcy w zmyśleniu szukali ziarnka prawdy.

Piękną hrabinę mocno to niecierpliwiło i oburzało.

Pewnego wieczora, gdy królowa po modlitwie, zatrzymawszy przy sobie Beaumont, usposobiona do zwierzania się poufnego, opowiadać jej zaczęła, co ją kosztowały pierwsze króla z siostrami de Nesles miłostki, a później wprowadzenie margrabiny de Pompadour — nagle Beaumont, jakby przejęta współczuciem serdecznem, zawołała:

— Bogdajby przynajmniej w. król. mości i delfinowej Bóg nowych cierpień oszczędził, zachowując delfina wiernym, jak dotąd, jego małżeńskiej przysiędze!

Królowa, która syna miała za zupełnie zabezpieczonego od wszelkich płochostek, wykrzyknik ten mimowolny przyjęła przestraszona, jakby był ostrzeżeniem. Ubodło ją to, że o delfinie wątpić śmiano. Tego wieczora więcej już o tem nie mówiono. Myśl jednak, że syn jej mógł być narażony, wciągnięty w jakąś intrygę, nie odstępowała biednej matki.

Nazajutrz niespokojna zaklinać poczęła hrabinę, aby jej powiedziała prawdę całą, odkryła, jeżeli jakie zagrażało niebezpieczeństwo.

Broniła się zrazu de Beaumont, lecz obawy królowej, boleść jej, niepokój tak ją przejęły, że wkońcu wymówiła się z tem, iż istnieje intryga, która delfinowi zagrażać może.

Usłyszawszy to wyznanie, królowa już nie miała spokoju, dopóki nie wydobyła od hrabiny wszystkiego, o czem ona wiedziała. Musiała jednak przyrzec, że dochowa tajemnicy i z delfinem nawet mówić o tem nie będzie.

Znając i kochając hrabinę, królowa zupełną dała wiarę jej słowom i oblewała je gorzkiemi łzami. Dowiedziała się o spisku, o ludziach, co go uknuli, o tych, którzy do niego wciągnięci być mieli, a nawet o tem, że Beaumont pozyskać usiłowano.

Nic nie może dać wyobrażenia zgrozy i trwogi, z jaką królowa przyjęła tę wiadomość groźną dla syna.

Stała z początku jak słup, zdrętwiała, blada, niema, rażona tym piorunem, nie mogąc wymówić słowa. Potem nagle otwarły się jej usta, padła na kolana przed krucyfiksem i zawołała:

— Panie, o Panie mój! — jeżeli to święte, niewinne dziecię moje ma podpaść zepsuciu, ma się sprzeniewierzyć cnocie, złamać przysięgę, skalać swoją białą szatę niewinności — Panie! o Panie! błagam cię na kolanach — ja, która to dziecię kocham nad życie, ja, której ono jest skarbem jedynym — Panie mój! Ojcze! weźmij go z tego świata na łono swoje, dopóki czystym jest... Niech go raczej widzę na marach, niż występnym! Matka, oddaje Ci go — niech umrze takim, jakim żył dotąd, niech jego występnym nie widzę!..

W tym wykrzyku duszy, który z uniesieniem i zapałem wyrwał się jej z piersi, było coś strasznego, proroczego jak wyrok śmierci.

P. de Beaumont rzuciła się przestraszona, chcąc nie dać jej dokończyć. Sama ona, usłyszawszy, co usta wyrzekły, zadrżała i zapragnęła może je cofnąć, — ale

już było za późno. Potokiem łez zamknięta została, zapieczętowana ta bohaterska ofiara matki chrześcijanki.

Nazajutrz, czując, że w uniesieniu grzech popełnić mogła, dziecku własnemu śmierci życząc i skazując je, przywołała ks. Biegańskiego, spowiednika swojego, wyznała przed nim, co popełniła wczoraj, a choć spowiednik starał się ją uspokoić, pozostała pod wrażeniem, iż mogła prawicę Boga skierować na głowę syna.

Nikomu zresztą nie przyznawała się z początku do tego wybuchu i, oprócz spowiednika i p. de Beaumont, nikt o tem nie wiedział. Wstydziła się zwierzyć nawet księżnie de Luynes i prezydentowi. W duszy dręczyła ją myśl o tem przewinieniu, podwójną czułością otaczała dziecię ukochane, jakgdyby zawiniła przeciw niemu.

Wkrótce potem, nadomiar niedoli, delfin naprzód na cierpienia wewnętrzne uskarżać się zaczął, potem nagle zachorował, królowej zdawało się, że ona swoją modlitwą ściągnęła na niego chorobę, że ona zwiastowała, iż Bóg nieopatrznej prośby jej miał wysłuchać.

Przestraszona wyznała naówczas i księżnie de Luynes to, co nazywała swoją winą, ciągle się trwożąc, aby Bóg nie wysłuchał jej modlitwy. Prześladowała ją ta myśl uparta, iż delfin był zagrożony intrygą, że Bóg chciał go, wedle prośby jej ocalić, biorąc go do siebie.

Wszyscy, którym się z tego zwierzała, starali się ją pocieszać napróżno; nie mogła sobie przebaczyć, iż, nie poddając się woli Bożej, ściągnęła na siebie największą boleść, jakiej na ziemi doznać mogła.

Oddawna smutna, wpadła odtąd w rodzaj melancholji, i oprócz nabożeństwa i modlitw, którym większą część dnia poświęcała, nic już jej prawie nie zajmowało. Gdy ją pocieszać usiłowano po śmierci syna, odpowiadała, płacząc:

— Rachel nie chciała być pocieszona. Aby łzy moje osuszyć, synaby mi powrócić trzeba. Oddajcie mi go.

Od zgonu delfina przekonanie, że jej prośba do Bo-

ga mogła śmierć sprowadzić, że była wysłuchaną, opanowało jej umysł i zatruło życie. Nikt, nawet duchowni nie mogli jej odjąć tej myśli, która ją ciągle dręczyła.

Stawała się coraz mniej przystępną, coraz bardziej pogrążoną w sobie i milczącą; naostatek symptomata choroby, która życiu zagrażała, pokazały się wyraziście...

Klasztor karmelitanek w Compiègne, do którego uciekała przed ludźmi i światem, stał się naówczas najulubieńszem dla niej miejscem pobytu. Tam urządzić sobie poleciła mieszkanie, w którem była cela, zupełnie tak wyposażona skromnie, jak innych zakonnic.

Żadnych w niej wygód mieć nie chciała: krzyż, klęcznik, kilka obrazów z historji świętej i wizerunki patronów były ozdobą jej całą.

P. Chantal, św. Wincenty à Paulo, Stanisław Kostka zajmowali tu pierwsze miejsca. Oratorjum to nie różniło się w najmniejszej rzeczy od cel sióstr innych, z których królowa zwała się najmłodszą i najwięcej miłosierdzia Bożego potrzebującą. W dniach, w których do komunji przystępowała, zachowywała najściślej wszystkie przepisy zakonnej reguły. Często nawet zakonnice przybywające do chóru już ją tam znajdowały na modlitwie i, odchodząc, pozostawiały.

Po skasowaniu jezuitów królowa, gdy wycieczki jej do Compiègne utrudnione zostały, a do klasztornej tęskniła klauzury, założyła nowy klasztor karmelitanek w Wersalu, w którym znaczniejszą część dnia spędzała, aby zupełnie o świecie zapomnieć.

Zajęty swoją podwójną polityką i nieustannemi tajemniczemi miłostkami, od których go wiek nie oswobodził, Ludwik XV, o którego od śmierci pani de Pompadour znowu się dobijali słudzy, by go oddać w ręce nowej metresy, coraz rzadziej widywał się z królową, słyszał o niej niewiele, zajmował się nią tylko, gdy to córki na nim wymogły.

Spostrzegli jednak wszyscy, że, pomimo rozwiązłego życia, okazywał dla żony daleko więcej względów,

niż kiedykolwiek. Zbliżał się do niej z poszanowaniem wielkiem, dopytywał z troskliwością o jej zdrowie, domagał się od sług jej największej karności. Gdy Adelajda poskarżyła mu się na jaki brak wygód około matki, przychodził sam, rozporządzał, nakazywał surowo, przesiadywał nawet w jej pokojach, zdając się głęboko przejęty łagodnością i rezygnacją, z jaką przyjmowała cierpienia i znosiła, co ją dotykało. Nic teraz nigdy nie odmawiał, sam nawet uprzedzając życzenia królowej. Tak czułym nie widywano go zgoła.

Choroba wycieńczająca, powolna — przeciągała się, czyniąc postępy, a życie przybrało formy klasztornego szpitala. Ze starych przyjaciół wielu ubyło, z młodszego pokolenia nikt się nie czuł pociągniętym do tego smutnego dworu. Pustki i cisza Wersal zaległy.

Stan ówczesny ducha męczennicy najlepiej malują listy jej do zakonnic pisywane. W tych, któremi jeszcze obdarzała wiernego sobie prezydenta Hénaulta, coraz mniej widzimy poufnych zwierzeń; do sióstr swoich pisze jakby rozmawiała z niemi.

„Módlcie się za moją biedną duszę, — pisze w jednym z listów — módlcie się za mnie grzesznicę wielką. Nie mówcie Bogu o niczem, tylko o duszy mojej; potrzebuje ona wielce modlitw waszych. Módlcie się do miłosiernego Boga nie o wytrwałość dla mnie, — złaby to była modlitwa — lecz żebym lepszą się stała. Nie zapominajcie nadewszystko modlić się za duszę moją, za intencje moje. Polećcie mnie modlitwom całego zgromadzenia, mnie, to jest duszę moją.

Jestem zachwycona listem waszym, który nie zasługuje wcale na nazwisko, jakie mu dajecie. Potrzebuję bardzo waszych listów, i przykrość mi czynicie, nie wierząc temu. Bądźcie pewne, że się sobą brzydzę, nie upokarzając się, ale mówiąc prawdę. Jeżelim od tak dawna nie pisała, to dlatego, że nie miałam czasu, chociaż nie użyłam go na dobre.

Świat jest pełen fraszek bezpożytecznych, a na nieszczęście dla mnie są to bezużyteczności konieczne,

nieprzebyte. Byłabym szczęśliwa, gdybym czasu inaczej nie używała, gdy stan mój tego wymaga; ale zawsze źle czynię to, co czynię. Módlcie się za biedną duszę moją.

Dziękuję wam za *De profundis*, które codzień odmawiacie za delfinową, chociaż, spodziewam się, że, przy łasce Bożej, ona go nie potrzebuje. Mam najmocniejsze pobudki być pewną, że ta piękna dusza pozyskała zbawienie.

Módlcie się za duszę moją, zamiast modlić się za zachowanie mnie przy życiu, które się na nic nie zdało. Módlcie się za intencje moje, a nadewszystko za jedną szczególnie. Polecam wam duszę moją. Nie myślcie o ciele, nie warto ono, aby myśleć o niem; ale dusza moja tyle kontrowała Zbawicielowi, że nie wolno się nią nie zajmować".

Później pisała do tychże sióstr karmelitanek w Compiègne:

„Mogłybyście nie troszczyć się o wielką surowość moją dla siebie; zaręczam, że post odbywam bardzo łagodnie, jak mówi Toinon, a na nieszczęście u mnie tak wszystko jak post idzie. Módlcie się do dobrego Boga za biedną duszę moją — wielce tego potrzebuje. Ja od siebie Zbawicielowi nie mam nic do ofiarowania nad pragnienie: niepłodną jestem w dobre uczynki. Mówię tu jak największą prawdę. Wstrzymajcie zatem miłosierdzie wasze i nie mieszajcie smutnej rzeczywistości z pokorą, na której mi zbywa — przeciwnie mam dużo dumy.

Proście Boga nie o wytrwanie, bo toby znaczyło wytrwałość w złem, ale o moje nawrócenie; dołączcie do tego intencje. Opuśćcie zachowanie mnie; życie moje zawsze dość będzie długie, a zdrowie dość dobre, jeśli z nich dobry zrobię użytek. Módlcie się za duszę moją, a zapomnijcie o ciele. Proszę tylko Boga o to, aby o niem zapomnieć, oderwać się od tego brzydkiego łachmana, który z żalem wlokę za sobą".

Zbliżyła się nareszcie dla niej chwila wyzwolenia,

którą żal po drogich sercu straconych istotach przyśpieszał. Wołały ją do siebie litościwe ich dusze.

Królowa, ilekroć przejeżdżała przez Saint-Denis, zatrzymywała się zawsze przed kościołem opactwa, aby się tu pomodlić, gdzie zwłoki jej złożone być miały.

Wiosną też r. 1768 zatrzymały się powozy dworskie, wiozące ją przed kościół Św. Dionizjusza. Duchowieństwo wyszło na powitanie pobożnej pani, mając na czele opata, któremu się do grobów prowadzić kazała.

— Tu więc — odezwała się do niego — obok tych zmarłych i ja oczekiwać będę na ciał zmartwychpowstanie. Oto pałac, w którym umieścicie mnie wkrótce, ale pokażcie mi, proszę, mój ojcze, miejsce, w którem będę spoczywała.

Opat zmieszany nie chciał odpowiedzieć na pytanie, chociaż królowa nalegała.

— A więc — dodała, widząc, że jej żądaniu zadośćuczynić nie chce — wiem przynajmniej, że pod tem sklepieniem, o kilka kroków od tego miejsca, zgniją me szczątki.

To mówiąc, padła na kolana, i cała skupiona w sobie, oderwana od świata, zapomniawszy o tem, co ją otaczało, gorąco modlić się zaczęła...

Choroba, coraz groźniejszego nabierając charakteru, odejmowała jej siły.

Wszyscy biografowie Ludwika XV przyznają, że ten okres po śmierci Pompadour, po zgonie delfina, gdy Marja już była skazaną przez lekarzy i znosiła swoje powolne konanie z anielską cierpliwością, czynił tak wielkie wrażenie na ostygłym, płochym, ale myślami o śmierci wciąż zajętym królu, iż zmienił jego postępowanie, humor, tryb życia jawny, iż sądzono, że będzie momentem poważnego zwrotu.

Jakgdyby żałował dawnego obchodzenia się z żoną i chciał je wynagrodzić; Ludwik był teraz dla niej z nadzwyczajnem poszanowaniem i względami. Spoważniał, posmutniał i naturalnie nudził się, jak zepsute dziecię, coraz mocniej. Natomiast królowa chora, choć osłabiona i choć ją to kosztowało wiele, siliła się na

przyjmowanie wszystkich, co ją odwiedzać chcieli, uśmiechała się, rozmawiała, udawała ożywioną i wesołą — nie przyznając się do boleści. Nie zrywając stosunków z dawnymi przyjaciółmi, choć towarzystwo ją nużyło, usiłowała mu wydołać, — a bywała niekiedy tak zmęczona, iż nie poznawała osób, brała jedne za drugie i usiłowała to później naprawić.

Zwątpiwszy o wyzdrowieniu, miała niemal za złe lekarzom, iż życie jej przedłużać się starali, gdy duchem już była cała na drugim świecie. Posłuszna wszakże, spełniała, co jej polecano.

W pobożności, w praktyce obowiązków religijnych, w całem życiu królowej Marji, chociaż może ono zdawać się podobnem do żywotów innych świątobliwych niewiast wszelkich narodowości, przypatrując się im zbliska, znajdujemy tak wyraźne piętno polskie, iż dziwi nas, że go francuscy nie dostrzegają biografowie. Dlatego może ta postać, zarazem tak skromna, tak dobroduszna, tak obca wszelkiemu okazywaniu się i popisom, a tak wielka rezygnacją, wytrwaniem bohaterskiem, przebaczeniem winy, we Francji nigdy należycie zrozumianą i ocenioną nie była.

Zdumiewano się nad nią, ale się też litowano nad jej umysłowem upośledzeniem, to ganiono pobłażanie, to wynajdywano jakieś słabości, tak się im wydawała dziwną i niezrozumiałą. Wszystko, co w jej pobożności i życiu najwybitniej miało charakter polski, Francuzi znajdowali dziwacznem. Ta łatwość, z jaką się Marja z ludem porozumiewała, dając do siebie poufale zbliżać się wieśniakom, rozmawiając ze sługami i dozwalając im głośno wypowiadać myśli swoje, z ujmą królewskiej godności — była przez duchownych naturalnie jako cnota pokory chrześcijańskiej wynoszoną, ale na dworze nie oceniano jej wcale. Wyrzucano królowej, znajdowano dziwacznem to, co w Polsce było przyjętem i powszedniem.

Królowa Marja do końca życia nie straciła tego charakteru polskiego, jaki jej nadało wychowanie oj-

cowskie. O obyczaju polskim mowy nigdy nie bywało, a mimo to zachował on się we wszystkiem.

Tak samo dwór lunewilski, na którym suknia francuska narówni z polską występowała — miał charakter właściwy, nie tyle fizjognomją swoją i formami, co duchem i treścią mu nadany. Wszyscy tam przebywający znajdowali w starym królu jemu tylko właściwą otwartość, dobroduszność, prawość, prostotę i ten brak wszelkiej żądzy popisu, która Francuzom była niepojętą.

Filozof dobroczynny, tak dobrze umiejący oceniać piękno w poezji i literaturze, nie zaprzeczający talentu nawet ludziom przekonaniom swoim przeciwnym, mający odwagę zawsze mówić prawdę, choćby prądowi wieku nie była miłą, wzbudzał podziwienie jako coś zagadkowego i wyjątkowego. Królowa też we wszystkiem, co po ojcu przejęła, była oryginalną i pozostała niezmienioną, sobą do końca żywota.

Delfin, który może najwięcej z dzieci przejął się jej charakterem, najlepiej też ją oceniał. Kochały ją i szanowały córki, ale żadna z nich charakterem do niej nie była podobną.

Aż do ascetyzmu przejęta pobożnością Ludwika, która siebie Bogu złożyła na ofiarę, idąc do klasztoru, aby ojcu wymodlić poprawę życia i zbawienie, była daleko namiętniejszą, gwałtowniejszą, daleko bardziej Francuzką, niż matka. Tej polskiej łagodności i pokory, jaka odznaczała Marję, nie wzięła po niej żadna, choć zbliżyła się najwięcej do matki Henrjeta.

W całej historji tego męczeństwa, które we wszystkich swoich fazach i przejściach odmalować się nie daje, im dalej idziemy za królową, tem bardziej widzimy ją rosnącą wyżej i doskonalszą.

Najstraszliwsze przebywszy męczarnie w pierwszym okresie panowania sióstr de Nesles, w epoce Pompadour musiała rozpoczynać walkę powolną, nie widoczną, codzienną, na którą więcej może sił było potrzeba, niż na tę, co ją poprzedziła. Pompadour układała się, okrywała pokorą, oszukiwała, pochle-

biała, a odgrywaną komedją urągała królowej. Niekiedy tylko nagle wybuchała okrzykiem triumfu... którego Marja musiała nie słyszeć. Przeciwko tej komedji stawiła ona niewyczerpaną łagodność i majestatyczną wyższość charakteru, nie zniżającego się do walki jawnej, nie dającego ująć i doścignąć.

Ostatnie dni życia królowej upłynęły na modlitwach i obcowaniu z córkami, które jej nie odstępowały. Król Ludwik tak się wydawał zaniepokojonym grożącą mu stratą małżonki, której zatruł całe życie, tak mu wyrzucało sumienie poniewierkę niewiasty za świętą uważanej za życia, iż nieustannie czuwać chciał sam nad nią... Niekiedy po cztery razy na dzień przychodził dowiadywać się o jej zdrowie.

Było w tem może równie wiele starania o rehabilitację w oczach ludzi, jak potrzeby uspokojenia sumienia. Niemniej jednak obudzał tem wdzięczność w umierającej, która mu dawno winy jego względem siebie przebaczyła.

Niekiedy w pokoju chorej przesiadywał długo, zwoływał lekarzy na narady, albo przychodził na nie i bywał im przytomny. Królową tak to wzruszało, gdyż wiedziała, co go to kosztować musiało, iż się zdradziła z uczuciem, którego doznawała. Król Ludwik zupełnie tak jak dla umierającej Pompadour sam przyprawiał lekarstwa, tu przyprawiał aforyzmy.

— Proszę pani pamiętać o tem, — mówił tonem mentora — że chory nie powinien się nigdy troszczyć o tych, którzy są zdrowi. Ja tu chcę być ciągle o każdej dnia godzinie; ale pani nie powinnaś nawet wiedzieć o tem.

Do uroczystego błogosławieństwa matki, przed jej zgonem, jak zobaczymy, sam Ludwik XV przyprowadził córki do łoża; ale tu mu wyrazów zabrakło na oznaczenie, z czem do niej przychodził i zmieszany zaprezentował je tylko królowej. Sercu jej łatwo było odgadnąć, czego od niej żądały.

Zliczyć trudno wszystkie chwile wybitne, któremi się odznaczył ten zgon kobiety-chrześcijanki. Nawet

w chwilach, gdy gorączka odejmowała jej przytomność i pojęcie otaczających rzeczy, nie mówiła o niczem, tylko o tem, co duszne zbawienie jej obchodziło.

W ciągu swojego smutnego panowania niewielką zamożność, jaką jej to panowanie dawało, obracała prawie w całości na ubogich i dobre uczynki; umierając, też troskę miała jeszcze wielką o to, aby im zabezpieczyć z tego, co pozostawiła, tęż samą pomoc do życia. Oddawała ich na opiekę córkom, w spuściźnie przekazując niedolę, ale znając ich charaktery i zajęcia, dodała im w pomoc starego sługę Włodka, który w ostatnich miesiącach na krok się nie oddalał z przedpokoju.

Często go też, gdy pozostała sama, przywoływać do siebie kazała. Włodek znał wszystkich biedaków królowej, i choć mu obowiązki jałmużnika ciążyły, bo pragnął powrócić do kraju, nie mógł odmówić pani swojej nadzoru przynajmniej nad rozporządzeniem jej spuścizną.

Nigdy może „dobra królowa" nie była wszystkim bardziej ukochaną, popularniejszą, niż w tych godzinach zbliżającego się zgonu. Zamek był ciągle oblężony. Wszyscy bez wyjątku, którzy do niego przystęp mieli, cisnęli się tam dowiedzieć o jej zdrowie. Nawet ci, którzy znani byli z niechęci, z nieprzyjaźni w czasach wdzięków i intryg, szli, aby się pokazać przynajmniej na zamku. Każdy z nich teraz wypierał się dawnych uczuć swoich.

— Ja byłem zawsze z najwyższą czcią dla świętej niewiasty, — mówiono — stawałem w jej obronie przeciwko brutalnym napaściom!

Stało się wkońcu modą codzień zapisywać się do księgi, leżącej w przedpokoju, i pokazywać w nim choćby na czas krótki.

Budziło to pewny rodzaj zazdrości w królu, który, spotykając tu codzień tłumy, a między niemi ludzi przybyłych zdaleka, z prowincji, starców, duchownych z diecezyj odległych, posłów, obcych gości i kla-

sy średniej, z Alzacji, z Lotaryngji, odezwał się wkońcu, jakby mimowoli, do Richelieu'go:

— Patrzaj! jak była kochaną!...

Usposobienie, jakie ogół wówczas okazywał, przywiązując do zachowania królowej zapewnienie szczęśliwego bytu Francji, pomyślność jej i błogosławieństwo, przypomniał niepokój, jaki obudzała choroba, a potem śmierć delfina.

Król mruczał, zwracając się do swoich poufnych:

— Gdybym zachorował, nie wiem, czybym miał tylu łzawych gości.

Dnia 24 czerwca rano królowa przebudziła się bez gorączki, jakby po wypoczynku zwiastującym wyzdrowienie. Sama przyznała z uśmiechem, iż od początku choroby nigdy się lepiej nie czuła; lecz zdawała się wiedzieć znaczenie tego fenomenu.

We wszystkie serca wstąpiła nadzieja, ale pogoda ta, która często burzę poprzedza, była i dla niej tylko oznaką i skutkiem wyczerpania sił, ostatnim błyskiem gasnącej lampy żywota.

Marja śpieszyła korzystać ze swobodniejszego stanu umysłu, aby powtórzyć spowiedź.

Wkrótce po niej podniecone siły opuszczać ją zaczęły. Lekarze oświadczyli Ludwikowi, że dnia tego nie przeżyje.

Wzruszony wielce, król natychmiast powołał córki, i — jakeśmy mówili — przyprowadził je do jej łoża. Część tego błogosławieństwa, które osłabłym głosem wymówiła nad ich głowami, spłynęła i na niego... Król mógł to sobie wyobrażać, gdyż płochy był razem i zabobonny.

Zaraz potem zaczęła się modlić królowa, odmawiała swoje obowiązkowe powszednie modlitwy i wśród różańca osłabienie przeszło w omdlenie, które było ostatniem...

Na Ludwiku XV zgon ten wywarł może największe wrażenie ze wszystkich doznanych w życiu. On, który się tak lękał śmierci i jej wspomnienia, choć czasem kapryśnie je wywoływał, kilka godzin sam na

sam spędził przy zwłokach żony na rozmyślaniu, i żegnając tę, której był katem za życia, ze łzami czoło jej ucałował... Nigdy go nie widziano tak pogrążonego w żałości.

Uznanie własnej winy długim potem wyraziło się w nim smutkiem. Zdawał się chcieć zmienić życie, porzucić wszelkie płoche miłostki, zerwać z przeszłością. Lecz i to nie trwało długo: znudziła go skrucha!

Otwarcie testamentu, którego wypełnienie zdawała na dzieci, było tylko potwierdzeniem tego, co wiedziano o charakterze królowej.

Wszystko, co miała, przekazywała na klasztor założony w Wersalu, na misje religijne w Polsce, na jałmużny, na pensje, na dary dla duchowieństwa i ubogich. Relikwiarze swoje, krzyże, obrazy, różańce rozdawała tym, którzy się za jej duszę modlić mieli.

Sława jej świątobliwości tak była rozpowszechnioną, iż po śmierci jak relikwje rozrywano jej suknie, pozostałości najmniejsze... Nie zwano jej już inaczej, tylko „świętą królową".

Przez osiem dni trwania obrzędów pogrzebowych tłumy nieustannie otaczały jej katafalk i przepełniały kościoły. Pochwały jej były na ustach wszystkich, żal powszechny. Anioł opiekuńczy Francji uleciał do niebios.

Wolą ostatnią zmarłej było, aby się pogrzeb odbył z największą prostotą; ale Ludwik nie usłuchał jej żądania, nakazał wspaniały i uroczysty obrzęd żałobny, wedle zwyczajów i tradycji dworu.

W całej też Francji duchowieństwo, pamiętne opieki królowej Marji, w modlitwach za nią, w mowach pogrzebowych wyraziło cześć i uwielbienie, jakie dla niej miało.

Czyż potrzeba wymowniejszego świadectwa o charakterze Ludwika XV, niż widok jego płaczącego u zwłok żony w czerwcu, a w grudniu witającego w Wersalu zamieszkującą w nim Du Barry?

Ani księżna de Gramont, siostra Choiseula, ani żadna inna z najbliższych nie wzięła spadku po margrabinie Pompadour. Zręcznie prowadzona intryga obdarzyła nim piękną Joasię, która polityką króla zawładnąć nie zagrażała.

Pompadour nie mogła mieć godniejszej następczyni i dziedziczki. Lecz w opustoszałych pałacach, u stóp krucyfiksów i ołtarzy nikt nie mógł zastąpić świętej, ostatniej królowej Francji.

Osierocone córki w przeznaczeniu swojem miały widzieć oczyma żywemi to, co matka ich proroczym przepowiedziała duchem, upadek monarchji we Francji, i umrzeć na obcej ziemi.

KONIEC

X Edo
2